

PRZEMYSŁAW  
**BORKOWSKI**

Znajdziecie tu zbrodnię, zagadkę  
i wyrazistego bohatera. A do tego Olsztyn!

Dla mnie to kryminał idealny.

**KRZYSZTOF HOŁOWCZYC**

W I D O W I S K O



**WIDOWISKO**

PRZEMYSŁAW  
**BORKOWSKI**  
**WIDOWISKO**



Copyright © Przemysław Borkowski, 2019  
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk  
Redakcja: Paulina Jeske-Choińska  
Korekta: Agnieszka Czapczyk  
Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka  
Projekt typograficzny: Maciej Majchrzak  
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Fotografie na okładce:  
CollaborationJS / Trevillion Images  
Max Bukovski / Shutterstock  
Lukasz Sz waj / Shutterstock

Fotografia autora: Anika Nojszewska

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

eISBN 978-83-66381-23-0

#### CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.  
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań  
tel.: 61 853-99-10  
fax: 61 853-80-75  
redakcja@czwartastrona.pl  
www.czwartastrona.pl

„Opętańcze mieczowy, do dzieła!!”  
Stanisław Wyspiański, *Noc listopadowa*

Odgłosy parady docierały aż tu. Wysoki, ceglany kolejowy wiadukt, na który się wspinali, przerzucony nad rzeką Łyną, stanowił doskonały punkt widokowy. Olsztyńskie Stare Miasto, ceglany Zamek Kapituły Warmińskiej, park przy Łynie i sama rzeka – wszystko to było widoczne z niego jak na dłoni. Odwrócił się ze strachem. Daleko w dole, jakby patrzył ze szczytu góry, widział ich wszystkich: klaunów, aktorów na szczudłach, połykaczy ognia, dziwne mechaniczne stwory na jeżdżących platformach i gapiących się na to wszystko widzów. W tej swojej śmiesznej zbroi wyglądał, jakby był jednym z członków ulicznego teatru, który przez przypadek, nie znając miasta, zabłądził aż tutaj.

Poczuł na plecach uderzenie i usłyszał dźwięk metalu zgrzytającego o metal. Mężczyzna, który za nim szedł, dźgnął go mieczem. Pomyślał, że wygląda to tak, jakby prowadził go na ścięcie. Jeśli prawdą jest, że na wzgórzu za ich plecami stał kiedyś szafot i szubienica, byłoby to jak najbardziej odpowiednie do tego miejsce.

Odwrócił się z powrotem i ruszył w górę. Wąskie schodki, którymi szli, wyglądały na rzadko używane. Porośnięte mchem i zaścielone ubiegłorocznymi jeszcze liśćmi, sprawiały wrażenie zbudowanych tylko na wszelki wypadek. Bo i niby po co ktoś miałby wchodzić na ten wielki, kilkudziesięciometrowej wysokości wiadukt, którego szczytem biegła linia kolejowa w kierunku Warszawy?

A oni właśnie na niego wchodzili. Bał się. Bał się bardzo. Bał się tym bardziej, że nie rozumiał, po co to robią ani dlaczego. Kim był ten człowiek za jego plecami i czego od niego chciał? Nie widział jego

twarży, była zasłonięta teatralną maską. Lecz miecz w jego dłoni był wystarczająco ostry, zdążył już się o tym przekonać. I bardzo twardy, gdy się nim biło na odlew.

Jeszcze tylko parę schodków i stanęli na górze. Słońce zachodziło, robiło się coraz ciemniej. Jego pomarańczowa tarcza chowała się właśnie za ciemną, widoczną w oddali linię lasu. Człowiek z tyłu pchnął go w plecy. Nie ruszył się, zbyt zmęczony i przerażony, by zareagować. Wtedy usłyszał świst, a potem głucho uderzenie płazu miecza o swoją czaszkę. Nie za mocne, lecz na tyle silne, by przecięło skórę, a pod włosami na jego głowie pociekła krew.

Drugie pchnięcie w plecy już podziało. Ruszył przed siebie oszołomiony i otępiały niczym krowa w rzeźni. Człowiek, który szedł za nim, ustawił go na torach, potem wyjął coś z plecaka. Kątem oka dostrzegł, co to było – łańcuch. Poczuł, jak jego ręce oplatają go nim w pasie, usłyszał szcęk kłódki spinającej go za jego plecami, a potem kolejny taki sam dźwięk, gdy prześladowca przykuł drugi koniec łańcucha do torów. Dostrzegł z pewnym zdziwieniem wygrzebany pod jedną z szyn otwór, przez który teraz przeciągnięty był łańcuch. Znaczyło to, że człowiek, który go tu przyprowadził, był tu wcześniej i wszystko dokładnie przygotował.

Spojrzał jeszcze raz w dół, na paradę. Wyglądała naprawdę ładnie. Kolorowo i wesoło. Poczuł dumę, w końcu miał w tym widowisku swój skromny udział. Wszystko udało się znakomicie, musiał to przyznać. Nawet pogoda dopisała. A tego w sumie obawiali się najbardziej. W kwietniu przecież mogło być różnie.

Człowiek w masce w dalszym ciągu się uwijał. Rozstawiał teraz wokół niego małe, kartonowe pudełka i łączył je kablem. W pewnej chwili spojrzał na zegarek. Wyglądało, jakby się spieszył. Ciekawe dlaczego?

Ta zagadka tylko przez chwilę jednak zajmowała jego oszołomiony umysł, szybko bowiem się wyjaśniła. Zbyt szybko. W oddali rozległ się dźwięk jadącego pociągu. Spojrzał z przestraszeniem w kierunku, w którym tory zmierzały w stronę Warszawy. Dostrzegł światła

pędzącej w jego stronę lokomotywy. Tory były dwa, przez chwilę miał jeszcze nadzieję, że pociąg przejedzie po tym drugim. Nic z tego. Człowiek w masce i pod tym względem dobrze się przygotował. Klęczał teraz obok i wyjmował coś z plecaka. Był to hełm. Krzyżacki hełm z przyłbicą w kształcie psiego pyska i kilkoma połamanymi pawimi piórami na czubku. Po chwili wstał, podszedł do niego i założył mu go na głowę. Pociąg słychać było coraz bliżej. Przyłbica opadła, zostawiając mu tylko wąski pasek, przez który mógł dostrzec zbliżające się dwa okrągłe reflektory lokomotywy. Oddychał szybko i płytko. Ze zmęczenia i z przerażenia. Dźwięk tego oddechu, jego własnego oddechu, wzmocniony jeszcze metalowymi ściankami hełmu, zdawał się huczeć mu w samym środku mózgu. Poczuł, jak człowiek w masce wciska mu coś do ręki. Odruchowo zacisnął dłoń. Człowiek w masce odszedł parę kroków i przyglądał mu się teraz, jakby oceniał swoje dzieło. Lokomotywa była coraz bliżej. Jej odgłos zagłuszał już odgłos oddechu. Dopiero teraz poczuł prawdziwe przerażenie. Szarpnął się do tyłu, chcąc uciec, lecz łańcuch usadził go w miejscu. Spojrzał przez szparę na swoją rękę. Trzymał w niej miecz. Zaczął nim walić, ciąć łańcuch, wbijać sztych w kłódkę. Poczuł nagle przypływ niewiarygodnej energii i siły; gdyby ten człowiek w masce stał teraz bliżej, przeciąłby go jednym ciosem na pół.

Wszystko na nic. Miecz szczybił się, leciały iskry, gdy zdenerwowany trafiał nim w szynę, lecz ani kłódkę, ani łańcuch nie puściły. Spojrzał przed siebie, na zbliżającą się coraz bardziej lokomotywę. Widział już tablicę rejestracyjną z numerem między jej reflektorami. Widział też małą, ciemną sylwetkę za szybą. Rozległ się dźwięk syreny. Po chwili ostry, metaliczny odgłos hamowania. Podniósł miecz, jakby chciał się nim zasłonić.

Ostatnią rzeczą, którą dostrzegł, były sztuczne ognie wybuchające i wystrzeliwujące w górę po obu stronach torów i ich odbłask na wzniesionej, lśniącej klindze jego miecza. Pomyślał wtedy, że wygląda jak Święty Jerzy walczący ze smokiem.



Wysoki dźwięk syreny, odgłos hamowania i huk wystrzeliwanych w górę petard dotarły do nich niemal w jednej chwili. Odruchowo zadarli głowy. Po wysokim, łukowato sklepionym, ceglany wiadukcie jechał pociąg. Spod jego kół leciały srebrne iskry, wokoło niego zaś wybuchały złote fontanny fajerwerków. Wyglądało to tak, jakby przejeżdżał przez bramę z ognia. Parada stanęła. Akorzy na szczudłach, klauni i połykacze ognia zamarli bez ruchu, patrząc się na to niezwykle, rozgrywające się ponad ich głowami widowisko. Po chwili rozległy się oklaski, a potem okrzyki zachwytu. Nikt nie dostrzegł małego, blaszanego rycerzyka, rozrywanego właśnie i wciągane pod koła lokomotywy.

Zarówno gabinet komisarza Sądeckiego, jak i sam komisarz nie zmienili się ani trochę. Kiedy tu ostatnio był? Pewnie z sześć miesięcy temu. Karolina jeszcze żyła i wszystko wydawało się mieć z grubsza jakiś sens.

Bał się tej wizyty. Bał się, co poczuje, gdy tam wejdzie, gdy usiądzie tak jak zwykle na krześle stojącym przed biurkiem komisarza i pomyśli – bo przecież nie da się tego w tym momencie nie pomyśleć – że do tej pory zawsze, gdy tu był, na krześle obok siedziała ona. Bał się powtórzenia tej tak znanej mu sytuacji – tym razem bez niej. Jak się okazało, niepotrzebnie. Wszedł, zamknął za sobą drzwi, spojrzał na puste biurowe krzesło z szarym obiciem stojące na środku pomieszczenia i nie poczuł nic. Kompletnie nic. I to nawet nie tyle nic w związku z Karoliną, co nic w ogóle. Jakby zamiast miejsca, w którym normalny człowiek nosi swe uczucia, on miał tylko wybetonowaną, zamiecioną i zmytą szlauchem pustkę. Jakby tych kilka dni, które spędził niedawno w Zakopanem, wjeżdżając codziennie rano na szczyt Kasprowego Wierchu i zjeżdżając z niego wieczorem ostatnią kolejką, przesiadując w międzyczasie na oblodzonej ławce z dala od schroniska i pozwalając, by pokrywał go padający wciąż jeszcze tam w górach śnieg, spełniło swoje zadanie i przyniosło mu wreszcie to, czego nie były w stanie dać mu te wszystkie terapie, których próbował w ciągu ostatnich paru miesięcy – upragniony, choć zapewne iluzoryczny, bo nieoparty na dogłębnym przepracowaniu problemu spokój.

– Cześć! – przywitał się w drzwiach i pokuśtykał w kierunku

krzesła.

– Co się stało? – spytał Sądecki. Przyjrzał się uważnie jego nodze. – Miałeś jakiś wypadek?

– Przewróciłem się na nartach – skłamał.

– Niektórym to się powodzi.

Usiadł na krześle i z ulgą wyciągnął przed siebie nogę. W powietrzu rozszedł się lekko octowy zapach altacetu, którym nasączony był kompres pod bandażem. W zasadzie, gdy siedział, prawie go nie bolało. Tylko gdy chodził, czuł, jakby między kośćmi w jego stopie nie było wcale chrząstek. Nie, nie miał wypadku na nartach. Przewrócił się i skręcił kostkę, gdy on, Zygmunt Rozłucki, psycholog i psychoterapeuta, w ostatnim (miał przynajmniej taką nadzieję) ataku podlanej alkoholem rozpaczycy postanowił zejść ze szlaku i zamarznąć gdzieś na stoku góry. Skończyło się na szczęście tylko upadkiem, ale było to tak żałosne, że raz na zawsze wyleczyło go z wszelkich tego typu pomysłów. Wstyd, jaki poczuł następnego dnia rano, był zdaje się punktem kulminacyjnym jego żałoby. Od tego momentu postanowił przestać się nad sobą użalać i wrócić do świata żywych.

– Ty się bawisz, a my mamy poważny problem – obwieścił z przekąsem komisarz. – Rycerze walczą tu z pociągami.

– Słyszałem – odpowiedział Rozłucki. – Weronika mówiła mi przez telefon. Pojawiło się od wczoraj coś nowego?

Cały dzisiejszy dzień spędził w pociągu. Rano był jeszcze w Tatrach, sześćset kilometrów od Olsztyna. Gdy Weronika zadzwoniła do niego wczoraj z prośbą o pomoc, czekał właśnie na rentgen na ostrym dyżurze. Rano spakował się więc i wsiadł do pociągu. Doszedł do wniosku, że nowe śledztwo to było dokładnie to, czego w tym momencie potrzebował.

Weronika przez ten cały czas nie podniosła nawet wzroku znad ekranu laptopa, który stał rozłożony z boku biurka komisarza. Nawet się z nim nie przywitała.

– Cześć, Weronika! – powiedział więc.

– Cześć – odpowiedziała. Tyle.

Zauważył, że trochę skróciła i przefarbowała włosy. Choć gdyby mu ktoś kazał powiedzieć, z jakiego na jakie, wolałby chyba wrócić w śnieg na Kasprowy.

– Tak, parę rzeczy mamy już ustalonych – odpowiedział komisarz. – Czy też raczej ustaliliśmy, że nic się nie da ustalić.

– Na przykład co?

– Na przykład wiemy już, skąd się wzięła zbroja, którą miał na sobie ten nieszczęśnik. Oraz to, że nie da się z niej zdjąć odcisków palców.

– Ściśle rzecz ujmując – włączyła się Weronika, nie podnosząc wciąż wzroku znad komputera – da się z niej zdjąć mnóstwo odcisków palców. Tak wiele, że przestaje to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Nie bardzo rozumiem.

– Zbroja pochodziła z zasobów teatru miejskiego w Olsztynie – odpowiedziała Weronika i po raz pierwszy na niego spojrzała. – Zrobiono ją parę lat temu do jakiegoś przedstawienia. Była wykonana z blachy, choć niezbyt grubej. Zazwyczaj robi się takie rzeczy z plastiku, ale tym razem w jednej ze scen aktora w niej grającego okładano mieczami, więc musiał to być metal, by zbroja się nie zniszczyła i by dźwięk był odpowiedni. Potem, gdy przedstawienie zdjęto z afisza, zbroję postawiono na stojaku za kulisami i od tego czasu pełniła funkcję czegoś w rodzaju maskotki. Aktorzy wychodzący na scenę dotykali jej na szczęście, zakładali ją przy okazji jakichś wewnętrznych imprez albo po prostu dla zgrywy. Były na niej napisy, rysunki wykonane szminką... Jednym słowem, lepiła się wręcz od śladów biologicznych. Nawet miała imię: Roger.

– Teraz dodatkowo jest w nie najlepszym stanie z wiadomego powodu – dodał komisarz Sądecki. – Przejechał po niej Intercity z Warszawy.

– Wiecie już, kto był w środku?

– Pracownik Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie. Z wydziału

odpowiadającego za sprawy kultury.

Rozłucki zastanowił się przez chwilę.

– Teatr, kultura... To raczej nie kojarzy z wielkimi emocjami prowadzącymi do zbrodni – zauważył. – Może ktoś chciał się na nim zemścić za zbyt małe dotacje?

– Teatr w Olsztynie ma status Narodowej Instytucji Kultury i jest finansowany bezpośrednio z budżetu centralnego – odpowiedziała Weronika. – Dobra lub zła wola jakiegoś lokalnego urzędnika nie ma na to wpływu, więc raczej nie o to chodzi. Ale jest pewna rzecz, która łączyła ofiarę z teatrem.

– Jaka?

– Wczoraj rozpoczął się w Olsztynie festiwal teatralny. Morderstwo nastąpiło w trakcie parady teatrów ulicznych, która go rozpoczynała. Festiwal organizowany jest wspólnie przez teatr i Urząd Wojewódzki. Ten człowiek, Grzegorz Kostecki, zajmował się tym ze strony urzędu.

– Może więc chodzi o jakieś przekręty, do których doszło przy tej okazji?

– Też o tym pomyśleliśmy – powiedział komisarz. – Ale na razie do niczego takiego nie dotarliśmy.

– A ten wasz profiler co o tym sądzi?

– Jest w trakcie sporządzania profilu.

– Ale na pewno coś mówił.

– Tak, że to wszystko jest bardzo symboliczne, a to może wskazywać, że motywem była zemsta.

– Też tak myślę.

– To co, pomożesz nam? – spytał komisarz. – Sprawa jest delikatna i dlatego też bardzo mi zależy na twojej pomocy.

– Znowu? – spytał Rozłucki. – Poprzednia sprawa też była delikatna.

– Ta jest chyba nawet jeszcze bardziej.

– A co w niej takiego delikatnego?

– W grę wchodzi polityka. – Komisarz Sądecki lekko ściszył głos. – W tym roku są wybory samorządowe, rozumiesz...

– Nie bardzo.

– Wojewoda bardzo się zaangażował w ten festiwal. To nie jest jego pierwsza edycja, ale pierwsza w nowej odsłonie, na bogato i z rozmachem. Zatrudnili nowego dyrektora teatru, żeby im pomógł to wszystko ogarnąć. To Tomasz Kaletnik, na pewno o nim słyszałeś.

– Ten reżyser?

– Ten sam. Sławny człowiek. Zna wszystkich. Ściągnął na festiwal naprawdę znane teatry. Z Polski i z zagranicy.

– Chodziłem na jego przedstawienia w Warszawie. Wtedy był uważany za jednego z najlepszych polskich reżyserów. Dostawał nagrody w Edynburgu i w Awinionie. Potem jakoś o nim ucichło.

– Nawet ci powiem dlaczego. Został dyrektorem jednego z teatrów w Warszawie, ale dość szybko zespół się przeciwko niemu zbuntował. Podobno niezbyt dobrze traktował aktorów. Sprawa otarła się niemal o prokuraturę. To była słynna historia, trąbili o tym w telewizji.

– Musiałem być wtedy zajęty swoimi sprawami.

Śmierć siostry, depresja, rozwód i chłanie – takie to były sprawy. Miał takie półtora roku w swoim życiu, z którego naprawdę niewiele pamiętał.

– No i teraz właśnie wrócił. Jako dyrektor naszego teatru. Plan jest taki, żeby zrobić z naszego starego festiwalu, który odbywa się w Olsztynie od ponad trzydziestu lat, imprezę na skalę ogólnopolską. Festiwal, który będzie się kojarzył z Olsztynem, jak Festiwal Filmowy z Gdynią albo Festiwal Piosenki Aktorskiej z Wrocławiem. Wszystko to oczywiście tuż przed wyborami. Rozumiesz więc, że naszym władzom bardzo na tym zależy. A tu na samym początku taki syf...

– Ale co cię to obchodzi? Policja państwowa jest instytucją niezależną od władz samorządowych.

– Ale już nie od władz wojewódzkich, a tym bardziej centralnych. A tak się składa, że w ratuszu rządzą inni ludzie, niż ci, którzy rządzą w Urzędzie Wojewódzkim i całej Polsce. I tym drugim bardzo zależy, żeby to zmienić przy okazji najbliższych wyborów. Do tego ma

między innymi służyć festiwal. Żeby pokazać wyborcom, kto tak naprawdę dba o miasto. Zafundować im igrzyska, krótko mówiąc. Rozumiesz więc, że chodzę po bardzo niepewnym gruncie. Wystarczy jeden nieuważny krok i... – Komisarz Sądecki wykonał dłonią wymowny gest imitujący podrzynanie gardła.

– Chyba jednak trochę przesadzasz – powiedziała Weronika.

– Tak? To możesz mi wyjaśnić, dlaczego poleciał prokurator okręgowy? Jakoś nie mam ochoty podzielić jego losu.

– OK. Ale co w takim razie z tego wynika? – spytał Rozłucki.

– Że trzeba prowadzić śledztwo dyskretnie. Nie psuć atmosfery teatralnego święta. Pilnować, żeby sprawa nie przedostała się do mediów. Zresztą media, przynajmniej te lokalne, też są spacyfikowane. Wszyscy wiedzą, że czasy się zmieniły i że nie warto się narażać. Olsztyn to małe miasto. Jak cię wywalą z jednej redakcji, to nie pójdziesz pracować do innej, bo jej po prostu nie ma.

– Nie wiem, czy mam ochotę w czymś takim uczestniczyć.

– Dlaczego? Z pewnego punktu widzenia to dla nas sytuacja komfortowa. Prowadzimy śledztwo jak zwykle, tyle tylko, że jeszcze bardziej po cichu niż zazwyczaj. Nie musimy się martwić dziennikarzami, a poparcie władz otwiera nam wszystkie drzwi. Życ nie umierać.

– No nie wiem...

– Ale przyznasz, że to bardzo ciekawa sprawa? Ktoś się mocno napracował, żeby urządzić to przedstawienie na wiadukcie. I to jeszcze w dniu rozpoczęcia festiwalu. Nie masz ochoty dowiedzieć się, o co tu chodzi?

Rozłucki poprawił się na krześle. Gdy jego skręcona kostka za długo była w jednej pozycji, zaczynała pulsować tęnym bólem.

– Mam – odpowiedział po chwili.

– Tak właśnie myślałem.

– Tylko jest pewien problem. – Rozłucki skrzywił się lekko.

– Jaki?

– Nie mam za co żyć. Musielibyście mnie przyjąć do pracy.

– A ta twoja przychodnia u czubków?

– Nie chcę tam wracać. Nie chcę mieć już nic wspólnego z zawodem psychologa. Nie nadaję się.

Komisarz Sądecki spojrzał na Weronikę.

– Dalibyśmy radę coś z tym zrobić?

Podniosła wzrok znad klawiatury.

– Posadę profilerę mamy już zajęta.

– Nie jestem profilerem – powiedział Rozłucki. – I raczej nie będę.

Spojrzała na niego.

– Nie możemy cię przyjąć do pracy w policji, bo nie jesteś policjantem, nie masz skończonej policyjnej szkoły. To już nie te czasy, gdy przyjmowano ludzi, a oni dopiero potem się doszkalali.

– Sorry, ale muszę coś jeść...

– Chyba, żebyśmy cię przyjęli do pracy jako cywilnego pracownika administracji...

– Cywilnego pracownika administracji?

– Kogoś w rodzaju sekretarki – wyjaśnił życzliwie komisarz.

– Oficjalnie oczywiście – dodała Weronika. – Nieoficjalnie pomagałbyś nam w śledztwie. Pogadam w kadrach. Powinno się udać. Z tym, że nie jest to za wysoka pensja.

– Nie mam dużych potrzeb – powiedział. – Poza tym ciągle jeszcze wynajmuję to mieszkanie w Warszawie.

– A ile płacisz za ten dom nad jeziorem?

– Niedługo już nic nie będę płacił. Wypowiedziałem umowę. Wynajmę sobie coś małego w Olsztynie. Nie mogę tam już mieszkać. Za dużo rzeczy wydarzyło się w tym miejscu.

– Jasne.

Wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Przez chwilę zapadło milczenie. Przerwał je dopiero wyraźny odgłos burczenia w brzuchu.

– Przepraszam – powiedział Rozłucki. – Nic dzisiaj nie jadłem. Nie zostały ci może jakieś kanapki od żony? – zwrócił się do Sądeckiego.

– Jego żona nie robi mu już kanapek – powiedziała Weronika. – Są w trakcie rozwodu.



– Wybacz, nie wiedziałem.

– Nie szkodzi – odparł komisarz. – Co robić? – Rozłożył ramiona. – Normalna sprawa w tym zawodzie. Wszyscy są albo przed, albo w trakcie, albo po rozwodzie.

– Ale nie wszyscy z powodu młodej dupy na boku – zauważyła Weronika. – A ona co, nie robi ci kanapek?

– Kanapek akurat nie robi. Za to robi parę innych rzeczy – odparł komisarz. – A tak w ogóle to chyba nie wasza sprawa, aspirantko.

– Ma pan rację, komisarzu, nie moja. I bardzo się z tego powodu cieszę.

Budynek teatru wznosił się na wzgórzu opadającym w kierunku Starego Miasta. Gdzieś tam z tyłu za nim było liceum, do którego chodziła Justyna Wasilewska. To właśnie ono stało się ongiś sceną dramatu, którego spóźnione o dwadzieścia lat konsekwencje ściągnęły go po raz pierwszy do Olsztyna. Ulica 1 Maja, przy której stał teraz Rozłucki, zjeżdżała dość stromo w stronę wysokiego neorenesansowego ratusza, a potem, przepływając przez niewielki placyk przed nim, skręcając w prawo i zmieniając po drodze nazwę, kierowała się w stronę gotyckiej bramy murów obronnych Starego Miasta i dalej w stronę zamku. Gdyby puścić tędy rzekę, byłaby to naprawdę rwąca rzeka, w sam raz dla amatorów różnych ekstremalnych sportów.

Sam teatr nie był duży, za to zaopatrzony w imponujące, podwójne, spływające na obie strony schody prowadzące do wejścia. Jego architektura – już dość nowoczesna, lecz niepozbawiona odniesień do klasycystycznych form – wskazywała, że zbudowany być musiał w czasach dwudziestolecia międzywojennego, jeszcze przez dawnych, niemieckich włodarzy tego miasta.

Stali przed nim we dwóch – on i komisarz Sądecki – u stóp schodów, na znajdującym się obok nich przystanku autobusowym i patrzyli w górę na po niemiecku toporną bryłę teatru. Komisarz palił papierosa. W ogóle, jak zauważył Rozłucki, dużo teraz palił – zatrzymali się tu w zasadzie tylko po to.

– Poczęstujesz mnie też? – spytał.

– Ty palisz? – zdziwił się komisarz.

– Postanowiłem rzucić picie, a przecież trzeba mieć w życiu jakiś nałóg – odparł Rozłucki.

– Mogę ci któryś odstąpić. Ja mam ich aż za dużo – odpowiedział Sądecki i wyciągnął w jego stronę paczkę lucky strików.

Rozłucki wyjął jednego papierosa, a potem nachylił twarz nad płomieniem trzymanej przez komisarza zapalniczki. Zaciągnął się głęboko, poczekał, aż nikotynowy młot uderzy w jego nieprzyzwyczajony do tego organizm, a potem wypuścił powoli dym.

– Jak to jest mieszkać w mieście, gdzie jest tylko jeden teatr? – spytał.

Komisarz wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Całe życie mieszkałem w takim mieście. Skąd mam wiedzieć, na czym polega różnica?

– Chodzi mi o to, że taki teatr musi być tu czymś szczególnym, czymś o wiele ważniejszym niż w Warszawie, gdzie jest ich dwadzieścia.

– Pewnie tak. Tu masz w zasadzie tylko dwa takie miejsca: teatr i filharmonię. Możesz pójść albo tu, albo tu.

– Dyrektor teatru w takim mieście to musi być ktoś.

– Niewątpliwie. Jedna z kilku najważniejszych osób.

– Często tu bywasz? – spytał, wskazując głową wznoszący się nad nimi budynek.

– Nie za bardzo – odparł komisarz. – Ale parę razy byłem. Żona mnie wyciągnęła.

– Czytałem gdzieś o tym. To głównie kobiety chodzą do teatrów i to głównie kobiety czytają książki. Kolejny dowód na to, że są od nas mądrzejsze.

– Ale nie umieją sikać na stojąco, więc to się jakoś wyrównuje.

Zgasili papierosy w koszu stojącym przy przystanku i ruszyli w górę schodów. Rozłucki wciąż trochę kuśtykał, co dało komisarzowi okazję do kilku nieśmiesznych żartów oraz do nazwania go kuternogą. Weszli przez duże, podwójne drzwi, minęli przedsionek z kasą po lewej stronie i weszli do foyer.

Szczerze powiedziawszy, nie prezentowało się ono zbyt okazale. Było jakby odrobinę zbyt niskie i odrobinę zbyt małe. Wrażenie to potęgowały trzy kwadratowe kolumny przegradzające je dokładnie na samym środku i podjazd dla wózków inwalidzkich z metalową poręczą po prawej stronie. Na ścianach wisiały oprawione plakaty dawnych spektakli, a na końcu pod ścianą, za którą była już zapewne sala teatralna, na podwyższeniu, oddzielonym od głównej części trzema długimi, biegnącymi przez całą długość foyer schodkami, stało brązowe popiersie na marmurowym postumencie.

Po tych to właśnie schodkach zeszła ku nim już po chwili dwudziestokilkuletnia kobieta ubrana w czarną garsonkę i białą koszulę, z włosami spiętymi z tyłu głowy w kok.

– Dzień dobry – powiedziała, podając im dłoń. – Kaja Wosewicz. Proszę za mną, zaprowadzę panów do pana dyrektora.

Ruszyli za nią. Weszli na schodki, minęli popiersie, schody biegnące zapewne na balkon i skręcili w korytarz po prawej stronie. Troje dużych, podwójnych, drewnianych drzwi po jego jednej stronie świadczyło, że za nimi rzeczywiście znajduje się sala teatralna. Doszli do innych, mniejszych i pojedynczych drzwi na końcu korytarza.

– Gabinet dyrektora jest co prawda na tyłach teatru – powiedziała, odwracając się do nich kobieta – ale doszłam do wniosku, że prościej nam będzie umówić się przy głównym wejściu.

Ruszyli wąskim, białym korytarzem, po którego prawej stronie były okna, a po lewej wejścia do kolejnych pomieszczeń, przeplatane co jakiś czas białymi, oszklonymi gablotami, wypełnionymi najprzeróżniejszymi ogłoszeniami. Po chwili znaleźli się przed dużymi, brązowymi drzwiami. Kobieta zapukała, po czym nie czekając na odpowiedź, nacisnęła klamkę. Weszli.

Gabinet dyrektora wyglądał tak, jak należałoby się tego spodziewać. Na ścianach plakaty teatralne i parę dyplomów, na półkach statuetki i mnóstwo książek. Sam dyrektor, który podniósł się z za swojego biurka na ich widok, był człowiekiem mniej więcej

sześćdziesięcioletnim, dość wysokim i o sporej tuszy. Jego głowa, nasadzona bezpośrednio na ramiona bez pośrednictwa szyi, sprawiała z początku wrażenie całkiem łysej, choć gdy się bliżej przyjrzeć, okolona była z tyłu wianuszkami bardzo krótko przystrzyżonych siwych włosów, a z przodu przyozdobiona równie krótkim i siwym zarostem.

– Dzień dobry panom. – Dyrektor wyciągnął w ich stronę rękę. Mimo sporych rozmiarów, wydawał się człowiekiem dość sprawnym fizycznie, za to jego głos był zdecydowanie zbyt cichy i zbyt wysoki, jak na kogoś o tak imponujących gabarytach.

Przywitali się i usiedli na dwóch przygotowanych już krzesłach.

– Może kawy, herbaty? – spytał.

– Dziękujemy – odpowiedział za nich obu Sądecki.

– Ja chętnie kawy – powiedział Rozłucki. Ponieważ jego sytuacja etatowo-finansowa wciąż była nieuregulowana, postanowił skorzystać z okazji, gdy mógł dostać coś za darmo.

– Pani Kaju – dyrektor zwrócił się do stojącej wciąż za nimi kobiety – czy byłaby pani tak łaskawa?

Kobieta wyszła.

– Co panów do mnie sprowadza? – spytał. – Wydaje mi się, że w czasie naszej ostatniej rozmowy – zwrócił się do policjanta – powiedziałem panu wszystko, co wiem.

– Tak, oczywiście – odpowiedział komisarz. – I bardzo jesteśmy za to wdzięczni. – Sądecki sprawiał wrażenie, jakby mówiąc to, nisko się kłaniał. Gdyby mógł, na pewno zdjąłby w tej chwili czapkę. – Niestety, mamy pewien problem. Wszystkie szeroko zakrojone czynności operacyjne, które w tej sprawie podjęliśmy, nie przyniosły, szczerze mówiąc, spodziewanych rezultatów.

– Jesteście w dupie? – spytał Tomasz Kaletnik. Było to dość zaskakujące w ustach kogoś takiego.

– Tak, można tak to określić. – Komisarz Sądecki wyglądał teraz na jeszcze bardziej onieśmiałego. – Zarówno rozmowy z pana pracownikami, jak i działania podejmowane przez naszych

techników kryminalistycznych nie dały nam żadnego punktu zaczepienia.

– I co w związku z tym?

– No cóż, panie dyrektorze... – Komisarz zrobił minę niczym szakal próbujący przekonać lwa, by się trochę posunął. – Wydaje mi się jednak... wszystko na to wskazuje... zarówno użycie teatralnego rekwizytu, jak i spektakularna oprawa morderstwa, że już nie wspomnę o związkach pana Kosteckiego z festiwalem, że zbrodnia ta miało mimo wszystko związek z pana teatrem...

– Też tak myślę – przerwał mu Kaletnik. – Co pan więc proponuje?

– Pomyślałem sobie, że moglibyśmy w tej sytuacji spróbować zadziałać troszkę niekonwencjonalnie.

– Czyli jak?

– Pan Zygmunt Rozłucki – komisarz wskazał na swojego towarzysza – jest psychologiem i jednocześnie pracownikiem policji.

– Nie była to jeszcze prawda, ale Rozłucki miał nadzieję, że wkrótce będzie. – Pomyślałem sobie, że mógłby spróbować przyjrzeć się pracy pana teatru niejako od wewnątrz.

– Od wewnątrz? Co to ma niby znaczyć? – Dyrektor zwrócił się tym razem do Rozłuckiego.

– Nie na zasadzie policjanta przesłuchującego świadków i podejrzanych, lecz jako ktoś, kto chodzi i przypatruje się wszystkiemu od środka; próbuje wychwycić wewnętrzne napięcia i konflikty – spróbował wytłumaczyć Rozłucki. – W antropologii taka metoda nazywa się obserwacją uczestniczącą...

– W antropologii? Chce pan nas tu badać jak dzikie plemię?!

– Raczej jak plemię nieznanne – odparł Rozłucki. – Środowisko teatralne jest dość hermetyczne. My, zwykli ludzie, niewiele wiemy o jego funkcjonowaniu. Może patrząc od środka, uda mi się zobaczyć coś, czego nigdy nie zdołalibyśmy dostrzec z zewnątrz?

– Nie wydaje mi się, że to dobry pomysł – powiedział dyrektor. – Nie lubię, gdy ktoś obcy kręci mi się po teatrze. Dla nas teatr to drugi dom, w pewnym sensie nawet ważniejszy od tego pierwszego. To tak,

jakbym miał wpuścić pana do sypialni i pozwolił obserwować, co tam robię.

– Panie dyrektorze – głos komisarza Sądeckiego stał się w zauważalny sposób mniej przymilny – nie muszę chyba panu tłumaczyć, w jak delikatnej sytuacji jesteśmy. Rozpoczął się festiwal, z którym wszyscy, także, jak wiem, pan, łączymy wielkie nadzieje. I już na samym jego początku popełniono dość spektakularne morderstwo. Wiele wysiłku włożyliśmy, by fakt ten nie przedostał się do opinii publicznej, zarówno lokalnej, jak i ogólnopolskiej. Zdaje pan sobie sprawę, że gdyby tak się stało, mogłoby to narazić na szwank cele zarówno pańskie, jak i wielu innych osób. Musimy działać dyskretnie, ale i musimy też działać stanowczo. Nie możemy sobie pozwolić na zaniechanie, nawet wynikające z najszlachetniejszych pobudek. Pożar nie został jeszcze ugaszony, na razie udało nam się tylko ukryć dym. Nie pozwólmy, by strawił całą konstrukcję.

Rozłucki spojrział z podziwem na swojego towarzysza. Nigdy by nie przypuszczał, że potrafi on wypowiadać się w taki sposób. Komisarz Sądecki skrywał, jak widać, jeszcze wiele talentów.

– I co, uważa pan, że znajdziemy mordercę, bo ten pan – dyrektor wskazał palcem na Rozłuckiego – będzie mi się szwendał po teatrze?

– Nie – spokojnie odparł komisarz. – My będziemy robić swoją robotę, a pan Rozłucki swoją. W dalszym ciągu będziemy prowadzić czynności dochodzeniowo-śledcze. Będziemy zbierać i badać dowody, przesłuchiwać świadków, wykonywać całą normalną pracę operacyjną. A pan Rozłucki będzie się szwendał po teatrze. Idziemy przez las i walimy kijami w drzewa. A pan Rozłucki siedzi w krzakach, czekając, co wyjdzie.

Dyrektor sapnął. Widać było, że nie podobało mu się to, co usłyszał.

– Nie muszę chyba dodawać – powiedział komisarz – że przychodzę tu nie tylko w swoim imieniu. Wszystkim – to słowo zostało wyraźnie podkreślone – bardzo zależy, by żaden więcej podobnie przykry

incydent nie zakłócił atmosfery naszego teatralnego święta.



Stara winda pachniała psim moczem. Na jej popisanych flamastrami ścianach oprócz paru wykonanych przez domorosłych grafficiarzy niezrozumiałych napisów widniało kilka częściowo zdartych naklejek z nazwami zespołów, których muzyki nigdy zapewne nie będzie miał szansy wysłuchać. Zamknął najpierw ciężkie metalowe zewnętrzne drzwi, a potem podwójne drewniane wewnętrzne. Wcisnął przycisk z numerem dziewięć. Wyglądał na nadpalony, jakby ktoś zgasił na nim papierosa. Windą lekko szarpnęło i ruszyła w górę.

Wszystko tu było przygnębiające. Wielki, dziesięciopiętrowy blok wydawał się najgorszym miejscem do mieszkania, jakie kiedykolwiek wymyślono. A już na pewno najbrzydszym. To się co prawda powoli zmieniało. Z zewnątrz, odremontowany i odmalowany w pastelowe barwy, prezentował się już całkiem znośnie; wewnątrz niestety wciąż epatował przybrudzoną szarością i charakterystyczną wonią, pamiętającą zapewne jeszcze lata siedemdziesiąte.

Winda stanęła na dziewiątym. Otworzył jedne, potem drugie drzwi i wyszedł na korytarz. Wyglądał na brudny, chociaż wcale taki nie był. Po czterdziestu czy może nawet pięćdziesięciu latach od wybudowania zarówno betonowa posadzka, jak i pokryte siłą lamperią do połowy swej wysokości ściany przybrały już po prostu na stałe taki odcień.

Minął kilka par nowych, antywłamaniowych drzwi i dotarł pod swoje nowe mieszkanie. Te drzwi z kolei nie były na pewno nigdy wymieniane. Włożył klucz do zamka, który jednoznacznie obwieszczał wszystkim złodziejom, że nie może on chronić nic

w jakikolwiek sposób cennego, i przekręcił. Drzwi otworzyły się, ukazując wnętrze jego nowego miejsca do życia. W nozdrza uderzył go specyficzny zapach. Trudno go byłoby nazwać smrodem, nie był nawet w jakiś szczególny sposób nieprzyjemny, był po prostu smutny. Zapach zużytych, niepotrzebnych, pozbawionych znaczenia rzeczy.

Wszedł do środka. Jego dobytek stał na środku większego z pokoi w kilku nierozpakowanych jeszcze kartonach. Drugi pokój w zasadzie ledwo zasługiwał na to miano. Mieściła się w nim tylko wersalka, która po rozłożeniu zajmowała prawie całe dostępne miejsce.

Była jeszcze ślepa, ciemna kuchnia, mała łazienka z żeliwną, obtłuczoną wanną i przedpokój wypełniony w całości starą szafą z pilśniowej płyty. Z mebli, nie licząc szafek w kuchni, miał do dyspozycji jeszcze stary fotel z niemożliwie wytartą tapicerką, kwadratowy stolik i dwa krzesła. Tyle. Dywanów żadnych tu nie było, ale to chyba nawet i lepiej. Można sobie wyobrazić, jakimi siedliskami kurzu i roztoczy by były.

Podszedł do okna, otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na zewnątrz. Balkon miał mniej więcej metr na metr szerokości i służyć mógł w zasadzie tylko po to, żeby było gdzie wyjść na papierosa. Ale widok był z niego wspaniały.

Spojrzał przed siebie. Rozpościerało się pod nim całe miasto. Widział w oddali zamek i wieżę katedry, jeszcze dalej połyskującą tafłę jakiegoś jeziora i otaczające Olsztyn ze wszystkich stron lasy. Wydało mu się nawet, że widzi jasną kropkę teatru, ale nie był tego pewien. „Trzeba by kupić lornetkę”, pomyślał. „Albo jeszcze lepiej teleskop”. Tak, czyli wiedział już, na co wyda swoją pierwszą policyjną pensję.

Spojrzał w dół. Małe ludziki i małe samochody. Pomyślał, że wygląda to jak symbol jego alienacji. „Mieszkam w wysokiej wieży otoczonej fosą”, przypomniał sobie tekst piosenki, której słuchał, będąc jeszcze w liceum. Idealnie pasował.

Poczuł nagle bardzo silną ochotę, by zjechać windą na dół, pójść do najbliższego sklepu, kupić butelkę jakiegokolwiek whisky, wrócić tu, wystawić krzesło na balkon i zacząć pić. Byłoby to romantyczne i w jakiś sposób straceńcze. Mógłby przypomnieć sobie Karolinę i po raz kolejny poużalać się nad swoim losem. Bardzo kuszący pomysł. Mógłby wymyślić sto argumentów, dlaczego nic by się nie stało, gdyby tak zrobił. Wiedział jednak, że nie może. I nie chodziło nawet o to, że tych kilkaset złotych, które pożyczył od komisarza Sądeckiego a conto przyszłej wypłaty, ledwie starczy mu na utrzymanie, bardziej o to, że postanowił już nie pić. Ani whisky, ani niczego. Było to do zrobienia. Musiał sobie tylko szybko znaleźć jakiś nowy nałóg.

Na razie jednak musiał się po prostu czymś zająć. A najlepiej wyjść i wrócić tu dopiero wtedy, gdy będzie na tyle zmęczony, by nie myśleć o niczym innym, jak o pójściu spać. Postanowił, że pójdzie do teatru. W sumie nie było powodu, by odkładać to do jutra. Pójdzie tam i pokręci się w pobliżu. Nie musi nawet wchodzić do środka. Będzie to jego pierwsze rozpoznanie terenu.

Nie miał daleko. Stąd do teatru było nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia minut drogi na piechotę. To był trzeci, po cenie i widoku z okna, argument, by wynająć właśnie to mieszkanie. Dla kogoś, kto nie ma samochodu, ma za to dużo wolnego czasu, bardzo istotny. Zamknął drzwi balkonowe i wyszedł z mieszkania. Zjechał windą na dół. Było ładnie, słonecznie, choć odrobinę chłodno. Idealne warunki na spacer.

Ruszył w prawo wzdłuż ulicy. Noga wciąż go bolała, lecz usztywniona mocno w kostce bandażem, w zasadzie wróciła już do swojej dawnej sprawności. Ból był wyraźny, ale już pomijalny. Dawało się o nim w każdym razie zapomnieć i żyć, jakby nie istniał. Dokładnie tak samo było ze wspomnieniami o Karolinie.

Dość szybko pojął, że jego blok musiał zostać pobudowany tuż za przedwojenną granicą miasta. Stał wśród brzydkich wielopiętrowych budynków, ale już parędziesiąt metrów dalej pojawiły się pierwsze

dwupiętrowe domy ze spadzistym, krytym czerwoną dachówką dachem.

Ulica zjeżdżała w dół. W ogóle, jak zauważył, w tym mieście nie dało się zbyt długo iść po płaskim. Zbudowane było na dziesiątkach mniejszych lub większych wzgórz i pagórków i każda droga, którą się szło lub jechało, opadała lub wznosiła się raz za razem.

Doszedł do linii pierwszych, kilkupiętrowych kamienic. Większość z nich zbudowana była w stylu północnej secesji, choć zdarzały się również przedstawicielki germańskiego neogotyku. Aż przystanął zdumiony mnogością architektonicznych detali. Wszystkich tych balkonów, balkoników, wykuszy, werand i wieżyczek. Kiedyś musiało to być całkiem bogate miasto. Przynajmniej do czasu, gdy jego mieszkańcy nie postanowili zwariować, jak cała reszta Wielkich Niemiec, i ściągnęli na siebie nieszczęście wojny i masowych wypędzeń.

Ruszył dalej. Minał wielki, neogotycki kościół z wysoką, strzelistą wieżą; minął ponury budynek z czerwonej cegły, w którym, jak się okazało, mieściło się liceum; przeciął dość ładną ulicę zabudowaną na przemian przedwojennymi kamieniczkami i polskimi, powojennymi wstawkami; przeszedł przez plac, na którego środku wznosiła się brzydka, biała kolumna z polskim orłem na szczycie, mająca, jak przeczytał ma umieszczonej pod spodem tablicy, podkreślać, że nawet przed wojną w mieście silny był polski ruch narodowy, aż wreszcie wyszedł na ulicę 1 Maja prawie dokładnie naprzeciwko teatru.

Także i tu, na małym skwerku przy ulicy, stało popiersie, na granitowym tym razem cokole, prawie identyczne z tym, które widział w foyer teatru. Podszedł z ciekawością i przeczytał napis wykuty w kamieniu: „Stefan Jaracz, wielki polski aktor”. Spojrzał na odlaną w brązie głowę. Łysy mężczyzna z dość wydatnym nosem spoglądał z napięciem na fasadę wznoszącego się po drugiej stronie ulicy teatru. Jego twarz, nawet zastygła w metalu, zdawała się wyrażać kłębiące się we wnętrzu emocje. Nie było wątpliwości, że

człowiek ten mógł być wielkim aktorem.

Odwrócił się, poszukał wzrokiem przejścia dla pieszych i poszedł w jego stronę. Przeszedł przez ulicę i ruszył w kierunku teatru. Po jego prawej stronie, już za podwójnymi schodami prowadzącymi do wejścia, znajdowały się inne wąskie schodki wiodące na wzgórze, na którym wznosił się teatr, lecz prowadzące nie do niego, a do nowego apartamentowca zbudowanego obok. Postanowił wejść nimi i obejść gmach teatralny naokoło. Zobaczyć, jak wygląda też od drugiej strony. Ruszył w górę.

Schody prowadziły do chodnika ciągnącego się wzdłuż ogrodzenia teatru. Po jego prawej stronie, między chodnikiem a nowym, wyglądającym na najwyżej kilkuletni, budynkiem ze szkła i stali, był niewielki, zielony, ocieniony starymi drzewami skwerek. Oprócz małego placu zabaw dla dzieci stała tam również ławeczka. Jedna jedyna, za to zwrócona w stronę budynku teatru.

Usiadł na niej, by chwilę odpocząć. Zrobiło się dość ciepło, choć może to on był po prostu rozgrzany marszem. Idąc tu, zaszedł po drodze do sklepu z szyldem „Trafika” i kupił tam małe cygare w szklanej tubce. Właściciel przekonywał go, że pochodziło z Dominikany, i choć było wytwarzane maszynowo, nie ręcznie, jak naprawdę dobre cygara, prezentowało sobą całkiem przyzwoity poziom, a już zwłaszcza biorąc pod uwagę jego niezbyt wysoką cenę.

Wyciągnął je teraz z kieszeni, wyjął z tubki i powąchał. Pachniało całkiem przyjemnie, musiał to przyznać. Sprzedawca – najwyraźniej prawdziwy *cigar aficionado* – poinstruował go dokładnie, co należy zrobić. Odgryzł więc delikatnie zębami końcówkę (powinno się ją odciąć specjalną gilotynką, lecz oczywiście nie miał takiej), po czym z pomocą zapalniczki opalił dokładnie drugi szerszy koniec i dopiero wtedy włożył do ust i podpalił.

Wciągnął dym, uważając, by nie zaciągnąć się i nie dopuścić, by dostał się on do płuc. Potrzymał go trochę w ustach i wypuścił. Trudno powiedzieć, czy było to przyjemne, czy nieprzyjemne. Na pewno smakowało znacznie lepiej niż zwykły papieros. Powtórzył

całą sekwencję. Dym pachniał bardzo ładnie. Coś w tym było, choć jego zdaniem, chodziło bardziej o sam rytuał niż o zwykłą zmysłową przyjemność.

Spojrzał na budynek teatru. Z tej strony był jeszcze bardziej przysadzisty niż od fasady. Długie szeregi jednakowych okien ciągnęły się wzdłuż całego gmachu. Skrywało się za nimi to, czego żaden zwykły widz nie miał nigdy szans poznać, a co on, miał nadzieję, wkrótce zobaczy: garderoby aktorów, pracownie rekwizytów, magazyny kostiumów i dekoracji, maszynownie i pomieszczenia obsługi technicznej. Ciekawiło go to, a nawet w pewien sposób ekscytowało. Tajemniczy świat teatru, pełen emocji, wzniosłych myśli i zupełnie niewzniosłych intryg – tak przynajmniej wyobrażała go sobie większość ludzi – czekał tam na niego. Już wkrótce przekona się, jak wygląda naprawdę.

Z cygara została nie więcej niż połowa i, szczerze powiedziawszy, zaczynało go ono już powoli męczyć. Rozglądał się właśnie w poszukiwaniu śmietnika, w którym mógłby je zgasić, gdy nagle dostrzegł, że z budynku teatru, z tylnego wyjścia od strony parkingu, ktoś wychodzi. Dwie kobiety, raczej młode, szły, śmiejąc się i rozmawiając, w kierunku furtki w teatralnym ogrodzeniu.

Obie były ładne, szczupłe i obie przekroczyły na pewno trzydzieści lat. Wyszły przez furtkę i skręciły na chodnik prowadzący wzdłuż ogrodzenia. Zmierzały teraz w jego kierunku. Zaczął przyglądać im się z ciekawością. Różniły się od siebie, lecz w pewnym sensie były też do siebie podobne. Pierwsza miała kasztanowe, proste włosy i łagodne rysy twarzy. Druga była ciemną blondynką z dużymi, żywymi oczami, wyrazistymi rysami twarzy i nieco jakby męską sylwetką. Pierwsza była obiektywnie rzecz biorąc ładniejsza, lecz patrzyło się raczej na tę drugą.

Kobiety, ciągle śmiejąc się i rozmawiając, zbliżały się coraz bardziej do niego. Obie, nie kryjąc się z tym specjalnie, niosły w rękach butelki piwa. W miarę jak podchodziły, zaczynał czuć się coraz bardziej niepewnie. Ich uroda, pewność siebie i żywiołowość były onieśmielające. Musiały być aktorkami, pomyślał tak od razu.

Gdy podeszły już naprawdę blisko, podniósł do ust cygaro. Zasłonił się nim jak tarczą, jednocześnie usprawiedliwiając w ten sposób swoje tu siedzenie. Wciągnął dym, a potem go wypuścił, chowając się za nim niczym za zasłoną dymną.

Nie za bardzo to się sprawdziło. Kobiety, zamiast przejść obok, jak

miął nadzieję, przystanął.

– Możemy się przysiąc? – spytała blondynka z wyrazistymi rysami twarzy. – To jedyna ławka, poza tym zawsze na niej siadamy.

– Oczywiście – odpowiedział i przesunął się na sam jej skraj.

Kobiety usiadły, a on wpił się jeszcze mocniej w swoje cygaro. Poczł coś na kształt paniki. Miał ochotę uciec, lecz wiedział, że gdyby zrobił to w tym momencie, wyglądałoby to właśnie na to – na ucieczkę. Postanowił więc jeszcze chwilę zaczekać.

– Cholera, nie wzięłam otwieracza – powiedziała blondynka. – Przepraszam, mógłby nam pan to otworzyć? – zwróciła się do Rozłuckiego, wyciągając w jego stronę butelkę z piwem.

Kiwnął głową, włożył cygaro do ust i gestem poprosił o drugą butelkę. Otworzył jedną o drugą, podał otwartą butelkę blondynce, drugą zaś otworzył zapalniczką. Pewnych spraw się nie zapomina. Była to jedna z najbardziej pożytecznych rzeczy, jakich nauczył się na studiach.

– Agnieszka. – Blondynka wyciągnęła w jego stronę dłoń.

– Zygmunt. – Uścisnął jej rękę. Była sucha i przyjemnie chłodna.

– Krycha – przedstawiła się krótko druga z kobiet.

– Chcesz trochę? – spytała blondynka, wyciągając w jego stronę butelkę.

– Nie, dziękuję – odparł. – Jestem w trakcie zamiany jednego nałogu na drugi. – Pokazał jej cygaro.

– O, to ciekawe, dlaczego tak?

– Bo to znacznie prostsze. Nałóg jest jak plomba, którą próbuje się zatkać dziurę w głowie. Można wyjąć tę plombę i poczekać, aż dziura zarośnie, albo włożyć w to miejsce inną plombę. To pierwsze jest trudniejsze i bardzo długo trwa.

– Lubisz chodzić na skróty? – spytała żartobliwym tonem.

– Dawno już przestałem widzieć powody, dla których miałbym tego nie robić.

Podniosła butelkę do ust.

– Dobrze to chociaż? Nigdy nie paliłam cygara.



– Ja w sumie też. To moje pierwsze.  
– No proszę. Pierwsze cygaro i od razu poderwałeś na nie dwie laski  
– zaśmiała się.

– Nie na cygaro, tylko na ławeczkę – odpowiedział.

– Też fakt. Nie ma to, jak wiedzieć, gdzie usiąść.

Dopiero teraz odważył się spojrzeć na nią z bliska. Miała wyraźnie zarysowane, pomalowane na czerwono usta, pociągłą twarz i dość duży, ale harmonijnie dopasowany do reszty nos. Duże, zielone oczy patrzyły na niego z ciekawością, ale i z sympatią. I dziwna sprawa, mimo że było w niej coś męskiego, była jednocześnie bardzo kobieca.

Uśmiechnęła się do niego i ponownie podniosła butelkę do ust.

– Jesteście aktorkami? – odważył się spytać.

– Niedobrze. – Pokręciła głową z żartobliwą naganą. – To znaczy, że nie chodzisz do teatru.

– Dopiero się przeprowadziłem – odparł. – Jeszcze nie miałem okazji.

– A skąd jesteś?

– Z Warszawy.

– A tam chodziłeś?

– Kiedyś tak, ostatnio nie.

– Ja, gdybym mieszkała w Warszawie, chodziłabym do teatru co tydzień.

– Obiecuję, że teraz to nadrobię. Gracie coś ciekawego?

– Nie bardzo. – Wzruszyła ramionami. – To mały teatr na prowincji. Klasyka, lektury szkolne, farsy. Repertuar dopasowany do widza. Niesiemy kaganek oświaty. Spełniamy ważną funkcję społeczną. Szlachetne to, ale nudne.

– A teraz na przykład co?

– Szekspir. *Wiele hałasu o nic*. Poprawne. W pewnym sensie nawet niezłe.

– Nigdy mnie lubiłem komedii Szekspira.

– Ja też. Nie wiem, po co się je w ogóle wystawia. Ale ludzie przychodzą.

I to w zasadzie byłoby tyle, jeśli chodzi o rozmowę dwójki dopiero co poznanych nieznajomych. O co jeszcze mógłby ją spytać, o ulubiony kolor? Cygaro powoli dopalało się do końca. Mógłby teraz wstać, pożegnać się i pójść, tak jak to wcześniej planował. Z jakiegoś jednak powodu już wcale tego nie pragnął.

– Będę was teraz dość często odwiedzał – powiedział, wskazując cygarem budynek teatru.

– Świetnie. Zapraszamy.

– Nie chodzi mi o przedstawienia. O to oczywiście też, ale bardziej o to, że będę u was bywał w teatrze.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Jesteś rewizorem?

– Słucham?

Zaśmiała się.

– Jak z Gogola. Przyjechałeś na kontrolę z ministerstwa?

– Nie.

– Urząd skarbowy?

– Nie, to tym bardziej nie.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie powinien jej wyjawiać prawdziwego celu swoich przyszłych bytności w teatrze. Nie mógł bowiem wykluczyć, że któraś z nich była w jakiś sposób zamieszana w sprawę, którą się zajmował. Albo że przez przypadek powie o tym komuś, kto jest. Musiał więc szybko wymyślić jakiś wiarygodny pretekst. Znowu wpadł w panikę.

– Jestem psychologiem – powiedział. – Zbieram materiały do habilitacji. – To było pierwsze, na co wpadł.

– U nas? – zdziwiła się.

– Chodzi o psychologię widowiska – brnął dalej. – I o interakcje między widzami a aktorami i między samymi aktorami wewnątrz zespołu. W największym skrócie oczywiście. To w zasadzie praca na pograniczu psychologii i antropologii.

– Brzmi ciekawie. I co będziesz robił?

– Będę się przyglądał. Rozmawiał. Może dam wam do wypełnienia

jakieś kwestionariusze.

– Łysy ci pozwolił?

– Kto?

– Łysy. Dyrektor.

– Tak. Rozmawiałem z nim wczoraj.

– I zgodził się? To do niego niepodobne.

– Jestem znajomym jego znajomego. Nie mógł odmówić. – Tu przynajmniej powiedział prawdę.

– No proszę. – Wypiła znowu łyk piwa. – A nie prościej ci było gdzieś w Warszawie? – spytała nagle. – Tam jest przecież od groma teatrów.

Fakt. Cholera. Kłamanie jest znacznie trudniejsze, niż się wydaje. Zwłaszcza dla kogoś, kto nie ma doświadczenia. Wiedział przecież o tym, lecz po raz pierwszy miał okazję doświadczyć tego w praktyce.

– Chodziło mi o wyizolowaną społeczność – powiedział. – Macie tu jeden teatr i jeden zespół, w dodatku dość niewielki. To metodologicznie o wiele bardziej klarowna sytuacja.

– No tak. – Pokiwała głową. – Czyli przynajmniej choć w jednej rzeczy jesteśmy lepsi od kolegów z Warszawy – zauważyła z ironią. Dopija piwo do końca. – Musimy już lecieć – powiedziała. – Czeka nas próba wznowieniowa – jedna z nudniejszych rzeczy na świecie.

– Jaka?

– Wznowieniowa. Gdy jest dłuższa przerwa w graniu jakiegoś przedstawienia, trzeba zrobić próbę, by sobie wszystko przypomnieć – wyjaśniła. – Miło się rozmawiało. – Podała mu rękę na pożegnanie.

– Mnie również – powiedział i uścisnął jej dłoń.

Wstała. Jej koleżanka wstała również. Przez całą ich rozmowę nie odezwała się ani słowem.

– To do zobaczenia – powiedziała. – Pierwszą rozmowę masz już za sobą. I jak, powiedziałam coś, co przyda się do tej twojej habilitacji?

– Próba wznowieniowa – odparł. – Zapiszę sobie.

Uśmiechnęła się.

– Na razie. – Odwróciła się i poszła w stronę teatru.

– Cześć! – rzuciła jej koleżanka i ruszyła w ślad za nią. I było to drugie słowo, które powiedziała.

Jeszcze przez jakiś czas patrzył za nimi. Widział, jak wrzucają puste butelki do śmietnika przy chodniku; widział, jak przechodzą przez furtkę i jak idą przez parking w stronę tylnego wejścia do teatru. Mógł teraz dobrze ocenić ich figury. A w zasadzie – jej figurę, bo znowu złapał się na tym, że patrzy tylko na jedną z nich.

Było w niej coś niezwykłego. Skupiała na sobie uwagę, zakrzywiała wokół siebie przestrzeń. Przez tę krótką chwilę, gdy z nim rozmawiała, jego życie – średnio ostatnio ciekawe i średnio istotne – nabrało nagle wagi i intensywności. Jeśli taka sama jest na scenie, musi być fascynującą aktorką.

Ogryzek cygara w jego palcach zgasł. Przytknął go do ust, lecz nie udało się z niego wydobyć już ani odrobiny więcej dymu. Dopiero w tym momencie zrozumiał, że nie spytał jej o najważniejsze – o morderstwo na wiadukcie. Nie zrobił tego, bo był zbyt oczarowany i zbyt zaskoczony tym tak nieoczekiwanym spotkaniem. Ale to może i nawet lepiej. Nie powinien chyba tak od razu przechodzić do sedna. Któraś z nich mogłaby się domyślić, że chodzi mu właśnie i przede wszystkim o to.

Wstał i podszedł do śmietnika. Na dnie metalowego, okrągłego kosza leżały dwie puste butelki po piwie. Wiedział, która była jej. Gdy rozmawiali, zwrócił uwagę na etykietę. Jasne, miodowe piwo z jednego z niezależnych browarów. Poczował nagle irracjonalną, lecz bardzo silną chęć, by zabrać ją sobie na pamiątkę. Zwalczył tę dziwną pokusę i wrzucił do kosza niedopalone cygaro. Upadło tuż przy tamtej butelce. Nie chciał tak myśleć, wiedział, że to głupie, lecz mimo wszystko pomyślał: „to dobry znak”.

Odwrócił się i ruszył w stronę głównego wejścia do teatru. Pójdzie teraz do kasy i sprawdzi, kiedy grają *Wiele hałasu o nic*. Nabrał nagle niezwykłej ochoty, by obejrzeć to przedstawienie.

Miał szczęście, bo spektakl grano jeszcze tego samego dnia wieczorem. Trwał festiwal i codziennie wystawiano jakieś przedstawienie. Czasami nawet dwa albo trzy, bo oprócz głównej sceny sztuki prezentowane były również na scenie kameralnej i na scenie studium aktorskiego. Dziś przypadał właśnie ten dzień, gdy na dużej scenie miała miejsce ostatnia premiera teatru będącego gospodarzem całej imprezy.

Biletów oczywiście już nie było, lecz powołanie się na znajomość z dyrektorem umożliwiło mu kupienie wejściówki na balkon, na niezbyt dobre miejsce z boku, na które normalnie nie sprzedawano pełnowartościowych biletów z racji dość słabego widoku na scenę. Wejściówka kosztowała jednak tylko dziesięć złotych, a to już była zdecydowanie dobra wiadomość.

Usiadł na swoim miejscu i spojrzał w dół. Faktycznie widać było stąd najwyżej dwie trzecie sceny. Odrobinę więcej, gdy usiadło się na samej krawędzi fotela i wychyliło mocno do przodu. Rozejrzał się dookoła. Po jego prawej stronie wznosiły się stelaże podtrzymujące głośniki i reflektory, po lewej stronie, w głębi balkonu, na przypominającym mównicę stanowisku było miejsce, gdzie rezydował akustyk i oświetleniowiec czuwający, by wszystko w trakcie spektaklu było widać i słyszeć.

W dole i po jego lewej stronie na balkonie siedzieli pozostali widzowie. W większości ubrani elegancko: panowie w marynarkach, panie w garsonkach. Złapał się na tym, że myśli o nich jak o starszych ludziach, podczas gdy w rzeczywistości mogli być mniej

więcej w jego wieku. Dobrze w każdym razie, że usiadł na balkonie. Jego strój – czarna, lekka kurtka w militarnym stylu i dżinsy – niezbyt pasowały do tego miejsca.

Rozległ się gong, a potem obowiązkowy, nagrany komunikat, proszący o wyłączenie telefonów komórkowych. Zgasły światła. Przed niepodniesioną jeszcze kurtyną pojawili się dwaj młodzi aktorzy ubrani w jasne, sportowe stroje. Trzymali w dłoniach rakiety tenisowe. Imitując rozgrywanie partii squasha, rozpoczęli pierwszy dialog. Naśladując własnym głosem dźwięk odbijanej od ściany piłeczki, biegając wzdłuż sceny i mijając się raz za razem, wprowadzali widza w sytuację, w ramach której rozgrywać się będą wydarzenia przedstawione w sztuce.

Szczerze powiedziawszy, nie za bardzo go to interesowało. Jeden z aktorów co i raz znikał mu za krawędzią balkonu, udawanie odgłosu odbijanej piłeczki irytowało, podobnie zresztą jak sam pomysł na uatrakcyjnienie i uwspółcześnienie tekstu sprzed czterystu lat. Aktorzy grali poprawnie, trochę tylko sztucznie, lecz można było im to wybaczyć. Byli bardzo młodzi, poza tym mieli chyba niezbyt łatwe zadanie: musieli mierzyć się z tekstem szacownej ramoty, skacząc przy okazji niczym małpy w cyrku.

Kurtyna wreszcie się podniosła i oczom widzów ukazała się scena. Scenografia była ciekawa i robiła już na pierwszy rzut oka pozytywne wrażenie. Jasne, różnej wysokości prostopadłościanny, niektóre stojące, niektóre leżące, imitujące antyczne kolumny, tworzyły interesującą przestrzeń, która do tego wraz z kolejnymi obrotami sceny zmieniała się, tworząc a to zamkowy dziedziniec, a to sypialnię dziewcząt, a to ulice miasteczka.

Nie po to tu jednak przyszedł, by podziwiać pomysłowość scenografa, ani by oceniać grę aktorów. Czekał tak naprawdę na nią. Chciał zobaczyć, przekonać się, czy tamto pierwsze wrażenie, tak intensywne i niespodziewane, nie było złudne. Czy nie zareagował tak, bo zwiódł go urok chwili, nastrój tego konkretnego miejsca i tego konkretnego momentu w jego życiu; tego lekkiego

oszołomienia związanego z poczuciem rozpoczynania wszystkiego od nowa, w nowym miejscu, z czystym kontem; tego strachu i podekscytowania, które temu towarzyszyło.

Mijały jednak minuty, a ona się nie pojawiała. Nie grała głównej kobiecej roli, już to wiedział. Czuł coraz większy ucisk w żołądku, męczył się na tym miejscu, nie tylko dlatego, że było niewygodne. Gdy wreszcie się pojawiła – jako jedna z przyjaciółek głównej bohaterki – wbił w nią wzrok tak mocno, że aż niemal przestał cokolwiek widzieć. Nie miała dużej roli, ledwie kilka zdań. Zdawała się być wręcz lekko znudzona tym, co mówi. Była trochę obok, jakby myślała o czymś innym. A jednak wciąż była na scenie najważniejsza. Choć może to tylko jemu tak się wydawało.

Scena z jej udziałem minęła i znowu zrobiło się nieistotnie. Opadł głębiej na fotel, bo nie było już powodu, by wychylać się, patrząc na scenę. Nagle drzwi po jego lewej stronie otwarły się cicho i ktoś przez nie wszedł. Spojrzał w tamtą stronę. Duża, zwalista postać nawet w półmroku była łatwa do rozpoznania.

Dyrektor zamknął za sobą drzwi i ruszył wzdłuż tylnej ściany balkonu w kierunku stanowiska akustyka. Dotarł do niego, przywitał się z siedzącym tam mężczyzną uściskiem dłoni, coś do niego szeptem powiedział, po czym usiadł na wolnym miejscu tuż przed nim. Najwidoczniej przyszedł obejrzeć i dopilnować swoje przedstawienie.

Nadeszła w końcu scena finałowa. Źli ludzie zostali ukarani, kłamstwa wyjaśnione, a miłość zwyciężyła i to podwójnie. Aktorzy wyszli do ukłonów.

Rozpoczęły się oklaski. On też bił brawo, i to szczerze i z przekonaniem. Przedstawienie zrobiło na nim o wiele lepsze wrażenie, niż mógł się tego spodziewać na początku, choć trzeba też powiedzieć, że po pierwszej scenie ze squashem naprawdę nie liczył na wiele. Wpatrywał się przy tym cały czas w nią, stojącą z boku, całe szczęście po drugiej, niezastłanianej przez krawędź balkonu stronie sceny. Czasami tylko odwracał wzrok, jakby bał się, że ona

dostrzeże, jak bardzo intensywnie się jej przygląda.

Stała na scenie z lekkim, nieobecnym jakby uśmiechem. Kłaniała się razem ze wszystkimi, schodziła ze sceny i wracała na ponowne ukłony. Raz tylko uśmiechnęła się do swojej koleżanki, stojącej tuż obok i grającej znacznie ważniejszą od niej rolę milczącej narzeczonej księcia.

Wgapiał się w nią, lecz nie potrafił odpowiedzieć sobie na tamto pytanie: co też go w niej tak urzekło i czy ciągle go to urzeka? Czy tamto obezwładniające wrażenie sprzed zaledwie kilku godzin było złudne, czy też prawdziwe? Nie wiedział tego i z tą niewiedzą również wyszedł z teatru.

Wracał do swojego nowego mieszkania, gdzie miał spędzić pierwszą noc, w dziwnym stanie trwożnego poruszenia. Trafika była jeszcze otwarta, choć właściciel opuszczał już rolety. Kupił w niej kolejne cygaro, tym razem z Nikaragui i odrobinę droższe. Gdy wrócił do mieszkania, otworzył drzwi balkonowe i wystawił na balkon krzesło. Zapalił cygaro i siedział tak jeszcze z godzinę, wydmuchując dym prosto w noc. Iskrzące się tysiącami świateł miasto rozpościerało się aż po sam horyzont. Widział podświetlone reflektorami mury zamku i przysadzistą jak piaskowa baba wieżę katedry. Widział również – i teraz był tego pewien – podświetloną kropkę fasady teatru.

Znowu stanęła mu przed oczami jej twarz. Z afisza dowiedział się, jak się nazywa – Wilczyńska. Uśmiechnął się. Zyskał nagle niespodziewaną motywację, by wyjaśnić sprawę tamtego morderstwa na wiadukcie. Z jednej strony to dobrze, a z drugiej...

A z drugiej nie wiedział.



Obudził się rano, ubrał i zjechał na dół do sklepu mieszczącego się przy tej samej ulicy, by zrobić podstawowe zakupy. Gdy wrócił, zrobił sobie proste śniadanie – wypił butelkę soku pomidorowego i zjadł kanapkę z pełnoziarnistego pieczywa z ugniecionymi widelcem na jedną masę podwędzonymi szprotami w pomidorach – a potem zaparzył sobie w kubku kawę. Mieloną, nie rozpuszczalną, bo tej drugiej szczerze nie znosił. Później zabrał się do sprzątanía. Wytarł meble, odkurzył podłogę – stary odkurzacz stał całe szczęście w szafie w przedpokoju – umył toaletę i obtłuczoną wannę. Na końcu ogolił się i wziął prysznic.

Usiadł teraz w fotelu i spojrzał na swoje nowe, lśniące czystością (choć bez przesady) mieszkanie. Jedyne, czego mu tu brakowało, to radia. Radia i jakiegoś porządnego ekspresu do kawy. Taki na kapsułki można już kupić za trzysta, czterysta złotych. To będzie jego pierwszy zakup po otrzymaniu pierwszej policyjnej pensji. To, nie jakiś głupi teleskop.

Przypomniał sobie wczorajsze spotkanie i wieczorne przedstawienie. W dzisiejszej porannej perspektywie wszystko to nie wyglądało już tak niezwykle. Tamte emocje ulotniły się i zostało w sumie nie wiadomo co. Jednym słowem, trochę chyba wczoraj przesadził.

Uspokojony tą konkluzją i odprężony ubrał się i wyszedł. Zjechał windą na dół i ruszył w kierunku teatru tą samą drogą, co wczoraj.

Dzisiaj wydała mu się ona znacznie krótsza. Znowu przeszedł koło trafiki, ale tym razem nie wstąpił do środka. Cygara, które wczoraj

wypalił, wystarczą mu na jakiś czas. Ciągłe, mimo umycia zębów, czuł w ustach ich, w sumie dość przyjemny, posmak.

Po chwili był już pod teatrem. Główne wejście było o tej porze zamknięte, więc obszedł budynek i wszedł od tyłu. Przedstawił się pani w portierni i poprosił o możliwość wejścia do środka. Była już poinformowana, więc wpuściła go bez problemu. Pan dyrektor spełnił jak widać swoją obietnicę. Musi tylko pamiętać, by przy najbliższej okazji, najlepiej jeszcze dzisiaj, zaznajomić go z historią, którą wymyślił, by usprawiedliwić swoją bytność tutaj.

Na dużej scenie, jak powiadomiła go portierka, trwała właśnie próba nowego przedstawienia. Jego reżyser także był uprzedzony o możliwości pojawienia się na niej niespodziewanego gościa. Rozłucki postanowił więc skorzystać z okazji i wstąpić tam na chwilę.

Przemaszerował przez wszystkie trzewia teatru, mijając niezliczone drzwi, garderoby, pracownie, i wyszedł na korytarz przy głównej sali teatralnej. Jedne z podwójnych drzwi były otwarte, wślizgnął się więc cicho przez nie i usiadł na samym końcu, pod wielkim nawisem balkonu i w jego cieniu, by nie przeszkadzać i nie rozpraszać nikogo swoim widokiem. Nikt go nie zauważył, a nawet jeśli, to nie dał tego po sobie poznać.

Na pustej scenie stali aktorzy w prywatnych strojach. Mężczyzna i dwie kobiety. Jedną z nich była ona.

Przyjął to ze spokojem. A nawet z rodzajem rozbawionego zainteresowania. Po wczorajszym napięciu nie było nawet śladu. Patrzył na nią, na jej twarz i sylwetkę, i badał swoje reakcje. Niczego szczególnego nie zauważył. Była ładna, to na pewno. Interesująca. I wyglądała na inteligentną osobę. Potrafił jednak zachować w stosunku do niej dystans. Wczorajsza fascynacja, choć tak silna, była najwyraźniej tylko chwilowa.

Przed sceną, w pierwszym rzędzie widowni, siedział reżyser. Chyba to był reżyser. Ciemny szatyn z krótko przystrzyżoną brodą i niewielką łysinką na czubku głowy doskonale widoczną z tej

perspektywy. Wydawał się być mniej więcej w jego wieku. Czyli był młodszy. Wszyscy, którzy wydawali mu się być w jego wieku, jak się potem okazało, byli młodszy.

– Kochani! – mówił mężczyzna. – To nie jest melodramat. Nie grajcie tego, jakbyście występowali w telenoweli. Spróbujcie odnaleźć w tym tekście drugie dno.

– A jest jakieś? – spytała jego nowa znajoma. Zarówno w jej postawie, jak i tonie głosu dało się wyczuć daleko posunięty sceptycyzm.

– Nawet jeśli nie ma – odpowiedział cierpliwie, choć z lekką irytacją – to od tego jesteście aktorami, żeby mu je nadać. Jeszcze raz!

Aktorzy wrócili na swoje pozycje.

– Proszę! – powiedział reżyser. – Od kwestii Tomasza.

Aktor grający Tomasza – szczupły, wręcz chudy brunet z pociągłą twarzą – odchrząknął.

– Myślałem, że jesteś zadowolona z naszego życia – powiedział.

– Jestem – odpowiedziała jego znajoma. – Nie mogę się tylko zdecydować, czy być z tego powodu w euforii, czy w depresji.

– Śpiączka! Ja jednak znajdę tego kretyna, który ci to wysłał. Poproszę jutro Zużę, żeby się tym zajęła.

– Zużę? Czyżby ten twój kolega od komputerów z pracy miał na imię Zuza? Dziwne męskie imię.

– Oj, nie czepiaj się! Tak mi się wtedy powiedziało.

– Tak ci się powiedziało... A ładny jest ten kolega?

– Bardzo. I nie ma wiecznie problemów z sobą. Ty powinnaś pójść do psychiatry, wiesz?

– No. Albo do adwokata.

– Do adwokata to ja powinienem pójść. Ty do psychiatry.

– Stop! – powiedział reżyser. Oczy stojących na scenie zwróciły się na niego. Mężczyzna wstał i podszedł do krawędzi sceny.

– Aga, czy ty się trochę nie nudzisz? – spytał.

– Po prostu uważam, że ten problem jest wydumany – odpowiedziała kobieta.

- Który problem?
  - Ten, na którym opiera się ta cała sztuka.
  - Coś jeszcze?
  - I jest w niej za dużo słów. Cały czas gadamy, nic nie robimy.
  - Na razie nic nie robicie. Na razie. Oswajamy się wszyscy z tekstem.
  - To dlaczego robimy próbę na scenie? Oswajać się z tekstem można, siedząc przy stoliku.
  - Wolę tak. To pobudza moją wyobraźnię.
  - A ja nie wolę. Mi to pobudza wyłącznie żylaki.
  - Chcesz reżyserować za mnie?
  - Dziękuję serdecznie. Za te pieniądze, które tu zarabiam, i tak za bardzo się staram.
  - Przepraszam bardzo – odezwała się druga z aktorek. – A po co ja tu jestem? Nie ma mnie w tej scenie.
  - Tworzycie razem dramatyczny trójkąt – odpowiedział reżyser. – Twoja obecność jest niezbędna, żeby Agnieszka i Paweł zbudowali między sobą relację.
  - Na przedstawieniu też tak będzie stać? – spytała z ironią Agnieszka. – Może by chociaż dać jej krzesło?
- Reżyser sapnął. Słysząc to było aż tutaj.
- Aga, mogę cię prosić na chwilę?
  - O co?
  - Żebyś tu do mnie zeszła. Chciałbym zamienić z tobą parę słów.
  - Bardzo chętnie. Już mnie nogi bolą od tego stania.
- Ruszyła w prawo i zeszła po schodkach na dół. Reżyser wziął ją pod łokieć i odprowadził jeszcze dalej od sceny. Akurat w kierunku, gdzie siedział Rozłucki.
- Agnieszka, czemu mi to robisz? – powiedział przyciszonym głosem.
  - Co robię?
  - Krytykujesz moje pomysły. I to przy wszystkich.
  - Bo są głupie.

- Wiesz przecież, że napisałem tę sztukę dla ciebie.
  - Nie prosiłam cię o to.
  - Zrobiłem to, żebyś miała wreszcie co grać. Dyrektor daje ci same ogony.
  - A nie zrobiłeś tego przypadkiem, żeby mieć co reżyserować? Odkąd nastał Łysy, wszystko bierze albo on, albo jego znajomi z Warszawy.
  - To też, ale chodziło mi również o ciebie.
  - Nie wiem, czego oczekujesz w zamian... Mam ci wskoczyć do łóżka?
  - Nie miałbym oczywiście nic przeciwko temu, ale zacznijmy może od tego, że swoje uwagi będziesz zgłaszała w mniej upokarzający mnie sposób. Na przykład mówiąc mi je na osobności.
  - No to mówię ci na osobności, że próba w tej formie nie ma sensu. Przynajmniej nie na tym etapie.
- Reżyser westchnął głęboko.
- Dobrze – mruknął. – Niech ci będzie. Uwaga! – powiedział podniesionym głosem. – Przenosimy się wszyscy do pokoju prób!
  - Ja też? – spytała ze sceny druga aktorka. – Czy mogę na chwilę pójść do bufetu?
  - Tak, pani też! – odparł z irytacją reżyser i ruszył w stronę drzwi.
- Wilczyńska uśmiechnęła się lekko, po czym zwróciła nagle w stronę Rozłuckiego.
- I jak tam, panie psychologu? Ciekawe interakcje pan zaobserwował? Ładne widowisko urządziłam dla pana?
- Był tak zaskoczony, że aż mu zaparło dech. Musiała więc zauważyć, że wszedł.
- Tak, bardzo ciekawe – wydusił z trudem.
  - Chce mnie przelecieć – powiedziała konspiracyjnym szeptem. – Ale niedoczekanie jego.
  - Dlaczego? Wygląda całkiem przystojnie – zdołał powiedzieć.
  - Ma żonę. I dziecko. Nie bawię się w takie rzeczy.
  - No tak.

- A ty, masz żonę? – spytała najnaturalniej w świecie.
- Miałem. Już nie mam. – Znowu ledwo udało mu się wydobyć z siebie głos. – Teraz ma dzieci z zupełnie innym facetem.
- Czyli ewentualnie byś się nadał – powiedziała, odwróciła się i wyszła.

Kiedy już doszedł do siebie po tym, jakże bezpośrednim, pytaniu, postanowił pokręcić się trochę po teatrze. Wstał i wyszedł na korytarz. Nagle budynek wydał mu się pusty, jakby nie było w nim żywego ducha. Scena również opustoszała. Wiedział, że to tylko złudzenie, że całe życie przeniosło się tam, za kulisy, do tego tajemniczego, ciemnego (przynajmniej w powszechnym wyobrażeniu) miejsca, które było prawdziwym teatrem, prawdziwą świątynią, Sanctum Sanctorum, a nie tylko jej przedsionkiem otwartym dla rzesz wyznawców.

Otworzył drzwi na końcu korytarza i wszedł tam. Do Świętego Świętych. Także i tu jednak nie spotkał nikogo. Cisza aż dzwoniła w uszach. Szedł pustymi korytarzami, mijając kolejne zamknięte drzwi, słysząc jedynie swoje własne kroki. Raz tylko dostrzegł w jednej z niezamkniętych garderób brodatego mężczyznę w okularach siedzącego przed lustrem otoczonym żarówkami i czytającego w skupieniu coś, co wyglądało na tekst sztuki.

Trafił w końcu – przypadkiem i niezamierzenie – do teatralnego bufetu. Tu przynajmniej było parę osób. Ktoś w milczeniu jadł zupę, ktoś siedział nad wypitą już kawą i przeglądał jeden z prawicowych tygodników. Podeszedł do pani stojącej za ladą i również zamówił kawę. Usiadł pod jednym z dużych, białych, dzielonych na sześć okien. Wyjrzał na zewnątrz. Widział stąd ławeczkę, na której wczoraj siedział i palił cygaro.

Czuł się lekko zawiedziony. Podświadomie oczekiwał, że kulisy teatru są miejscem buzującym emocjami, pełnym głośnych rozmów

i śmiechu. Tymczasem tego, co tu zastał, nie można było określić innym słowem niż nuda. Wyglądało to na zwykły zakład pracy i to taki, w którym nie za wiele się dzieje.

Co jakiś czas zerkał na drzwi. Dopiero za którymś razem uświadomił sobie, dlaczego to robi. Czekał na nią. Miał nadzieję, że przyjdzie. I że znowu zrobi się tak ciekawie jak wczoraj i jak przed chwilą.

Nie przychodziła jednak. Czekał nadaremnie. Raz czy dwa przechwycił zaciekawione spojrzenia rzucone w jego stronę z nad gazety i z nad pustego już talerza z zupą.

Zaczął się zastanawiać, czy nie nawiązać z jednym z tych mężczyzn rozmowy. W końcu po to tu był. Tylko o co miałby go spytać? „Dzień dobry, co pan sądzi o tym morderstwie na wiadukcie?” Uznał w końcu, że jest na to jeszcze za wcześnie. Ktoś mógłby się domyślić, jaka jest jego prawdziwa rola. Poczekaj trochę, aż jego obecność tutaj stanie się naturalna, aż wtopi się bardziej w tło. Niczym fotograf przykryty plandeką przy wodopoju dla dzikich zwierząt.

Nagle drzwi bufetu otworzyły się i ktoś przez nie wszedł. Jego serce zabiło jak głupie, lecz równie szybko uspokoiło się: nie była to ona.

Był to mężczyzna, na oko czterdziestoletni. Szczupły, żyłasty, średniego wzrostu. Jego twarz – szorstka, o surowym wyrazie – przywodziła na myśl marynarza z żaglowego okrętu. Ubrany był w cienki, szary sweter z dość szerokim dekoltem, pod którym, jak się wydawało, nie było podkoszulka.

Mężczyzna podszedł do lady i zamówił obiad: gołąbki z ziemniakami. Odebrał je, wziął sztucce i usiadł o stół od Rozłuckiego. Zaczął jeść, a robił to tak, jakby wykonywał jakąś pracę: systematycznie, porządnie, choć bez pośpiechu.

W pewnym momencie, z ustami pełnymi jedzenia, spojrzał na Rozłuckiego. Nie było to jednak ukradkowe spojrzenie, jakie rzucali mu co jakiś czas dwaj pozostali siedzący w bufecie mężczyźni. Było proste, szczere i uważne. I niewstydzące się siebie.

– Pan jest tym naukowcem? – spytał, nie przerywając jedzenia.



– Tak – odparł Rozłucki. Jego problem z nawiązaniem kontaktu chyba właśnie sam się rozwiązał.

Mężczyzna wstał i wyciągnął rękę nad stołem.

– Staszek – przedstawił się.

Rozłucki również wstał i również wyciągnął swoją dłoń.

– Zygmunt. Zygmunt Rozłucki – dodał po chwili.

Z niejakim trudem, ale jednak udało im się uścisnąć sobie ręce.

– Można się przysiąc? – spytał jego nowy znajomy. – Skoro ma pan nas badać, równie dobrze może pan zacząć ode mnie.

– Bardzo proszę – odparł Rozłucki. – Będzie mi niezmiernie miło.

Pan Staszek wziął swój talerz i przesiadł się do jego stolika.

– Pan nic nie je? – spytał. – Mają tu naprawdę dobre rzeczy. I tanie – podkreślił. – Pani Jagódka gotuje po domowemu.

Pani Jagódka uśmiechnęła się zza lady.

– Może później – odpowiedział. – Niedawno jadłem śniadanie.

– Niektórym to się żyje. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. – Ja już od siódmej na nogach. A pan – dwunasta i dopiero śniadanie!

– No nie, jadłem je pewnie koło dziesiątej, ale jeszcze nie jestem głodny. Jest pan aktorem? – spytał po chwili.

– Nie, pracownikiem technicznym – odparł mężczyzna. – Obsługa sceny. Ustawiam i rozbieram dekoracje, naprawiam rekwizyty, czasem robię nowe. Kupa roboty, zwłaszcza przed premierami.

Odkroił sobie kolejny, spory kawał gołąbka i włożył go do ust, ciągle patrząc na Rozłuckiego.

– A co pan tu będzie badał? – spytał, gdy już przełknął.

Wiadomość o jego rzekomych badaniach musiała pochodzić od Wilczyńskiej, nikomu innemu tego jeszcze nie mówił. Zrobiło mu się miło na myśl, że opowiadała o nim komuś.

– Interakcje w zespole, hierarchię, wzajemne zależności, wpływ na to wszystko sceny i przychodzących na spektakle widzów, usytuowanie zespołu teatru w tkance społecznej miasta – coraz bardziej dopracowywał swoją zmyśloną opowieść.

Mężczyzna pokiwał głową. Nie sprawiał wrażenia, jakby zbyt wiele

zrozumiał.

– No to nieźle pan trafił – powiedział w końcu.

– Dlaczego?

– Słyszał pan o tym cyrku na wiadukcie?

Coraz bardziej podobał mu się ten gość. Właśnie sam poruszył temat, który go najbardziej interesował.

– Słyszałem.

– Niezła chryja. Z tego powodu pan tu przyjechał?

Mężczyzna patrzył na niego spokojnym, szczerym spojrzeniem. Teraz będzie musiał skłamać. I to w żywe oczy.

– Nie. Moja wizyta umówiona już była bardzo dawno temu.

Rozmówca odkroił kolejny, solidny kawał gołąbka.

– Przeszkadza to panu czy pomaga? – spytał i włożył go sobie do ust.

– Trochę przeszkadza, a trochę pomaga. Będę musiał zmienić założenia badawcze. Ale, z drugiej strony, to bardzo ciekawe. Mało kto ma szansę prowadzić badania w tak ekstremalnej sytuacji. Wyniki mogą być niezwykle interesujące. Jak to dobrze poprowadzę, może nawet uda mi się opublikować to gdzieś za granicą.

Mężczyzna pokiwał po raz kolejny głową.

– Napisze pan tam o mnie? – spytał.

– Jeśli się pan zgodzi, nawet z imienia i nazwiska.

– Naprawdę? – Widać było, że perspektywa pojawienia się jego nazwiska w jakiejś hipotetycznej zagranicznej publikacji zrobiła na nim wrażenie. – A da mi pan potem tę... publikację?

– Oczywiście.

Mężczyzna nachylił się w jego stronę.

– Dobrze pan trafił – powiedział ściszym głosem. – Wiem naprawdę sporo. I to takie rzeczy, że się pan zdziwi. Chętnie panu opowiem. Tylko nie tutaj. – Wskazał głową człowieka siedzącego nad pustym talerzem po zupie. – Aktorzy to straszni plotkarze. Gorzej niż baby.

– To mi się akurat może przydać.

– Co? – spytał, jakby nie do końca zrozumiał.

– To, że są plotkarzami – odparł Rozłucki. – Będzie mi łatwo namówić ich na rozmowę.

– O, to na pewno! – Pan Staszek się uśmiechnął. – Jak taki aktor zacznie już gadać, to prędko nie przestanie. A wstaje przy tym, macha rękami, odgrywa co ciekawsze kawałki, normalnie cyrk. Problem tylko w tym, że nigdy do końca nie wiadomo, czy mówi prawdę, czy przypadkiem nie zaczął właśnie grać.

– Jak to?

– Żeby pan wiedział, jakie oni czasami rzeczy wymyślają, a już zwłaszcza na swój temat. – Mężczyzna ściszył głos prawie do szeptu.

– Co to nie oni. Każdy tylko: „ja, ja i ja”. A grają szóstego wała na kurtynie.

– Chyba niezbyt ich pan lubi.

– Nie, dlaczego? W sumie, gdyby nie oni, nie miałbym roboty. Poza tym to w większości bardzo porządni ludzie. Tylko trochę niedorośli. Jak dzieci.

– Bardzo ciekawe rzeczy pan mówi.

– A pewnie. A mogę powiedzieć jeszcze ciekawsze. Mamy tu małe piekiełko, mówię panu. – Mężczyzna nachylił się w jego stronę. – Jest taki mały browar przy Łynie. Tam w dół, jak się idzie do Starego Miasta. – Wskazał głową za siebie. – Pan tam przyjdzie po dziewiątej, bo teraz już muszę lecieć do roboty. Pogadamy na spokojnie. – Włożył sobie ostatni, wielki kawał gołąbka do ust.

– Będę na pewno – odpowiedział Rozłucki.

Mężczyzna wytarł sobie usta wierzchem dłoni i wstał. Nie kończąc przeżuwania, pożegnał się gestem ręki, wziął talerz ze stołu, odniósł go na kontuar i wyszedł. Rozłucki odprowadził go spojrzeniem aż do drzwi. Gdy odwrócił z powrotem głowę, napotkał wzrok mężczyzny siedzącego wciąż nad pustym już dawno talerzem po zupie. Jego długi, chudy nos celował w niego niczym szpada wprost ze szczupłej, pooranej bruzdami twarzy. Szpakowate włosy zaczesane na lewą stronę przykrywały sporą już łysinę.

- Pan Staszek - powiedział głębokim, postawionym głosem, niepozostawiającym najmniejszych wątpliwości, że jego właściciel jest aktorem - należy do związków zawodowych. Pozostają one aktualnie w dość silnym konflikcie z obecnym dyrektorem. Niech pan to weźmie pod uwagę, gdy będzie pan wysłuchiwał jego rewelacji.

Po czym wstał i nie odnosząc nigdzie talerza, wyszedł.

Rozłucki rozejrzał się po bufecie. Został w nim sam. Człowiek, który pił kawę przy sąsiednim stoliku, w międzyczasie musiał niepostrzeżenie wyjść. Pani Jagódka krzątała się na zapleczu, stukając talerzami. Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza. Do dziewiątej miał jeszcze ponad osiem godzin. To był dobry moment, by odwiedzić dyrektora i przedstawić mu wymyśloną przez siebie legendę. W każdej chwili jedno wypowiedziane przez niego nieopatrznie słowo mogło zburzyć iluzję i zdekonspirować Rozłuckiego. Dłużej już nie mógł tego odwlekać.

Rozmowa z Tomaszem Kaletnikiem przebiegła w nadspodziewanie miłej i przyjaznej, biorąc pod uwagę jego wcześniejsze obiekcje, atmosferze. Pan dyrektor najwyraźniej albo był człowiekiem, który nie żywił specjalnej urazy, gdy coś szło nie po jego myśli, albo rozmawiał, z kim trzeba, i był na tyle rozsądny, by pogodzić się z nieuchronnością rzeczy, na które nie miał wpływu. W każdym razie zapewnił Rozłuckiego o pełnym poparciu, wydał swojej asystentce Kai dyspozycje, by powiadomiła o tym wszystkich odpowiednich ludzi w teatrze oraz by poinformowała kasę, że ma on pełen, nieograniczony i bezpłatny wstęp na wszystkie przedstawienia. Poczęstował go też bardzo dobrą kawą z bardzo dobrego i bardzo drogiego ekspresu, który stał w jego gabinecie.

Rozmowa przeciągnęła się do ponad godziny, gdyż pan dyrektor w jej trakcie nie omieszkał podzielić się z Rozłuckim kilkoma anegdotami ze swojego barwnego zawodowego życia, wspomnieć mimochodem, ilu to znanych aktorów i reżyserów (również zagranicznych) zna i jak wielkie i wspaniałe plany ma w stosunku do teatru w Olsztynie i rozpoczętego właśnie festiwalu. Znacznie mniej był natomiast rozmowny – co Rozłucki natychmiast zauważył – gdy rozmowa zesłała na temat ostatniego morderstwa i jego znajomości z nieszczęsnym, martwym już w tej chwili, urzędnikiem Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego.

– Spotkałem się z nim oczywiście parę razy – powiedział. – Ale były to kontakty wyłącznie na gruncie zawodowym. Rozmowy dotyczyły organizacji i finansowania festiwalu, niczego więcej. To był zwykły

urzędnik; dość ograniczony, jak wszyscy urzędnicy. My, artyści, musimy się zadawać z takimi ludźmi, ale sam pan rozumie, że nie sprawia nam to specjalnej przyjemności.

Po zakończeniu rozmowy i wylewnym, trochę może aż nawet przesadnie, pożegnaniu przez dyrektora, Rozłucki postanowił wrócić do teatralnego bufetu i spróbować domowej kuchni pani Jagódki. Zamówił gołąbki i stwierdził, że pan Staszek miał we wszystkim rację: danie było smaczne i kosztowało naprawdę niedużo.

Tym razem w bufecie nie było nikogo. Daremnie zerkał wciąż na drzwi, mając nadzieję, że pojawi się w nich Agnieszka. Po wyjściu z bufetu również jej nie spotkał. Nie spotkał w ogóle nikogo. Po porannych próbach i przed wieczornymi przedstawieniami teatr sprawiał wrażenie zupełnie opuszczonego.

Wyszedł więc i ruszył z kierunku Starego Miasta. Do dziewiątej miał wciąż jeszcze prawie sześć godzin. Nie chciało mu się wracać do swojego niezbyt przytulnego mieszkania tym bardziej, że noga wciąż dawała mu się trochę we znaki. Postanowił więc znaleźć sobie jakąś ławeczkę i korzystając ze słonecznej pogody, przemyśleć w spokoju parę spraw.

Jak się jednak okazało, spokój nie był tą rzeczą, której można było dziś zaznać na Starym Mieście w Olsztynie. Festiwal teatralny w jego ulicznej odsłonie trwał tam w najlepsze. Na rynku i w okolicach pełno było najrozmaitszej maści artystów, wokół nich zaś kłębiło się sporo ludzi. Połykacze ognia z wygolonymi brwiami i głowami żonglowali pochodniami lub wywijali płonącymi kulami na długich sznurach, podpalając potem swoje ramiona ku uciesze i przestrachowi dzieci. Obok nich dwoje klaunów na szczudłach za pomocą długich, spłaszczonych obręczy robiło wielkie, dwu- albo nawet trzymetrowe bańki. Na scenie stojącej na rynku grała kapela ludowa. Wszystkiemu zaś przyglądał się niewidzialny człowiek zza swoich osadzonych na drucie okularów.

Zmęczony hałasem i przeciskaniem się przez tłumy postanowił opuścić Stare Miasto i poszukać jakiegoś bardziej zacisznego

miejsca. Ruszył w kierunku zamku i schodząc w prawo tuż przed nim do dawnej zamkowej fosy, wszedł do parku, jaki rozciągał się naokoło niego i dalej, aż do Łyny i torów kolejowych.

Minął browar, w którym umówił się z panem Staszkiem – niezbyt duży, nowy budynek z czerwonej cegły zbudowany tuż przy moście – i ruszył dalej. Wkrótce jego oczom ukazał wiadukt. Wysoki, ceglany, sklepiony łukowato w kształt odwróconej i bardzo mocno wydłużonej litery U. To na nim Karolina, jak mu kiedyś opowiadała, piła w liceum tanie wino i patrzyła na pociągi jadące w kierunku Warszawy.

Zatrzymał się na moment, nie mogąc sobie poradzić z natłokiem myśli i uczuć, jakie wywołało to wspomnienie. Pozwolił im przepłynąć przez siebie, pozwolił sobie poczuć tę zasysającą wszystko wokół rozpacz i pustkę. Dopiero po chwili, gdy fala bólu opadła, ruszył dalej.

Postarał skupić się tym razem na drugim bohaterze nieodłącznie już związanym z tym miejscem. Na tamtym nieszczęsnym mężczyźnie, zakutym, zapewne wbrew swej woli, w blaszaną zbroję, który również czekał na ekspres z Warszawy i który niestety się go doczekał. Spróbował wyobrazić sobie jego strach i przerażenie chwilę przed tym, nim kilkusettonowy pocisk rozerwał jego ciało na części. Spróbował też spojrzeć na to oczyma sprawcy. Tego kogoś, kto stał tam i przyglądał się temu wszystkiemu. Co czuł i dlaczego to zrobił? Czy chodziło mu o zemstę? Bardzo prawdopodobne. Nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że w grę musiało wchodzić coś jeszcze. Tylko co? Taka demonstracja, spektakularna, przeprowadzona na oczach wszystkich, na tej wielkiej, wysokiej, górującej nad całym miastem scenie, musiała kryć za sobą równie wielkie emocje. Co to mogło być? Na pewno człowiek, który tego dokonał, powiedział: „Patrzcie!”. „Patrzcie na mnie i na moje dzieło”. Kim był? Czy rzeczywiście zrobił to, by się zemścić? A może chodziło o jakiś rodzaj mafijnych porachunków? One też przecież bywały symboliczne i spektakularne. I wykonywane w miejscach publicznych, tak by

wszyscy się o nich dowiedzieli.

Spojrzał jeszcze raz w górę na ochraniany barierką szczyt wiaduktu. Potem przeniósł wzrok na wznoszące się po drugiej stronie płytkiej doliny Stare Miasto. Scena i widownia. Dzieliło je od siebie kilkaset metrów, może kilometr. Spektakl, który się tu rozegrał, był naprawdę precyzyjnie wyreżyserowany. Parada uliczna wychodzi ze Starego Miasta, przekracza gotycką Wysoką Bramę i wchodzi na plac tuż przed nią. Tylko z tego miejsca wiadukt jest widoczny – gdy idzie się przez Stare Miasto, zasłaniają go budynki i zamek. W tym momencie w niebo wystrzelują sztuczne ognie. Ich widok i odgłos, który wydają, a także pisk hamulców lokomotywy i dźwięk włączonego przez maszynistę sygnału ostrzegawczego zwraca uwagę uczestników festiwalu. Głowy wszystkich zwracają się w stronę wiaduktu. Widzą pociąg przejeżdżający z hukiem i piskiem przez fontanny fajerwerków. Nie widzą rozjeżdżanego przez niego człowieka – jest na to za daleko.

Co to miało być i jaką mogło mieć funkcję? Czy chodziło tylko o widowisko zaspokajające żądze czyjś chorego umysłu, czy o coś innego? A może było to ostrzeżenie? Bardzo pomysłowe, bo mimo tego, iż widziało je setki ludzi, nikt nie domyślił się jego prawdziwego znaczenia. Nikt z wyjątkiem jego adresata. I jaki związek miał z tym rozpoczynający się akurat tego dnia festiwal? Czy morderca skorzystał po prostu z okazji, z tego, że ktoś zapewnił mu szczęśliwie tak wielką publiczność?

Czy wręcz przeciwnie, chodziło właśnie o niego?

Doszedł aż do samego wiaduktu, by obejrzeć z dołu jego wysoko sklezione łuki. Dwa, jak zobaczył to dopiero z bliska, tory linii kolejowej biegły po dwóch samodzielnych ceglanych konstrukcjach oddzielonych od siebie kilkumetrową przerwą. Pod łukami oprócz rzeki biegły też po obu jej stronach dwie wąskie asfaltowe ulice. Mało, zdaje się, uczęszczane, bo w ciągu pół godziny jego tam



bytności nie przejechał po nich żaden samochód ani nie przeszedł żaden pieszy.

W przerwie między oboma wiaduktami, po ziemnym nasypie oddzielającym ich ceglane konstrukcje, biegły na górę wąskie i strome betonowe schodki. Wszedł po nich z trudem. Na górze było niewiele – stalowe tory, betonowe podkłady i kamienny tłuczeń między nimi – jasny, prawie biały, widocznie niedawno wymieniony.

Tylko widok był doprawdy niezwykły: po lewej stronie Stare Miasto, Łyna, zamek i katedra; po prawej daleka linia lasu i połyskujące w oddali jezioro. Rozumiał teraz znakomicie, dlaczego Karolina przychodziła tu w liceum pić tanie wino.

Musiał też przyznać mordercy, że doskonale wybrał scenerię swojej zbrodni. Dekoracje tej sztuki, jeśli tak można powiedzieć, były naprawdę spektakularne. Przez chwilę poczuł nawet coś w rodzaju podziwu. Tylko przez chwilę, bo wkrótce potem dostrzegł na leżących pod jego stopami potłuczonych kamieniach ciemniejsze, jakby rdzawe plamy, które mogły, choć nie musiały być krwią.

Zrobiło mu się odrobinę słabo, więc zszedł z powrotem na dół. Noga dokuczała mu coraz bardziej. Ból w kostce przestał być pomijalny i zaczynał pulsować. Za dużo dziś chodził.

Postanowił wrócić na Stare Miasto i znaleźć tam – może w którejś z bocznych, bardziej zacisznych uliczek – jakąś małą kawiarenkę, by przeczekać te niespełna trzy godziny, które zostały mu do umówionego spotkania. Pokuśtykał więc wolno w stronę zamku.

Gdy wszedł z powrotem na ulicę wiodącą od zamku w kierunku pozostałej części Starego Miasta, był już naprawdę bardzo zmęczony. Pot ściekał mu po karku i pod włosami na głowie. Marzył już tylko o tym, żeby gdzieś usiąść i napić się czegoś zimnego. Wszystko jedno gdzie. W niewielkich, trochę krzywych, jakby niewyrośniętych dostatecznie kamieniczkach stojących na skraju zamkowej fosy dostrzegł jakąś knajpę. Jej nazwa nawiązywała do mitologii nordyckiej, a przed drzwiami stał jeden koślawy stolik i dwa krzesła. Może być. Nie miał już siły iść dalej.

Lecz wtedy coś dostrzegł. Coś, co kazało mu powlec się kolejne dwieście metrów. Na drzwiach budynku obok – opuszczonego, z oknami zabitymi deskami – wisiał plakat. A na nim, choć wcale mu się przecież jakoś specjalnie nie przyglądał, od razu dostrzegł nazwisko: Agnieszka Wilczyńska.

Jak się okazało, festiwal teatralny toczył się na wielu płaszczyznach. Oprócz jego części ulicznej, oprócz głównych spektakli wystawianych w budynku teatru, miały również miejsce spektakle plenerowe oraz szereg niewielkich przedstawień i koncertów odbywających się w najprzeróżniejszych salach i salkach Olsztyna. Część z nich nie była nawet uwzględniona w oficjalnym programie festiwalu. Po prostu, jak wyjaśnił mu to miły, młody człowiek sprzedający bilety, każdy chciał się jakoś podczepić pod festiwal ze swoim wózkiem.

Koncert, którego plakat zobaczył przypadkiem, odbywał się w dość brzydkim, za to sporym budynku, przyklejonym niejako do skarpy nad Łyną i zbudowanym zapewne, sądząc po architekturze, w latach osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. W jego holu kłębił się już niewielki tłumek oczekujących na niego widzów, złożony po równo z podstarzałych i posiwiałych kobiet i mężczyzn, których ubiór wskazywał na artystyczne aspiracje, jak i młodzieży o lekko nieprzytomnym wzroku ubranej dość podobnie, tylko nowocześniej.

Koncert, składający się z piosenek należących do szeroko pojętego nurtu piosenki poetyckiej wykonywanych przez miejscowych, olsztyńskich artystów, miał się rozpocząć o godzinie dziewiętnastej. Wilczyńska była jednym z wykonawców.

Czuł się dziwnie, stojąc wśród tych ludzi, mając świadomość, że pot obsycha mu na karku, wiedząc, że zarówno mokre plamy na jego przepeconej koszuli, jak i być może jego nie do końca świeży zapach niezbyt pasują do tego miejsca artystycznych wzruszeń. W zasadzie

powinien zrezygnować i wyjść, nie narażając tych wszystkich kulturalnych ludzi na konieczność siedzenia obok takiego osobnika jak on, i to zapewne w niewielkiej, za to dusznej salce. Powinien to zrobić, ale nie potrafił. Świadomość, że za chwilę zobaczy ją na scenie i to z bliska, nie pozwalała mu się ruszyć.

W końcu miły, młody człowiek, ten sam, który sprzedał mu bilet, odsunął przykurzoną, bordową zasłonę, pozwalając widowni wchodzić na salę. Za zasłoną, jak się okazało, były schody wiodące w dół, na niższą, położoną poniżej poziomu kondygnację. Tłum poruszył się i zaczął wpływać w tę śluzę.

Ruszył wraz z nim, starając się tak manewrować, by dryfować mniej więcej w środku tego strumienia. Miejsca były nienumerowane, każdy siadał tam, gdzie było wolne, a on nie chciał siedzieć za daleko od sceny, ale bał się też usiąść zbyt blisko.

Udało mu się w końcu zająć miejsce w piątym rzędzie, trochę z boku po lewej stronie. Obok niego usiadła jakaś młoda blondynka, nawet dosyć ładna, ale jego to w ogóle nie obchodziło. Czuł się, jakby czekał na swoją pierwszą w życiu randkę, a nie na koncert, którego wykonawczynie prawdopodobnie w ogóle nie zauważyły jego obecności.

Ludzie wciąż napływali. Rozejrzał się po sali. Było to ciemne pomieszczenie o ścianach pomalowanych czarną farbą i scenie tylko niewiele wznoszącej się ponad poziom podłogi. Widzowie siedzieli na zwykłych, czarnych, plastikowych składanych krzesłach, a funkcję kurtyny spełniała podwieszona do sufitu ciemnoczerwona zasłona. Było, tak jak podejrzewał, duszno. Poczuł, jak pot znowu spływa mu cienką stróżką po plecach. Zrobiło mu się głupio w stosunku do tej blondynki obok. Naprawdę mogła sobie wybrać lepsze miejsce.

Koncert wreszcie się rozpoczął. Zza zasłony wyszedł na scenę mężczyzna, na oko sześćdziesięcioletni. Jego twarz ozdabiała posiwiata hiszpańska bródka, a długie, siwe włosy spięte były z tyłu głowy w kucyk. Zaczął mówić, a mówił ze swadą i z jakimś rodzajem wewnętrznego ciepła, które sprawiało, że z miejsca lubiło się

zarówno jego, jak i wszystko dokoła. Zaanonsował pierwszy zespół, w którym, jak się okazało, sam występował. Zasłona rozsunała się, mężczyzna wziął stojącą na stojaku gitarę i zaczął śpiewać. Towarzyszyły mu dwie kobiety i drugi gitarzysta w skórzanych spodniach.

Śpiewali o chęci ucieczki; o kimś, kto przestał nagle pić i palić, bo zbiera na bilet. Rozłucki zauważył, że blondynka obok niego podśpiewuje tekst refrenu. Spojrzał w bok. Nie była jedyna. Widzowie tego koncertu zdawali się doskonale znać tę piosenkę, co więcej, zdawali się ją kochać.

Potem wystąpił drugi zespół, złożony dla odmiany z samych mężczyzn – dwóch wysokich i jednego niskiego. Wszyscy mieli szpakowate brody i śpiewali dosyć zabawną piosenkę o locie awionetką niemieckich turystów nad Olsztynem, używając przy tym mnóstwa dziwnych instrumentów, których większość Rozłucki widział pierwszy raz w życiu na oczy.

Po nich po raz kolejny na scenę wyszedł mężczyzna z bródką.

– A teraz – powiedział swoim głębokim, ciepłym głosem – wystąpi przed państwem aktorka naszego teatru, piękna kobieta i wspaniała artystka. Zaśpiewa dla nas *Peonie* – cudowną piosenkę z tekstem Agnieszki Osieckiej. Przed państwem Agnieszka Wilczyńska.

W Rozłuckiego jakby piorun strzelił. Przez chwilę przestał wręcz oddychać. Zdążył jeszcze tylko pomyśleć, że jego reakcja jest dalece przesadzona. Że nie powinien doświadczać aż takich emocji; w końcu widział tę kobietę raptem trzy razy w życiu. I że musi być jakiś inny tego powód, niż tylko zwykłe zauroczenie, i warto by się nad tym powodem kiedyś zastanowić. Potem jednak na scenę weszła ona i wszystkie te myśli rozplynęły się, jakby ich nigdy nie było.

Ubrana była w długą cielistą suknię podkreślającą jej szczupłą figurę. Na jej twarzy widać było skupienie. Stała przy mikrofonie i po chwili to samo skupienie udzieliło się wszystkim na sali. Zapadła cisza, którą przerwały dopiero dźwięki pogrążonego w półmroku zespołu: fortepianu, kontrabas i trąbki.

Muzyka była oszczędna, wręcz minimalistyczna. W jazzowej kompozycji było coś kosmicznego. Dźwięki pojawiały się w przestrzeni i trwały w niej przez chwilę, jakby zawieszony w powietrzu. Gdy dołączył do nich jej głos, wrażenie było niemal metafizyczne.

Śpiewała niespiesznie, oddzielając każde słowo, by wybrzmiało samotnie, i dopiero po nim pojawiło się następne; ścisząc jeszcze głos na końcu każdej frazy tak, by wers nie tyle skończył się, co zamarł.

Patrzysz na peonie,  
Kiedyś byłaś ogniem.  
Aksamitny wietrzyk  
Chłodził śliczne skronie.  
Nóżkę skaleczyłaś,  
Krew się pokazała.  
Nie będziesz królową,  
Tak jak mama chciała.  
Tak jak mama chciała...

Rozłucki poczuł, jak włoski podnoszą mu się na przedramieniu. Słuchanie tego było doświadczeniem ocierającym się wręcz o mistycyzm. Cały zamienił się we wzrok i słuch. Na całym świecie było tylko to, nic więcej.

Kto cię pokaleczył,  
Że tak bardzo boli?  
Ranka za głęboka,  
Jak to mocno pali...  
Jak to mocno pali...

Gdy piosenka się skończyła, gdy wybrzmiały ostatnie, kontemplacyjne dźwięki trąbki i kontrabas, na sali zapadła cisza.

Dopiero po chwili rozległy się oklaski. W zasadzie burza, huragan oklasków. Zupełnie innych niż te, które nagradzały poprzednie zespoły. Dziękujących za możliwość usłyszenia na własne uszy tej epifanii smutnego piękna.

Wilczyńska uśmiechnęła się. Wyglądała, jakby się właśnie obudziła. Był to uśmiech nieśmiały, uśmiech dziewczynki, która nie spodziewała się aż takiej pochwały, choć z drugiej strony wie, że wykonała swoją pracę dobrze. Była wręcz zawstydzona, chociaż widać było też, że cieszy się i że sprawia jej to przyjemność.

Potem nic już nie było ani tak magiczne, ani tak intensywne. Kolejne zespoły i kolejni wykonawcy wchodzili na scenę, lecz on prawie ich nie widział i nie słyszał. Czekał tylko, czy ona się znowu pojawi. Wyszła dopiero na sam koniec, do wspólnych ukłonów wszystkich wykonawców. Z tym samym nieśmiałym, lekko zawstydzonym uśmiechem na ustach.

Koncert skończył się i ludzie zaczęli wychodzić. Wstał i machinalnie wyszedł wraz z nimi. Na zewnątrz owionęło go chodne, wieczorne powietrze. Przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął w cieniu zamkniętego sklepu. Co to było? Co mu się przydarzyło? Nigdy nie miał skłonności do takich przeżyć.

Czekał jeszcze przez chwilę, mając nadzieję, że ona wyjdzie i że zobaczy ją jeszcze raz. Musiało być jednak jakieś inne wyjście, pewnie na dole, od strony skarpy, bo ani ona, ani nikt z pozostałych wykonawców się nie pojawił.

W końcu oderwał się od ciemnej ściany i ruszył w górę ulicy. Dopiero gdy zobaczył zegar na wysokiej wieży neogotyckiego ratusza, uświadomił sobie, że zupełnie zapomniał o czymś, na co dzisiaj przez pół dnia czekał. Zaklął głośno i pędem ruszył w kierunku rzeki, która była stąd całe szczęście bardzo niedaleko. W browarze nie było jednak już prawie nikogo. Nie było tam przede wszystkim człowieka, z którym się w nim umówił.

Ładnie, bardzo ładnie zaczął swoje śledztwo.

Obudził go dzwonek telefonu. Wczoraj późno zasnął; natłok myśli i obrazów nie pozwalał mu spać. Raz za razem, kompulsywnie przypominał sobie występ Wilczyńskiej, wszystkie jej gesty, dźwięk jej głosu, słowa tej niezwyklej piosenki o tak dziwnym, niepokojącym tekście. Próbował, a jakże, zanalizować swoją reakcję na to wszystko, próbował zrozumieć, co też tak poruszyło go w niej i co też tak przyciąga go w jej wykonawczyni. Nie dał rady, musiał zrezygnować, uznać swoją niemoc w tej materii. Może kiedyś, gdy nabierze do tego odpowiedniego dystansu? Tylko kiedy to nastąpi? Być może dopiero wtedy, gdy nie będzie to już miało żadnego znaczenia.

Zasnął więc późno, po trzeciej w nocy. Jedyne sukcesy, jakie odniósł, polegały na tym, że zwalczył w sobie chęć zjechania windą na dół i kupienia butelki Jacka Daniel'sa w blaszanej budzie z napisem „Alkohole 24 h”, której krzykliwy, jasno oświetlony szyld zauważył, gdy wracał.

Zwalczył ją jednak w ten sposób, że zaczął znowu myśleć o tamtej kobiecie. Zrozumiał wtedy, że zrealizował swój plan zastąpienia jednego nałogu innym, choć nie do końca w ten sposób, w jaki pierwotnie zakładał. Jego nowym nałogiem nie stały się bowiem cygara, papierosy, ani nic innego. Stała się nim ona – Agnieszka Wilczyńska, aktorka Teatru imienia Stefana Jaracza w Olsztynie.

Sięgnął po telefon. Po powiekami niewyspanych oczu czuł piasek. Głowa trochę go bolała; po części zapewne z wczorajszych emocji, po części zaś od tego mdłego zapachu brudnej wersalki, na której spał.



Spojrzał na wyświetlacz. Weronika. Odebrał.

– Halo – powiedział półprzytomnie.

– Komisarz Sądecki pyta, kiedy wreszcie zjawisz się w swojej nowej pracy. – Usłyszał jej głos. – Mamy dla ciebie umowę i, co cię może odrobinę bardziej zainteresuje, zaliczkę na poczet pierwszej pensji. Chętnie też dowiedzielibyśmy się, czy twoje działania przyniosły już jakiś efekt.

W jej głosie słysząc było lekko zniecierpliwione ponaglenie. Słyszając je, Rozłucki zrozumiał, że powinien zjawić się w komendzie jak najszybciej. Cichy gniew tej pozornie pozbawionej emocji kobiety bywał straszniejszy niż wybuch wściekłości kogoś innego.

– Tak – odpowiedział trochę już bardziej rozbudzonym głosem. – Ogarnę się trochę i zaraz przyjdę.

– Śpimy do dwunastej, co? – spytała z sarkazmem, który świadczył jednak o tym, że nie miał już tak do końca przerąbane. – Całkiem nieźle, jak na sekretarkę.

Rozłączyła się. Rozłucki wstał, poszedł do łazienki, wszedł do wanny i wziął szybki prysznic, opryskując przy okazji wszystko wodą. Powinien kupić tu jakąś zasłonkę, no i wymieć słuchawkę od baterii, z której woda leciała we wszystkich możliwych kierunkach. Tak, ta zaliczka naprawdę mu się przyda.

Wyszedł, wytarł się, ubrał i poszedł do kuchni zjeść śniadanie. Był całe szczęście jeszcze sok pomidorowy. Wypił więc szklankę i zjadł kromkę ciemnego chleba, zagryzając ją kawałkiem sera. Tyle powinno wystarczyć. Kawy napije się już na miejscu.

Wyszedł z mieszkania, zjechał windą na dół i ruszył w kierunku komendy. Noga całe szczęście po nocy prawie go już nie bolała. Idąc, zastanawiał się, jaki też jego działania przyniosły póki co efekt? No cóż, szczerze mówiąc żaden. Wczoraj miał szansę dowiedzieć się paru ciekawych rzeczy, lecz ją zmarnował.

Będzie więc musiał coś wymyślić. Naściemniać i pokręcić. Sprawić wrażenie, że jest potrzebny. Zrozumiał bowiem w nocy jedno: bardzo zależało mu na tej robocie. I to dokładnie z tego samego powodu, dla

którego wczoraj zawalił swoje pierwsze w niej zadanie.

Wszedł do pokoju komisarza Sądeckiego z lekko ściśniętym sercem. Już od progu zauważył, że komisarz jest wściekły.

– Cześć – powiedział do Rozłuckiego i wyciągnął dłoń na przywitanie.

Czyli jest wściekły, lecz całe szczęście nie na niego.

– Co słychać? – spytał lekkim tonem, siadając na krześle przed jego biurkiem.

– Gówno – wyrzucił z siebie komisarz. – Gówno słychać. I to z każdego możliwego kierunku.

– Coś się stało? – spytał.

– Masz coś dla mnie? – W tym pytaniu zawarta była w zasadzie odpowiedź.

– Niewiele – odpowiedział zgodnie z prawdą i niezgodnie ze swoimi wcześniejszymi planami. – Parę konfliktów, ale raczej tego rodzaju, jakie można pewnie znaleźć w każdej firmie. Związki zawodowe – dyrektor; dyrektor – odsunięty na boczny tor reżyser... Póki co nic, co miałoby odpowiednio duży ładunek emocji, by doprowadzić do zbrodni.

– Kurwa – skwitował to Sądecki.

– A u was?

– A u nas też „kurwa”. – Usłyszał za swoimi plecami głos Weroniki.

– Rano dostaliśmy pełny i oficjalny raport naszych techników. Jedno wielkie, wypisane na kilkudziesięciu stronach „nic”.

Odwrócił się w jej stronę. Stała w drzwiach, trzymając w rękach otwarty laptop.

– Kompletnie nic? – spytał.

Weszła do środka i postawiła komputer na biurku Sądeckiego.

– „Kompletnie” to jeszcze za łagodnie powiedziane.

Usiadła na krześle obok Rozłuckiego.

– Czy to znaczy – Rozłucki spróbował wejść w skórę kogoś, kim mimo wszystko nie był, czyli policjanta – że mamy do czynienia z profesjonalistą?

– Niekoniecznie – odparła Weronika.

– Niekoniecznie? – zdziwił się.

– Wszystko jest w tym raporcie – stuknęła lekko palcem w monitor laptopa – ale szef naszych techników wyjaśnił mi to w trochę bardziej przystępny sposób. Mogło oczywiście być tak, że morderca bardzo dobrze się zabezpieczył i nie zostawił żadnych śladów, ale mogło też być tak, że po prostu sprzyjały mu okoliczności.

– Jak to?

– Wszystko rozegrało się na wiadukcie kolejowym położonym kilkadziesiąt metrów nad ziemią – zaczęła wyjaśniać. – W momencie, w którym lokomotywa uderzyła w naszego błędnego rycerza, a zrobiła to z dużą prędkością i ogromną siłą wynikającą z jej olbrzymiej masy, wyzwoliła się bardzo duża energia. Pęd powietrza spowodowany hamującą masą pociągu w połączeniu z siłą uderzenia uniósł wszystko do góry na kilka nawet metrów. Wszystko – włosy, papierki, niedopałki, nawet drobne przedmioty – jednym słowem wszystkie ewentualne ślady. Tego wieczoru wiał wiatr. Niewielki, ale zawsze. Technicy i to sprawdzili – według stacji meteorologicznej na Dajtkach wiał on od Starego Miasta. Wszystkie ślady podniesione przez podmuch zostały więc zwiane w kierunku płynącej tam Łyny, parku i dwupasmowej ulicy przebiegającej niedaleko. Wiadukt jest wysoki, a z tamtej strony jest otwarta przestrzeń bez żadnych naturalnych czy sztucznych przeszkód. Obszar, na którym te ewentualne ślady mogły zostać rozrzucone, jest więc ogromny. Jeśli do tego dodamy jeszcze nurt rzeki, który mógł je zanieść teoretycznie aż do morza, odnalezienie czegokolwiek jest praktycznie niemożliwe.

– Aha – skwitował Rozłucki.

– Czyli mamy do czynienia z idealną ilustracją powiedzenia „szukaj igły w stogu siana” – z wisielczym humorem zauważył komisarz.

– A wasze przesłuchania nic nie dały?

– Niewiele – odpowiedziała Weronika. – W samym teatrze pracuje kilkadziesiąt osób. Do tego dochodzi jeszcze prawie dwadzieścia z Urzędu Wojewódzkiego – tych, którzy znali Grzegorza Kosteckiego

albo mieli z nim jakąkolwiek styczność. Plus rodzina, bo ich zawsze trzeba brać pod uwagę. Przesłuchaliśmy oczywiście ich wszystkich, ale niezbyt dużo to przyniosło. Nie odkryliśmy tak naprawdę niczego istotnego. Część z nich ma alibi, część nie, część ma, ale niepewne, ale co z tego, skoro nie mamy motywu? Nie wiemy, dlaczego ktoś miałby go zabić, ani z jakiego powodu.

– Do tego dochodzą problemy natury, że tak się wyrażę, politycznej – dodał z kwaśną miną komisarz.

– Jakie problemy? – spytał Rozłucki.

– Nawet, kurwa, nie zdajesz sobie sprawy, ile razy do mnie w tej sprawie dzwoniли! – Zgrzytnął zębami. – U starego – wskazał palcem sufit – byłem już trzy razy.

– Kto dzwonił? – spytał Rozłucki.

Komisarz spojrzał na niego, jakby był ostatnim naiwnym.

– Święty, kurwa, Mikołaj – odparł przez zaciśnięte zęby.

– I co chciał?

– Okazuje się, że pan Kostecki był ważnym członkiem miejscowych struktur aktualnie nam panującej partii. Do tego był bliskim przyjacielem szefa jej olszyńskiego oddziału, a obecnie posła i wiceministra. Gdyby się okazało, że zginął z powodu jakichś finansowych przekrętów, związanych na przykład z organizacją festiwalu, jego śmierć byłaby dla wszystkich wielkim kłopotem. Większym, jak się wydaje nawet, niż dla niego samego.

– Taka afera tuż przed wyborami, sam rozumiesz... – dodała Weronika.

– Wszyscy więc srają po nogach, a na kim to się skrupia? Na mnie!

– warknął komisarz. – Komendant ostatnio niemal mi zasugerował, że najlepiej by było, gdyby Grzegorz Kostecki zginął w wyniku przypadkowego napadu rabunkowego. A ty mi jeszcze mówisz, że nic dla mnie nie masz!

– No, może tak nie do końca nic... – powiedział, bo zrobiło mu się nagle tak po ludzku żal Sądeckiego.

– Masz coś? – Komisarz aż podskoczył na krześle.

– Na razie to nic wielkiego, nawet nie trop, raczej perspektywiczne źródło informacji.

W oczach komisarza pojawiła się nadzieja.

– Kto to jest? Mów!

– Jeden z pracowników teatru.

– Gadałeś z nim?

– Tak, ale tylko wstępnie. Nie chciał rozmawiać w teatrze. Twierdzi, że wie ciekawe rzeczy. Trudno powiedzieć, o co chodzi...

– Świetnie!

– Nie nastawiaj się specjalnie. To może nic wielkiego... – Rozłucki próbował się teraz wycofać.

– Nie mów tak do mnie nawet! – Komisarz już się zapalił. Wyglądał, jakby wróciło do niego życie. – Właśnie na coś takiego liczyłem! W tym zawsze byłeś dobry. Powęszyć, poniuchać, pogadać z jakimś miejscowym pijaczkiem... I nagle sprawa rozwiązana! Po to cię tu ściągnąłem!

– Poczekaj, Rafał... Na razie nie wiadomo, czy coś z tego w ogóle będzie...

– Kiedy z nim pogadasz?

– Spróbuję dzisiaj.

„O ile oczywiście będzie chciał ze mną w ogóle rozmawiać”, pomyślał.

Odnalazł go w magazynie dekoracji, ogromnym, wysokim pomieszczeniu tuż za sceną, oddzielonym od niej wielkimi, metalowymi drzwiami.

Pan Staszek przemaalowywał właśnie duże prostopadłością z białego koloru na czarny. W powietrzu unosił się przyjemny zapach farby.

– O, pan naukowiec! – przywitał go z wyraźnym wyczuwalnym dystansem w głosie. – Gdzież to pan się podziewał wczoraj wieczorem? Nigdy w życiu nie czekałem tyle na żadnego mężczyznę.

Z płaskiego, szerokiego pędzla oderwała się kropla i upadła na podłogę.

– Bardzo pana przepraszam – powiedział Rozłucki skruszonym tonem. – Coś mi w ostatniej chwili wypadło, a ponieważ nie wymieniliśmy się telefonami...

– Przypomniała mi się moja pierwsza, nieudana randka – ciągnął z ironią mężczyzna, jakby nie zwracał uwagi na to, co mówi Rozłucki. – Poczułem się znowu odrzucony i niekochany. Jak to się nazywa? Trauma?

Rozłucki podszedł bliżej.

– Szczerze powiedziawszy, nic mi nie wypadło. – Nagle postanowił wyznać prawdę. Jeśli zacznie teraz kłamać, a on to wyczuje, zniszczy raz na zawsze zaufanie między nimi i będzie się mógł pożegnać ze swoim „perspektywicznym źródłem informacji”. Szczerść, zwłaszcza taka, która odsłoni przed tym człowiekiem jego słabe strony, bardziej tu może pomóc, niż zaszkodzić. – Byłem na Starym Mieście

i trafiłem przypadkiem na pewien koncert. Tak się zasłuchałem, że straciłem zupełnie poczucie czasu.

Mężczyzna spojrzał na niego nieufnie.

– Jaki koncert? – spytał.

– Różni artyści śpiewali piosenki.

– W Baszcie?

– Gdzie?

– Klub się tak nazywa – Baszta.

– Nie wiem, taki brzydki budynek przy Łynie.

– Baszta. – Kolejna kropla spadła na podłogę. – Była tam Wilczyńska? – spytał.

– Tak.

– Śpiewała *Peonie*?

– Tak.

Pan Staszek wbił w niego swój nieruchomy wzrok. Wyglądało to tak, jakby zastanawiał się, co też o nim sądzić.

– Piękna piosenka – powiedział po chwili.

– Niezwykła – odparł Rozłucki. – Miałem nadzieję, że zaśpiewa coś jeszcze.

Mężczyzna mruknął coś pod nosem.

– No cóż – powiedział – jestem w stanie to zrozumieć. Nieobecność usprawiedliwiona.

– Czy to znaczy, że będziemy mogli jeszcze kiedyś porozmawiać? – spytał Rozłucki.

Mężczyzna spojrzał na niego spode łba.

– Pan chwilę poczeka. Skończę to i wyjdziemy na moment. I tak nic dalej nie zrobię, zanim to dziadostwo nie wyschnie. Tylko nigdzie mi tym razem nie zwiej.

Rozłucki odszedł trochę i przysiadł na starym, odrapanym krześle stojącym pod ścianą. Mężczyzna wrócił do malowania. Przyglądał się jego długim, pewnym pociągnięciom pędzla. Biała powierzchnia dwumetrowego klocka – zapewne jakiegoś elementu dekoracji – znikwała pokrywana świeżą, czarną farbą w bardzo szybkim tempie.

Nie minęło dwadzieścia minut, a robota była skończona.

Mężczyzna odłożył pędzel do kubeczka z rozpuszczalnikiem, zamknął wiaderko z farbą, ściągnął z rąk gumowe rękawice i powiedział:

– Chodźmy.

Wyszli przez te same wielkie, czterometrowe chyba, metalowe drzwi. Szli w milczeniu – mężczyzna z przodu, Rozłucki o krok za nim. Wyszli z teatru i ruszyli brukowaną ulicą na jego tyłach w dół. Minęli niewielką uliczkę prowadzącą do liceum na wzgórzu, gdzie kiedyś, wspólnie z Karoliną, próbowali rozwikłać zagadkę pewnego człowieka, który z bronią w ręku wkroczył do telewizyjnego studia w czasie programu na żywo. Postarał się nie patrzeć w tamtym kierunku. Zbyt wiele wspomnień musiałoby mu wtedy stanąć przed oczyma.

Całe szczęście poszli dalej. Potem, tuż przed Starym Miastem, skręcili w prawo. Po paru minutach doszli wreszcie do niewielkiej, raczej obskurnej knajpki z sympatycznym ogródkiem, z którego widać było Łynę.

Usiedli przy jednym z drewnianych stolików.

– Napiłbym się piwa – obwieścił mężczyzna. – Tylko tego czeskiego, z kija, nie polskiego.

Rozłucki wstał i wszedł do środka. Wnętrze knajpki było ciemne i prawie całe wyłożone drewnem. Mieli tu, o dziwo, całkiem dobry ekspres do kawy. Zamówił więc piwo i podwójne espresso. Po namyśle dokupił też paczkę marlboro. Jego towarzysz wyglądał na kogoś, kto pali.

Po chwili postawił przed mężczyzną piwo, a przed swoim miejscem filiżankę. Podwójne espresso okazało się być po prostu małą kawą. We Włoszech z takiej ilości wody zrobiliby ich dwadzieścia.

Usiadł i wyciągnął w kierunku mężczyzny paczkę, którą otworzył jeszcze w środku. Pan Staszek wyjął jeden z białych papierowych, wypełnionych tytoniem cylindrów i włożył go sobie do ust. Rozłucki dopiero teraz uświadomił sobie, że zapomniał o zapalnicze.



Mężczyzna zrozumiał to chyba, bo sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej mały, metalowy przedmiot. Otworzył go z cichym szcęknięciem i podpalił sobie papierosa. Rozłucki wyjął z paczki drugiego i nachylił się nad płomieniem. Zaciągnęli się niemal w tym samym momencie.

– Nie pijesz? – spytał mężczyzna, wskazując na miejsce przed Rozłuckim, gdzie powinno stać piwo, a stała jakaś głupia kawa.

– Staram się nie – odparł Rozłucki. – Miałem z tym ostatnio lekki problem.

Mężczyzna kiwnął głową ze zrozumieniem i sam wypił długi, bardzo długi łyk. Po chwili odstawił szklankę z głośnym westchnięciem.

– Szkoda – powiedział. – W taką pogodę to bardzo przyjemne.

Rozłucki spojrzał na pokrytą rosą szklankę. Przypomniały mu się wszystkie te imprezy na studiach, które rozpoczynały się właśnie w ten sam sposób – od piwa wypitego koło szesnastej. Potem było drugie piwo, potem trzecie, a potem już aż do nocy wódka. Wszystko przy tym samym stoliku, w tym samym ogródku. Komu to przeszkadzało?

Zamiast tego upił łyk ciemnej cieczy z filiżanki. Smakowała jak zalana wrzątkiem tania, zmielona kawa. Spojrzał na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stolika. On w tym samym momencie zerknął na niego. Obaj wiedzieli, po co tu przyszli, co wcale nie znaczy, że wiedzieli, co się za chwilę stanie i co z tego wyniknie. Oraz przede wszystkim żaden z nich nie wiedział, jak zacząć tę rozmowę.

Przez chwilę miał ochotę zadać temu człowiekowi pytanie, które zadałby, gdyby siedzieli teraz w jego gabinecie: „Co pana do mnie sprowadza?”. Zdawał sobie jednak sprawę, że tu zabrzmiałoby to sztucznie. Poza tym nie miał wcale ochoty wracać ani do tamtych pytań, ani do tamtych odpowiedzi.

Zaciągnął się jeszcze raz papierosem, po czym wypuścił powoli dym. Postanowił zacząć od czegokolwiek.

– Często pan tu przychodzi? – spytał.

Komisarz Sądecki patrzył na niego, kręcąc się na swoim obrotowym krześle.

– To, że pan dyrektor jest despota i że traktuje teatr jak swój folwark, to raczej niezbyt wielkie odkrycie – powiedział. – Na mieście mówi się o tym od dawna. Twój informator musi się trochę bardziej postarać.

– A czy mówi się na mieście, że pan dyrektor urządza nocą w teatrze prywatne imprezy, nie do końca, powiedzmy, artystyczne? – spytał Rozłucki.

Komisarz zatrzymał się w połowie ruchu.

– Nie, o tym się nie mówi – powiedziała Weronika.

– Jakiego rodzaju są to imprezy? – Komisarz natychmiast stał się bardziej czujny.

– Schemat jest zawsze ten sam: pan dyrektor i jeden – dwóch mężczyzn, jego znajomych, w tym jeden aktor z teatru. Oraz aktorki. Te młodsze.

– Takie buty... – Na twarzy Sądeckiego pojawił się niezbyt przyjemny uśmiezek.

– Dyrektor nazywa te imprezy „próbami”, ale raczej nie o próby w ścisłym znaczeniu tego słowa chodzi.

– Ruchają się? – spytał komisarz.

Rozłucki spojrział na niego z mieszaniną zdziwienia, dezaprobaty i podziwu. On sam nigdy by się nie zdobył na taki poziom bezpośredniości.

– Mój informator twierdzi, że chyba jednak nie, ale że w grę wchodzi coś o ewidentnie seksualnym podtekście – odparł.

– Widział to, był tam? – spytał rzeczowo komisarz.

Rozłucki pokręcił głową.

– Nie. O tej porze, a już zwłaszcza gdy planowana jest taka „próba”, nikt z pracowników nie może być obecny w teatrze. Z wyjątkiem oczywiście dyrektora i jego gości.

– To skąd o tym wie? – spytała Weronika.

– A skąd się wie takie rzeczy? Z plotek, niedopowiedzeń, podśmiejek, podsłuchanych strzępów rozmów, z jednego lub dwóch zdań powiedzianych za dużo. To małe, zamknięte środowisko, trudno w nim utrzymać coś w absolutnej tajemnicy.

– Ale może w takim razie jego rewelacje nie są do końca wiarygodne? – zauważyła Weronika. – Może wynikają z nadinterpretacji? Taki jest w końcu mechanizm plotki.

– Może. – Rozłucki wzruszył ramionami. – Przekazuję wam tylko to, co usłyszałem od niego. Sam nie jestem póki co w stanie tego zweryfikować. Parę rzeczy, które mi jednak opowiedział, brzmi dość wiarygodnie.

– Co na przykład? – spytał komisarz.

– Na przykład podsłuchana rozmowa między dwiema aktorkami, z których jedna mówi: „Ten chuj mnie znowu na dzisiaj zaprosił”. I mówi to prawie przez łzy.

– Wiadomo cokolwiek, co się na tych jego próbach wyprawia? – spytał Sądecki.

– Nie do końca. Ale pan dyrektor wspomniał coś podobno raz czy dwa o „przekraczaniu granic”. I o „gotowości do poświęcania się dla sztuki”.

– Co to może znaczyć? – spytała Weronika.

– Że sprawdza umiejętność przekraczania granic u aktorek i ich gotowość do poświęcania się dla sztuki.

– W jakim sensie? – spytał komisarz.

– Możemy się tylko domyślać – odparł Rozłucki.

– No to się, kurwa, domyśl.

– Może w grę wchodzi rozbieranie się albo odgrywanie erotycznych scen?

– Specjalnie dla pana dyrektora? – W głosie Weroniki dało się słyszeć obrzydzenie.

– Żeby mógł sprawdzić gotowość i umiejętność. – Komisarz Sądecki był z kolei raczej rozbawiony.

– Podobno te aktorki, które wykażą się obiema tymi cechami, mogą liczyć na lepsze role – dodał Rozłucki.

– A te, które się nie zechcą się nimi wykazać? – spytała Weronika.

– Grają ogony – odparł.

I to podobno był przypadek Wilczyńskiej. Ale tego już im nie powiedział.

To było naprawdę piękne przedstawienie. Zgromadzeni na Miejskiej Plaży w Olsztynie widzowie, siedzący na przyniesionych rozkładanych krzeselkach, albo po prostu na kocach rozłożonych na piasku, wpatrywali się z zachwytem w unoszącą się na wodzie kilka metrów od brzegu scenę, zbudowaną na dużej barce.

Zapadł już zmierzch, zbliżała się noc, nad jeziorem wschodził daleki, ogromny księżyc, odbijając się w gładkim lustrze wody i oświetlając jachty i łódki, na których również siedzieli widzowie.

Na scenie także nie brakowało światła. Duński teatr z niewielkiej miejscowości niedaleko Kopenhagi wystawiał sztukę własnego pomysłu, opartą luźno na mitologii nordyckiej. Aktorzy ubrani w fantastyczne zbroje i wymyślne rogate, skrzydlate i ogoniaste hełmy chodzili po scenie w tę i z powrotem, toczyli walki, czasami również śpiewali, a wszystko to w powodzi różnokolorowych reflektorów, świateł lasera i prawdziwego ognia wybuchającego raz za razem ze specjalnie przygotowanych w tym celu metalowych kadzi. I choć mówili w dziwnym, bulgoczącym języku, nikomu to nie przeszkadzało. Nikt też specjalnie nie wczytywał się w tekst tłumaczenia biegnący po ledowym pasku u dołu sceny, bo spektakl ten był tak olśniewający, tak angażujący wszystkie zmysły, że szkoda było na to czasu.

Gdy więc w krąg światła stworzony na wodzie przez księżyc wpłynęła kolejna łódka, nikt tego nie zauważył. Nikt, ani z widzów siedzących na plaży, ani z tych, którzy oglądali przedstawienie z wody, ani nawet z tych, którzy stali na drewnianych pomostach

pobliskiego kąpieliska, nie spojrzął nawet na ciemny kształt sunący powoli po tafli jeziora. Gdyby to zrobił, mógłby się zdziwić, bo na środku, między obiema poprzecznymi ławeczkami dość sporej, drewnianej łodzi było coś, czego nikt by się w tym miejscu nie spodziewał. Stało tam krzesło, w zasadzie tron, z wysokim oparciem i drewnianymi podłokietnikami, których końce rzeźbione były w kształty lwich głów, choć akurat tego szczegółu nie dostrzegłby zapewne nawet obdarzony najbystrzejszym wzrokiem obserwator. Dostrzegłby za to bez trudu, że na krześle, czy też tronie, ktoś siedzi. Ciemna ludzka postać z rękami równo ułożonymi na podłokietnikach i plecami sztywno przyklejonymi do oparcia. Postać nieruchoma, choć nie całkiem. Ruszała się bowiem jej głowa, kręcąc się na wszystkie strony i błyskając białkami przerażonych oczu.

Gdyby zaś ktoś wyciągnął szyję w tamtym kierunku i mocno natężył słuch, to w nielicznych przerwach między dobiegającymi ze sceny dźwiękami i muzyką usłyszałby zapewne stłumione jęki albo nawet krzyk dobywający się z niewidocznych ust. Byłoby to jednak bardzo trudne, krzyk ten bowiem był krzykiem tylko przez swą intensywność i zawarte w nim emocje, na pewno nie zaś przez swą donośność. Tę bowiem coś zdawało się ograniczać, nie pozwalając głosowi na pełne i nieskrępowane wydobywanie się z gardła.

Gdyby zaś ten ktoś, kto przecież tak naprawdę w tę stronę nie patrzył, bo podziwiał właśnie feerię światła i barw na pobliskiej pływającej scenie, przyjrzał się potem owej łódce dokładniej, dostrzegłby jeszcze coś dziwnego. Po obu jej stronach na całej długości obu burt przymocowane były do niej jakieś podłużne cienkie kształty zakończone czymś w rodzaju bulw. Kształty te przypominały kwiatostany pewnej rosnącej tu wśród trzciny rośliny, zwanej popularnie, a może i całkiem naukowo, pałką wodną. Te właśnie kwiatostany w pewnym momencie zapłonęły; tuż po tym, jak w niewielkim urządzeniu przymocowanym do dna łodzi przeskoczyła maleńka iskra elektryczna.

Nie zapłonęły jednak jednocześnie. Wyglądało to raczej, jakby

odpalały się jedne od drugich, połączone jakąś niewidzialną nicią. Gdy zapaliły się już wszystkie, ich światło wydobyło z mroku zarówno łódź, jak i krzesło i siedzącego na nim człowieka.

Można było wtedy zobaczyć, że jest on przywiązany do krzesła mocnym sznurem, a usta ma zaklejone szeroką, szarą, błyszczącą taśmą. Można było też dostrzec, że jego ubranie jest mokre, a oczy wpatrują się z panicznym wprost przerażeniem w płonące naokoło niego pochodnie.

Widowisko to było świetnie zsynchronizowane z tym drugim, dobiegającym właśnie końca na barce zacumowanej kilka metrów od brzegu jeziora. W momencie gdy tam aktorzy skończyli właśnie przedstawienie i zaczęli kłaniać się publiczności, tuż za nimi, tuż za ich plecami, choć kilkadziesiąt metrów dalej, zapłonęły pochodnie. Gdy w niebo wystrzeliły światła wszystkich reflektorów i laserów, obwieszczając koniec spektaklu, ogień z jednej z pochodni zaczął spęzać w dół po cienkim, płonącym sznurku i zbliżać się do przywiązanego do krzesła człowieka. W chwili, gdy zarówno reflektory, jak i lasery zgasły, doszedł on do skraju szaty siedzącej postaci. Wkrótce potem zarówno szata, krzesło, jak i cała łódź i oczywiście siedzący pośrodku niej człowiek zajęły się jasnym, silnym ogniem. Płomienie wystrzeliły w górę, ogarniając wszystko i ściągając wreszcie uwagę zarówno widzów na plaży, jak i tych pływających na jachtach.

Cała łódź stała się jedną, wielką, unoszącą się na wodzie pochodnią. Noc, która właśnie w międzyczasie ostatecznie zapadła, otuliła tę płonącą kulę ze wszystkich stron, podkreślając jeszcze imponujący rozmach tego widowiska. Wyglądało to tak, jakby na środku jeziora zapłonął ogromny stos. Stos pogrzebowy, choć tego akurat obserwujący go z zachwytem widzowie nie mogli przecież wiedzieć.

Wreszcie ogień przepalił deski poszycia i łódź zaczęła powoli nabierać wody. Przechyliła się lekko na jedną burtę, osiadła w kierunku dziobu, po czym z sykiem zaczęła pogrążyć się

w odmętach. Człowiek przywiązany do krzesła już wtedy nie krzyczał. Trudno powiedzieć, czy jeszcze żył. I czy widział przez kłęby pary wodnej i dymu, jak ku jego spalonym, pokrytym resztkami stopionej taśmy ustom zbliża się atramentowo czarna tafla jeziora.



Cały teren miejskiej plaży odgradzony był policyjną taśmą. Rozłucki przeszedł pod nią i ruszył w stronę stojących na brzegu komisarza Sądeckiego i Weroniki. Jeden z policjantów w mundurze zastąpił mu drogę, lecz komisarz gestem dłoni kazał mu odejść. Już po tym geście było widać, że Sądecki jest w nie najlepszym nastroju.

– Cześć – przywitał się Rozłucki.

– Cześć – odpowiedziała Weronika.

Komisarz się nie odezwał. Spoglądał ponuro w środek jeziora, gdzie na powierzchni wody unosił się ponton, z którego kilku pławonurków prowadziło akcję podnoszenia tego, co zostało ze spalonej łodzi.

– Jest źle? – spytał Rozłucki, mając na myśli bardziej chyba jednak komisarza, niż sytuację na tej urokliwej, zwłaszcza o tak wczesnej porze dnia plaży.

– Kurewsko źle – odparł komisarz. – Gość przywiązany do łodzi płonie na środku jeziora jak na jakimś wikingim pogrzebie, a patrzy na to połowa Olsztyna. Możesz sobie wyobrazić coś gorszego?

– Wiadomo już, kto to był?

– Jeszcze nie – odpowiedziała Weronika. – Wyciągnęli go i zawieźli, gdzie trzeba, ale zwłoki są w takim stanie, że trudno nawet powiedzieć na sto procent, czy to kobieta, czy mężczyzna.

– Raczej mężczyzna. – Usłyszeli za swoimi plecami głos. Człowiek, który do nich podszedł, miał trzydzieści kilka lat, lekko kręcone włosy do ramion i niewielką bródkę.

– Krzysztof Warecki – wyciągnął dłoń w kierunku Rozłuckiego. –

Robię tu za profilera.

– Pamiętam – odparł Rozłucki. – Poznaliśmy się przy okazji poprzedniej sprawy.

– Wiem, ale wolałem się przypomnieć. – Mężczyzna uśmiechnął się.

– Słyszałem, że pracuje pan już w naszej firmie?

– Tak, właśnie wczoraj podpisałem umowę.

– W samą porę jak widać.

To, że komisarz Sądecki nie wspomniał mimochodem przy tej okazji, że Rozłucki zatrudniony został na stanowisku sekretarki, potwierdzało tylko, że było z nim naprawdę niedobrze.

– Dlaczego pan sądzi, że to mężczyzna? – spytał Rozłucki.

– Patolog twierdzi, że świadczy o tym budowa szkieletu. Poza tym kobiet raczej nie zabija się w ten sposób. Przynajmniej nie w naszym kręgu kulturowym.

– Znowu spektakularne morderstwo i znowu podczas wydarzenia związanego z festiwalem... – zauważył Rozłucki.

Profiler pokiwał głową.

– Wszystko wskazuje na to, że mamy schemat. *Modus operandi* nie jest co prawda dokładnie takie samo, ale zgadza się, że tak powiem, co do idei. A to może świadczyć, że mamy tu seryjnego...

– Kurwa! – zaklął głośno Sądecki i odszedł gwałtownie parę kroków w bok. Już podczas poprzedniej sprawy Rozłucki przekonał się, że seryjny morderca jest jego najgorszym koszmarem.

– Jak on to znosi? – spytał Weronikę.

– Fatalnie – odpowiedziała. – Boi się, że urwą mu teraz łeb. Miał chyba cichą nadzieję, że tamta historia z wiaduktu już się nie powtórzy i że będzie mógł poczekać, aż sprawa przycichnie i umorzyć postępowanie, ale morderca chyba nie do końca orientował się w tych planach. Dobrze chociaż, że udało się póki co utrzymać to wszystko w tajemnicy...

– Utrzymać w tajemnicy? – zdziwił się Rozłucki. – Podobno pół miasta na to patrzyło...

– Ale wszyscy wzięli to za element odgrywanego właśnie

przedstawienia. Prawie dokładnie tak samo, jak w czasie poprzedniego morderstwa – wyjaśnił profiler. – Jego oprawa była bardzo dobrze dopasowana do tematu spektaklu. Tam mitologia nordycka, tu płonąca łódź jak z filmu o wikingach...

– Czyli morderca jest bardzo dobrze zorientowany w sprawach festiwalu – zauważył Rozłucki. – To zawęża chyba krąg podejrzanych.

– Niekoniecznie – odparła Weronika. – Informacje o przedstawieniach i ich dość dokładne opisy są ogólnie dostępne. Mógł sobie to przeczytać na stronie Urzędu Wojewódzkiego albo teatru.

– Jeszcze jakieś wnioski? – spytał Rozłucki.

– Na razie tylko takie, że morderca jest dość sprawny fizycznie – odparł Warecki. – Musiał wypłynąć tą sporą łodzią na środek jeziora, używając tylko wiosł, a potem wrócić wpław. I to w nocy. Poza tym lubi ogień. Poprzednim razem były sztuczne ognie, a teraz płonąca łódź. Może to świadczyć o skłonnościach do piromanii, choć z drugiej strony nie wydaje mi się, żeby ogień był mimo wszystko jego głównym celem.

– Wiadomo już, jak to podpalił?

– Jeszcze nie. Wszystko najpierw spłonęło, a potem zatoneło – odpowiedziała Weronika. – Jezioro ma w tym miejscu kilka metrów głębokości. Poszukiwania śladów nie będą łatwe...

– Znów jak poprzednim razem – zauważył Rozłucki.

– Sprytny facet – pokiwał głową z uznaniem profiler.

– Albo kobieta – powiedziała Weronika.

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

– Zarówno sprawność fizyczna, jak i zamiłowanie do ognia świadczą przeciwko temu. Dziewięćdziesiąt procent piromanów to mężczyźni. Podobnie jest z seryjnymi mordercami...

– Wiem, wiem – przerwała mu Weronika. – Tylko skąd wiemy, że to seryjny?

Profiler popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Mamy dwa trupy i podobny schemat, czego chcesz więcej?

– Może to dwa elementy tej samej sprawy? Podwójne morderstwo, a nie seryjne.

– Nie dowiemy się tego, póki nie sprawdzimy, kim była ofiara – zauważył Rozłucki.

– No to musimy poczekać – powiedziała Weronika. – Stan zwłok skutecznie uniemożliwia identyfikację.

– Wiadomo już, skąd była łódź? – spytał Rozłucki.

– Z tamtej przystani. – Weronika wskazała głową marinę po drugiej stronie jeziora. – Była dość stara i rzadko już używana, dlatego stała zacumowana prawie na końcu, przy trzcinach. Mógł ją odczepić dziś w nocy, ale równie dobrze wczoraj albo dwa dni temu. Gdy pytałam pracowników, kiedy ją ostatnio widzieli, nie byli mi w stanie odpowiedzieć.

– Znalezliście tam jakieś ślady?

– Nasi jeszcze tam szukają, ale znowu – nie sądzę. Łódź nie była przymocowana do pomostu, ale do palika wbitego w dno jeziora. Z wody trudno zdjąć jakieś ślady.

– Dobrze to wszystko przemyślał. – Profilera po raz kolejny wyraził swoje uznanie.

– No dobrze – powiedział Rozłucki. – Ale skoro nie ma tam pomostu, to raczej nie załadował swojej ofiary na łódź tam.

– Raczej nie – zgodziła się Weronika. – Musiał to zrobić gdzieś indziej. Tym bardziej, że na przystani jest nocny stróż i tak wielkie zamieszanie musiałyby chyba zauważyć. Nasi ludzie przeszukują już brzeg jeziora. Tylko trochę to potrwa. To spory akwen.

– Potrzebował do tego jakiegoś pomostu. Nie może ich chyba być tu aż tak wiele...

– To byś się zdziwił. Oprócz dużych pomostów na różnego typu przystaniach są jeszcze dziesiątki małych budowanych przez wędkarzy.

– Poza tym wcale niekoniecznie potrzebował pomostu – zauważył

profiler. – Wystarczyłaby mu mała zatoczka na uboczu albo kawałek niezarośniętego trzcinami brzegu. Pływam tu dość często. To duże jezioro i bardzo rozgałęzione. Linia brzegowa jest długa i takich miejsc jest tu mnóstwo. A ta łódź nie miała dużego zanurzenia, więc można było nią przybić praktycznie wszędzie.

Komisarz Sądecki wrócił w tym momencie ze swojego wygnania. W rękę trzymał telefon.

– Wiemy już, kto to – powiedział. – Wiesław Lamek. Prawdopodobnie. Aktor naszego teatru. Lat pięćdziesiąt sześć. Żona zgłosiła właśnie zaginięcie. Nie wrócił na noc do domu po wczorajszym przedstawieniu. Nigdy wcześniej mu się to podobno nie przytrafiło. Musimy oczywiście jeszcze poczekać na analizę DNA, ale to raczej na pewno on.

Poszli na kawę do niewielkiego baru znajdującego się w ładnym, nowym, drewnianym budynku przy plaży. Była całkiem niezła, bo z ekspresu ciśnieniowego. On, komisarz i profiler. Weronika miała do nich dołączyć za chwilę.

Usiedli na wystawionych na zewnątrz metalowych krzesłach. Rozciągał się stąd piękny widok na jezioro i – trochę mniej piękny – na ogrodzone policyjnymi taśmami miejsce zbrodni.

Policyjni płetwonurkowie co i raz znikali pod powierzchnią wody. Próby podniesienia spalonej łodzi w całości póki co skończyły się niepowodzeniem. W najbliższej okolicy nie było odpowiedniego do tego sprzętu. Pływający dźwig trzeba by sprowadzić aż z Gdańska i nie wiadomo, na kiedy mógłby dotrzeć. Próba wyciągnięcia łodzi z brzegu musiałaby się zaś skończyć poważnym jej uszkodzeniem, a co za tym idzie ewentualną utratą ważnych śladów. Płetwonurkowie kombinowali więc naprędce jakieś prowizoryczne rozwiązanie. Pływająca scena, ciągle jeszcze zacumowana przed plażą, miała służyć za platformę dla zwykłego, niewielkiego dźwigu. Problemem było tylko to, jak niby miałby on na nią wjechać?

Komisarz Sądecki przypatrywał się temu z mieszaniną zniechęcenia i irytacji w oczach.

– Prędko raczej nie skończą – powiedział ponuro. – A ja już miałem trzy telefony w tej sprawie.

Westchnął i zgrzytnął zębami. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

– I dwa od żony – dodał. – Ciągle jeszcze aktualnej. W innej, lecz

nie mniej, kurwa, niecierpiącej zwłoki sprawie. Muszę chyba zdać służbową broń, bo jak tak dalej pójdzie, prędzej czy później się z niej zastrzelę.

Wyciągnął paczkę w stronę mężczyzn. Warecki odmówił ruchem głowy, Rozłucki wziął sobie jednego. Zauważył mimochodem, że zrobił to z wyraźną przyjemnością.

– No i co wy o tym myślicie? – spytał komisarz. – Płacę wam obu, bo podobno jesteście mądrzy. Udowodnijcie to. Pan, panie sekretarko? – zwrócił się do Rozłuckiego.

Sądeckiemu wracał więc powoli humor, na razie w postaci sarkazmu.

– Zastanawiam się nad jedną rzeczą... – zaczął Rozłucki.

– Jaką? – zainteresował się profiler.

– Czy to, że oba morderstwa zostały wzięte przez ich obserwatorów za elementy odgrywanych właśnie przedstawień i w związku z tym nikt nie domyślił się ich prawdziwej natury, było efektem założonym przez zabójcę, czy wręcz przeciwnie, było to dla niego zaskoczeniem?

– Oba były mocno dopasowane formą do tych przedstawień, zwłaszcza to drugie, nie można więc chyba mówić przypadku – zauważył Warecki.

– Nie o to mi chodzi – odparł Rozłucki. – Raczej o to, czy morderca spodziewał się, że uda nam się je utrzymać w tajemnicy.

– Myślisz, że mógł się spodziewać? – spytał komisarz.

– No właśnie nie wiem. Ale od tego, czy tak było, czy nie, zależy bardzo wiele.

– Na przykład co?

– Na przykład motyw.

– Jeśli to seryjny morderca – komisarz splunął na pomost – motyw może być tylko jeden: jest jebnięty.

– No właśnie. Jeśli to seryjny morderca, to utrzymanie tego w tajemnicy musiałyby być dla niego nieprzyjemnym zaskoczeniem. Nie po to dokonał takich spektakularnych zabójstw, by nikt się o nich nie dowiedział. Jeśli tak jest, zabije jeszcze raz, w jeszcze

bardziej widowiskowy sposób. Tym razem tak, żeby nie było już żadnych wątpliwości i by nie udało nam się tego ukryć.

– Według mnie to raczej pewne. Może być jakaś inna możliwość? – spytał profiler.

– Można ją sobie w każdym razie wyobrazić.

– No to jestem jej cholernie ciekaw. – Komisarz Sądecki dał wyraz swojemu sceptycyzmowi.

– Może morderstwa miały pozostać niezauważone.

– Niezauważone? Przecież to bez sensu. Po co?

– Po to, żeby być elementem nacisku.

– Na kogo?

– Na dyrektora. Albo na Urząd Wojewódzki.

– Jak zwykle kombinujesz – zauważył komisarz. – Jak koń pod górkę.

Usłyszeli za swoimi plecami kroki. Po pomoście, stukając szpilekami, szła w ich stronę Weronika.

– Do tej pory dobrze wychodził mi na tym jego kombinowaniu – powiedziała, przysuwając sobie od sąsiedniego stolika krzesło.

– Ty też tak uważasz? – zdziwił się komisarz.

– Nic nie uważam. – Usiadła. – Po prostu trzeba brać pod uwagę różne możliwości.

– Myślę, że powinniście sprawdzić, czy nikt pana dyrektora nie szantażuje – powiedział Rozłucki.

– Szantażuje? – Komisarz sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz puknąć się w czoło. – Dyrektora? Myślisz, że ile on zarabia? No, na pewno parę razy więcej ode mnie, ale kokosy to jakieś nie są. Przynajmniej w porównaniu z kilkoma naszymi przedsiębiorcami. Gdybym chciał kogoś szantażować, to raczej wybrałbym któregoś z nich.

– Może więc nie chodzi wcale o pieniądze?

– To o co?

– Nie wiem. To wszystko jest silnie związane z teatrem. Te morderstwa są bardzo teatralne. Może więc chodzi o jakieś



niezrealizowane ambicje?

– Jakie ambicje?

– Artystyczne. Zabójca inscenizuje swe zbrodnie niemalże jak fragmenty przedstawień.

– Czyli co? – spytała Weronika. – Robi to jakiś aktor, bo pan dyrektor nie daje mu głównych ról?!

– Na przykład. Nie mówię, że tak jest, ale nie skreślałbym już na wstępie podobnej motywacji.

– A ty, pożał się Boże, profilerze? – Komisarz był coraz bardziej poirytowany. – Też tak myślisz?

Mężczyzna musiał być przyzwyczajony do podobnych odzywek, bo nie mrugnął nawet okiem.

– Ja uważam od początku, że w grę może wchodzić zemsta.

– To się nie musi wykluczać – zauważyła Weronika. – Motywacja może być przecież taka, jak powiedział Zygmunt.

„Zygmunt”? Chyba pierwszy raz, odkąd się poznali, nazwała go jego imieniem.

– To w końcu kto to jest? – Komisarz był już naprawdę zły. – Seryjny morderca czy sfrustrowany, pałający żądzą zemsty aktor?

– Jeden albo drugi – odparł Rozłucki. – Albo i to, i to.

– Nie zapominajmy też o wątku jakichś rozliczeń związanych z przekrętami przy festiwalu – dodała Weronika. – To moim zdaniem też jest bardzo ciekawa opcja.

– Może właśnie z tym są związane te ewentualne naciski? – powiedział Rozłucki. – Może ktoś w ten sposób chce wpłynąć na pana dyrektora, żeby wywiązał się ze swoich zobowiązań?

– Pogadam z ludźmi z urzędu skarbowego – pokiwała głową Weronika. – Niech naślą na teatr kontrolę. Może coś wykaże?

– To albo to, albo jeszcze sro – sapnął komisarz. – No to żeście mi pomogli...

– Prawda jest taka, że póki nie znajdziemy jakiegoś konkretnego tropu, możemy sobie gdybać w nieskończoność – powiedziała Weronika.

– A właśnie, nasze szambonurki nie znalazły tam czegoś? – zwrócił się do niej komisarz.

Weronika skinęła głową.

– Wyciągnęli zapalnik. Czy też raczej to, co z niego zostało.

– I co?

– Prosty mechanizm wykorzystujący telefon komórkowy. Talibowie robią w ten sposób bomby w Afganistanie.

– Czyli jednak coś mamy – ożywił się komisarz. – Można do niego dotrzeć przez kartę SIM. Teraz rejestruje się nawet takie prepaidowe.

– Nie było żadnej karty SIM. Musiał jakoś to obejść.

– Skurwysyn... – jęknął komisarz.

– A całość jest tak spalona i do tego zalana wodą, że wątpię, czy coś nam się uda z tego wyciągnąć.

Pana Staszka nie było w teatrze i nikt nie wiedział, kiedy przyjdzie. Jak wytłumaczyła mu pani w portierni, czasami wychodził, by kupić jakieś materiały potrzebne do budowy dekoracji lub do stworzenia któregoś z rekwizytów, a czasami po prostu znikał na parę godzin bez przyczyny. Nikt mu jednak nie robił z tego powodu wyrzutów, bo innym razem z kolei zostawał do późna i zawsze wykonywał wszystkie prace na czas.

W teatrze panowała nie za miła atmosfera. Wszyscy byli wyraźnie przygnębieni. Rozmowy, które słyszał, prowadzone były przyciszonym, poważnym tonem. Ludzie, których mijał, rzucali mu ukradkowe, niezbyt przyjazne spojrzenia.

Trudno się było temu dziwić. O ile bowiem poprzednia śmierć pracownika Urzędu Wojewódzkiego musiała być dla nich zaledwie niezbyt przyjemną ciekawostką, o tyle śmierć jednego z członków ich małej społeczności musiała nimi wstrząsnąć do głębi. Kula trafiła kogoś idącego obok. Przeżycie takiej śmierci staje się czymś o wiele bardziej osobistym i w nieunikniony sposób przywołuje myśli na temat własnej śmiertelności. A to już jest temat, który nikogo nie pozostawia obojętnym.

Rozłucki poszwendał się więc trochę po teatrze, zaszedł znowu na chwilę do bufetu – atmosfera była w nim jednak tak gęsta, że zrezygnował z jakichkolwiek prób nawiązania rozmowy – na koniec zaś trafił po raz kolejny przed dużą salę, gdzie, jak usłyszał, coś się właśnie działo.

Otworzył cicho podwójne drzwi i zajrzał do środka. Głosy dobiegały

ze sceny, gdzie znowu trwała próba i to tej samej sztuki, co poprzednio. Żołądek zacisnął mu się niczym pięść, na scenie bowiem stała ona. Ona i jeszcze dwie inne osoby, których twarze były rozmazane i kompletnie nieistotne.

Wszedł do środka najciszej jak potrafił i starając się pozostać niezauważonym, usiadł na samym końcu sali, w ostatnim rzędzie tuż pod ścianą. Dopiero tu zdołał się trochę uspokoić. Dlaczego ta kobieta tak na niego działała? Musiał być ku temu jakiś powód i to niekoniecznie związany z nią. Coś tam, w jego wnętrzu, wyrywało się na zewnątrz, a ona była tylko tego detonatorem. Wiedział o tym, lecz nie potrafił, ale też nie chciał teraz tego analizować. Teraz chciał tylko na nią patrzeć. Na to, jak mówi, jak się rusza i co robi. Sprawiało mu to dziwną, bolesną przyjemność.

Stała na środku sceny i tym razem chyba go nie dostrzegła. Na jej twarzy malowało się wzburzenie, które – czuł to w jakiś podskórny sposób – nie było wyłącznie odgrywaną na potrzeby przedstawienia emocją. Obok niej stał starszy, lecz dość przystojny aktor, którego nigdy dotąd nie widział, z boku zaś sceny przykucnął, opierając łokcie o kolana, mężczyzna, którego już kojarzył z poprzedniej próby – reżyser z ciemną brodą i niewielką łysiną na czubku głowy.

– Jeszcze raz – powiedział. – Od tego samego momentu.

Starszy aktor zwrócił się w kierunku Wilczyńskiej i zaczął mówić. Grał dobrze, poprawnie, choć z drugiej strony miało się wrażenie, że nieco deklamuje. No, ale była to w końcu dopiero próba.

– Słuchaj – powiedział. – Zdaję sobie sprawę, że nie zaprosiłaś mnie tu po to, żeby rozgrzebywać te stare rany, ale nigdy tak naprawdę sobie tego nie wyjaśniliśmy. Powiedziałaś „to koniec”, a ja powiedziałem „okej”...

– To nie było to słowo – odpowiedziała Wilczyńska.

– Przepraszam. I za to, co potem robiłem, też.

– Ledwo udało mi się skończyć studia.

– Dziwnie jest przypominać sobie, jakim się było skurwielem.

– Ja też się sobie dziwię z tamtych czasów.

– Jeden jedyny raz w życiu tak zareagowałem. Musiało mi na tobie bardzo zależeć.

– Wolałabym, żeby nikt mi już więcej nie okazywał w ten sposób uczuć.

– Wiem, że nie mogę cię w tej sytuacji o nic prosić, ale niech to będzie zapłata za moją wizytę. Dlaczego to wtedy skończyłaś?

– Bo zrozumiałam, że nie mogę liczyć na nic więcej.

– Więcej niż co?

– Niż romans z wykładowcą.

– A chciałaś czegoś więcej?

– Chciałam mieć rodzinę, dzieci. Byłam gotowa mieć je z tobą.

– Wiesz, czasami mam wrażenie, że moje życie zatrzymało się w tamtym momencie. Wtedy, gdy ode mnie odeszłaś. Że od tego czasu nie zdarzyło się w nim nic istotnego.

– Czasami też mam takie wrażenie.

– Słuchaj...

– Idź już.

– Agnieszka...

– Proszę. Do tego nie ma już powrotu.

– Czyżby? Naprawdę tego właśnie wszystkiego chciałaś? Tej głupiej pracy i nudnego życia?

– Tak. Tego właśnie chciałam.

– Może się pomyliłaś?

– Nie wiem, może...

– To ciągle jest w tobie. Da się do tego jeszcze wrócić. Nie masz wrażenia, że twoje prawdziwe życie jest gdzie indziej?

Zapadła cisza. Starszy aktor wpatrywał się w Wilczyńską, jakby czekał na jej kolejną kwestię. Ta jednak nie padała.

– O co chodzi? – spytał reżyser.

Wilczyńska nie odpowiedziała. Wpatrywała się teraz w jakiś punkt nad głową Rozłuckiego. Usta miała lekko zaciśnięte.

– No, słucham? – Reżyser ponowił pytanie. – Co się dzieje?

– Po prostu...

– Tak?

– Po prostu uważam, że nie powinno załatwiać się w ten sposób swoich prywatnych spraw.

Starszy aktor uniósł ręce i odszedł parę kroków w bok.

– O co ci chodzi? To tylko sztuka. – Reżyser udał zdziwienie.

– Z nieprzyjemnie wieloma akcentami odnoszącymi się do naszej przeszłości – odpowiedziała Wilczyńska.

– To takie dziwne, że autor wykorzystuje w swojej twórczości elementy autobiograficzne?

– Nie, ale jest tu również bardzo wiele elementów z mojej biografii.

– Tak się składa, że przez jakiś czas nasze biografie były dość mocno splecione.

– I dlatego czuję się dość niekomfortowo, grając to teraz na scenie. Mogłeś chociaż zmienić jej imię!

– Jesteś aktorką, powinnaś umieć się od tego odciąć.

– Być może umiem, ale nie chcę. Dlaczego zmuszasz mnie, żebym w tym grała?

– Do niczego cię nie zmuszam. Dyrektor cię w tym obsadził.

– Nie mów mi, że sam na to wpadł.

– Powinnaś się cieszyć, wreszcie masz pierwszoplanową rolę. Ostatnio nie było z tym chyba za dobrze, prawda?

– Czym ty go w zasadzie przekonałeś, że pozwolił ci wystawić swoją własną sztukę i jeszcze obsadzić w niej, kogo ci się żywnie podoba?

Masz na niego jakiegoś haka czy co?

– Widocznie poznał się wreszcie na moim talencie.

– Nie obraż się, ale nie ma się na czym za bardzo poznawać.

– Słuchaj, po prostu to graj. To jest sztuka, wystawiamy ją, a ty w niej grasz. I tyle. A twoje negatywne emocje pomogą ci tylko zbudować rolę.

– Dupek!

– Przepraszam bardzo! – odezwał się starszy aktor z głębi sceny. – Czy moglibyśmy zacząć pracować? Mam na trzynastą przedstawienie w szkole, chciałbym na nie zdążyć.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz iść już teraz – powiedziała Wilczyńska i szybkim krokiem zaczęła zmierzać w kierunku zejścia ze sceny.

– Agnieszka! – Reżyser wstał wreszcie ze swojego przykucu.

Odpowiedzią był niezbyt uprzejmy gest wykonany w jego kierunku.

– Agnieszka! Wracaj! To twoja praca!

– Wał się! – powiedziała pod nosem, na tyle jednak głośno, że usłyszał to Rozłucki, a zapewne także i cała reszta.

Wilczyńska zeszła ze sceny, prawie przebiegła przejściem między rzędami i wyszła przez te same drzwi, przez które wszedł Rozłucki.

– To znaczy, że mogę już iść, tak? – spytał starszy aktor.

Reżyser nie odpowiedział. Zaklął niezrozumiale, acz bardzo gwałtownie i wyszedł za kulisy.

– To chyba znaczy, że mogę – odpowiedział sam sobie aktor i również poszedł w tamtym kierunku.

Rozłucki został sam. Przez chwilę bił się z myślami, w końcu jednak wstał i wyszedł, a w zasadzie wybiegł w ślad za Wilczyńską.

Nie wiedział, dokąd poszła, ale obstawił główne wyjście. Nie pomylił się. Stała na schodach, wpatrując się w przejeżdżające dołem samochody. Widać było, że jest bardzo wzburzona.

Zatrzymał się pół kroku za nią, niepewny, co teraz zrobić. Odwróciła się w jego stronę.

– O, pan naukowiec – powiedziała obojętnym tonem. – Widział pan to wszystko?

– Tak – odpowiedział.

– Tym razem nie odegrałam tego specjalnie dla pana.

– Wydaje mi się, że poprzednim razem byliśmy na „ty” – przypomniał jej.

– No to już nie jesteśmy – odparła oschle.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Stał więc tam jak słup soli, zastanawiając się tylko, czy powinien odejść teraz bez słowa, czy też raczej powiedzieć coś głupiego na pożegnanie. Spojrzała na niego po chwili.

- Mam ochotę się czegoś napić - powiedziała znacznie już łagodniej. - Idziemy?



Trafili do tej samej knajpy, w której dwa dni temu rozmawiał z panem Staszkiem; usiedli nawet przy tym samym stoliku. Dziwna sprawa, gdy był tak blisko niej, nie odczuwał tak silnie tych wszystkich emocji, których doświadczał, gdy oglądał ją na scenie. Teraz wydawała mu się zupełnie zwykłą, nawet nie aż tak bardzo oszałamiająco piękną kobietą. Może właśnie o to w tym wszystkim chodziło? Mężczyźni w końcu od wieków zakochiwali się w aktorkach. „Psychologia widowiska” – przypomniał sobie temat swojej wymyślonej habilitacji. Był to niewątpliwie jeden z jej elementów.

Ale to w sumie dobrze. Musi z nią w końcu porozmawiać i wypytać o parę rzeczy. A nie byłby w stanie tego zrobić, gdyby miał jelita zaciśnięte w węzeł, jak to było jeszcze niedawno, gdy podglądał ją w czasie próby.

– Czego się pani napije? – spytał.

– Żartowałam – odpowiedziała. – Możemy sobie mówić na „ty”.  
Przepraszam, byłam trochę zdenerwowana.

– Czyli jednak nie żartowałaś – zauważył z uśmiechem.

– Masz rację, nie żartowałam. Dostałeś, można powiedzieć, rykoszetem.

– To czego się napijesz?

– Piwa. Mają tu takie miodowe, w butelce.

Poszedł do baru. Czekał na zamówienie, oparł się plecami o kontuar i przypatrywał jej się przez otwarte drzwi. Siedziała na krześle z nogą założoną na nogę i sprawdzała coś w telefonie.

Odrobinę zbyt rzadkie włosy opadały jej na twarz. Znów złapał się na tym, że nie może przestać na nią na patrzeć. Zmienił zdanie – nie, nie była wcale zwykła. Było w niej coś, coś co dalece przekraczało pospolitą, konwencjonalną urodę. Wręcz przeciwnie – pewne jej mankamenty tylko dodawały jej uroku. Choć może nie, nie uroku – głębi. Głębia to było dobre słowo. Sama jej twarz była już opowieścią.

Odebrał piwo i swoją kawę i zaniósł je do stolika. Kupił też paczkę papierosów. Tym razem wybrał camele. Jego nowy nałóg zdobywał go, można powiedzieć, szturmem.

– Tylko kawa? – spytała.

– Tak – odpowiedział. – Zaliczyłem parę miesięcy temu izbę wytrzeźwień. I burdel. Obu tych miejsc wolałbym już nigdy więcej nie odwiedzać.

W sumie nie wiedział, dlaczego jej to powiedział. Naprawdę. Choć może nie było to takie złe. Odsłaniając się przed nią tak bardzo, ma szansę wzbudzić w niej zaufanie. I sprawić, że odwzajemni mu się równie osobistymi wyznaniemami.

Otworzył paczkę papierosów i wyciągnął jednego. Zapalił go i zaciągnął się.

– Niezła awantura – powiedział, wydmuchując dym.

– Przepraszam, trochę mnie chyba poniosło.

– Mnie nie musisz, podobało mi się.

Wypiła łyk piwa.

– Przesadziłam, wiem o tym. To nie do końca była jego wina.

– Reżysera?

– Tak. W jednym miał rację: miał święte prawo coś takiego napisać, a ja powinnam umieć się od tego odciąć. Tak naprawdę to wszystko wina Łysego.

– Dyrektora? – domyślił się.

Kiwnęła głową.

– Wie, że było coś kiedyś między nami, i wie, że on ciągle czegoś ode mnie chce. Specjalnie więc obsadził mnie w jego sztuce, żeby

patrzeć, jak się żremy. Pewnie siedział na górze na balkonie na tym swoim ulubionym miejscu i aż zacierał ręce z uciechy.

– Sprawiają mu przyjemność takie rzeczy?

– O, to na pewno! Ale ma też do tego dorobioną teorię. Uważa, że osobiste emocje aktorów pomagają budować napięcie między postaciami w spektaklu. Nie obchodzi go, jakie to niszczące emocjonalnie.

– Wszystko dla sztuki?

– Daj jednego. – Wyciągnęła rękę w stronę paczki cameli.

Podał ją jej, a potem szarmancko podpalił papierosa. Z przyjemnością obserwował, jak się zaciąga.

– Takie rzeczy możesz robić – wydmuchała dym – kiedy dotyczą one ciebie. Wtedy to jest uczciwe. Grzebiesz sobie kijem w bebeczach, czasami niebezpiecznie balansując między życiem osobistym a zawodowym, i odnajdujesz tam potrzebną emocję. Ale nie wolno tego robić komuś innemu.

– On tak robi?

– Żebyś wiedział. Gdy widzi jakiś konflikt w zespole, zamiast go gasić, jeszcze go podsyca, a z pokłóconych śmiertelnie aktorów robi parę protagonistów w sztuce. Jestem prawie pewna, że czasami sam te konflikty wywołuje.

– Aż tak?

– Gdyby nie to, ani ja nie dostałabym tej roli, ani Krystian...

– Ten reżyser?

– Tak, ten reżyser, nie dostałby szansy, żeby wystawić swoją sztukę. Oboje nie należymy, oględnie mówiąc, do jego ulubieńców.

– Dlaczego?

– Krystiana uważa – niestety, raczej słusznie – za miernego reżysera. Woli sam reżyserować albo ściągać swoich kolegów z Warszawy.

– A ciebie, dlaczego nie lubi?

Przez chwilę nie odpowiadała. Wypiła łyk piwa.

– Nie podporządkowuję mu się tak, jak inni.

– Dlatego grasz ogony?

Spojrzała na niego uważnie.

– Widzę, że pan psycholog już z kimś o mnie rozmawiał. Z kim?

– Z panem Staszkiem. Wydaje się cię szanować.

Uśmiechnęła się.

– Jak z nim, to w porządku. To jedna z niewielu osób w tym teatrze, z którą mam w miarę normalny kontakt. Może dlatego, że nie musimy z sobą konkurować ani nic sobie udowadniać. Pomaga mi czasem.

– W teatrze?

– Raczej w domu. Samotna kobieta mieszkająca w kawalerce z lat siedemdziesiątych i jeżdżąca piętnastoletnim gruchotem ciągle potrzebuje pomocy. A to porządny chłop. I wszystko potrafi naprawić.

– Właśnie sam przeprowadziłem się do kawalerki z lat siedemdziesiątych – powiedział. – Może i mi pan Staszek kiedyś pomoże?

– Widzę, że mamy z sobą wiele wspólnego. – Uśmiechnęła się.

To ostatnie zdanie, wypowiedziane raczej niezobowiązującym tonem, spowodowało jednak niespodziewany wyrzut endorfin w mózgu Rozłuckiego.

– A gdzie mieszkasz? – spytał.

– Nie wyjawiam takich tajemnic na pierwszej randce – odparła z szelmowskim półuśmiechem, a w jego mózgu znowu się zakotłowało.

– Dokładnie rzecz biorąc, to już druga – odpowiedział. – Pierwsza była na ławeczce przed teatrem.

– No tak, faktycznie, mój błąd – zaśmiała się. – Mieszkam niedaleko, w tym brzydkim, długim budynku pod drugiej stronie 1 Maja. Naprzeciwko ratusza.

– Masz blisko do pracy.

– Czasami chciałabym mieć bardzo daleko...

Wracał do domu, unosząc się dwa centymetry nad ziemią. Był oszołomiony, podekscytowany i niemal szczęśliwy. Z Karoliną – nie, nie będzie sobie jej teraz przypominać – nigdy tak się nie czuł. Oczarowany tym spotkaniem, rozmową z tą kobietą; tym dziwnym, niezwykłym, porzeczkowym jakby zapachem unoszącym się wokół niej, zapomniał oczywiście spytać ją o najważniejsze – o wieczorne próby w teatrze i o jej kolegę z teatru, któremu ktoś wyprawił pogrzeb na środku jeziora. Nic to. Nie szkodzi. Będzie miał przynajmniej pretekst, by znowu się z nią spotkać. Teraz wszystkie takie preteksty będą na wagę złota.

I tak dowiedział się wielu ciekawych rzeczy. Pan dyrektor jawił się jako coraz bardziej nieprzyjemna postać. Rozłucki podskórnie czuł, że musi on mieć duży związek z tym, co się dzieje. Z Kosteckim – pracownikiem wydziału kultury i pierwszą ofiarą – miał zapewne częsty i wielokrotny kontakt; z zamordowanym wczoraj aktorem oczywiście jeszcze większy. Pytanie tylko brzmiało, jakiego rodzaju były to związki? Czy tylko oficjalne, czy również inne? Siłą rzeczy przychodziły na myśl dziwne próby odbywające się nocą w teatrze. Czy obie ofiary, albo chociaż jedna z nich, w nich uczestniczyły? Pan Staszek wspominał w końcu o jakichś przyjaciółach dyrektora i o co najmniej jednym aktorze. Czy byli to Kostecki i Lamek? I najważniejsze pytanie: która z rybek w tym szczelnie zakręconym słoiku z mętną wodą, jakim był teatr miejski w Olsztynie, zdecydowała się zacząć pożerać inne? Bo że był to raczej ktoś z teatru, powoli przestawał mieć wątpliwości.

Wtedy, gdy szedł, a w zasadzie płynął ponad chodnikiem w kierunku swojego obskurnego mieszkania na dziewiątym piętrze równie obskurnego (choć w trakcie remontu) bloku przy ulicy Kołobrzeskiej w Olsztynie, zrozumiał też jeszcze jedną rzecz. Że powoli to, kto jest mordercą, zaczynało mieć dla niego jakby drugorzędne znaczenie. Tak naprawdę bowiem liczyła się tylko ona; to, by mógł się z nią spotykać, rozmawiać z nią i na nią patrzeć.

Jego, pożał się Boże, śledztwo było tu tylko pretekstem, sposobem na to, by mógł to wciąż robić.

– Cześć! – powiedział.

Siedziała przy stoliku w teatralnym bufecie i wpatrywała się w kartki z jakimś tekstem.

– Cześć. – Ledwie podniosła na niego wzrok.

Ubrana była w coś, co zapewne było fragmentem kostiumu do jakiegoś przedstawienia, ale niekompletnym, spod jego spodu bowiem wyglądały jej prywatne dżinsy i bluzka.

– Stało się coś? – spytał.

– Nie.

– Przeszkadzam?

– Trochę. – Poprawiła się na krześle. – Uczę się tej cholерnej sztuki.

– W porządku – odparł niepewnie. – To może później...

– Co później?

– Porozmawiamy.

– O czym?

– No wiesz, sporo się ostatnio wydarzyło. Chciałbym się dowiedzieć, jak to wszystko wpływa na relacje w waszym zespole...

– Wpływa znakomicie. Jest jeszcze fajniej, niż było.

– Znałaś go dobrze? Tego aktora, który zginął? – Doszedł do wniosku, że to dobry moment, żeby się przysiąść.

Wzruszyła ramionami.

– Był tu wcześniej ode mnie, dostawał główne role; trudno, żebym go nie znała.

Nie było dziś łatwo z nią rozmawiać.

– Jaki on był?

Rzuciła mu przelotne spojrzenie znad tekstu.

– Jeśli mnie pytasz, czy żałuję, że zginął, to tak, żałuję. Ludzie w ogóle nie powinni umierać, a już zwłaszcza nie w taki sposób.

– Straszna śmierć.

– Trochę to dziwne, że się utopił. Bał się wody, zresztą ja też. Przeraza mnie. – Wzdrygnęła się.

Utopił się? A więc taka była oficjalna wersja. No tak, w czasie trwania festiwalu nie mogło przecież dojść do morderstwa.

– Znaliście się prywatnie? – spytał po chwili.

Zamrugła krótko powiekami.

– Nie, nie należałam do kręgu jego znajomych.

– A kto należał?

Znowu poprawiła się na krześle.

– Dyrektor. Wiesiek był dupowłazem. – W jej głosie dało się wyczuć zniecierpliwienie. – Zawsze nim był, ale kiedy Łysy się u nas pojawił, jeszcze to mu się nasiliło. Magia nazwiska. Chodził za nim jak piesek.

– Słyszałem o jakichś imprezach odbywających się w teatrze wieczorem. Uczestniczył w nich?

Jej twarz ledwie zauważalnie się ściągnęła.

– Słuchaj, przepraszam cię, ale muszę się tego nauczyć. Za chwilę mam próbę z tym kretyńcem i nie chciałabym dać mu powodu, żeby mógł się na mnie wyżywać. Sorry, ale lepiej, żebyś już sobie poszedł.

Więc poszedł. Wyszedł na zewnątrz i usiadł na tej samej ławeczce, na której się poznali. Zaczął się zastanawiać nad tym, co przed chwilą usłyszał. Jej reakcja była nad wyraz ciekawa. Nie chciała rozmawiać ani o zabitym aktorze, ani o próbach u dyrektora. Może ona też w nich uczestniczyła? Wbrew temu, co twierdził pan Staszek. A może faktycznie chciała się nauczyć tego tekstu, a on jej w tym przeszkadzał?

Nie wiedział, co o tym myśleć. Niezależnie, jaki był powód jej zachowania, jej zniecierpliwienie dotknęło go do żywego. Poczul się kompletnie rozbity.



No i było jeszcze coś. Myśl o tym, że mogła tam być... Że brała w czymś takim udział... Że ktoś, ten gruby, łysy chuj, mógł ją zmuszać do takich rzeczy... A może zresztą, przemknęła mu przez głowę myśl, wcale nie musiał jej do niczego zmuszać...

Cholera jasna! Po raz pierwszy od dłuższego czasu miał ochotę się napić. A w zasadzie nie napić, urznąć. Pójść w cug, jak za starych dobrych czasów. Skończyć w burdelu i jebać to wszystko.

Chodnikiem wzdłuż teatralnego płotu przeszła para nastolatków. Chłopak i dziewczyna. Chłopak błaznował, a jej to się wyraźnie podobało. Śmiała się. Wyglądali na szczęśliwych.

Poczuł nagle żal. Straszny, dojmujący żal. Uświadomił sobie właśnie, że nigdy nie przeżył czegoś takiego. Nigdy nie doświadczył wzajemnej miłości. Zawsze albo on się w kimś kochał, albo ktoś się kochał w nim. Było to okropnie niesprawiedliwe.

Pani Kaja w sekretariacie wydawała się niezbyt zadowolona z tego, że przyszedł.

– Dyrektor jest teraz strasznie zajęty – powiedziała. – Trwa festiwal, sam pan rozumie...

– Ja poniekąd właśnie w tej sprawie – odpowiedział. – Proszę mnie zaanonsować panu dyrektorowi, na pewno mnie przyjmie. I powiedzieć, że w razie gdyby przypadkiem nie miał dziś dla mnie czasu, wrócę tu jutro z naszym wspólnym znajomym.

Pani Kaja popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Proszę mu przekazać dokładnie to, co powiedziałem – dodał.

Ociągając się z lekka, wstała, zapukała cicho do drzwi gabinetu i weszła do środka, przybierając wcześniej charakterystycznie przepraszającą postawę.

Za moment wyszła z powrotem.

– Pan dyrektor powiedział, że pana przyjmie, ale musi pan chwilę poczekać. Ma teraz ważne spotkanie.

– Oczywiście, nie ma problemu. A w międzyczasie chętnie

napiłbym się kawy z tego waszego wielkiego ekspresu. – Wskazał sporą, błyszczącą chromem maszynę stojącą na stoliku pod oknem.

Pani Kaja spojrzała na niego, jakby był zebrzącym o dwa złote na parkingu menelem, ale podeszła do ekspresu.

Nim spotkanie się zakończyło, zdążył wypić kawę, doznać pobudzającego wpływu kofeiny, a potem doświadczyć senności wynikającej z zaprzestania jej działania. W końcu jednak drzwi gabinetu dyrektora otworzyły się i wyszedł przez nie on sam we własnej osobie oraz drugi, wysoki, siwy mężczyzna w garniturze. Uniżoność, z jaką traktował go Kaletnik, świadczyła, że był to ktoś znaczny.

Kiedy już wszystkie ukłony i pożegnania się zakończyły, a gość w końcu wyszedł, dyrektor spojrzał na Rozłuckiego i powiedział:

– No dobrze, to teraz pan.

Weszli razem do gabinetu.

– Ten nasz wspólny znajomy może mnie w dupę pocałować – oznajmił mu dyrektor. – Wie pan, kto to był? Wicewojewoda. Zgodziłem się pana przyjąć tylko dlatego, że mnie pan rozbawił.

I zasiadł w swoim skórzanym fotelu.

– Słucham – powiedział łaskawie.

Rozłucki usiadł na krześle po drugiej stronie biurka. Musiał przyznać, że riposta dyrektora zbiła go trochę z tropu. Od czego to miał zacząć tę swoją przygotowaną w najdrobniejszych szczegółach rozmowę?

– No, słucham – ponaglił go dyrektor. Po jego twarzy błąkał się pełen wyższości półuśmieszek.

Ten właśnie półuśmieszek mocno go zirytował. Czy w taki sam sposób uśmiechał się na tych swoich próbach? Poczował, jak ogarnia go gniew, i co więcej, przywitał go z radością.

– Przyszedłem tu, aby wyjaśnić parę kwestii – zaczął.

– Jestem do pana dyspozycji.

– Krążą plotki – bo chyba tak to trzeba nazwać – na temat pewnych niekonwencjonalnych metod, jakimi posługuje się pan w swojej

pracy. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jestem specjalistą w sprawach teatru i że mogę opacznie rozumieć pewne sprawy, zwłaszcza jeśli są one przedstawiane przez niezyczliwe panu języki, dlatego proszę, żeby pan mi je wyjaśnił.

– Bardzo chętnie. – Dyrektor uśmiechnął się zachęcająco.

– Podobno urządza pan swoim aktorom próby...

– Mój drogi, tak to właśnie wygląda w teatrze; są przedstawienia i są też próby – z lekkim rozbawieniem przerwał mu dyrektor.

– Nie są to jednak zwykłe próby i nie odbywają się w normalnych godzinach.

– Kto panu to powiedział?

– W zasadzie właśnie nikt. A jednocześnie w pewien sposób wszyscy.

Kaletnik spojrzał na Rozłuckiego wnikliwie, jakby się zastanawiał, na ile szczerości może sobie wobec niego pozwolić.

– Wie pan – odpowiedział – rutyna to jedna z gorszych rzeczy, jaka się może przytrafić aktorowi. Czasami trzeba ich wypchnąć z ich – jak to się teraz mówi? – strefy komfortu.

– Nawet wbrew ich woli?

– Co to znaczy wbrew ich woli? – Dyrektor wzruszył ramionami. – W sztuce nigdy nie było demokracji. Teatr to instytucja w zasadzie feudalna.

– Podobno niektóre z tych prób mają dość, powiedzmy, kontrowersyjny charakter.

– Normalnymi środkami da się osiągać normalne cele. Teatr powinien zawsze dążyć do czegoś więcej.

– Nawet naruszając godność aktora?

– Wie pan, pojęcie godności u aktora... – dyrektor uśmiechnął się z wyższością – ma trochę inny zakres niż u przeciętnego człowieka. Aktorzy są szkoleni do tego, by umieć zapominać o swojej godności.

– Zwłaszcza aktorki?

Znowu te uważne, choć lekko rozbawione spojrzenie. Dyrektor zdaje się oceniać, czy Rozłucki jest kimś, kto może mu w jakikolwiek

sposób zagrozić. Widocznie jednak uznał, a ostatnie spotkanie z wicewojewodą zapewne nie było tu bez wpływu, że nie.

– Kobiety w ogóle mają gorzej w życiu – odparł protekcyjnym tonem. – W teatrze również. Choć w pewnym sensie mają też lepiej. Mężczyzna w teatrze nigdy nie będzie miał do dyspozycji takich środków oddziaływania, jakie ma kobieta.

– Jakich środków oddziaływania?

– Przecież wie pan, o czym mówię. Nie bez przyczyny w minionych wiekach uważano aktorki za coś w rodzaju prostytutek.

Ten łaskawy, pełen wyższości uśmieszek, z jakim artysta obwieszcza maluczkim prawdy, które tylko ich ograniczonym umysłem mogą się wydawać kontrowersyjne; bawiący się ich śmiesznym oburzeniem...

– Czasy się jednak chyba trochę zmieniły... – Rozłucki starał się nie wypaść z roli, w jakiej obsadził go pan dyrektor.

– Ma pan rację. Dlatego czasem trzeba im o tym przypominać.

– Pan to robi?

– Staram się po prostu uświadomić im, czym dysponują, i nauczyć je, jak z tego korzystać.

– Przekraczając granice?

– Sztuka na tym polega. Na przekraczaniu granic.

– Wbrew sobie? Nie pomyślał pan, jakie to musi powodować koszty psychiczne?

– Górnik w kopalni naraża swoje zdrowie fizyczne, my narażamy swoje zdrowie psychiczne. Gdyby pracowały w szkole, też byłyby narażone na różne stresy.

Ten człowiek na wszystko miał odpowiedź. Zdaje się, że wyjątkowo dobrze wytłumaczył sobie to, dlaczego robi rzeczy, których prawdziwa motywacja była daleko mniej wzniosła.

– Sypia pan też z nimi? Także w ten sposób poświęcają się dla sztuki?

Dyrektor uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

– W teatrze pracujemy na emocjach – odpowiedział. – Są różne

sposoby ich wywoływania.

Rozłucki poczuł nagłą, zalewającą go falę obrzydzenia. Gniew, który odczuwał, zaczynał dochodzić do niebezpiecznej granicy. Wiedział, że powinien to ukryć, ale coraz mniej miał na to ochotę.

– Nie sądzi pan, że odrobinę zbyt wiele tych emocji wzbudził pan w swoim zespole? I że ostatnie wydarzenia mogą być tego pokłosiem?

Dyrektor spojrzał na niego chłodno.

– Boleję oczywiście nad tym, co się stało, ale jako artysta nie mogę nie dostrzegać w tym pewnej szansy. Śmierć to jedna z tych rzeczy, które wzbudzają w nas największe emocje. Bardzo nam się to przyda przy okazji naszej następnej premiery.

– Także i tę granicę byłby pan gotów przekroczyć?

– Do widzenia – odparł dyrektor. – Bardzo miło się rozmawiało, ale nie mam już naprawdę więcej czasu. Sam pan rozumie – festiwal...

– Kurwa mać! Co ty odpierdalasz? – Głos komisarza Sądeckiego świadczył o tym, że starał się krzyczeć do słuchawki szeptem.

– No, właśnie, co ja odpierdalałam? – zainteresował się uprzejmie Rozłucki.

– W jakiej ty sprawie prowadzisz śledztwo, w sprawie dwóch morderstw, czy w sprawie оргietek pana dyrektora?

– Wydaje mi się, że te dwie rzeczy mogą być w jakiś sposób powiązane.

– W jaki?

– Jeszcze nie wiem.

– Słuchaj, dzwonił do mnie przed chwilą stary, bo do niego też dzwonił. Wcześniej, zdaje się, Kaletnik zadzwonił, do kogo trzeba. Twierdzi, że go nękaś i że przeszkadzasz mu w pracy. A wszystkim bardzo tu zależy na jego pracy, zwłaszcza teraz, gdy trwa festiwal...

– Pan dyrektor moim zdaniem dopuszcza się działań, na które jest odpowiedni paragraf. Wykorzystywanie swojej pozycji zawodowej

w celu doprowadzenia do innych czynności seksualnych. Jest coś takiego, czy się mylę?

– Kurwa, proszę cię... Myślisz, że nie mam wystarczająco przesrane? Wszyscy mi siedzą na głowie, obrywam z każdej strony, a teraz jeszcze ty!

– Ale jest, prawda?

– Może i jest, ale teraz, w tej sytuacji, nie jest chyba dla nas najważniejsze to, co pan dyrektor robi ze swoimi aktoreczkami...

– Masz zdaje się córkę. Też byś to tak lekko traktował, gdyby chodziło o nią?

– Jezu, Zyga... On się tam wszyscy ruchają ze wszystkimi! Taki zawód... Co, nie mam racji?

– A wszyscy policjanci biorą łapówki. Taki zawód... Co, nie mam racji?

– Czy ty, kretynie, nie rozumiesz, że trzymają mi jajca w żelaznych kleszczach? Dyrektor jest nie do ruszenia. To święta krowa. Połowa miejscowych polityków przychodzi do niego na grilla...

– Może nie tylko tam przychodzi?

Komisarz sapnął.

– Słuchaj, jeszcze jedna taka sugestia, a wyjebię cię z tej roboty, zrozumiałeś? Nie ruszaj go. To polecenie służbowe.

– Te imprezy w teatrze to w tej chwili tak naprawdę nasz jedyny trop – starał się oponować Rozłucki.

– To z niego zejdź i poszukaj jakiegoś innego, tak? Nie wiem, czy zauważyłeś, ale od jakiegoś czasu jestem twoim przełożonym. I to ja odpowiadam za śledztwo i określam kierunki, w jakich powinno się toczyć. Więc powtarzam ci jeszcze raz i nie mam zamiaru powtarzać po raz kolejny: zostaw to. To tyle. Koniec rozmowy.

Rozłączył się.

Rozłucki stał na chodniku niedaleko ratusza z telefonem wciąż przy uchu. Opuścił rękę i spojrział na zegar na wyświetlaczu. Nie minęło nawet piętnaście minut od jego wyjścia z gabinetu. Pan dyrektor szybko się uwinął.

Schował komórkę do kieszeni i ruszył w dół w kierunku Wysokiej Bramy. Całe miasto oblepione było widomymi znakami trwania festiwalu. Na półokrągłym budynku naprzeciwko ratusza wisiał ogromny baner informujący o jego programie. Na linach rozpiętych między budynkami nad ulicą siedziały lub stały figury przedstawiające linoskoczków i zonglerów. Miasto chwaliło się, puszyło wielką imprezą, mającą uczynić z niego istotny punkt na kulturalnej mapie Polski.

Szedł pod tymi postaciami utrzymującymi chwiejną równowagę za pomocą zmyślnego systemu linek i zastanawiał się nad tym, czego był świadkiem przed chwilą. Pan dyrektor zdawał się nie być zupełnie zaniepokojony tym, co działo się wokół niego. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby go to w pewien sposób nawet bawiło. Dlaczego? Nie była to normalna reakcja na tego typu sytuację.

Czyżby był na tyle zadufany i pewny siebie, że nie przyjmował do wiadomości potencjalnego niebezpieczeństwa? A może rację miała Wilczyńska, że pan dyrektor żywił się konfliktami, które sam często wywoływał, a to, co się teraz działo, było przecież tym właśnie – konfliktem, doprowadzonym do swojej ostatecznej, śmiertelnie niebezpiecznej postaci?

A może – i taką ewentualność też należałoby wziąć pod uwagę – pan dyrektor miał z tym wszystkim o wiele więcej wspólnego, niż to by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka?

Pan Staszek był tym razem na swoim stanowisku – w magazynie dekoracji na tyłach sceny. Siedział na drewnianym, odrapanym krześle i jadł kanapkę, którą tylko częściowo odwinął z papieru. Obok, na pomalowanym na zielono kredensie, który kiedyś musiał być częścią jakiejś scenografii, stał kubek z herbatą, a niedaleko niego tani, plastikowy elektryczny czajnik.

Spojrzał na wchodzącego Rozłuckiego, nie przerywając jedzenia.

– Dzień dobry – powiedział Rozłucki. – Można przeszkodzić?

– Pewnie – odparł, wciąż ruszając szczęką. – Tam jest drugie krzesło. – Wskazał je ręką trzymającą kanapkę.

Rozłucki wziął krzesło spod ściany, przyniósł je pod kredens i usiadł.

– Zaproponowałbym herbatę – powiedział mężczyzna, wycierając usta wierzchem dłoni – ale mam tylko jeden kubek.

– Nie szkodzi – odpowiedział Rozłucki. – Niedawno piłem.

– A może coś innego? – spytał i otworzył dolne drzwiczki kredensu.

– Na dobry początek dnia?

Oczom Rozłuckiego ukazała się pusta już do połowy butelka wiśniówki. Uśmiechnął się.

– Nie, dziękuję – odparł. – Nie piłem tak rano nawet w swoim najlepszym okresie.

– OK. – Kiwnął głową. – W razie czego jest.

Odgryzł kolejny kęs kanapki.

– Dużo pracy? – zagadnął Rozłucki.

– Dużo – przytaknął mężczyzna. – Festiwal.



- Dzisiaj coś?
- Jakiś teatr z Łotwy. Na dużej scenie. Trzeba im pomóc rozstawić dekoracje.
- A u was? Coś się dzieje? Jakies nowe spektakle?
- Pan Staszek kiwnął głową.
- A jakże. Ma być premiera. I to na koniec festiwalu, w ostatni dzień.
- Widziałem jakaś próbę. Z Wilczyńską. To to?
- Mężczyzna zaśmiał się z pełnymi ustami.
- Gdzie tam! To to dopiero w powijkach jest. Pierwsze próby. Zresztą nie wiadomo w ogóle, czy to wystawią. Nie stawiałbym na to za bardzo.
- Dlaczego?
- Dyrektor już dwa razy wykręcił taki numer Muszyńskiemu.
- Reżyserowi? - domyślił się Rozłucki.
- A komu? Jemu. Muszyński przynosił tekst, dyrektor się na niego zgadzał, przydzielał obsadę, pozwalał mu nawet zacząć próbować, a po kilku miesiącach mówił, że jednak nie. Ostatnio to już prawie premiera była. Z miesiąc chyba tylko zostało. Ja to się nawet domyślałem, że tak to się może skończyć, bo spektakl już prawie gotowy, a o żadnej scenografii nikt jakoś nie wspomina. Niby jest projekt, ale zlecenie, żeby zacząć go realizować, nie przychodzi.
- Dlaczego tak zrobił?
- Oficjalnie dlatego, że to słabe było.
- A naprawdę?
- Moim zdaniem od początku miał taki plan. Chciał mu w ten sposób dowalić.
- Nie lubi go?
- Od początku się na niego uwziął.
- Ale dlaczego? Był jakiś powód?
- Mężczyzna wzruszył ramionami.
- Moim zdaniem żadnego. Muszyński z początku łąsił się do niego jak pies. Myślał pewnie, że wkupi się w ten sposób w jego łaski. Ale

gdzie tam! Dostawał w zamian tylko kopy.

– Naraził mu się jakoś?

– Nie. Dyrektor po prostu tak ma.

– Jak?

– Musi mieć takiego chłopca do bicia. Pan pogada z Wilczyńską. Ona tak powiedziała, ja to tylko powtarzam.

– O tym chłopcu do bicia?

– No. Że musi mieć ofiarę i musi mieć faworyta. To taka gra.

– A kto był faworytem, Lamek?

– I jak widać niezbyt dobrze na tym wyszedł. Ale nikt go tu nie żałuje specjalnie.

– To prawda, że bał się wody?

– Wszystkiego się bał. To pewnie dlatego tak się uczepił dyrektora. Potrzebował pana, który by go chronił. Przed tym jednym nie uchronił...

– Nie lubił go pan specjalnie?

– Nikt go ostatnio nie lubił. Brzydkie rzeczy zaczęły z niego wyłazić.

– Jakie?

– Za poprzedniego dyrektora, gdy był jeszcze jednym z wielu aktorów, był grzeczny, że aż miło. Każdemu starał się przypodobać. Mówił „dzień dobry” nawet sprzątacze. Odkąd został drugim po Bogu, kompletnie mu się odwinęło. Chodził po teatrze, jakby to on był dyrektorem.

Pan Staszek włożył do ust ostatni kawałek kanapki, potem zmiął papier i rzucił go na kredens obok czajnika.

– No dobra – powiedział, wycierając ręce o spodnie. – Koniec przerwy. Muszę wracać do roboty. Strasznie dziś dużo mam do zrobienia.

„Pan pogada z Wilczyńską” – o niczym innym nie marzył. Chodził po teatrze, próbując ją znaleźć, lecz nigdzie jej nie było. Pełno za to było w nim ludzi, których tu nigdy wcześniej nie widział. Ludzi

mówiących dziwnym, niepodobnym do żadnego mu znanego językiem. Na dużej scenie trwała właśnie ich próba. Aktorzy i aktorki biegali po scenie w tę i z powrotem, wygłaszając kwestie, z których nie był w stanie wyłowić żadnego przypominającego mu cokolwiek słowa. W tle, za ich plecami, rozpoczął się już montaż dekoracji. Nad sceną, na długim ledowym pasku wyświetlano tekst tłumaczenia tego wszystkiego na polski. Coś jednak szło z tym nie tak. Ekran zacinął się i słowa na nim wyświetlane zdaje się nie do końca odpowiadały tym wygłaszanym na scenie. Świadczyło o tym poirytowanie miotających się po widowni członków obsługi. Oraz ich słowa – soczyste, bardzo mocno akcentowane i tym razem niewątpliwie polskie.

Wyszedł w końcu z teatru i przystanął na parkingu na jego tyłach. Po jego drugiej stronie wznosił się dwupiętrowy budynek. Choć wyglądał na pierwszy rzut oka na całkiem osobny, był tak naprawdę połączony z głównym gmachem. Na jego ścianie pyszniła się tablica informująca, iż wyremontowano go przy współudziale środków pochodzących z Unii Europejskiej.

Nie miał pomysłu, co dalej robić. Było koło dwunastej, na obiad za wcześnie, a do swojego biedamieszkania nie miał powodu, ale też i chęci wracać. Zaczął się zastanawiać, czy nie pójść pod dom, w którym mieszkała Wilczyńska, by chociaż popatrzeć na okna i pozastanawiać się, które może być jej. Tak jak kiedyś, w liceum, gdy chodził pod okna pewnej dziewczyny, która, jak się niedawno dowiedział, była teraz gruba i miała dwoje dzieci.

Rozważania te przerwały mu odgłosy kłótni, które dochodziły nie wiadomo skąd. Czyjeś podniesione głosy – męski grubszy i kobiecy wyższy – rozchodziły się po tym niewielkim, otwartym z jednej strony na parking dziedzińcu. Dopiero po chwili zlokalizował ich źródło – otwarte okno na klatce schodowej nad wejściem do dwupiętrowego budynku po drugiej stronie.

Drzwi w pewnym momencie otworzyły się gwałtownie i wypadła przez nie Wilczyńska. Wyglądała na bardzo wzburzoną. Tuż za nią

wszedł, a w zasadzie prawie biegł dyrektor. Jego spory wzrost i pokaźna tusza sprawiały, że wyglądało to jednocześnie i groteskowo, i groźnie.

– Mogłabyś nie wychodzić, jak do ciebie mówię? – wysapał z gniewem. – Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy.

– Ja skończyłam – powiedziała, nie odwracając się, Wilczyńska.

– Jesteś idiotką – krzyknął za nią. – Z takim podejściem zawsze będziesz grała same ogony.

– To będę – odkrzyknęła.

– Mogę cię sczyścić ze wszystkich spektakli w przyszłym sezonie, wiesz o tym. Wyżyjesz z gołej pensji?

– I tak jestem na diecie.

– Brakuje ci chłopa, to jest twój cały problem.

Odwróciła się na pięcie i podeszła do niego. Zatrzymał się niepewnie.

– A czego tobie brakuje? – spytała, patrząc mu w oczy.

Nie odpowiedział. Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, lecz nietrudno było dostrzec, że to ona jest w tym pojedynku górą.

– Nie musimy przecież w ten sposób rozmawiać – powiedział w końcu. – Możemy się porozumieć.

– Nie na twoich warunkach, wieprzu – odparła i odwróciła się od niego.

– Co ci ktoś kiedyś zrobił, że jesteś taka? – rzucił jej w plecy. – Macali cię w dzieciństwie czy co?

Odwróciła się gwałtownie i pchnęła go z całej siły rękami w piersi. Zatoczył się do tyłu, prawie upadł.

– Odpierdol się – powiedziała. Spokojnie i pewnie. Potem odeszła.

Dyrektor dopiero teraz zauważył Rozłuckiego.

– Emocje – powiedział i uśmiechnął się. Tylko na pozór swobodnie. – Tak właśnie pracujemy.

I z tym uśmiechem, odrobinę przerażająco przyklejonym do twarzy, odwrócił się i wszedł z powrotem do budynku.

„Chyba trochę ci się wymknęły spod kontroli”, pomyślał Rozłucki.

Dogonił ją niedaleko ławeczki, na której się poznali.

– Agnieszka! Poczekaj! – wysapał. Skręcona kostka ciągle trochę mu dokuczała. Zwłaszcza gdy biegł.

Zatrzymała się i odwróciła.

– Nie chcę teraz z nikim rozmawiać – powiedziała. – Chyba to rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział, łapiąc oddech. – Poczekaj...

Dopiero teraz do niej dobiegł. Przyjrzała się z pewnym rozbawieniem jego zaczerwienionej twarzy.

– Swoją drogą, jak ty to robisz, że zawsze jesteś świadkiem takich rzeczy? – spytała.

– Po prostu – w dalszym ciągu był zadyszany od wysiłku – na tym polega moja praca. Żeby być zawsze w pobliżu. Jak ornitolog obserwujący ptaki.

Zaśmiała się. Po jej wcześniejszym wzburzeniu nie było nawet śladu.

– No to żeś dwa niezłe ptaszki upolował. Musiało to śmiesznie wyglądać. Jak pojedynek indora z kurą.

– Bardziej to przypominało nieudolny taniec godowy.

Wzruszyła ramionami.

– Nic na to nie poradzę, że trafiają mi się tylko tacy kawalerowie – odpowiedziała.

– Będziesz mieć teraz kłopoty – bardziej stwierdził, niż spytał.

– Nie większe niż wcześniej – odparła.

– Nazwałaś go wieprzem i prawie nie przewróciłaś. Za coś takiego może cię dyscyplinarnie wywalić z teatru.

– Nie sędzę, żeby to zrobić. Przyznałby się wtedy do swojej porażki. Będzie wolał mnie zostawić i dalej próbować złamać. Zresztą on nie jest mściwy.

– Nie jest? Wygląda na takiego, co jest.

– Nie. Zawistny, zakompleksiony, zakłamany, podstępny,

uwielbiający manipulować ludźmi, ale nie mściwy. Tak naprawdę cieszą go takie rzeczy. Być może nawet specjalnie doprowadził mnie do takiego stanu.

Odwróciła się i zaczęła z powrotem iść chodnikiem w stronę ulicy. Ruszył za nią.

– Może pójdziemy gdzieś na jakąś kawę? – spytał. – Porozmawialibyśmy spokojnie.

Potrząsnęła głową.

– Dzięki, ale idę teraz do swojego mieszkania. Mam trzy godziny przerwy, chcę trochę odpocząć.

– Odprowadzę cię.

Szli przez dłuższą chwilę w milczeniu. Zeszli schodkami w dół i skręcili w stronę ratusza. Przez cały ten czas usiłował wymyślić jakiś temat do rozmowy, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Właśnie teraz, gdy powinien być błyskotliwy i zabawny, jak na złość miał we łbie tylko dudniącą i świszczącą wiatrem pustkę.

Nie chciał rozmawiać z nią cały czas o tym samym – czyli o tym, o czym w zasadzie właśnie powinien z nią cały czas rozmawiać. Chciał porozmawiać z nią tak, po prostu. Tylko o czym? O czym miałby jej opowiedzieć? O Karolinie i o tym, jak w sumie ją zabił? O swojej siostrze i ojcu, i o tym, jak sam próbował nieudolnie pójść w ich ślady? Czy o swoich podejrzeniach, że jego fascynacja jej osobą jest tylko próbą zapomnienia tego wszystkiego i rozpaczliwym szukaniem kolejnej ostatniej deski ratunku?

W końcu, gdy już podeszli do przejścia dla pieszych i gdy zobaczył, jak niewiele mu czasu zostało, skapitulował.

– Rozmawiałem z panem Staszkiem – powiedział. – Opowiedział mi o twojej teorii dotyczącej dyrektora.

– Jakiej teorii? – spytała, jakby też myślała cały ten czas o czymś innym.

– Że musi mieć ofiarę i musi mieć faworyta.

– A, to! – odparła. – No tak, tak właśnie chyba jest.

– Czyli jak?

– Od razu, jak tu przyszedł, wybrał ich sobie. To było widać. I to bez żadnego konkretnego powodu. Chociaż nie, w przypadku Muszyńskiego powód jakiś tam był.

– Jaki?

– Jest młodszy od niego i dość przystojny. I ma powodzenie u kobiet. Czyli jest tym, kim on nigdy nie był i nigdy nie będzie.

– A Lamek?

– A Lamek... on też w zasadzie idealnie się nadawał. Dopiero teraz to widzę. To typ zakompleksionego pierdoły z głęboko skrywaną manią wielkości. Gdy się da komuś takiemu choć namiastkę władzy, pomyśli, że wreszcie mu się udało, i nie będzie potrafił się temu oprzeć.

– Niezła analiza, pani psycholog.

– Nadawałabym się?

– Być może bardziej ode mnie.

Szli teraz drugą stroną ulicy wzdłuż ciągu dosyć obskurnych jadłodajni i sklepów.

– Dlaczego coś takiego robi? – spytał. – Jak sądzisz?

– To taki rodzaj psychodramy – odpowiedziała. – Obsadzając role faworyta i ofiary, określa ramy sytuacji, w obrębie której rozgrywa wszystkich pozostałych. Jakby był reżyserem, tylko w prawdziwym życiu.

– Naprawdę jestem pod wrażeniem – powiedział. Faktycznie był.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– A ty, kim jesteś w tym spektaklu? – spytał.

– Niepasującym elementem – odparła. – Kimś, kto nie pozwala się wtłoczyć ani w jedną, ani w drugą koleinę. Choć może – dodała po chwili zastanowienia – także i tę rolę dla mnie napisał.

Był już w domu, gdy zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Weronika. Odebrał.

– No co tam? – spytał.

– To ja cię pytam „no co tam?”. – Usłyszał jej głos w słuchawce. – Jak tam twoje śledztwo?

– Jak tam moje śledztwo? – zdziwił się. – Myślałem, że wiesz. Zadzwonił do mnie Sądecki i w zasadzie nakazał mi je zawiesić na kołku.

– Ale przecież nie posłuchałeś, prawda? Na tyle dobrze cię znam.

Nie odpowiedział. A przynajmniej nie od razu.

– Widzę, że ty również masz na ten temat inne zdanie – powiedział ostrożnie.

– Może i mam – odparła. – I może miałabym ochotę na ten temat porozmawiać.

– Kiedy tylko chcesz.

– Teraz chcę. Gdzie jesteś?

– W mieszkaniu.

– Jak z niego wyjdiesz i przejdiesz przez ulicę, miń sklep i zejź po schodach w dół. Jest tam taki park w dość sporej dolinie. Będę tam za pół godziny.

– Gdzie konkretnie?

– Przy stawie ze spuszczoną wodą.

Odnalazł to miejsce bez trudu. Już tam na niego czekała. Siedziała po drugiej stronie stawu na ławce ukrytej za zwisającymi prawie aż do wyschniętego dna gałęziami wierzby płaczącej.



– Cześć! – przywitał się. – Niezła konspira. Ukrywamy się?

– Nie – odparła. – Po prostu tu nam nie będzie nikt przeszkadzał.

Wcale się nie zdziwił, że miała na kolanach otwartego laptopa. Weronika była zawsze w pracy.

Teraz go jednak zamknęła. Znaczyło to, że szykowała się poważna rozmowa. Usiadł obok niej.

– Fajny pomysł – powiedział. – Z tym spuszczonej stawem. Tak jest bezpieczniej, a i śmieci mają się gdzie zbierać.

Na betonowym dnie leżały puszki po napojach, puste plastikowe butelki i liście.

– Mają ten park wyremontować – odpowiedziała. – Są już podobno nawet pieniądze z Unii.

– To dobrze – odparł. – Będę miał gdzie chodzić, jak mnie komisarz Sądecki wywali z policji.

– Nie musi cię wywalać – zauważyła. – Jesteś na trzymiesięcznym okresie próbnym. Po prostu nie przedłuży ci umowy.

– No to mnie pocieszyłaś.

Po przeciwległej stronie stawu szła kobieta z dziecięcym wózkiem. Paliła papierosa i rozmawiała przez komórkę.

– A co tam u was? – zagadnął. – Jakieś postępy?

Wzruszyła ramionami.

– Raczej niewielkie – odparła. – Wyciągnęliśmy wreszcie tę łódź. Przynajmniej to nam się udało.

– I co?

– W zasadzie nic. Wszystko spalone i zalane wodą. Żadnych śladów biologicznych, jak można się było spodziewać, nie udało się zabezpieczyć.

– A te drugie... niebiologiczne?

– Instalacja odpalająca to wszystko oparta była na starym, nawet bardzo starym telefonie komórkowym. Zarówno stopień jego zniszczenia, jak i czas, jaki upłynął od jego zakupu, uniemożliwiają ustalenie, czyją mógł być własnością. Sam mechanizm zapalający bardzo prosty. Mógłby go skonstruować uczeń pierwszej klasy

dowolnego technikum albo po prostu zwykły majsterkowicz. Instrukcja jest bez problemu do znalezienia w internecie. Pochodnie zrobione ze zwykłych kijów owiniętych na końcach szmatami nasączonymi benzyną. Wszystko wykonane metodami chałupniczymi. Nie znaleźliśmy nic charakterystycznego; nic, czego zakup można by spróbować prześledzić.

– A brzegi jeziora? Mieliście je przeszukać.

– I zrobiliśmy to. W zasadzie ciągle to robimy.

– I co?

– Niewiele się po tym spodziewam. To dość duże jezioro z rozbudowaną linią brzegową. W dodatku praktycznie w całości leży w granicach miasta. Wokoło jest pełno domów, osiedli i hoteli. Wzdłuż jego brzegów ciągną się ścieżki i trasy rowerowe. Od jakiegoś miesiąca jest w miarę ciepło. Ludzie chodzą na spacer, wędkarze łowią ryby, rowerzyści jeżdżą. Wszyscy zostawiają po sobie dziesiątki śmieci. Któryś z nich być może zostawił morderca, tylko jak go rozpoznać? To jak szukanie źdźbła trawy w stogu siana.

– Żadnego kanistra po benzynie, nic?

Uśmiechnęła się krzywo.

– Ani dowodu osobistego pobrudzonego krwią denata, w której odbił się odcisk palca mordercy – odparła kwaśno.

– Właśnie, a co z nim? – spytał. – Co wykazała sekcja zwłok?

– Autopsja – poprawiła go. – Umarł w wyniku utopienia. Czyli żył jeszcze, gdy łódź tonęła.

– Nie za fajnie – powiedział.

– No niezbyt. Ktoś musiał go bardzo nie lubić.

– Podobno w teatrze nie należał do szczególnie popularnych osób.

– Też odniosłam takie wrażenie. Wszyscy, których przesłuchiwaliśmy, mieli spory kłopot, żeby ukryć, że wcale im go nie żal. Ale znowu – wszyscy. Nie znaleźliśmy nikogo, kto miałby jakiś szczególny powód, by go zabić. Członków rodziny w zasadzie wykluczyliśmy. Dwóch dorosłych synów mieszka i pracuje w innych miastach. Jeden w Warszawie, a drugi w Gdańsku. Nie było ich

w Olsztynie w tym czasie. Żona jest zbyt schorowana, by była w stanie coś takiego zrobić. Poza tym wydawała się być autentycznie przerażona tym, co się stało.

– A ten wasz profiler? Wyprodukował już coś?

– Wstępny profil nieznanego sprawcy wylądował wczoraj na biurku Sądeckiego. Mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu – czterdziestu pięciu lat. Sprawny fizycznie i manualnie. Zorganizowany i inteligentny. Wykształcenie minimum średnie. Ambicje artystyczne, bardzo możliwe, że niespełnione. Pracujący w teatrze lub będący jego miłośnikiem. Nieżonaty lub mający problemy w małżeństwie.

– Czyli wszystko to, czego mogliśmy się wcześniej domyślić – zauważył Rozłucki.

– Mniej więcej – zgodziła się Weronika.

– To po raz kolejny potwierdza, że szukamy kogoś z teatru...

– Niekoniecznie – powiedziała. – Rozmawiałam o tym z Krzyśkiem. Twierdzi, że to może być równie dobrze ktoś w rodzaju Hitlera.

– Kogo?? – myślał, że się przesłyszał.

– Chodzi mi o kogoś z niespełnionymi ambicjami artystycznymi, odrzuconego przez środowisko, do którego aspiruje, i chowającego o to potem głęboką urazę. Kogoś, kto na przykład nie dostał się do szkoły aktorskiej albo na wydział reżyserski, albo napisał sztukę teatralną, której nikt nie chciał wystawić, a do tego, co gorsza, potraktowano go lekceważąco, a może nawet i wyśmiano...

Rozłucki zastanowił się przez chwilę.

– To może mieć sens – powiedział. – Dałoby radę kogoś takiego namierzyć?

– Można przynajmniej spróbować – odparła. – Choć gdy mówimy o niedoszłym aktorze, to może to być prawie niewykonalne. W Polsce jest kilka akademii teatralnych, co roku zdają tam setki młodych ludzi i większość z nich się nie dostaje. A musielibyśmy sprawdzić kilka roczników...

– Z tego, co wiem, przy teatrze w Olsztynie jest studium aktorskie –

powiedział. – Myślę, że możemy spokojnie założyć, że chodzi o kogoś, kto nie dostał się właśnie tam. W innym przypadku po co by robił ten cały cyrk właśnie tu?

– Wydziału reżyserii tu jednak nie ma – zauważyła.

– Ale być może był ktoś, kto przysłał tu albo przyniósł swoją sztukę. I został zlekceważony.

– Jeśli tak było, ktoś o czymś takim musi wiedzieć. W sekretariacie na przykład. Być może nawet ta sztuka gdzieś jeszcze leży.

– I byłoby bardzo ciekawe ją przeczytać – dodał.

Pokiwała w zamyśleniu głową.

– A co u ciebie? – spytała. – Odkryłeś coś interesującego?

Streścił jej pokrótce to, czego się dowiedział, głównie o panu dyrektorze.

– Bardzo to ciekawe – przyznała.

– To moim zdaniem bardzo obiecujący kierunek – powiedział. – Szkoda, że Sądecki postawił mi na nim szlaban.

Milczała przez chwilę.

– Sądeckiego ta sytuacja przerosła – powiedziała wreszcie. – Nigdy nie był zbyt lotny, wiemy to oboje. Gdyby nie ty i... – zawahała się, jakby to imię, które miała wypowiedzieć, obłożone było tabu.

– Karolina – dokończył za nią. Tylko przez chwilę poczuł się, jakby miał zaraz umrzeć.

– Tak, właśnie, Karolina. Gdyby nie wy, nigdy by nie rozwiązał dwóch poprzednich spraw. Nigdy by też nie dostał awansu na komisarza.

– Skoro tak mówisz...

– Gdy sytuacja jest w miarę normalna – kontynuowała – gdy w grę wchodzi jakies pijackie morderstwa popełnione kuchennym nożem, których sprawcy nie są nawet na tyle przytomni, by spróbować pozbyć się ciała, jest nawet w miarę sprawny. Zna się na tej robocie, jest w końcu policjantem od lat, więc to jakoś ogarnia. Ale gdy pojawia się coś większego, bardziej skomplikowanego, a do tego, tak ja tu, obciążonego naciskami politycznymi, gubi się kompletnie. Boi

się, zresztą słusznie, że nie da sobie rady, i staje się przez to jeszcze bardziej nerwowy. Ostatnio nie jest z nim najlepiej.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Pije. I to sporo. Do tego ta sprawa z rozwodem. Za dużo mu się na raz skrupiło. Martwię się trochę o niego. Jest, jaki jest, ale to w sumie dość porządny gość.

Nie mógł się z tym nie zgodzić. Komisarz Sądecki miał dużo wad, może nawet bardzo dużo, ale w pewien sposób go lubił.

– A jaka jest konkluzja tego przydługiego wywodu? – spytał.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Ej, chwileczkę! – powiedziała. – Taka ironia to moja działka.

– Faktycznie – odparł. – Przepraszam.

– A konkluzja jest taka – ciągnęła – że wkurza mnie, że taki obleśny typ jak dyrektor może korzystać w tak podły sposób ze swojej władzy, a my mamy zakaz dobrania mu się do tyłka.

– Co wobec tego sugerujesz? – spytał.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nic – odpowiedziała. – Nic nie sugeruję. Zrozumieliśmy się?

– Chyba tak. – Uśmiechnął się. – Chyba się zrozumieliśmy.

Szukał jej. Szukał jej w teatrze, szukał jej na skwerku pod teatrem i na tamtej ławeczce. Szukał pod jej domem (jaka szkoda, że nie znał jej adresu ani numeru telefonu!), a potem znowu w teatrze. Nigdzie jej nie było. Za to znalazł pana Staszka.

– O, to znowu pan! – przywitał go mężczyzna. – Jak tam badania?

– Coraz ciekawsze – odparł i wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie dłonie.

– Ja właśnie w tej sprawie. Ma pan chwilkę? Miałbym parę pytań.

W zasadzie były to pytania do Wilczyńskiej, ale skoro jej nigdzie nie było...

– Mam, czemu nie? Dziś odrobinę luźniej.

– Pójdziemy na kawę?

– Jeśli pan stawia.

– Bardzo chętnie. Ale wolałbym nie w bufecie...

– Za tanio? – zaśmiał się mężczyzna. – Znam jedno miejsce. I to całkiem niedaleko. Powinno być drożej.

W nowoczesnym budynku obok teatru, tuż za skwerkiem z ławeczką, był niewielki barek z sałatkami, kanapkami i przekąskami. Wystawione były przed nim dwa stoliki z krzesłami. Była też kawa. Zamówił dwie – duże karmelowe latte dla pana Staszka oraz podwójne espresso dla siebie – i wrócił do stolika. Jego towarzysz wyjmował właśnie z kieszeni paczkę papierosów.

– Chce pan też? – spytał, wyciągając ją w stronę Rozłuckiego.

– A wie pan, że chętnie – odparł i wyjął z paczki jedną sztukę. Usiadł na drugim krzeselku.

Pan Staszek zapalił, zaciągnął się i wydmuchnął dym. Rozłucki

obserwował go z przyjemnością. W taki sam sposób palił jego dziadek. Prosty, zwyczajny, bez celebracji i wystudiowanych gestów. Trzymając papierosa między kciukiem a palcem wskazującym.

Mężczyzna podał mu zapalniczkę. Poczuł w nozdrzach zapach dymu mocnych, tanich papierosów. Ten zapach też był przyjemny. Przywodził na myśl mocną herbatę, która wykypiała z imbryka i zalała palnik kuchenki gazowej. Kolejne wspomnienie z dzieciństwa.

Przytknął płomień do końcówki papierosa. Zaciągnął się, ale ostrożnie. Bardzo słusznie, jak się okazało. Papieros był naprawdę mocny.

– To co to za pytania? – spytał pan Staszek.

Rozłucki wydmuchnął dym. Poczuł, jak kręci mu się w głowie. Postanowił, że nie będzie już więcej się zaciągał.

– O Lamka – odpowiedział. – Świętej pamięci.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

– Co u niego? – spytał.

Rozłucki przyjrzał się żarzącej się końcówce papierosa.

– Mówił pan ostatnio o tych wieczornych próbach u dyrektora – powiedział, patrząc ciągle na to małe, okrągłe ognisko na końcu papierowej tulejki. – Mówił pan też, że jeden z aktorów brał w nich udział. Czy to był Lamka?

Mężczyzna zaciągnął się papierosem.

– Mówiłem też, że nie wiem – odpowiedział.

– A mi się wydaje, że może pan coś wiedzieć – powiedział Rozłucki.

– Niby skąd? – Jego rozmówca wzruszył ramionami. – Nigdy nie było mnie wtedy w teatrze; to też panu mówiłem.

– Wiedza może pochodzić z różnych źródeł, nie tylko z bezpośredniej obserwacji – odparł Rozłucki. – Wiemy zadziwiająco wiele o różnych rzeczach, których nigdy nie widzieliśmy na oczy.

– Albo wydaje nam się, że o nich wiemy – odpowiedział mężczyzna.

– Zaryzykuję. – Rozłucki znowu wciągnął dym, tym razem jednak tylko do ust. – Niech pan powie, co się panu wydaje.

– Wydaje mi się, że zadaje pan dziwne pytania, jak na naukowca. Na pewno chodzi panu tylko o badania?

Ten moment musiał kiedyś nadejść, powinien być na to przygotowany. Ktoś w końcu musiał zauważyć, że jego zainteresowanie koncentruje się nie do końca wokół tego, co pierwotnie deklarował.

– Na pewno – postanowił iść w zaparte. – Wokół waszego zespołu dzieją się ostatnio dziwne rzeczy. Trudno to pominąć w takim badaniu, jak moje.

– Powinien pan jednak pytać chyba raczej o to, jak się z tym czujemy albo czy ja wiem, jak to wpływa na nasze relacje, a pan pyta o coś zupełnie innego.

Bystry facet. Nie da go się tak łatwo zbyć.

– No dobrze. – Postanowił zagrać z nim w otwarte karty. W częściowo otwarte karty. – Rozgryzł mnie pan. Tak naprawdę chodzi mi o nią, o Wilczyńską.

Mężczyzna spojrział na niego uważnie. Trudno powiedzieć, co było w tym wzroku.

– O Wilczyńską? – spytał.

– To takie dziwne?

Pan Staszek ponownie zaciągnął się papierosem.

– Wcale. – Wypuścił dym. – Nie panu jednemu o nią tu chodzi.

– Komu jeszcze?

– Reżyserowi.

– Zauważyłem.

– Dyrektorowi.

Zdziwił się. Choć w zasadzie tak, tego też powinien się domyślić.

– Myślałem raczej, że on z nią walczy.

– A jak pan myśli, dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo nie może jej dostać. A wszystko inne zawsze dostaje.

Z papierosa Rozłuckiego oderwał się słupek popiołu i spadł mu na spodnie. Strzepnął go i odłożył niedopałek do popielniczki. Nie miał



ochoty więcej palić. I tak robiło mu się powoli niedobrze.

– A panu? – spytał i to tym razem on spojrzął się na niego uważnie.

– Panu też o nią chodzi?

– Za wysokie progi. – Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem. –

W każdym razie, jak pan widzi – dodał po chwili – jest spora kolejka.

– Nie zamierzam w niej stawać.

– To co pan zamierza?

– Pomóc jej – odpowiedział. – Pan też, z tego co wiem, lubi jej pomagać. Być może z tego samego powodu.

Mężczyzna nie odpowiedział. Teraz to on patrzył na końcówkę swojego papierosa.

– I dlatego pyta pan, kto zabił Lamka? – spytał w końcu.

– I dlatego pytam, jak dobrać się do dyrektora – odparł Rozłucki.

Z drzwi barku wyszła kelnerka z tacą. Podeszła do nich i postawiła na stoliku ich zamówienie – dużą szklankę z latte, małą filiżankę z podwójnym espresso oraz cukiernicę – potem odeszła. Mężczyzna przysunął do siebie cukiernicę, po czym wsypał do swojej szklanki trzy czubate łyżeczki cukru. Mieszał długo, powoli, patrząc z powagą na szklankę. Potem podniósł ją do ust i wypił duży łyk.

– Bywał tam – powiedział wreszcie. – Lamek. Tak słyszałem.

Rozłucki dopiero po chwili uświadomił sobie pewną rzecz.

– Skąd pan wie, że ktoś go zabił? – spytał. – Myślałem, że się utopił.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem.

– Wolne żarty – odpowiedział. – Wyszedł z teatru, pojechał nad jezioro, zaczął pływać i się utopił? Znałem go wystarczająco długo, by wiedzieć, że to do niego niepodobne.

– Może popełnił samobójstwo?

– Szczury nie popełniają samobójstw – odparł. – Ale pan też się nie zdziwił w pierwszym momencie, że to powiedziałem. – Spojrzał na Rozłuckiego. – Dopiero po chwili. Czyli to prawda.

Cholera, przyłapał go. Naprawdę bystry facet.

– Nie wiem, czy to prawda. – Spróbował się jakoś wykręcić. – Ale też tak uważam. Skąd niby miałbym to wiedzieć?

Mężczyzna nie odpowiedział. Patrzył tylko wciąż na Rozłuckiego. Trudno powiedzieć, czy mu uwierzył.

– A Wilczyńska? – Rozłucki zadał szybko kolejne pytanie. – Była tam kiedyś?

Żołądek ścisnął mu się, jak zgnieciona puszka po piwie. Nie wiedział, czy tak naprawdę chce znać odpowiedź na to pytanie.

– Była. – Kiwnął powoli głową. – Raz, ale była.

Cholera. Nie był na to przygotowany. Wiedział, że taka odpowiedź może paść, ale nie był na nią przygotowany.

– Skąd pan wie? – spytał przez zaciśnięte gardło.

– Opowiedziała mi. – Mężczyzna patrzył na chodnik dwa metry

przed sobą. – Wie pan, dość często u niej bywam. Drobne naprawy, małe remonty – przyzwyczała się, że może się do mnie zwrócić z każdą rzeczą, a ja jej nigdy nie odmawiam. Nie wiem, czy kiedykolwiek myślała o mnie jak o mężczyźnie, ale teraz to już na pewno nie. – Uśmiechnął się smutno. – Widziałem ją już naprawdę w różnych sytuacjach. Nieumalowaną, w poplamionej bluzce, z lakierem poobłupywanym z paznokci, czasami nawet pijaną. To naprawdę dziwne przychodzić do mieszkania kobiety, którą... która ci się podoba, doświadczać tego przywileju niedostępnego innym mężczyznom, i jednocześnie czuć tam tę życzliwą, ledwo zauważającą cię obojętność. Ale godzę się na to. Lepsze to niż nic. Wie pan, co mam na myśli...

Wiedział. Chyba aż za dobrze.

– No ale pewnego dnia to się zmieniło. Na chwilę. Na godzinę może. Zauważyła mnie, można powiedzieć. Szkoda tylko, że z takiego powodu...

– Co się stało? – zmusił się, żeby powiedzieć to w miarę normalnym głosem.

Mężczyzna spojrzał na niego nieobecny wzrokiem.

– Tego dnia nie przyszła do teatru – powiedział. – To był poniedziałek, nie było przedstawienia, ale były jakieś próby, więc powinna na nich być. Byliśmy umówieni, że wieczorem przyjdę do niej coś naprawić, już nie pamiętam co. Dzwoniłem do niej, ale nie odbierała. No ale skoro byliśmy umówieni, to poszedłem. Otworzyła mi w strasznym stanie. Była pijana, miała podkrążone oczy, ze zmytym niedokładnie wczorajszym makijażem. Wpuściła mnie bez słowa. Wszedłem i zabrałem się do swojej roboty, a ona znowu nalala sobie wina do kieliszka. Spytałem się, co się stało, i wtedy mi powiedziała.

– Co powiedziała?

– Że była poprzedniego wieczoru na próbie u dyrektora. W końcu ją zmusił, bo nie chciała wcześniej tam chodzić. Był dyrektor, Lamek i jeszcze jeden facet spoza teatru.

– Kto?

– Nie wiem. Powiedziała, że go nie znała.

– I co się stało?

– Nie wiem. Nie powiedziała mi. Nie chciała. Ale coś się musiało stać. A potem...

– Co potem?

– Wypiła resztę wina z butelki i zaczęła się do mnie nagle dobierać. Powinienem się w sumie ucieszyć, tylko że to było... w pewien sposób straszne. Takie rozpaczliwe, straceńcze. Nie pozwoliłem jej na to, choć do dziś tego pewnie żałuję. I wtedy wściekła się i zaczęła mnie bić.

– Bić?!

Mężczyzna skinął głową.

– Bardzo mocno. Jakbym to ja był wszystkiemu winien. Jakby się chciała na mnie za coś wyżyć. Nie wiem, może za tamto... Uciekłem stamtąd i... to tyle. Następnego dnia zachowywała się, jakby się nic nie stało.

– To znaczy jak?

– Normalnie. Rozmawiała ze mną, nie unikała mnie, nie odwracała wzroku. Próbowałem nawet spytać ją, co się wczoraj stało, ale sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, o czym mówię. Jakby niczego nie pamiętała.

Umilkł. Zapadła cisza. Podniósł swojego papierosa do ust, jakby sobie o nim nagle przypomniał, i zaciągnął się mocno.

– Tak że tak – powiedział.

W głowie Rozłuckiego szalała burza sprzecznych uczuć: wściekłości, współczucia, absurdalnego poczucia winy i odrazy, także do niej. Postanowił, że nie będzie się nimi na razie zajmował.

– Jak pan myśli, co się tam stało?

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć? – wybuchnął ze złością. – Pewnie kazał jej „przekraczać granice”, a ona... ona je pewnie przekroczyła. Dlatego tak się zachowywała...

– Niekoniecznie. – Rozłucki usłyszał swój głos. – Niekoniecznie –

powtórzył, jakby chciał sam siebie przekonać.

– Jak to?

– Taką reakcję mogła wywołać sama próba. Niekoniecznie musiało do czegoś dojść.

– Tak pan myśli?

– To tak jak z włamaniem. Złodziej nie musi wchodzić do naszego mieszkania i go okraść. Wystarczy, że będzie próbował, a my i tak będziemy się potem czuć okropnie.

– Tak pan myśli? – powtórzył.

– Nie wiem, czy tak było, ale mogło tak być. Widziałem ostatnio, jak rozmawiali. Ona i dyrektor. Nie wyglądała na kogoś, kto mu kiedykolwiek w czymkolwiek uległ.

„Albo po prostu wyparła to z pamięci”, przemknęło mu przez głowę.

Pan Staszek spojrzał na niego uważnie. Sprawiał wrażenie, jakby bardzo chciał w to uwierzyć.

– Jakby nie było, coś jej chciał zrobić. Czy mu się to udało, czy nie – powiedział zimno.

– Warto, by za to zapłacił – dokończył za niego Rozłucki.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Wie pan, która jeszcze z aktorek bywała zapraszana na takie „próby”? – spytał Rozłucki.

– Mogę się tylko domyślać.

– Warto byłoby z nimi porozmawiać.

– Może pan spróbować, ale moim zdaniem to nic nie da.

– Dlaczego?

– Nic nie powiedzą.

– Czemu?

– Pan tego nie rozumie. To małe miasto i jest w nim tylko jeden teatr. A dyrektor jest tu bogiem. Będą się bały. Dyrektorowi to i tak ujdzie na sucho, a one wylecą z pracy. I gdzie pójdą? Tu nie ma drugiego teatru. Na kasę do supermarketu?

– Nie ujdzie mu to na sucho.

– Jest pan tego pewien? Niech pan się postawi w ich sytuacji.

Zaryzykowałby pan wszystko, co ma? Całe swoje życie, pozycję, młodzińcze marzenia, w jakiś tam sposób spełnione? Gdy jesteś aktorem, jesteś kimś. Zwłaszcza w takim mieście, jak nasze. Wszyscy cię znają. Gdy przestajesz nim być, stajesz się nikim. Kimś takim, jak cała reszta. A nawet jeszcze gorzej, bo reszta nigdy nie stała na scenie, nigdy ich nie oklaskiwali, nigdy nie dostawali kwiatów po premierze.

– Są inne teatry w innych miastach.

– Wolne żarty. One wszystkie zdają sobie sprawę, że z takimi umiejętnościami nie dostałyby angażu w Warszawie, albo nawet w Gdańsku. Tam już są aktorzy lepsi od nich. I co roku pojawiają się nowi. Trzeba pilnować tego, co się ma. Ja mogę odejść w każdej chwili i znajdę sobie pracę. Pewnie nawet lepszą niż ta i lepiej płatną. Ale i tak tego nie zrobię. Wie pan dlaczego? Bo tu pracuję w teatrze. Jestem częścią czegoś ważnego. Może mało istotną częścią, ale zawsze. One są aktorkami. Żadna praca nie będzie od tego lepsza. Scena uzależnia. Poza tym...

– Poza tym co?

– Te, które „przekroczyły granice”, grają teraz lepsze role. To też się liczy, dla niektórych nawet bardzo.

– Nawet jeśli ceną jest upokorzenie?

– Poświęciły się przecież dla sztuki.

Mężczyzna miał rację. Podjęte przez Rozłuckiego próby porozmawiania z innymi aktorkami z teatru nic nie dały. Reakcje na jego pytania były różne, ale odpowiedzi sprowadzały się w zasadzie do jednego: może i takie próby rzeczywiście miały miejsce, ale po pierwsze żadna z nich w nich nie uczestniczyła, a po drugie, z tego, co słyszały, nie działo się tam nic złego. Czy bywał na nich ktoś spoza teatru? Nic im na ten temat nie wiadomo. Przekraczanie granic? W teatrze ciągle przekracza się jakieś granice, na tym to między innymi polega.

Pozostawał więc pan Staszek. Oraz Wilczyńska. Jego dwa jedyne tak naprawdę źródła informacji. Spróbował teraz dla odmiany porozmawiać właśnie z nią, ale okazało się to nadspodziewanie trudne. Spotykał ją co prawda co i raz w teatrze, ale wiecznie nie miała dla niego czasu. Pędziła a to na próbę, a to na przedstawienie, a to na jeszcze coś innego. Trwał w końcu festiwal i na jego koniec, ostatniego wieczoru ostatniego dnia zaplanowana była premiera, w której ona także grała niewielką rolę. Jaka to premiera? Czechow, kompilacja z jego dramatów. Dzieło dyrektora. Nawet mu to nieźle wyszło. Cokolwiek by o nim mówić, ten kretyn zna się na swojej robocie.

O Lamku i jego śmierci nikt już w zasadzie nie pamiętał. Ani tym bardziej o rozjechanym przez pociąg urzędniku wydziału kultury. Nikt też nie zdawał się być zaniepokojony faktem, że dwa tak dziwne wypadki miały miejsce w ciągu tak krótkiego odcinka czasu. Świat, życie, sztuka – wszystko to pędziło dalej. Trwał festiwal i wszystkich

zdawała się pochłaniać całkowicie jego atmosfera. Atmosfera rozedrgania, podekscytowania, braku czasu, święta.

Miasto, jeszcze nawet łatwiej niż teatr, przeskoczyło ponad dwoma trupami i poszło dalej. Lokalne media zostały skutecznie spacyfikowane. Najpierw powtarzały wyłącznie oficjalne wersje wydarzeń, a potem w ogóle w tej sprawie zamilkły. Festiwal także i na tym polu wszystko przykrył i zawłaszczył, dostarczając codziennie nowych tematów; może nie tak sensacyjnych, ale za to bezpieczniejszych dla redaktorów.

Komisarz Sądecki robił to samo, co do tej pory: pił, rozwodził się i zupełnie nie radził sobie ze śledztwem. Przełożeni byli jednak z niego zadowoleni, a to zawsze jest przecież najważniejsze. Powoli wszyscy zaczęli chyba wierzyć, że Lamek faktycznie sam się utopił, a to, co stało się na wiadukcie, było rzeczywiście wypadkiem, a w najgorszym razie samobójstwem. Tak by było w każdym razie na pewno dla wszystkich lepiej, a skoro byłoby lepiej, to dlaczego nie miałyby tak być w istocie? Robiło się coraz cieplej, upały przyszły w tym roku wyjątkowo wcześnie. Nikomu nie chciało się myśleć, pracować, ani tym bardziej zamartwiać. Byleby tylko przetrwać do końca festiwalu, a później jakoś to będzie. Za dwa miesiące będą już przecież wakacje.

Nawet przyroda zdawała się uczestniczyć w tym nieświadomym spisku. Drzewa pokryły się liśćmi, zasłaniając skutecznie wiadukt kolejowy przed oczyma mieszkańców. Dziś nikt już by nie dostrzegł, stojąc na Starym Mieście, że cokolwiek się na nim dzieje. Także i z wiaduktu nie dałoby się zapewne dojrzeć przechodzącej w dole parady. Pociągi jeździły jak dawniej. Maszynista, który tamtego zapomnianego już prawie przez wszystkich wieczoru prowadził skład, powrócił do pracy po dwutygodniowym zwolnieniu. Poradził sobie z tą traumą zresztą wyjątkowo dobrze. Może dlatego, że takie sytuacje nie były dla niego niczym specjalnie szczególnym? W swojej ponad trzydziestoletniej karierze przejechał już czworo ludzi – w większości samobójców.



Żaden z nich co prawda nie był ubrany, jak ten, w rycerską zbroję, a jego śmierci nie towarzyszyły wybuchające wokoło fajerwerki, ale przecież świat idzie nieustannie do przodu, co, jak widać, dotyczy także kwestii samobójstw.

Również Rozłucki przyzwyczał się do swojego statusu szwendającego się po teatrze w tę i z powrotem nie wiadomo kogo. Chodził na próby i przedstawienia, stołował się w teatralnym bufecie. Zarzucił już w zasadzie próby rozmawiania z kimkolwiek, gdyż zauważył, że od czasu, gdy wypytywał o wieczorne spotkania u dyrektora, zaczęto go traktować z jeszcze większym dystansem. Był tu obcy. Tolerowano go wprawdzie i przyzwyczajono się do niego, ale wciąż był tu obcy. W dodatku wtrącał się w sprawy rodziny. Jego plan wejścia w to środowisko i poznania jego tajemnic od środka powoli spalał na panewce.

W zasadzie mógłby już sobie odpuścić. Pójść do Sądeckiego i powiedzieć mu, że z jego tajnej misji nici. I gdyby komisarz w jakikolwiek sposób interesował się tym, co Rozłucki robi w teatrze, prawdopodobnie by to zrobił. Sądecki jednak zdawał się o nim zapomnieć. Z jednej strony zabronił mu dalszego grzebania przy sprawach dyrektora, lecz z drugiej nie wyznaczył żadnego nowego kierunku ani nie rozliczał z braku efektów. Był w pewnym sensie idealnym szefem.

Co jakiś czas, z wrodzonego poczucia obowiązku, próbował jednak poskładać to, czego się do tej pory dowiedział, we w miarę logiczną całość. O co w tym wszystkim chodziło? Dwa spektakularne morderstwa, oba niewątpliwie związane z teatrem i z trwającym właśnie festiwalem; dziwne, wieczorne próby u dyrektora; jego natura manipulatora i tyrana. A w tym wszystkim ona, Wilczyńska, i jego własna obsesja na jej punkcie. Obsesja, którą w mniejszym lub większym stopniu zdawało się podzielać jeszcze kilka osób. W tym sam dyrektor. Czy te wszystkie rzeczy były ze sobą powiązane, czy też któryś z elementów był w tej układance przypadkowy? Poszukiwania Weroniki dotyczące ewentualnych

przekrętów finansowych przy okazji organizacji festiwalu również nie dały żadnych efektów. Także dlatego, że kontrola urzędu skarbowego po dość gwałtownej interwencji dyrektora i następującym po niej ataku wściekłości komisarza Sądeckiego została zawieszona. Oficjalnie na czas trwania festiwalu i by nie przeszkadzać artystom w ich pracy.

Wszystkie możliwości były więc cały czas otwarte i żadna nie wydawała się bardziej lub mniej prawdopodobna od innych.

Tego dnia padało. Po kilkunastu dniach cieplej, niemal upalnej pogody, kiedy to wszystkim powoli zaczęło się wydawać, że tak będzie już zawsze i że gorąca wiosna gładko przejdzie w równie gorące lato, klimat środkowoeuropejski pokazał wreszcie, na co go stać, wybijając zziębniętym i przemoczonym przechodniom z głowy marzenia o globalnym ociepleniu. Niebo zasnuły bure chmury, temperatura spadła o ponad dziesięć stopni, ci zaś, którzy nierozsądnie i naiwnie pochowali już do szaf długie spodnie i pełne buty, musieli je teraz pokornie powyciągać z powrotem.

Niestety, deszczowa, zimna i depresyjna, nawet mimo litrów kawy, pogoda stwarzała również inne problemy. Największym i zajmującym teraz wszystkich najważniejszych ludzi w mieście, od dyrektora teatru, przez wojewódzkiego komendanta policji, aż po samego wojewodę, była kwestia ostatniego dnia festiwalu i planowanej na ten dzień parady. Jeśli bowiem pogoda taka się utrzyma – a do tego dnia zostało już mniej niż pół tygodnia i prognozy nie były optymistyczne – wielką paradę na koniec festiwalu trzeba będzie odwołać, co byłoby nieodżałowaną stratą zarówno ze względów artystycznych, jak i politycznych.

Całe szczęście wielkie problemy wyzwalają czasem w ludziach wielką pomysłowość, i tak było też tym razem. Gdzieś więc, nie wiadomo dokładnie gdzie – czy to w socrealistycznie topornych salach Urzędu Wojewódzkiego, czy też w odnowionym za pieniądze Unii Europejskiej gabinecie dyrektora teatru – powstała idea, by paradę nie tyle odwołać, co przenieść. Przenieść gdzieś pod dach,

gdzieś, gdzie ani zimno, ani deszcz, ani wiatr nie będą w stanie rozwiązać marzeń o wielkim, spektakularnym, imponującym widzom i wyborcom wydarzeniu. Dach tej wielkości był zaś w Olsztynie tylko jeden i rozpięty był nad halą widowiskowo-sportową Urania.

Nie było to co prawda całkowicie idealne rozwiązanie. Hala Urania zbudowana została w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku i okres świetności miała już bardzo dawno za sobą. Nigdy od tamtego czasu nieremontowana, zszarzała i spsiała, i choć ciągle jeszcze nie groziła zawaleniem, to już powoli sprawiała takie wrażenie. Imprezy masowe wciąż tam jednak organizowano, więc z formalnego punktu widzenia nic nie stało na przeszkodzie, by i ta się w niej odbyła.

Czasu było jednak bardzo mało, raptem trzy dni, więc przygotowania – w nieuniknionej w takiej sytuacji atmosferze gorączki i chaosu – musiały ruszyć pełną parą i to jak najszybciej. Dość prędko zdano sobie przy tym sprawę, że przeniesienie imprezy z otwartej miejskiej przestrzeni do zamkniętej hali z co prawda dużą, ale ograniczoną liczbą miejsc, ma też swoje plusy. O ile bowiem po to, by obejrzeć uliczną paradę, może przyjść każdy i trudno mieć nad tym jakąkolwiek kontrolę, o tyle na podobną imprezę, lecz odbywającą się pod dachem, można zaprosić, kogo się chce, a kogo nie chce, nie zapraszać. Dzięki temu da się ją zmienić w nieformalny wiec poparcia dla aktualnych władz, zarówno samorządowych, jak i ogólnokrajowych, i to opłacony z pieniędzy wszystkich podatników.

Nic dziwnego więc, że w tej sytuacji kwestia dwóch morderstw (czy na pewno zresztą morderstw?) dokonanych przed kilkunastoma dniami, w prehistorycznej z punktu widzenia pędzącego przed wyborami czasu epoce, nikogo już ani nie zajmowała, ani nie obchodziła. Obecne dni dość miały swoich własnych trosk, by jeszcze obarczać je przebrzmiałymi problemami czasów minionych.

Decyzja ta również w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Olsztynie przyjęta została z czymś w rodzaju cichego westchnienia ulgi. Oto bowiem pojawił się dobry i do tego popierany przez władze powód, by

odłożyć na bok kwestię nieprzynoszącego żadnych rezultatów śledztwa i zająć się rzeczami może skomplikowanymi, może męczącymi i wymagającymi dużo pracy, ale przynajmniej przynoszącymi widoczne i łatwo sprawdzalne efekty. Zabezpieczenie tak wielkiej imprezy, i to w sytuacji ewentualnego zagrożenia spowodowanego grasującym gdzieś nieobliczalnym mordercą, stanowiło doskonały pretekst, by przestać tego mordercy szukać. Komisarz Rafał Sądecki również odżył. Oto wreszcie mógł zająć się działaniami, które w sumie wychodziły mu najlepiej: pokrzykiwaniem, pohukiwaniem i opierniczaniem podwładnych, zlecaniem im różnych zadań i prac oraz szeroko pojętą organizacją. Był on bowiem całkiem niezłym policjantem, choć niekoniecznie dobrym śledczym. Bardziej psem pasterskim, niż myśliwskim.

Wszystko więc było dobrze i wszyscy byli zadowoleni niczym letnicy w sierpniu 1939 roku. Nikt nie wierzył w wojnę i nikt nie miał zamiaru w nią uwierzyć, różnorakie bowiem strategie samooszukiwania się są zwykle tym, co wszyscy mamy opanowane do perfekcji, głównie zresztą dlatego, że ćwiczymy je od najwcześniejszego dzieciństwa.

Dopiero Rozłucki i to, trzeba przyznać, nie sam i trochę niechcący, zburzył ten powszechny spokój.

Stało się to pewnego czwartkowego przedpołudnia, gdy postanowił mimo wszystko wreszcie odwiedzić swoją nową pracę. Nikt go tam ani nie zapraszał, ani nie oczekiwał, nawet Weronika już o nim zapomniała, ale gdzieś tam w głębi duszy tliła się w nim jeszcze resztką obowiązkowości i ta właśnie resztką sprawiła, że głupio mu było tak zupełnie nic nie robić. Tego więc właśnie poranka obudził się z dziwnym niepokojem; niepokojem, który, jak wkrótce zrozumiał, wynikał z niezaspokojonej wewnętrznej potrzeby uczciwego zapracowania na swoją pensję. Ubrał się więc, ogolił i wyszedł.

Na miejscu zjawił się po mniej więcej piętnastu minutach. Olsztyn był miastem, gdzie nigdzie nie było daleko, i idąc tu po raz kolejny,

zaczął się zastanawiać, po co jego mieszkańcom w ogóle są samochody. Chyba tylko po to, by móc postać sobie w korkach niczym w Warszawie albo w Krakowie.

Zajęty takimi właśnie rozważaniami, jakże dalekimi od wszelkich morderstw i wszelkich morderców świata, wkroczył do gmachu Komendy Wojewódzkiej Policji w Olsztynie. Wspiął się na piętro i ruszył w kierunku gabinetu komisarza Sądeckiego.

– Dzień dobry. – Usłyszał nagle. Rozejrzał się wokoło.

Korytarzem szedł w jego stronę mężczyzna z włosami do ramion i bródką. Policyjny profiler o imieniu – poszperał chwilę w pamięci – Krzysztof.

– Dzień dobry panu – odpowiedział. Podali sobie ręce.

– Chyba po raz pierwszy pana tutaj widzę – zagadnął profiler.

– Tak – odpowiedział. – Prowadziłem... śledztwo w terenie.

Już wypowiadając te słowa, miał uczucie ich bolesnej niezgodności z rzeczywistością.

– I jak rezultaty?

– Szczerze powiedziawszy, nikłe.

– To tak mniej więcej jak u nas. No cóż, pozostaje nam w takim razie tylko czekać...

– Na co?

– Na kolejne morderstwo. Może wtedy pojawią się jakieś nowe tropy...

Nieprzyjemne było to przypomnienie. Nieuprzejmie tak chodzić i obwieszczać ludziom, że może się stać coś złego, mimo iż dawno już o tym zapomnieli.

– Może nie będzie kolejnego? – odparł Rozłucki. Przypomniał sobie to, co powiedziała kiedyś Weronika. – Może wcale nie mamy do czynienia z mordercą seryjnym? Zabił tych, co chciał zabić, z jakiegoś tylko sobie znanego powodu, i to mu wystarczy.

Profiler pokiwał głową.

– Wszyscy wydają się właśnie w to wierzyć.

– Może wcale się nie mylą? Większość wbrew pozorom dość często

ma rację.

– Może i tak, ale nie w tym konkretnym przypadku.

– Dlaczego?

– Bo przeświadczenie to nie bierze się z analizy rzeczywistości, ale z próby jej zaklinalania.

– Tak pan sądzi?

– Oczywiście. Wszystkim byłoby wygodniej, gdyby tak to się skończyło. Problem w tym, że nie byłoby tak wygodniej mordercy. Nie po to rozpoczął to wszystko, żeby tak skończyć. Tak nie wiadomo jak. Musi być ukoronowanie, kropka nad i. Trzeci trup na torcie. *Boh trojcu ljubit'*.

Już wiedział, że ten człowiek ma rację, ciągle jeszcze jednak próbował nie dopuścić tej wiedzy do siebie.

– A może to właśnie pan dał się uwieść schematom? Nie pomyślał pan o tym? Rzeczywistość nie zawsze daje się w nie wtłoczyć. Oczekujemy podświadomie symetrii, zamknięcia, klamry, ale w prawdziwym życiu dość rzadko one występują. Historie kończą się tak, jak się kończą, niekoniecznie podsumowującą wszystko puentą.

Profiler wzruszył ramionami.

– Mam szczerą nadzieję, że ma pan rację. I to pomimo tego, że sam pan w to nie wierzy. Bo nie wierzy pan w to, prawda?

Spojrzał Rozłuckiemu prosto w oczy.

– Niech pan pomyśli – ciągnął dalej. – Pierwsze morderstwo miało miejsce w trakcie parady rozpoczynającej festiwal. Drugie w czasie wyjątkowo widowiskowego plenerowego spektaklu mniej więcej w jego środku. Oba morderstwa były mocno teatralne. Właśnie zbliża się zakończenie festiwalu. Ma być widowiskowe, spektakularne, z dużą publicznością. Czego by pan oczekiwał?

Rozłucki spojrzał przez okno. Chodnikiem po drugiej stronie ulicy szedł człowiek z dziecięcym wózkiem. Zerwał się silny wiatr i mężczyzna usiłował nie dopuścić, by jego porywy uniosły osłaniający dziecko składany daszek.

– Trzeciego aktu – odpowiedział. – I rozwiązania akcji.

Komisarz Sądecki wyjątkowo niechętnie zgodził się na spotkanie.

– Czego ty znowu ode mnie chcesz? – spytał. – Wiesz, ile mam teraz roboty?

Weronika, jak zwykle milcząca, usiadła z boku.

– Masz coś dla mnie nowego? Czy po prostu przyszedłeś pozawracać mi głowę? – Komisarz nawet nie starał się ukryć swojego zniecierpliwienia. – Tylko nie mów mi nic o dyrektorze! Mam wystarczająco dużo powodów do irytacji, nie musisz mi przynosić z miasta kolejnych.

Rozłucki spokojnie przetrzymał ten wybuch frustracji. Wielu ludzi żyłoby znacznie spokojniej i było o wiele szczęśliwszych, gdy potrafili z własnej woli porzucić stanowiska, do których się nie nadają.

– Rozmawiałem właśnie z tym waszym profilerem – powiedział. – Całkiem łebski z niego gość.

– I przyszedłeś, żeby mi o tym powiedzieć? Niepotrzebnie. Mam na ten temat zupełnie inne zdanie.

– Twierdzi, że jest wysoce prawdopodobne, że nasz inscenizator zaatakuje po raz trzeci. I że zrobi to podczas zakończenia festiwalu.

– Tak, mądzi mi o tym od dłuższego czasu. Kasandra się znalazła!

– Nie uważasz, że może mieć rację?

– Wiem, że może mieć rację. Podkreślam: „może”, bo moim zdaniem wcale nie ma.

– A gdyby jednak miał? Bierzesz to pod uwagę?

– A jak myślisz, czym się od paru dni zajmuję?

– Czym?



- Zabezpieczeniem tej kretyńskiej imprezy.
- Myślę, że zwyczajne środki tu nie wystarczą. Co zrobisz? Rozstawisz wokoło paru policjantów? Sprawdzisz, czy nie ma gdzieś ukrytych bomb? Zainstalujesz bramki na wejściu?
- Czego byś jeszcze chciał?
- To są wszystko środki, które stosuje się w celu zapobieżenia ewentualnemu atakowi. Ten atak nastąpi na pewno.
- Na pewno? To ci powiedziała ta nasza prowincjonalna, warmińska imitacja policyjnego profilerera?
- To mówię ja. Jestem o tym przekonany. Nie wiem, dlaczego on to robi, nie wiem, jaki jest jego cel ani motyw, ale wiem, że teraz właśnie planuje swój wielki finał. Jest to tak samo pewne, jak to, że dostaniesz kiedyś zawału.
- Wypluj to! – Komisarz na moment pozieleniał.
- Mówię ci, coś się stanie. Za trzy dni, w hali Urania, w czasie uroczystego zakończenia festiwalu. Ten człowiek już dwa razy nas przekonał, że jest bardzo pomysłowy, stosuje niekonwencjonalne sposoby i wykorzystuje środki, które innym nawet by nie przyszły do głowy. To raczej więc nie będzie nóż ani bomba wniesiona w reklamówce. W każdym razie nic, co dałoby się wykryć na bramkach. Wykorzysta coś, co już tam jest, albo coś, co da się wnieść bez wzbudzania specjalnych podejrzeń. Zgromadzi się tam kilkanaście zespołów, teatry uliczne, żonglerzy, połykacze ognia – wszyscy oni będą mieć ze sobą mnóstwo potencjalnie niebezpiecznych przedmiotów. Będą robili dziwne rzeczy, będą chodzili na szczudłach, będą toczyć przed sobą różne platformy i urządzenia, będą poprzebierani – to dla niego idealny moment i miejsce.
- Komisarz Sądecki jakby odrobinę zmałał.
- No i udało ci się mnie zirytować! – powiedział. – Szlag by to trafił!

Hala Urania była wielka. To jedno można było o niej na pewno

powiedzieć. Zbudowana na niewielkim wzniesieniu, okrągła, z pokrytym blachą kopulastym dachem, wyglądała jak wielka odwrócona do góry dnem miska do sałaty. Nie była też jednoznacznie brzydka. Jej architektura była ciekawa; kiedyś, gdy lśniła jeszcze nowością, musiała robić naprawdę imponujące wrażenie. Dziś wyglądała jak dawno nieczyszczony, zdefasonowany but.

Rozłucki po raz pierwszy był w tych rejonach miasta. Do tej pory nie miał ani chęci, ani powodu, by się tu wybierać. Szczerze powiedziawszy, nie wiedział nawet, że w tę stronę rozciąga się jeszcze jakieś miasto. Olsztyn kończył się dla niego na centrum handlowym naprzeciwko więzienia, bo dalej po prostu nigdy nie dotarł.

Stał więc teraz przy jednym z wielu wejść tej kolistej budowli i z ciekawością przyglądał się tej części Olsztyna. Zadziwiające, że wciąż było to to samo miasto. Olsztyn, który znał do tej pory, był piękny, urokliwy, zabudowany gotyckimi budowlami i secesyjnymi kamieniczkami, tonący w zieleni i otoczony jeziorami. Ten Olsztyn był zupełnie inny. Rozlazły, niezwały, zagracony na przemian brzydkimi pokomunistycznymi blokami i po prowincjonalnemu nowoczesnymi współczesnymi budynkami sklepów i banków.

– Wchodzimy? – Komisarz Sądecki skończył palić papierosa i natychmiast zaczął się niecierpliwić. Na ich głowy spadały duże, pojedyncze na razie krople deszczu.

– Poczekajmy jeszcze chwilę, Krzysiek zaraz powinien być – odpowiedziała Weronika.

– Po co nam w ogóle ten profilerzyna? – Komisarz się zirytował i wystrzelił niedopałek papierosa za pomocą dwóch palców na trawnik. „Za takie zachowanie”, pomyślał Rozłucki, „powinien w zasadzie sam sobie wlepić mandat”.

– Może zobaczy coś, czego nie dostrzeże żadne z nas? – odpowiedział. – To kumaty gość.

– Powtarzasz to i powtarzasz! Zakochałeś się w nim czy co? Czemu

on w ogóle się spóźnia?

– Nie spóźnia się – odparła spokojnie Weronika. – Ma jeszcze dwie minuty.

– Dobra, idziemy! – Komisarz nie miał zamiaru dłużej czekać. – Nie jest dzieckiem, znajdzie nas.

Odwrócił się i ruszył w kierunku wejścia. Chcąc nie chcąc, poszli za nim.

W środku było nawet jeszcze brzydziej niż na zewnątrz. Szkło, aluminium i drewniana sklejka – trzy materiały, które dominowały w wystroju wnętrza – w przygnębiający i bardzo widoczny sposób wykazywały symptomy zużycia. Aluminiowe ramy zmatowiały i zszarzały; szyby, przez dziesięciolecia myte i wycierane, ściemniały od tysięcy mikrozarysowań; sklejka wglądała zaś tak, jakby brud i kurz wżarły się w nią tak głęboko, że nie dałoby się jej doczyścić nawet szlifierką. Obrazu smutku i brzydoty dopełniały dziesiątki szyldów i reklam najrozmaitszych sklepów i punktów usługowych, które poprzerastały tkanekę tej niegdyś zapewne całkiem ładnej hali, niczym grzyby powalone drzewo.

Przeszli przez wewnętrzną, dwupiętrową galerię okalającą salę widowiskową i przez wielkie, podwójne drzwi dostali się do jej środka.

Takie miejsca, gdy są puste, zawsze sprawiają dziwne wrażenie. Ogromna, wybebeszona jakby przestrzeń, z zawieszonymi hen wysoko, kilkadziesiąt metrów nad ich głowami reflektorami i dużymi, białymi, prostokątnymi ekranami, mającymi zapewne poprawiać akustykę, wyglądała jak wnętrze wypatroszonego potwora; jakby weszło się do środka jakiejś współczesnej, zbudowanej z kratownic i dykty wersji Hagii Sophii.

Stanęli na środku tego kolosa. Wokół nich rozciągały się trybuny. Najwyższe rzędy siedzeń były aż pod samym, sklepionym kopulasto dachem. Techniczne światło, które oświetlało to wszystko, sprawiało, że trudno było nawet dostrzec te najwyżej położone miejsca.

Na płytę hali prowadziło kilka wejść. W jednym z nich pojawiła się właśnie mała sylwetka człowieka.

– O, pan profiler – zauważył z przekąsem Sądecki. – Rychło w czas.

Mężczyzna szedł ku nim szybkim krokiem. Jego przydługie włosy powiewały malowniczo.

– Ogromnie się cieszymy, że nas pan w końcu zaszczyił swoją obecnością – rzucił w jego stronę komisarz.

Profiler spojrział na zegarek.

– Nie spóźniłem się – odpowiedział.

– Spóźniłeś się, bo byliśmy pierwsi – odparował Sądecki.

Mężczyzna stanął obok nich. Przez chwilę wszyscy rozglądali się w milczeniu.

– Nie wygląda to dobrze – powiedział ponuro komisarz.

– Te pomosty, tam na górze. – Weronika wskazała na ledwo widoczne kładki z kratownic biegnące pod samym sklepieniem – trzeba sprawdzić i zabezpieczyć.

– Przydałoby nam się paru alpinistów – mruknął Sądecki.

– Do tego wszystkie te małe sklepiki – ciągnęła Weronika. – Musimy je najpierw dokładnie przeszukać, a potem zamknąć na głucho. Jeśli są w nich zainstalowane alarmy, właściciele muszą je włączyć.

– No i szatnie – dorzucił profiler. – Byłem tam kiedyś, gdy jeszcze grałem w siatkówkę. Mnóstwo małych, zapyziałych klitek.

– Świetnie – westchnął Sądecki.

– Wszyscy uczestnicy parady, ze wszystkich biorących udział w niej zespołów, jak również cała obsługa techniczna, goście VIP i organizatorzy – kontynuowała Weronika – wszyscy muszą mieć imienne identyfikatory z hologramem; do tego przy wejściach muszą być sprawdzane listy. Nikt spoza tej grupy nie może się dostać do środka.

– Wiadomo już, jak to będzie wyglądało? – spytał Rozłucki.

– Widzowie będą siedzieć na trybunach. Cała płyta będzie wolna. Uczestnicy parady będą wchodzić tamtymi drzwiami. – Wskazała te,

przez które wszedł profiler. – A wychodzić tamtymi. – Pokazała drzwi po przeciwległej stronie.

– A widzowie? Da się ich jakoś skontrolować? – spytał Rozłucki.

– Nasi łaskawie nam panujący wymyślili coś, co jest nam w sumie na rękę – odpowiedziała Weronika. – Nie będzie wolnego wstępu. Wszystkie zaproszenia będą rozprowadzone wśród członków i sympatyków. Teoretycznie więc będziemy znać nazwiska wszystkich obecnych tego dnia w hali osób. W razie...

– Nawet nie kończ – warknął komisarz.

– W razie jakichś kłopotów bardzo nam to ułatwi sprawę.

– Musisz zdobyć te wszystkie listy – zwrócił się do Weroniki. – Widzów, członków zespołów i tak dalej.

– Kupa roboty – westchnęła.

– Dasz radę – powiedział. Powiódł ponurym wzrokiem po trybunach. – Wszędzie tam powinni być nasi ludzie. Tam w górze – wskazał techniczne pomosty nad ich głowami – w szatniach, na trybunach i przy tych jebanych sklepikach.

– Sami tego nie ogarniemy – zauważyła Weronika. – Nie mamy tylu funkcjonariuszy. Musisz ściągnąć posiłki spoza miasta.

– Szlag by to wszystko jasny trafił... – mruknął pod nosem komisarz. – A może tak teraz dla odmiany jakaś dobra wiadomość?

– Jest jedna – powiedział profiler. – Chyba.

– No dawaj. Może do czegoś się wreszcie przydasz.

– Morderca to człowiek, jak się wydaje, inteligentny i dobrze zorganizowany. Do tej pory planował wszystko dokładnie i w najdrobniejszych szczegółach...

– I to ma niby być ta dobra wiadomość?

– Chodzi o to, że teraz będzie musiał improwizować. Informacja o przeniesieniu parady do hali została podjęta wczoraj. W mediach pojawiła się dziś rano. Ma więc na wszystko dokładnie trzy dni. Tyle samo, co my. Będzie musiał się spieszyć, działać pod presją czasu, zmieniać wcześniej opracowane plany. Nie jest do tego przyzwyczajony. Jest szansa, że popełni przez to błąd.

O czymś sobie przypomniał i postanowił zająć się tym natychmiast, nie odkładając tego na później.

– Dzień dobry, pani Kaju. – Wsunął głowę przez drzwi do sekretariatu. – Mogę pani przeszkodzić na chwilę?

– Dyrektora nie ma – odpowiedziała kobieta. Uprzejmie, choć z wyraźnym wyczuwalnym dystansem.

– Tym razem nie chodzi mi o niego. – Wszedł do środka.

– Uprzedzam, że mam narzeczonego – odpowiedziała z kamienną twarzą, choć kąci jej ust uniosły się nieco w górę.

Westchnął przesadnie.

– Aż tak widać, że brak mi miłości? – Pokręcił teatralnie głową. – No dobrze, to w takim razie druga sprawa: Nie przysłał ktoś do państwa ostatnio sztuki?

– Muszyński przynosi nam coś co jakiś czas. Ostatnia ma być chyba nawet wystawiona.

– To wiem, ale chodzi mi raczej o kogoś z zewnątrz. Jakiegoś domorosłego pisarza, grafomana, który ją przysłał albo nawet przyniósł osobiście z nadzieją, że ją wystawicie.

– No przecież mówię, Muszyński. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Ale...

– Wiem, wiem, o co panu chodzi, przepraszam – zaśmiała się. – Tak, przysyłają nam czasem takie rzeczy.

– Mógłbym je zobaczyć?

Wstała zza biurka i podeszła do szafy.

– Proszę bardzo. Może pan sobie wybrać. – Otworzyła drzwi. – To te

tutaj, po lewej stronie.

Na dnie szafy piętrzył się półtorametrowy prawie stos maszynopisów.

– To wszystko? – zdumiał się Rozłucki.

– A są jeszcze te, które przysłano przez internet – odpowiedziała. – Mam w komputerze specjalny folder, w którym je przechowuję. Zaraz, jak on się nazywa? A już wiem: kosz.

Rozłucki podszedł po szafy. Wziął do ręki pierwszy egzemplarz z góry stosu. Napisany był na zwykłej maszynie do pisania.

– Czytała je pani? – spytał.

– Pan żartuje! Kilka przyglądałam. Straszna grafomania. Niektóre z błędami gramatycznymi lub nawet ortograficznymi. Najlepsze są te napisane ręcznie na papierze w kratkę.

Przerzucił kilka kartek. Tekst napisany był wierszem.

– Jaka jest ich tematyka?

Pani Kaja wzruszyła ramionami.

– Różna. Sporo jest patriotycznych. Polska, Legiony Piłsudskiego, Krzyżacy... Licealiści piszą o tym, jak zły jest świat i jacy są do niego nieprzystosowani... Są też ewidentne zrzyzny z Wyspiańskiego czy Mrożka.

– Trafiła pani na jakąś... dziwną?

Zaśmiała się ponownie.

– One są wszystkie dziwne, niech mi pan uwierzy!

– Ale na jakąś, jak by to powiedzieć... niepokojącą? Taką, w której byłyby morderstwa, przemoc, zbrodnie... Coś, o czym pomyślała pani, że jest to w jakiś sposób chore...

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie, chyba nie... Ale nie przeglądałam ich wszystkich. Tylko na początku, jak tu zaczęłam pracować. Potem mi się znudziło i wrzucałam je po prostu do szafy.

– A dyrektor? Czytał je?

– Na pewno nie. Pierwszą, która trafiła w moje ręce, zaniósłam do jego gabinetu. Powiedział, żebym mu nigdy więcej nie zwracała

głowy takimi bzdurami.

- Mogę wziąć kilka, żeby je przejrzeć?
- Może pan wziąć nawet wszystkie. Już i tak dawno powinnam je wyrzucić.

Wszystkiego zabrać się oczywiście nie dało. Pani Kaja, która okazała się bardzo sympatyczną osobą, znalazła jakąś reklamówkę, w którą udało mu się wcisnąć pięć czy sześć egzemplarzy z samej góry, a potem zanieść to do swojej dziupli na dziewiątym piętrze. Rączka plastikowej torby o mało nie odcięła mu palców w czasie tej drogi. Siedział więc teraz na fotelu z niemiłosiernie wytartą tapicerką przy otwartym na oścież oknie balkonowym, pił już trzecią zalewaną kawę (ekspres! musi kupić ekspres!) i czytał właśnie kolejne arcydzieło. Głowa zaczynała go już boleć i to na równi ze zmęczenia, jak i od straszliwej, przygnębiającej nieporadności tych tekstów. Przykro było pomyśleć, że ktoś zainwestował tyle wysiłku, tyle serca i tyle nadziei po to, żeby stworzyć coś tak ewidentnie złego. I że było to zapewne, w jego własnym mniemaniu, najważniejsze dzieło jego życia.

Niczego niepokojącego jak dotąd jednak nie znalazł. Raczej odbicia kilku dość powszechnych ludzkich słabości. Odłożył zniechęcony ostatni plik kartek. Czy wśród pozostałych w szafie tekstów będzie coś bardziej interesującego? Coś, co pozwoli się domyślić, że stworzył to umysł człowieka zdolnego do zbrodni? Przypominał sobie rysunki Hitlera, jakie widział kiedyś w jakimś programie w telewizji. Czy było w nich coś niepokojącego? Coś, co wskazywałoby, że ich autor rozpęta wojnę, w której zginą dziesiątki milionów ludzi? Nie. Były po prostu kiepskie. Nie było tam żadnych szubienic, żadnych potworów, jak chociażby u Goi. Były zwykłe.

Może więc czytał przed chwilą sztukę mordercy, tylko niczego nie dostrzegł? Może to dopiero odrzucenie, nie niepoznanie się na rzekomym talencie wyzwoliło wściekłość i poczucie krzywdy jej



autora? Urazę, która w połączeniu z jakimiś wcześniejszymi psychicznymi defektami zrodziła plan, jak zemścić się na zadufanych idiotach z teatru i jednocześnie ukazać im siłę swojego artystycznego geniuszu?

A może to w ogóle był fałszywy trop?

Sięgnął po telefon i wybrał numer Weroniki. Odebrała jak zwykle od razu.

– Cześć – powiedział. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Nie jesteś jedyny. – Usłyszał. – Ostatnio jest spora kolejka. O co chodzi?

– O sztuki teatralne. Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym kiedyś. O tym, że morderca może być kimś z zawiedzionymi ambicjami artystycznymi. Kimś, kto napisał na przykład sztukę, a teatr nie chciał mu jej wystawić.

– No i?

– Byłem dziś w sekretariacie. Spytałem, czy ktoś im takiej sztuki nie wysłał. No więc tak, wysłał. I to nie jedną. Dziesiątki. Siedzę teraz i czytam te sztuki, ale jest ich za dużo, nie dam rady przerobić wszystkich do soboty.

– I co, mam ci pomóc w czytaniu?

– Nie. Pomyślałem właśnie, że to nie ma chyba sensu. O wiele lepiej byłoby sprawdzić ich autorów. Mogłabyś to zrobić?

– Ilu ich jest, kilkudziesięciu?

– Pewnie coś koło tego. Ale część zapewne da się z miejsca odrzucić, bo to albo kompletne dzieciaki, albo zdziwaczali emeryci.

W słuchawce zapadła cisza.

– Hm. – Usłyszał po chwili. – Może i to nie jest zły pomysł, ale teraz nie dam rady. Mamy z tą halą naprawdę urwanie głowy.

Myślał, że się przesłyszał.

– Ale to trzeba zrobić właśnie teraz! Zanim zaatakują! Może uda się nam go namierzyć i powstrzymać!

– Przykro mi. Kilkadziesiąt nazwisk do sprawdzenia to kupa roboty. Musielibyśmy w to zaangażować większość naszych ludzi.

A efekt mógłby być wątpliwy. Nie wiemy przecież nawet, czy to faktycznie ktoś taki. W tej sytuacji byłoby nierozsądne rzucać w to wszystkie nasze siły. Zabezpieczenie parady ma priorytet.

– Ale Agnieszka...

– Weronika.

– Jezu, przepraszam, Weronika...

– Przykro mi – powtórzyła. – W hali będzie kilka tysięcy osób. Nie mogę tak ryzykować. Najpierw chronimy owce, potem zapolujemy na wilka.

– Ale...

– Pogadaj z Krzyśkiem. Jeśli się zgodzi, może ci pomóc. Tylko tyle mogę ci zaoferować. Tamtym zajmiemy się od poniedziałku.

– W poniedziałek może być już za późno, wiesz o tym.

– Wiem. Ale nie mam innego wyjścia. Jeśli to przemyślisz na chłodno, zrozumiesz mnie.

Dała mu numer do profilerera. Zastanawiał się pod koniec rozmowy, czy nie przeprosić jej jeszcze raz za to, że pomylił jej imię, ale doszedł do wniosku, że to tylko pogorszyłoby sprawę. Lepiej będzie przejść nad tym do porządku dziennego i udawać, że nic się nie stało.

Ten incydent przypomniał mu jednak o Wilczyńskiej. Bardzo dawno z nią nie rozmawiał. Jego obsesja ostatnio jakby trochę osłabła. Być może właśnie dzięki temu. Może nie byłoby aż tak źle utrzymać ten stan? Pozwolić, by pożar, który, jak wykazała jego pomyłka, ciągle tlił się jeszcze pod powierzchnią jego świadomości, samoistnie wygasł? Lecz z drugiej strony Wilczyńska ciągle pozostawała jedną z kluczowych postaci w tej łamigłówce. Z tego powodu warto by się było z nią spotkać.

Póki co wystukał na klawiaturze numer do profilerera. Umówili się na za godzinę w małej restauracji hotelu Dyplomata przy ulicy Dąbrowszczaków, niedaleko komendy. Zebrał wszystkie maszynopisy z podłogi i położył je na parapecie okna. Zamknął drzwi balkonowe i wyszedł. Znowu miał ochotę się napić. Zaczął się zastanawiać, czy nie pozwolić sobie w restauracji na jedno piwo. Doszedł do wniosku, że jednak nie. Nie wierzył jeszcze sobie na tyle w tej kwestii, by mieć pewność, że na tym jednym się skończy. A musiał mieć teraz sprawny umysł. Dziś i jutro, i pojutrze. W zamian za to postanowił, że wstąpi po drodze do trafiki i kupi jakieś cygaro. Tym razem droższe. W końcu miał już etat.

Przybył odrobinę za wcześnie. Pogoda nie nastrajała do spacerów, więc wszedł od razu do środka. Hotel mieścił się w pięknej,

secesyjnej kamienicy, niedawno najwyraźniej odnowionej. Jego wystrój dostosowany był do nazwy.

Restauracja mieściła się na parterze. Wszedł do środka i usiadł przy jednym ze stolików przy oknie, z widokiem na ulicę. Profilera jeszcze nie było. Kelner nie spieszył się, by do niego podejść. Było mu to nawet na rękę.

W końcu kelner zjawił się i położył przed nim menu. Przejrzał je szybko. Ceny było wyjątkowo niedopasowane do jego aktualnej sytuacji finansowej, pomyślał więc, by zamówić sobie coś do zjedzenia, spalił na panewce. W zamian za to poprosił o kawę. Miał ochotę na swoje ulubione espresso, lecz po zastanowieniu wybrał dużą, czarną americanę. Espresso wypiłby od razu, przy zwykłej kawie da się siedzieć znacznie dłużej.

Zwiedziony nazwą hotelu spytał, czy mają tu palarnię. Kelner uniósł wysoko brwi i odpowiedział, że nie. Cygaro w bocznej kieszeni jego kurtki będzie więc musiało jeszcze poczekać.

Profiler przyszedł dokładnie o umówionej godzinie. Widząc kawę na stoliku przed Rozłuckim, nie siadając jeszcze nawet, zamówił taką samą. Zdjął płaszcz i przewiesił go przez oparcie krzesła. Kelner po raz kolejny uniósł brwi. Po chwili przyniósł drugą kawę i znudzonym głosem, bardziej z obowiązku, niż z przekonania, zaproponował im deser. Zgodnie odmówili.

Na dworze właśnie kolejny raz zaczęło padać.

– Piękną mamy jesień tej wiosny – zażartował Warecki. Rozłucki uśmiechnął się uprzejmie. Bardziej z obowiązku niż z przekonania.

Przez chwilę przypatrywali się sobie w milczeniu.

– To jak pan myśli, kim on jest? – spytał Rozłucki.

Profiler wzruszył ramionami.

– Tak jak już mówiłem: mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu – czterdziestu pięciu lat, zorganizowany, o inteligencji w normie lub ponadprzeciętnej, wykształcenie co najmniej średnie, uzdolniony manualnie, przejawiający artystyczne aspiracje, mieszka lub pracuje w pobliżu Starego Miasta i teatru; dobrze się tu czuje i dobrze zna te

rejony. Samotny, lub pozostający w niesatysfakcjonującym go związku. Ubrany schludnie, jego zachowanie nie wykazuje widocznych odchyłeń od normy. Znajomi mają go za spokojnego i sympatycznego człowieka. Prawdopodobnie nie był wcześniej karany.

– Domyśla się pan, w jaki sposób ich... nie wiem, jak to powiedzieć... porwał?

– Porwał?

– Sprawił, żeby jeden wszedł na wiadukt, a drugi znalazł się nad jeziorem?

– Wprowadził w swój psychologiczny rewir działania? Nie wiadomo. Oba ciała były, delikatnie mówiąc, w nie najlepszym stanie; patolog nie potrafił stwierdzić, czy sprawca używał wobec nich przemocy fizycznej. Nie wiemy więc, czy zmusił ich do tego siłą, czy na przykład podstępem. Lamek był związany, ale nie wiadomo, czy stało się to tuż przed jego śmiercią, czy wcześniej.

– To znaczy, że nie wiadomo, czy znali mordercę, czy nie?

– Nie wiadomo.

– Motyw?

– Raczej nie seksualny, choć ten pociąg rozrywający ofiarę na kawałki jest niewątpliwie symbolem fallicznym; jakiś podtekst seksualny może więc w tym być. Oba morderstwa są zresztą mocno archetypiczne, Jung by się ucieszył, gdyby o nich usłyszał.

– Dlaczego? – spytał, choć przecież dobrze to wiedział. Chciał się przekonać, co on o tym sądzi.

– Rycerz przegrywający w walce z fallicznym potworem – w pierwszym przypadku...

– Pokonany przez żądze? Myśli pan, że tak to należy odczytać?

– Być może. A może po prostu chodzi o pokazanie nam powodu, dla którego ktoś się na nim zemścił?

– To znaczy?

– To znaczy, że to nie tyle motyw mordercy jest natury seksualnej, co czyn, za który dokonano zemsty, jest związany z seksem.

– Gwałt, molestowanie?

– Na przykład. Ale wachlarz powodów może być znacznie szerszy. Może chodzić równie dobrze o starą dobrą zdradę.

– Zemsta zdradzonej żony?

– Raczej nie. Jak już mówiłem, sposób dokonania morderstwa raczej wyklucza kobietę. Bardziej bym stawiał na męża, któremu ofiara doprawiła rogi. Ale może też chodzić o coś znacznie bardziej trywialnego. Może na przykład ofiara próbowała zbliżyć się do kogoś, kogo morderca uważał za swoją własność, i to wystarczyło. Mogło to wręcz nie mieć żadnych realnych podstaw. Wszystko mogło dziać się tylko i wyłącznie w jego głowie.

– A drugie morderstwo?

– Drugie też jest bardzo symboliczne: oczyszczający ogień i pochłaniająca wszystko wodna otchłań. Woda, zwłaszcza ciemna, jest symbolem podświadomości. Ogień – to znowu żądze. Woda zaś jest żywiołem żeńskim. Męska żądza pokonana przez żeński żywioł... Znowu może chodzić o zemstę.

– Myśli pan, że morderca zdawał sobie sprawę z tych znaczeń?

– Wie pan równie dobrze jak ja, że wcale nie musiał. Archetypy uzewnętrzniają się same. Nie trzeba ich znać, by ich używać.

Rozłucki pokiwał głową. Znow miał ochotę się napić. Albo zapalić. Jedno albo drugie.

– Myśli pan, że to rzeczywiście seryjny morderca?

– Myślę, że mimo wszystko nie. Przynajmniej nie według najbardziej powszechnie przyjmowanej definicji.

– Dlaczego?

Profiler zastanowił się przez chwilę.

– Po pierwsze, teoretycznie seryjni zaczynają się od trzech ofiar. A na razie mamy tylko dwie. Po drugie...

– Tak? – Rozłucki był naprawdę ciekaw, co powie. Na tym akurat nie za dobrze się znał.

– Po wtóre, według najbardziej klasycznej definicji FBI ofiary nie powinny być z sobą powiązane. Tu, jak wszystko na to wskazuje,

sporo je łączy. Choć, z drugiej strony, wiele też zależy od tego, jakiego rodzaju były to związki. Czy łączy je tylko ogólna kategoria, w tym przypadku to, że obaj byli mężczyznami związanymi w jakiś sposób z festiwalem, czy też łączy je coś o wiele bardziej konkretnego, na przykład jakieś wydarzenie, w którym obaj brali udział.

– Na przykład nocne próby u dyrektora?

– Na przykład. Ale to może być równie dobrze coś innego. Może obaj razem, albo każdy z osobna, zrobili coś, co morderca uznał za osobistą zniewagę domagającą się zemsty.

– Co to mogło być?

– Problem polega na tym, że mogło to być wszystko. Nawet kompletna błahostka, której ofiara nawet nie zauważyła. Czytałem kiedyś o mężczyźnie, który zabił gościa, który przypadkiem potrącił go w knajpie i wylał mu piwo na koszulę. Wszyscy zaczęli się z tego śmiać, a on odebrał to jako upokorzenie. Nie zabił jednak ofiary od razu, w ataku szału. Zaplanował to morderstwo i potem dokonał egzekucji.

– Jeśli rzeczywiście powód był tak błahy i tym razem, bardzo trudno będzie go ustalić.

– Podałem tylko przykład. To mogło być coś o wiele bardziej konkretnego. Jedno jest pewne: musi istnieć jakiś punkt stychny między ofiarami a mordercą. Coś, co ich wszystkich w jakiś sposób łączy. Choćby tylko w jego wyobraźni.

– Z tego, co mówił pan poprzednio, wynika, że mogło to być coś o naturze seksualnej.

Profiler kiwnął głową.

– Szeroko pojętej. Może obaj startowali do kobiety, która według mordercy należy lub powinna należeć do niego? Albo do mężczyzny.

– Mężczyzny?

– Nie mamy powodu tego wykluczać. W środowisku teatralnym jest procentowo znacznie więcej homoseksualistów niż w całej populacji. Choćby tylko z tego powodu musimy brać to pod uwagę.

– Coś na to wskazuje?

Profiler zastanowił się ponownie.

– Może pierwsze morderstwo... Ta falliczna symbolika... i ten rycerz... Brak tam w zasadzie jakichś żeńskich elementów... Ale ręki bym sobie za to uciąć nie dał.

Tym razem to Rozłucki pokiwał głową.

– Nie wiemy, kim jest morderca, musimy więc znaleźć takie punkty styczne między ofiarami. Co pan o nich wie?

Warecki sięgnął do tyłu i wyciągnął w kieszeni płaszcz a plik kartek.

– Przeprowadziłem coś w rodzaju wywiadu wiktymologicznego – powiedział, zaglądając do notatek. – Obaj byli w podobnym wieku: pierwszy tuż przed pięćdziesiątką, drugi parę lat po niej. Obaj żonaci, dzieci dorosłe. Nie stwierdziłem żadnych poważnych problemów małżeńskich. Obaj mieli też w miarę podobny status materialny i zawodowy: pierwszy to urzędnik średniego szczebla, drugi aktor, ale raczej nie z tych pierwszoplanowych. Nawet jeździli podobnymi samochodami.

– Sporo podobieństw.

– No i oczywiście obaj związani byli w jakimś stopniu z festiwalem.

– I obaj byli znajomymi dyrektora – zauważył Rozłucki.

– Tak. Siłą rzeczy.

– Jeśli chodzi o Lamka, tego aktora, wszyscy potwierdzają, że był kimś w rodzaju jego adiutanta, natomiast bliższej znajomości z urzędnikiem z wydziału kultury pan dyrektor się wypiera. Twierdzi, że spotkali się tylko kilka razy w sprawach dotyczących festiwalu.

– Czy jesteśmy pewni, że mówi w tym przypadku prawdę?

– Nie jesteśmy.

– Właśnie, a co z nim, z dyrektorem? – spytał profiler. – Rozmawiał pan z nim. W aktach, które dostałem, jego zeznania są raczej mało interesujące. Komisarz Sądecki obchodził się z nim jak z jajkiem.

– To dziwny człowiek. Mitoman i manipulator. Zdaje się, że ma



ambicje reżyserowania nie tylko spektakli, ale również życia swoich pracowników i wszystkich dookoła. Przez cały czas mam wrażenie, że jest z tym wszystkim bardzo mocno związany. Poza tym jest jedna bardzo zastanawiająca rzecz... – Rozłucki dopiero mówiąc to, uświadomił sobie, jak bardzo.

– Jaka?

– Zdaje się w ogóle nie niepokoić tym, co się wydarzyło. Wręcz sprawia wrażenie, jakby był z tego w pewien sposób zadowolony...

– Zadowolony? – W głosie profilera zabrzmiało zaskoczenie.

– Powiedział mi coś takiego... – Rozłucki próbował sobie przypomnieć słowa dyrektora. – Że emocje związane ze śmiercią Lamka pomogą mu w pracy nad następnym przedstawieniem...

Warecki wbił w niego swój wzrok. Przez chwilę patrzyli sobie w oczym para zakochanych.

– A co, jeśli to on za tym wszystkim stoi?

– Co?

– Nie, nie, przepraszam! – Profiler zamachał rękami, jakby chciał się z tego jak najszybciej wycofać. – To tylko luźna myśl, która nagle przyszła mi do głowy. Nie jest to poparte żadnymi wiarygodnymi przesłankami.

– Nie, nie, niech pan mówi. – Rozłucki poczuł nagle, jakby sam myślał o tym od dawna, tylko nie potrafił sobie tego uświadomić.

– Powtarzam, to zupełnie nie ma żadnego poparcia w materiale...

– To porozmawiajmy czysto teoretycznie. Popuśćmy wodze fantazji. Nikt nas nie słyszy, nikt nas nie będzie więc z tego rozliczać.

Profiler popatrzył na niego, mrużąc lekko oczy.

– Burza mózgów?

– Coś w tym rodzaju. Przyjmijmy na chwilę, że żaden pomysł nie jest głupi i że możemy powiedzieć wszystko, co nam przyjdzie do głowy.

– OK – zgodził się.

– No więc?

Kelner właśnie przyniósł kawę, dając im obu czas na ochłonięcie i zastanowienie. Profiler wsypał do swojej filiżanki dwie łyżeczki cukru i zaczął powoli mieszać.

– No więc – wyjął łyżeczkę, oblizał ją machinalnie i oparł o spodek – może panu dyrektorowi znudziło się wystawianie wymyślonych spektakli innych autorów i zapragnął wyreżyserować coś w prawdziwym teatrze życia?

Rozłucki podniósł swoją filiżankę i przytknął ją do ust. Nie wypił

jednak ani kropli.

– Tylko dlaczego? – spytał. – I jak to się ma do tego, co mówiliśmy wcześniej o ewentualnym motywie?

Profiler wzruszył ramionami.

– Ma się nijak. Mieliśmy rozmawiać czysto teoretycznie.

– Ma pan rację, przepraszam. – Rozłucki się wycofał. – Założmy więc przez chwilę, że dyrektor rzeczywiście jest mordercą. Dlaczego to robi?

Warecki zastanowił się.

– Bo zapragnął wskoczyć na wyższy poziom. Stać się prawdziwym demiurgiem w prawdziwym świecie. Nie ograniczać się już tylko do udawanego świata teatralnej sceny.

Rozłucki odstawił filiżankę na spodek. Kawa była jeszcze zbyt gorąca, by ją pić. Nic nie szkodzi. To, o czym zaczęli mówić, wystarczająco go pobudziło.

– Spotkałem się tu z panem z pewnego konkretnego powodu – powiedział. – Doszedłem jakiś czas temu do wniosku, że mordercą może być ktoś z niespełnionymi ambicjami artystycznymi. Ktoś, kogo na przykład sztuka została odrzucona przez teatr, a on postanawia w ten sposób się zemścić i jednocześnie udowodnić wszystkim, że ma jednak talent.

Profiler uniósł brwi.

– No cóż, to również wydaje się być bardzo ciekawa koncepcja...

– Pan dyrektor sprawia jednak wrażenie człowieka spełnionego artystycznie. Jest znany, ma ugruntowaną pozycję zawodową i dobre perspektywy na przyszłość. Dlaczego miałby to wszystko ryzykować?

– Niekoniecznie – odparł Warecki.

– Co, niekoniecznie?

– Niekoniecznie jest spełniony i niekoniecznie ma takie dobre perspektywy.

– Jak to?

– Po pierwsze, jego sukcesy miały miejsce wiele lat temu. Wyrobił sobie wtedy nazwisko, ale od dłuższego czasu nie osiągnął niczego

istotnego. Może być z tego powodu sfrustrowany. Gdy zaproponowano mu dyrekcję naszego teatru, był podobno w nie najlepszej formie. Depresja, alkoholizm, problemy finansowe. Nasi władarze wyciągnęli go w zasadzie z głębokiej dupy. Poza tym jego perspektywy wcale nie są takie różowe...

– Myślałem, że jego pozycja jest nie do ruszenia – zdziwił się Rozłucki.

– Do wyborów na pewno. Nikt nie będzie ryzykował skandalu w czasie kampanii. Dlatego zablokowano wasze śledztwo w sprawie nocnych prób i kontrolę z urzędu skarbowego. Ale potem może być różnie.

– Wydawało mi się, że pan dyrektor jest dość mocno zblatowany z władzami.

– Żadna władza nie jest monolitem. W każdej są frakcje, koterie, które często nienawidzą się wzajemnie bardziej, niż oficjalnych przeciwników politycznych. Faworyt jednej grupy staje się automatycznie wrogiem drugiej. Problem polega na tym, że pan dyrektor jest mocno skonfliktowany ze związkami zawodowymi, a te stanowią bardzo ważne zaplecze rządzącej partii. To generalnie trudny człowiek, więc jest skłócony prawie ze wszystkimi. Do tego dochodzi konflikt między władzami miasta, kojarzonymi raczej z opozycją, a władzami województwa, czyli partią rządzącą... Teatr jest zaś niby miejski, ale finansowany z budżetu centralnego... To bardzo skomplikowany układ. Pan dyrektor stoi więc wbrew pozorom na bardzo chybotliwym gruncie. W teatrze może jest i bogiem, ale na politycznej szachownicy – zaledwie pionkiem. Ktoś może zechcieć go poświęcić, by zyskać przewagę w innym miejscu. Chodzą słuchy, że tego rodzaju pakt został już zawarty.

Rozłucki nie bardzo to wszystko rozumiał.

– Ale przecież festiwal... Nikt nie będzie chciał chyba pozbywać się ojca takiego sukcesu...

Profiler uśmiechnął się pod nosem.

– Pomysł festiwalu był próbą ucieczki do przodu. Pan dyrektor miał

nadzieję, że odsunie w ten sposób wiszący nad sobą miecz. Udało mu się to jednak tylko na parę miesięcy. Niestety, festiwal nie jest aż takim sukcesem, jak przekonywał wszystkich, że będzie. Kosztował masę pieniędzy, a odbiór społeczny wcale nie jest tak entuzjastyczny. Podnoszą się głosy, że to marnowanie środków, że można by je przeznaczyć na obwodnicę lub nową linię tramwajową. Dni pana dyrektora wydają się więc być policzone. Na razie wszyscy go chronią, ale dół w lesie jest już wykopany.

– Skąd pan to wszystko wie? – Nie potrafił ukryć zdumienia Rozłucki.

– Teść jest radnym w sejmiku – odparł profiler. – Niestety, z wiadomej partii. Nawet pan nie wie, ilu takich historii wysłuchuję przy grillu.

Potrafił to sobie wyobrazić. Nie zazdrościł temu człowiekowi. Choć dziś akurat z tych toksycznych rodzinnych spotkań wyniknął pewien pożytek.

– Bardzo to wszystko ciekawe... – powiedział.

– Jak pan więc widzi, dyrektor mógłby mieć i powód, i motywację. Po raz drugi powtarza się ta sama sytuacja: zostaje dyrektorem teatru, a potem z hukiem, w atmosferze skandalu traci tę posadę. Może być sfrustrowany i rozzalony. Zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie była to jego ostatnia szansa. Trzeciej już raczej nie będzie. Wie, że niedługo może wrócić do tej samej ciemnej jamy, z której go wyciągnięto. I to już prawdopodobnie na zawsze. Nie za ciekawa perspektywa. Może chce się pożegnać z przytupem? Pokazać, że koniec końców to on, a nie oni, rozdaje karty? Zemścić się na tych wszystkich maluczkich, którzy go nie rozumieli? Udowodnić, jak wielkim jest artystą? Tak wielkim, że jego sztuka wykracza poza mury teatru i zmienia – w realny, nie tylko symboliczny sposób – życie ludzi...

– Albo może – powoli zaczął Rozłucki – chce zwrócić w ten sposób uwagę na swój festiwal? Rozbudzić wokół niego emocje i uratować swój ukochany projekt?

– Może – zgodził się profiler. – A może wszystko to naraz? Zachowanie morderców bywa – i najczęściej jest – multimotywacyjne.

Rozłucki pokiwał głową.

– Mamy jakikolwiek dowód, że te nasze rozważania mają choć najmniejszy związek z rzeczywistością? – spytał.

Profiler pomyślał przez chwilę.

– Żadnego – odparł. – Ale jeśli mają, to pan dyrektor na zakończenie festiwalu szykuje coś naprawdę wielkiego.

– I będzie miał możliwość, by tego dokonać – dodał Rozłucki. – Ma nieograniczony dostęp do wszystkich miejsc i pomieszczeń, a jego obecność nie wzbudza nigdzie podejrzeń. Idealna sytuacja.

Popatrzyli sobie jeszcze raz w oczy.

– Nie zapominajmy jednak – powiedział Rozłucki – że rozmawialiśmy mimo wszystko teoretycznie. Stworzyliśmy piękną, ciekawą i spójną historię, lecz nie mamy najmniejszej pewności, że ma cokolwiek wspólnego z prawdą.

– Mógłbyś się na coś zdecydować? – W głosie Weroniki pobrzmiwała tłumiona irytacja. – Nie minął jeszcze dzień, a ty mi przynosisz już drugą teorię i to zupełnie różną od pierwszej. A jeszcze nie ma wieczoru! To w końcu kto według ciebie jest mordercą: niespełniony psychopatyczny dramaturg czy demoniczny dyrektor z piekła rodem?

– Nie wiem – przyznał Rozłucki.

– Słuchaj, znam cię, rozumiem, że taki masz system pracy: wymyślasz niestworzone historie, z których na koniec jedna okazuje się prawdziwa, ale ja naprawdę mam teraz urwanie głowy.

– Wiem – potulnie przytaknął Rozłucki.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z rezygnacją.

– To co mam zrobić? – spytała.

– Pilnuj go – powiedział. – Niech ktoś go obserwuje. W miarę

możliwości dyskretnie. Czy nie robi czegoś podejrzanego. Nie montuje gdzieś czegoś na boku.

Westchnęła. Na korytarzu Wojewódzkiej Komendy Policji minęło ich dwóch funkcjonariuszy w mundurach eskortujących mężczyznę z kajdankami na rękach.

– Czyli muszę przydzielić do tego jednego z moich ludzi i wyłączyć go z innych zadań? – spytała. – No pięknie. Wszystko jak zwykle na mojej głowie...

– Niech Sądecki się tym zajmie.

– Nawet mi o nim nie mów! – Machnęła ręką i ruszyła przed siebie.

– Czemu? – Starał się dotrzymać jej kroku.

– Ostatnio zupełnie sobie nie radzi. Znowu ma jakieś problemy w domu. Ta jego nowa chyba kopnęła go w tyłek. Wczoraj przyszedł do pracy pijany.

– Niedobrze.

– Nie jakoś strasznie, ale zauważalnie. Mało jest z niego pożytku. Muszę przydzielać mu proste zadania, żeby nie było widać, że jest nie w formie. A to on jest podobno moim szefem!

– I moim – zauważył Rozłucki.

– Wy akurat do siebie pasujecie – powiedziała nie bez złośliwości. – Jak nie jeden chleje, to drugi.

– Co zrobisz? – filozoficznie zauważył Rozłucki. – Taki kraj, taki naród, taki klimat...

Znowu próbował porozmawiać z Wilczyńską i znowu – jak zwykle ostatnio – mu się to nie udało. Najpierw nie mógł jej nigdzie znaleźć, a potem, gdy już wreszcie wpadł na nią na korytarzu teatru, zbyła go, mówiąc, że spieszy się na próbę. Spotkał za to – znowu jak zwykle – pana Staszka, który to dla odmiany sam do niego podszedł.

– Jak tam? – zagadnął go konfidencyjnym tonem.

– Co, „jak tam”? – spytał Rozłucki.

– Jak to co? Wasze śledztwo.

– Skąd mam wiedzieć? – Rozłucki udał zdziwienie.

Mężczyzna uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Niech pan da spokój. Przecież wiem. Domyśliłem się. Jestem może fizyczny, ale nie taki głupi.

– Czego się pan domyślił?

– Po co pan tu chodzi i wypytuje.

– Mówiłem przecież panu...

– Dobra, dobra. Przyjechał pan pisać doktorat. Akurat parę dni po tym, jak zginął ten gość na torach.

– Habilitację.

– No to habilitację. A potem Lamek poszedł popływać i nie wrócił. Jest pan policjantem?

– Jestem psychologiem. Pokazać panu dyplom?

– Ale z policji? Pan się nie boi, nikomu nie powiem. Nikt więcej się nie domyśla. Aktorzy są jak dzieci. Myślą tylko o sobie i swoich zabawkach. Resztę świata ledwo zauważają.

Rozłucki popatrzył na niego z rezygnacją. To chyba prędzej czy



później musiało nastąpić. Marny z niego konspirator. Postanowił jednak dalej iść w zaparte.

– Może faktycznie zacząłem trochę węszyć przy tej sprawie, ale to, wie pan, tak na własny rachunek, po amatorsku. Zaintrygowało mnie to.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jak pan chce, niech pan nie mówi. Rozumiem. Ale wie pan co? Mogę panu pomóc. Tak na własny rachunek, po amatorsku. Mnie też to zaintrygowało. Nieźle to wszystko, nie?

– To na pewno.

– To co? – Nachylił się w jego stronę. – Lamek się nie utopił sam, prawda? Ktoś mu pomógł?

Ktoś przeszedł obok nich, Rozłucki miał więc pretekst, by nie odpowiedzieć. Jego rozmówca rozejrzał się wokoło niczym spiskowiec.

– Chodźmy do mnie – powiedział szeptem. – Tam porozmawiamy spokojnie.

Chcąc nie chcąc, ruszył za nim, zastanawiając się po drodze, jak to teraz rozegrać. Przyznać się do wszystkiego czy podtrzymywać swoją wymyśloną legendę? Doszedł do wniosku, że wzorem wszystkich profesjonalnych kłamców oraz polityków partii rządzącej będzie wypierał się prawdy aż do samego końca. Nawet bowiem jeśli ten człowiek czegoś się domyśla, nie będzie pewny tego na sto procent. To zaś zostawi mu na przyszłość furtkę, przez którą zawsze będzie się mógł w razie czego wycofać.

Pozostało tylko pytanie: przyjąć jego ofertę współpracy czy nie?

Za magazynem dekoracji było mniejsze pomieszczenie służące za warsztat i przechowalnię narzędzi. Weszli do środka. Było to królestwo pana Staszka. Oprócz imadeł, młotków, pił i puszek z farbami, było też to sporo jego osobistych rzeczy mających zapewne za zadanie nadanie temu miejscu bardziej przyjaznego charakteru. Były też dwa krzesła i stół. Mężczyzna zgarnął z niego różne leżące na nim rzeczy i wskazał Rozłuckiemu jedno z krzeseł.

- Chce pan kawy? – spytał.
- Jak ma pan sypaną, to bardzo chętnie.
- Mam i taką, i taką.

Rozłucki rozejrzał się po pomieszczeniu. Na metalowych, stojących pod ścianami półkach piętrzyły się najprzeróżniejsze przedmioty: rekwizyty i fragmenty rekwizytów, narzędzia, pudełka z gwoździami i śrubami, butelki z naftą i rozpuszczalniki. Na ścianie nad stołem wisiał kalendarz „Playboya” sprzed czterech lat i kilka poprzyklejanych taśmą wycinków z gazet. Na jednym z nich ujrzał Wilczyńską.

Mężczyzna odwrócił się z kubkiem kawy w ręku i dostrzegł jego spojrzenie.

- Mam tu taką małą galerię chwały – powiedział. – Zbieram recenzje naszych spektakli, zwłaszcza tych, przy których miałem dużo roboty. Człowiek od razu lepiej się czuje, gdy sobie pomyśli, że chwałą w sumie trochę i jego.

Postawił przed Rozłuckim kubek z kawą, sam usiadł na drugim krześle.

- To jak? – spytał. – Weźmie mnie pan na zastępcę szeryfa? Mogę się przydać. – Uśmiechnął się.

Rozłucki zamieszał łyżeczką kawę w kubku. Sądząc po grubości kożucha, jego gospodarz próbował go właśnie wysłać na tamten świat.

- Co tam u dyrektora? – spytał, nie odpowiadając na jego pytanie.  
- Szaleje?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Tak jak zwykle. No, może tylko trochę bardziej. Łazi po teatrze jak indor i gulgocze na wszystkich. Robimy teraz tę premierę z Czechowa. Bardzo mu na tym zależy.

- A ta parada na koniec? Dajecie tam coś?

- A jakże. – Mężczyzna kiwnął głową. – Będzie szła nasza reprezentacja. Jak na jakichś igrzyskach. Dyrektor wymyślił, że aktorzy mają być w strojach z różnych przedstawień. Szkoda, że

Roger się pogiął, bo byłby jak znalazł.

– Roger?

– No, ta zbroja, co wie pan...

– A tamta... – Zupełnie o niej zapomniał.

Przez chwilę milczeli.

– Coś jeszcze szykuje? – spytał Rozłucki. – To znaczy dyrektor. Coś specjalnego?

Mężczyzna popatrzył na niego uważnie.

– Nim się teraz zajmujemy? – spytał.

Rozłucki wzruszył ramionami.

– Po prostu jestem ciekawy.

– Myśli pan, że to on? – Pan Staszek nachylił się w jego stronę.

Naprawdę, kiepski z niego konspirator.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– W sumie to by mogło pasować. – Mężczyzna nie zraził się jego zaprzeczeniem. – Znał ich obu, prawda? Łatwo by mu było ich namówić, żeby z nim poszli. Gdyby kazał Lamkowi, żeby pojechał z nim nad jezioro, to ten by pojechał, o nic by nie pytał. A ten z Urzędu Wojewódzkiego tak samo. Mógłby mu powiedzieć, że chce zobaczyć na przykład, jak to wszystko będzie wyglądało z góry, i ten by z nim poszedł na wiadukty.

Rozłucki spojrzał na niego z podziwem. Bystry był z niego facet.

– No bo jak inaczej ktoś by zmusił ich, żeby za nim poszli? – Pan Staszek ciągnął dalej, jakby głośno myślał. – Lamek był chudy, ale żylasty. Nie tak łatwo by go było na siłę. A ten urzędas to z kolei był spory chłop.

– Może to pan jest policjantem, a nie ja? – zażartował Rozłucki. – Nieźle panu idzie.

Mężczyzna uśmiechnął się zadowolony z pochwały.

– Co, źle mówię? Moim zdaniem musieli go znać. To znaczy mordercę.

– Ale to wcale nie znaczy, że był nim dyrektor.

– Może nie znaczy, a może znaczy. Druga sprawa: jak wyniósł

Rogera?

– Tę zbroję?

– Właśnie. Stała tu, w kulisach. Nikt nie widział, że ktoś ją wynosi. To co, ktoś tu się włamał w nocy i ją ukradł? Ale śladów żadnych nie było. A dyrektor ma klucze i często zostaje do późna. I nikt się temu nie dziwi. Nawet ma za gabinetem mały pokoik z łóżkiem, bo czasem śpi w teatrze. Mógł poczekać, aż wszyscy sobie pójda, i wynieść ją tylnym wyjściem prosto na parking i do samochodu. Kto inny mógłby to zrobić?

– No właśnie, kto inny? Kto jeszcze mógłby wejść w nocy do teatru?

– Moim zdaniem nikt. Żaden aktor ani nikt z obsługi nie ma własnych kluczy. Jest oczywiście nocny portier, ale to starszy facet, były policjant. Po co miałby to wszystko robić?

– Nie ma tu alarmu?

– Jest, ale są strefy. Pierwsza strefa to scena i widownia i ją włącza się zawsze. A druga to garderoby i pomieszczenia administracyjne. Tego się nie włącza, bo dyrektor często zostaje do późna. Dopiero jak wychodzi, to ją uzbraja. Z tym, że zdarzało mu się zapomnieć.

– Roger zniknął w noc morderstwa?

Dopiero mówiąc to, zrozumiał, że właśnie ostatecznie przyznał przed tym człowiekiem, że w ogóle było jakieś morderstwo i że on o tym wie.

Mężczyzna zastanowił się.

– No właśnie nie wiadomo – powiedział. – Dyrektor kazał go przenieść z korytarza parę dni wcześniej. Że niby teraz będzie festiwal i będzie się tu kręcić dużo ludzi z innych zespołów, więc żeby nie przeszkadzał. Sam go przenosiłem.

– I gdzie pan go postawił?

– Tu, w magazynie. – Wskazał za drzwi. – Ale potem rozbierałem jakieś dekoracje i go zastawiłem. Tak że go nie było widać.

– Jest tu jakiś monitoring?

– Jest, a jakże. Jak robili remont parę lat temu, to założyli wszędzie kamery. Portier ma podgląd na monitorze.

– Może coś się nagrało? Jak ktoś go wynosi.

– Tylko że kamera jest tam. – Mężczyzna wskazał jakiś punkt na zewnątrz swojego kantorka. – A Roger stał tam. – Wskazał inny punkt. – I był zasłonięty... – Widać było, że myśli. – A tam z tyłu są drzwi. Można by go wynieść i na monitoringu nic by nie było widać – orzekł stanowczo.

– To dyrektor kazał panu go tu postawić?

– No a kto? Powiedział, że tu będzie najmniej przeszkadzał.

– Ale przecież na parkingu też pewnie jest kamera? Tam by się coś nagrało. Policja na pewno to sprawdzała.

Pan Staszek zastanowił się po raz kolejny.

– Jest – powiedział wolno – ale nad rampą jest taki reflektor. Ma czujkę zmierzchu i czujkę ruchu. Zapala się w nocy, jak ktoś przechodzi. Tylko że ostatnio żarówka się tam przepaliła. Miałem ją wymienić, ale to trzeba było jechać do Obi i przed paradą nie zdążyłem.

– Nie było tam wtedy światła?

– No nie było.

– Więc jak ktoś, powiedzmy, zaparkowałby tam samochód i chciał włożyć coś do bagażnika, to na nagraniu nie byłoby tego widać?

– No nie byłoby.

– A kiedy ta żarówka się przepaliła?

Mężczyzna podrapał się po głowie.

– Z dzień wcześniej.

Teraz znów Rozłucki się zastanowił.

– Ale z kolei – powiedział – gdyby ktoś chciał ją specjalnie zepsuć, to musiałyby coś przy niej majstrować. Ale wtedy reflektor by się włączył i to by się nagrało.

Pan Staszek pokręcił głową.

– Niekoniecznie. Reflektor jest zainstalowany tuż pod oknem. Jak wymieniałem żarówkę już po tym wszystkim, to po prostu otworzyłem okno i się wychyliłem. Nic by się wtedy nie włączyło, bo czujka jest skierowana do przodu, a ty jesteś wtedy od góry.

– Dyrektor mógłby to zrobić?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Wystarczy, żeby otworzył okno.

– Nie jest to jakieś skomplikowane?

– Nie bardziej niż naprawa gniazdka w ścianie. Osiemdziesiąt procent mężczyzn by sobie z tym poradziło.

Rozłucki pokiwał głową w zamyśleniu. Jego rozmówca uśmiechnął się.

– To jak, weźmie mnie pan na zastępcę szeryfa?

- Halo, Weronika?
  - No, co tam?
  - Masz chwilkę?
  - A jak myślisz? Oczywiście, że nie mam. O co chodzi?
  - To nie może być nikt z zewnątrz.
  - Teatru? – domyśliła się.
  - Żaden niespełniony dramaturg. To był fałszywy trop. Ale co się naczytał kiepskich sztuk, to jego.
  - To musiał być ktoś, kto ma dostęp do jego pomieszczeń – ciągnął dalej.
  - Dlaczego?
  - Nie rozmawialiście z panem Staszkiem? – zdziwił się. – Z tym pracownikiem technicznym z teatru?
  - Na pewno nie ja – odparła. – Pewnie Sądecki go przesłuchiwał.
  - I co mu wtedy powiedział?
  - Nie pamiętam, musiałabym zajrzeć do protokołu. Ale to nie było na pewno nic istotnego.
  - Mnie powiedział parę bardzo ciekawych rzeczy.
  - To nie wiem. Może po prostu Sądecki nie pytał o to, co trzeba.
  - Najwyraźniej.
  - Niektórzy przesłuchiwani nie powiedzą nic ponad to, o co się ich spyta. Zwłaszcza jeśli mieli wcześniej jakiś nieprzyjemny kontakt z policją.
  - To jak żeście tłumaczyli wyniesienie zbroi z teatru?
- Umilkła na chwilę.

– Rozmawialiśmy o tym, a potem...

– Co potem?

Słychać było, jak przetyka ślinę.

– Potem nam to jakoś umknęło.

Nie skomentował tego. Za bardzo ją lubił. Zrobiła to sama.

– Kurwa mać! – Usłyszał w słuchawce. – Taki głupi błąd!

– Przeoczenie – poprawił ją machinalnie. – Ten wasz profiler też nie zwrócił na to uwagi. – Spróbował w ten sposób ją pocieszyć.

– Chrzanię go! – Była załamana. – Ja powinnam na to zwrócić uwagę, ja!

– Dobra, w tym momencie to już nieistotne. W każdym razie to musi być ktoś z teatru. Tylko ktoś, kto tam pracuje, mógłby wynieść zbroję. Można sobie co prawda wyobrazić jakieś inne scenariusze, ale byłyby one zbyt nieprawdopodobne.

– Masz rację. Cholera jasna...

– To zaś nas przybliży do mojej drugiej niestworzonej historii, czyli do pana dyrektora.

Nie odpowiedziała.

– Moim zdaniem to on miałby największą możliwość, żeby to zrobić. Często zostawał do późna w teatrze, czasami nawet sam, nikt też nie patrzył mu na ręce. No i mógł mieć motyw.

– Jaki?

– Wasz profiler twierdzi, że jest w zasadzie na wylocie. Prawdopodobnie po festiwalu go zwolnią. A on wie o tym.

– I to miałby być ten powód? Wielu ludzi jest zwalnianych z pracy i nie zabijają wszystkich dookoła.

– Jesteś tego taka pewna? Przypomnij sobie wiadomości sprzed paru miesięcy. Zwolniony z pracy pracownik wkracza z pistoletem do swojej byłej firmy i strzela do wszystkich jak leci. Zwłaszcza w Stanach to popularny sposób pożegnania ze współpracownikami. A on przed dostaniem tej fuchy był podobno w depresji.

– Myślisz, że to prawdopodobne?

– Myślę, że tak. Osobowościowo to by pasowało. To mitoman



i manipulator. Lubi napuszczać na siebie ludzi i rozgrywać ich przeciw sobie. To znaczy, że lubi mieć kontrolę. W momencie, gdy ją traci, czuje przerażenie i wściekłość. Pragnie potwierdzenia, że ciągle ją ma.

– Ale on, dyrektor??

– Dlaczego nie? To taki sam człowiek, jak wszyscy. Do tego z ogromnym mniemaniem o sobie. Wielkie ego, obsesyjna potrzeba kontroli, skłonności do depresji i nagłe, burzące status quo wydarzenie, takie jak zwolnienie z wymarzonej dyrektorskiej posady – taka mieszanka to idealny przepis na załamanie i rozsypanie się dotychczas w miarę stabilnej osobowości. Wyobraź sobie, co on teraz czuje: żal, wściekłość, przerażenie niepewną przyszłością, chęć odegrania się na tych, których o to wszystko obwinia, i ogromną potrzebę potwierdzenia przed samym sobą, że jednak coś znaczy. To wystarczający motyw do zrobienia czegoś głupiego.

Usłyszał w słuchawce, jak głośno wypuszcza powietrze.

– Dobrze, poczekaj – powiedziała. – Za dużo tego wszystkiego. Trochę nie ogarniam. Wy tłumacz mi tylko jedną rzecz: na czym ma niby polegać ta jego zemsta? Nie powinien raczej zabić kogoś, kto jest bezpośrednio odpowiedzialny za jego przyszłe zwolnienie? A on morduje jakiegoś urzędnika średniego szczebla i swojego własnego przydupasa. To bez sensu.

– Nie rozumiesz, o co mu chodzi. Nie chce się zemścić na jednym czy drugim człowieku; chce się zemścić na nich wszystkich. Chce uderzyć tam, gdzie ich najbardziej zabol. Zaprzepaścić coś, na czym im najbardziej zależy.

– Czyli co?

– Wybory.

– Wybory? Teraz to ciebie nie rozumiem.

– Pomyśl tylko. Mylnie zakładaliśmy, że festiwal to jego ukochane dziecko. Nie jest tak. Wymyślił go tylko po to, żeby utrzymać się na stanowisku. Sprzedał ten pomysł władzom województwa, jako igrzyska dla ludu, które pomogą im wygrać, a oni to kupili. Teraz,

gdy wiadomo już, że festiwal nie przysporzył korzyści ani im, ani co za tym idzie i jemu; teraz, gdy już wie, że będzie musiał pożegnać się ze wszystkim, co kocha i bez czego nie może tak naprawdę żyć i utrzymywać się na powierzchni; teraz postanowił wykorzystać go do zupełnie odwrotnych celów. Chce doprowadzić do spektakularnej katastrofy. Do klęski, która sprawi, że festiwal zamiast pomocą stanie się dla władz kamieniem u szyi, który pociągnie je na dno. Gigantycznym skandalem tuż przed wyborami, który zaprzepaści ich szansę.

– Może powinniśmy mu pomóc? – powiedziała. – Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby poszli sobie w cholerę.

Wiedział, że nie mówi tego poważnie, więc nie skomentował tego.

– Problem polega na tym – ciągnął dalej – że do tej pory nie za bardzo mu to wychodziło. Władzom i policji udawało się utrzymać jego działania w tajemnicy. Musi więc teraz, w trakcie parady na koniec festiwalu, bo to jego ostatnia szansa, dokonać czegoś takiego, czego nie da się w tajemnicy utrzymać. Czegoś wielkiego, spektakularnego, na oczach wszystkich, niepozostawiającego żadnych wątpliwości.

– Cholera jasna...

– Właśnie.

– Ciągłe nie chce mi się w to wszystko wierzyć...

– A uwierzyłabyś, że ktoś przebierze się za Batmana i zacznie strzelać do ludzi w kinie? A coś takiego się wydarzyło.

– Ale nie u nas... w Olsztynie...

– Oklahoma City to też było spokojne, prowincjonalne miasto. Pamiętasz, co tam się stało?

Zamilkła. Słyszał w telefonie, jak oddycha.

– Co według ciebie powinniśmy zrobić?

– Odwołać paradę. Najlepiej tuż przed, żeby dać mu jeszcze możliwość do przygotowań, na których moglibyśmy go złapać.

– Tuż przed? Parada jest jutro. Już jest tuż przed.

– Jutro?? – Zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Gdzieś mu

umknął jeden dzień.

– O piętnastej. Nie mamy zbyt wiele czasu.

– Dzwon. Zagrożenie terrorystyczne, wysokie prawdopodobieństwo ataku – nastrasz ich porządnie. Musimy to odwołać. To jedyne wyjście. I wyślij wszystkich swoich ludzi do hali. Niech ją przeszukają od góry do dołu. Niech wejdą do kanałów, kratek wentylacyjnych i pod kopułę. Może uda się coś znaleźć.

– Jesteś tego wszystkiego pewien? Zdajesz sobie chyba sprawę, że zaryzykuję w ten sposób całą swoją karierę? Jeśli odwołają tę imprezę, a my nic nie znajdziemy, wywalą mnie na zbity pysk.

– Wiem. Ale coś się stanie. Jestem tego pewien. Nie wiem co, ale coś stanie się na pewno.

Zadzwoiła po godzinie. Nie ma mowy o odwołaniu parady. Nie ma na to najmniejszej szansy. Komisarz Sądecki, który był ciągle formalnie jej szefem, tak bardzo przestraszył się tego pomysłu, że o mało nie zemdłał. Odmówił kategorycznie poruszenia tego tematu w jakiegokolwiek rozmowie z komendantem wojewódzkim. Gdy zrobiła to sama, usłyszała mniej więcej to samo oraz żeby się puknęła w głowę. Nikt nie będzie odwoływał najważniejszej imprezy w mieście, bo jakiś gość na etacie sekretarki coś sobie wymyślił. I że kto go w zasadzie zatrudnił. Komisarz Sądecki przestraszył się wówczas jeszcze bardziej (o ile to w ogóle możliwe) i opierdolił ją tak, jak jeszcze nikt dotąd jej nie opierdolił, dostając przy okazji niemal ataku apopleksji. Gdy niezrażona tym, zadzwoniła do Urzędu Wojewódzkiego, nikt nie chciał z nią w tej sprawie rozmawiać. Po czym dostała ponowny opierdol od Sądeckiego, który tym razem był na granicy płaczu.

Po kłótni takiej, że aż zagląдали do nich koledzy z sąsiednich pokoi, zgodził się w końcu na ponowne przeszukanie hali. Była dwudziesta. O dwudziestej pierwszej wszyscy mieli się zjawić pod Uranią i rozpocząć procedurę. Rozłucki też był zaproszony, choć komisarz Sądecki użył podobno w tym celu wyjątkowo niecenzuralnych słów.

Zjawił się pod halą za dziesięć dziewiąta. Wszyscy już byli: Weronika, Sądecki i mnóstwo policjantów w mundurach i bez. Komisarz popatrzył na niego przeciągle. Sporo było w tym spojrzeniu uczuć, lecz żadnego ciepłego.

– Wchodzimy! – powiedział.

Policjanci rozdzielili się na dwie grupy. Jedna pod przywództwem Sądeckiego skierowała się do głównego wejścia dla publiczności, druga, którą prowadziła Weronika, ruszyła w stronę bocznego wejścia na zaplecze. Rozłucki z oczywistych względów wolał się trzymać tej drugiej.

Po mniej więcej trzech godzinach spotkali się na środku hali. On, komisarz i Weronika. Stary, dobry team, ostatnio jednak coraz mniej zgrany.

– I co? – spytała Weronika,

– Nic. – Komisarz wzruszył ramionami, jakby od początku spodziewał się takiego efektu. – A u was?

– Też nic.

Poszukiwania jeszcze trwały. Nad ich głowami, na pomostach pod kopułą hali słyhać było kroki ciężkich, policyjnych butów uderzających o metalowe kratownice.

– I co, panie cwany? – Komisarz zwrócił się w jego stronę. Z jego ust dał się wyczuć wyraźny zapach alkoholu.

Rozłucki nie miał na to dobrej odpowiedzi.

Komisarz wymownie spojrzał na zegarek.

– Minęła dwunasta w nocy – powiedział. – Oderwałeś wielu ludzi od ich rodzin i sprawiłeś, że jutro, podczas ciężkiego, pełnego pracy dnia, będą niewyspani. I co? I dupa. – Rozłożył szeroko ręce.

– Ty sam oderwałeś się od swojej rodziny – przypomniała mu Weronika. – Nikt tego nie musiał robić za ciebie.

Komisarz popatrzył na nią wzrokiem bazyliuszka.

– Przynajmniej było się od czego odrywać – powiedział zjadliwie. – Niektórzy nie mają nawet tego. Prawda, Weronika?

Wytrzymała jego spojrzenie. Trudno powiedzieć, czy ją to zabolalo.

– Dobra. – Komisarz klasnął w dłonie. Była w tym lekka pijacka przesada. – Zwijamy ten cyrk. Koniec poszukiwań! – krzyknął i nie zaszczycając ich ponownym spojrzeniem, ruszył w stronę wyjścia.

– Dobranoc! – rzuciła za nim Weronika.

Nie odpowiedział.

Spojrzała teraz na Rozłuckiego. Było w tym wzroku zmęczenie, ale nie było wyrzutu.

– Ktoś będzie pilnował tego w nocy? – spytał.

– Tak. Zostawię tu paru chłopaków. Jest też firma ochroniarska.

Przez chwilę milczeli, patrząc w różne strony hali.

– Dalej jesteś pewien tego, co mi powiedziałaś? – spytała.

Nie odpowiedział od razu.

– Nie jestem – odpowiedział w końcu. – Ale wciąż wydaje mi się to bardzo prawdopodobne.

– Niczego nie znaleźliśmy – zauważyła.

Westchnął.

– Problem w tym, że nie wiemy, czy to, czego szukamy, jest już tutaj. Może pojawi się tu dopiero jutro, w czasie parady? Razem z rekwizytami albo kostiumami jednego z tych wszystkich zespołów, które tu wtedy przyjadą. Może zresztą wykorzysta coś, na co byśmy w życiu nie wpadli. Coś normalnego, zwykłego, na co patrzymy nawet w tej chwili. To, jak sądzę, dosyć kreatywny człowiek. Twoi ludzie muszą jutro być wszędzie.

– Nie wiem, czy uda mi się przekonać do tego Sądeckiego po tym, co się dzisiaj stało.

– Upij go i przejmij dowodzenie.

Spojrzała na niego badawczo.

– Mówisz poważnie?

– Nie. Nie wiem.

Spojrzała w górę. Machinalnie podążył za jej wzrokiem. Na metalowych pomostach nad ich głowami nie było już nikogo.

– Ciągłe myślisz, że to on? Dyrektor? – spytała.

Przeciągnął dłonią po włosach.

– Po tych paru godzinach... Mniej w każdym razie niż wtedy, gdy do ciebie dzwoniłem. Ale jednego jestem pewien: coś się jutro wydarzy. Nie wiem, kto będzie za tym stał, ale to wiem na sto procent: coś się jutro stanie.

Źle spał. Nawet bardzo źle. Najpierw nie mógł zasnąć, a potem budził się co chwila. Miał zimne nogi i nie mógł ich rozgrzać, choć owinął je dookoła kołdrą niczym garnek z kaszą. W końcu wstał. Było jeszcze przed szóstą.

Umył się, ubrał i postanowił zjeść śniadanie. Jak zwykle niewiele było w lodówce. Wziął w końcu resztkę twarogu – tylko trochę obeschniętego – i polał go miodem. Do tego ukroił kromkę ciemnego chleba. Było to nawet smaczne.

Nie pił kawy ani herbaty, bo chciał złapać jeszcze trochę snu. Usiadł na swoim wytartym fotelu, położył nogi na krzesło i spróbował zasnąć.

W sumie nie wiedział, czy mu się to udało, czy nie. Zapadł w jakiś dziwny stan pół snu, pół jawy. Mimo że zachowywał świadomość, przed jego oczami pojawiały się obrazy – głównie postaci. Nie wyobrażone, ale właśnie widziane. Najpierw, jak zwykle z takich sytuacjach, Karolina. Przyzwyczał się już do tego. Nie robiło to na nim już tak wstrząsającego wrażenia, jak kiedyś. Potem Wilczyńska. Ucieszył się z tego, naprawdę. Przynajmniej w ten sposób mógł na nią popatrzeć.

Oprócz tego jednak co jakiś czas rozkręcała się w jego głowie męcząca karuzela myśli. Właśnie tak: co jakiś czas, zrywami. A tam było już wszystko: ich śledztwo, dyrektor, Wilczyńska, nocne próby w teatrze, pan Staszek, Weronika i Sądecki. I hala Urania. Ogromna, mroczna, demoniczna, odrywająca się od ziemi, lecz mimo to zagłębiona w nią, chtoniczna, posiadająca rozległe, infernalne podziemia, po których krążył i krążył, próbując znaleźć coś, tylko nie wiedział co.

To ostatnie to już był chyba sen. Normalny, regularny, z którego obudził się nagle, jeszcze bardziej zmęczony, niż gdy kładł się do łóżka. Spojrzał na zegarek. Było wpół do dziewiątej rano. Wstał, przemył wodą zapiaszczone oczy i zrobił sobie kawę.

O dziewiątej był już z powrotem w hali.

Zupełnie nie przypominała tego miejsca, w którym był wczoraj w nocy. Pełno w niej było już ludzi – nie tylko policjantów. Ekipy techniczne, ubrane w czarne koszulki z napisami na plecach, spodnie bojówki i ciężkie, sportowe buty, rozstawiały nagłośnienie, wciągały w górę masywne, metalowe kratownice z reflektorami i kotary mające stanowić tło sceny. Nawet dźwięki były dzisiaj inne. Wczoraj ich głosy leciały daleko, zdawały się odbijać echem od ogromnej kopuły; dziś wszystkie rozmowy opadały zaraz ku ziemi przytłumione przez wszechobecną, chaotyczną magmę odgłosów młotków, wkrętarek i ludzkich pokrzykiwań.

Nie wiedział za bardzo, co ma tu robić. Chodził bez celu, starając się zaglądać w różne zakamarki i mając płonną nadzieję, że zobaczy coś, czego wczoraj nie dostrzegły oczy kilkunastu policjantów. Nic jednak nie znalazł. Garderoby jeszcze były puste, a wielość sprzętów, plastikowych skrzyń i metalowych kejsów uświadomiła mu, że nawet gdyby natknął się na to, czego szukał, prawdopodobnie nie byłby w stanie tego rozpoznać.

Po dziesiątej pojawiła się Weronika i jej ludzie. Przywitali się zdawkowo. Policjanci zajęli się po chwili tym samym, co on: łożeniem bez celu i zagładaniem w różne miejsca. Oni jednak dla odmiany otwierali skrzynie.

O dwunastej zaczęli się zjawiać pierwsi członkowie zespołów mających wziąć udział w paradzie: długowłosi i długobrodzi aktorzy teatrów alternatywnych; ogoleni na łyso, z wygolonymi nawet brwiami żonglerzy i połykacze ognia; oraz obwiązani kolorowymi szalami u szyi aktorzy regularnych zespołów teatralnych z Polski i Europy. Wszyscy oni rozpełzli się po swoich garderobach, ciągnąc za sobą walizki, targając pokrowce na ubrania, a niektórzy również dzieci i psy. Nagle cała wolna przestrzeń, łącznie z korytarzami, zapełniła się ludźmi i pakunkami. Chaosu dopełniła firma cateringowa, wnosząc ogromne, pełne jedzenia pudła z czarnego styropianu, podgrzewacze, termosy z zupą, tace z ciastami oraz talerze i rozstawiając to wszystko w jednej z sal.



Raz czy dwa minęli się z Weroniką. Gdy ich spojrzenia się spotkały, wyczytał w jej wzroku to, co sam doskonale wiedział: nie da się tego wszystkiego ogarnąć i sprawdzić. Byli kompletnie bezradni. Mogli tylko liczyć na łut szczęścia i czekać.

Mniej więcej o trzynastej trzydzieści zaczęli się schodzić pierwsi widzowie. Parking przed halą powoli zapełniał się samochodami, autobusy miejskie wypływały coraz to nowe dostawy spragnionych darmowej rozrywki mieszkańców, chodnikami ciągnęły sznury rodzin z dziećmi. Pogoda, która jeszcze rano strugami deszczu potwierdzała zasadność przeniesienia parady do hali, teraz jak na złość polepszyła się. Deszcz przestał padać, choć niebo wciąż było zachmurzone.

Nawet gdyby jednak wyjrzało oślepiające słońce, a temperatura podskoczyła do trzydziestu stopni, nie było już szans, by cokolwiek zmienić. Parada – choć w zasadzie trudno to już było w tym momencie nazwać paradą – musiała się odbyć w hali. Miało to jednak swoje dobre strony. To, co na zewnątrz miało być tylko przemarszem wszystkich zespołów, tu zamieniło się w rodzaj widowiska. Każdy teatr – czy to uliczny, alternatywny, czy repertuarowy – miał na scenie lub przed nią przedstawić krótki pokaz swoich umiejętności. Jedną scenkę, kilka gagów, plunięcie ogniem czy co tam kto najlepiej potrafił zrobić.

Zapowiadało się naprawdę ciekawie. Nic więc dziwnego, że frekwencja dopisała. Darmowe widowiska tego typu nie należały w Olsztynie do częstych zjawisk, zatem każdy chciał przyjść i to zobaczyć.

Po raz kolejny wpadł na Weronikę. Zatrzymali się przy sobie na chwilę.

– Widziałaś dyrektora? – spytał.

– Nie – odpowiedziała.  
– Nie? – zdziwił się.  
– Pytałam, podobno jeszcze nie przyszedł.  
– Wiadomo, gdzie jest?  
– Nie.  
– Nie kazałaś go śledzić?  
– Kazałam, ale Sądecki to odwołał. Uważa, chyba to zresztą wiesz, że twoja teoria to kompletna bzdura.

Rozejrzył się dookoła.

– Może już tu jest. Dyrektor. Tylko o tym nie wiemy – powiedział.  
– Albo stoi właśnie przed lustrem w domu i wiąże krawat – odparła.  
Spojrzał na nią.  
– Ty też myślisz, że to bzdura?  
Uciekła wzrokiem.

– Nie wiem – odpowiedziała.  
– Nie wiesz?  
– Miałam tu sporo czasu na przemyślenia – powiedziała zmęczonym głosem. – I... – Rzuciła mu krótkie spojrzenie. – Słuchaj, Zyga, wiesz, że cię lubię...

– Tak? – Taka deklaracja z jej ust to była spora nowość.  
– Tak – przytaknęła zniecierpliwiona. – Wierzę w twoją intuicję, jesteś jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich znam, ale...  
– Ale co?  
– Wydaje mi się to wszystko za bardzo wymyślone. W prawdziwym życiu motywacje są prostsze.

Pokiwał głową.

– Może masz rację. Nie wiem. W każdym razie jesteśmy tu. A ty i tak musiałabyś zabezpieczać tę imprezę.

– Tak.

Rozeszli się każde w swoją stronę.

Piętnasta zbliżała się nieubłaganie. Hala napełniła się już prawie do ostatniego miejsca. Odczuwał coraz większy niepokój. Chodził nerwowo za kulisami, sprawdzając wciąż te same miejsca. Pojawił

się w końcu dyrektor. Wszedł tylnym wejściem. Przywitał się po kolei z wszystkimi zespołami, porozmawiał chwilę z paroma osobami, potem poszedł na tył zbudowanej z kratownic sceny. Rozłucki ruszył za nim. Kaletnik stanął przy konsoli akustyka i zadał mu kilka pytań. Rozłucki obserwował go uważnie. Był spokojny, skupiony, ale nie sprawiał wrażenia nadmiernie zdenerwowanego. Zażartował nawet w pewnej chwili, a akustyk uśmiechnął się i pokiwał głową.

W końcu wybiła piętnasta. Akustyk wykonał kilka ruchów nad konsolą, światło na hali przygasło, z głośników rozległ się znany motyw z jednej z oper. Po metalowych schodkach na scenę wszedł mężczyzna ubrany we frak. Rozłucki poznał go – był to jeden z aktorów teatru; widział go w tej komedii Szekspira, w której grała Wilczyńska.

Aktor przywitał wszystkich zgromadzonych. Najpierw obecnego na widowni wojewodę, potem władze samorządowe, kilku posłów i jednego senatora, na końcu mieszkańców. Podziękował organizatorom i zespołom za wspaniałe artystyczne wydarzenie, które właśnie dziś się kończy i które niewątpliwie rozświetliło Olsztyn na kulturalnej mapie kraju. W trakcie podziękowań w szczególności, choć nienachalny sposób podkreślił rolę władz wojewódzkich, dzięki którym mieszkańcy Olsztyna mieli możliwość oglądać najznamienitsze zespoły teatralne z Polski i zagranicy, prezentujące swoje najlepsze przedstawienia. Nazwisko dyrektora nie padło ani razu.

Potem rozpoczęła się parada. Muzyka zmieniła się i po płycie hali, w kilkumetrowej szerokości korytarzu zostawionym między sceną a pierwszymi rzędami krzeseł, ruszyły zespoły. Konferansjer na scenie zapowiadał każdy z nich oraz opisywał, skąd przyjechał. Zespoły zatrzymywały się, dochodząc do sceny, gdzie każdy z nich przedstawiał przygotowany specjalnie na tę okazję krótki program. Teatry repertuarowe wchodziły w tym celu na scenę; teatry uliczne i alternatywne raczej prezentowały się przed nią. Muzyka zmieniła się praktycznie bezustannie. Gdy grały teatry klasyczne, zazwyczaj

milka; teatry uliczne i alternatywne miały przygotowane z kolei własne ścieżki muzyczne z utworami należącymi do najprzeróżniejszych gatunków: rocka, popu, muzyki klasycznej czy nawet folku. W przerwach umożliwiającą zmianę zespołu rozbrzmiewała przygotowana przez organizatorów muzyka operowa.

Rozłucki przez cały czas uważnie obserwował dyrektora. Odszedł on w międzyczasie od konsoli akustyka i przeszedł w miejsce umożliwiające mu przyglądanie się paradzie. Był wciąż spokojny, wręcz aż za bardzo, jakby to, co się dzieje, obchodziło go tylko w minimalnym stopniu. Jego twarz miała trudny do określenia wyraz, jakby lekkiego zniesmaczenia.

Rozłucki dla odmiany nie mógł wprost ustać z napięcia. Rzucał szybkie, nerwowe spojrzenia to na scenę, to na widownię, to znowu na stojącego denerwująco spokojnie Kaletnika. Przez cały ten czas gorączkowo zastanawiał się, co się za chwilę stanie. Gdzie i w jaki sposób nastąpi atak? Co posłuży za cel, a co za broń? Patrzył na wielki ledowy ekran stojący na specjalnym stelażu z boku sceny, na którym wyświetlano powiększoną wersję tego, co działo się na niej, by nawet ludzie siedzący w najwyższych rzędach pod samą kopułą mieli szansę cokolwiek zobaczyć. Czy to on nagle runie na przechodzących przed nim artystów? A może wybuchnie? Czy takie coś w ogóle może wybuchnąć? Nie wiedział tego.

A może to scena? Scena się zawali? Albo jedna z tych wielkich kratownic, do której przyłączone były rzędy reflektorów, nagle się urwie i polecą w dół, przygniatając stojących pod nią ludzi? A może rację miał Sądecki i nic się nie stanie?

Nie mógł, nie był w stanie już tego wytrzymać. Musiał coś zrobić, cokolwiek. Nie potrafił tak stać i czekać nie wiadomo nawet na co. Podeszedł do Kaletnika. Stał tuż przy nim. Dyrektor spojrzał na niego przelotnie, lecz nie raczył się przywitać.

– Świetne widowisko – rzucił Rozłucki w jego stronę. – Gratuluję.  
Dyrektor spojrzał na niego ponownie.

– Tak pan sądzi? – spytał z ironią. – Lubi pan taką disco-sztukę?

– Disco-sztukę? – powtórzył za nim, bo nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Takie pop-gównno, bryk udający prawdziwy utwór, mozaikę w kiblu z potłuczonych greckich waz – sprecyzował. – Lubi pan to?

– To przecież pana dzieło – zdziwił się Rozłucki.

– Moje dzieło? – Dyrektor zaśmiał się krótko i nieprzyjemnie. – Pan chyba żartuje. Cezar chciał igrzysk, więc mu je dostarczyłem. Kimże ja jestem, by podawać w wątpliwość gust Cezara?

Po czym odwrócił twarz w kierunku parady, kończąc w ten sposób rozmowę.

Po chwili do dyrektora podszedł jakiś człowiek. Przez moment rozmawiali, lecz głośna muzyka uniemożliwiła Rozłuckiemu zrozumienie, o czym. Dotarły do niego tylko pojedyncze zdania: „Nie mam zamiaru na to dłużej patrzeć”, a potem: „Wszystko wam tu ustawiłem. Po prostu tego nie spierdolcie”.

Później odwrócił się na pięcie i odszedł.

Rozłucki patrzył za nim zdumiony. Wychodzi? Teraz? Zaskoczyło go to. Co to może oznaczać? „Wszystko wam tu ustawiłem...” Czy chodzi o to, że nie chce być tu obecny, gdy stanie się to, co zaplanował? Może po prostu jest to zbyt niebezpieczne? Za chwilę stanie się coś takiego, że lepiej tu nie być. Poczul nagły przypływ paniki. Rozejrzał się nieprzytomnie dookoła. Na czoło wystąpił mu zimny pot. Wszystko wydawało się być w najlepszym porządku. Muzyka grała, na scenę po metalowych schodach wchodził kolejny zespół, konferansjer coś mówił, w wielkich drzwiach na końcu hali pojawiła się już następna grupa. Toczyła przed sobą dużą platformę na kołach, na której zamontowane było dziwne, nierzeczywiste urządzenie, przypominające industrialnego potwora złożonego z elementów najprzeróżniejszych maszyn.

Ponownie poszukał wzrokiem dyrektora. Powinien za nim pójść czy raczej tu zostać? Mieć oko na to, co się tu dzieje, czy raczej sprawdzić, co on knuje? A może po prostu uciekać, uciekać, gdzie pieprz rośnie?

Dojrzał stojącą przy wejściu dla artystów Weronikę. Ona też zauważyła, że dyrektor wychodzi. Ich spojrzenia z Rozłuckim na chwilę się spotkały. Kiwnęła lekko głową i ruszyła za Kaletnikiem.

Dobrze. Dobrze. A więc zostanie. Nie należy wpadać w panikę. Weronika zajmie się dyrektorem. Powiódł jeszcze raz spojrzeniem po hali. Spojrzał w górę, na wznoszącą się ponad nimi ledwo widoczną w mroku kopułę. Jego wzrok padł na jeden z wielkich, prostokątnych paneli przytwierdzonych do niej, mających zapewne za zadanie rozpraszać dźwięki i likwidować echo. Jak i do czego były przymocowane? Na pewno nie bezpośrednio do dachu, bo widać było, nawet pomimo mroku, że za nimi była jeszcze pusta przestrzeń. Zapewne więc na czymś wisiąły; na łańcuchach albo na sztywnych prętach. Nagle przez głowę zaczął mu się przetaczać niewiarygodny, lecz straszliwy scenariusz. Wystarczyłoby przecież jakoś zniszczyć te podwieszenia; przepiłować je albo wysadzić, by ogromna kwadratowa tafla spadła w dół na siedzących pod nią ludzi. Na pewno nikt ich przecież nie sprawdzał. Ile ich było? Kilkanaście? Kilkadziesiąt? Czy to po to wyszedł dyrektor? By odpalić zapalnik inicjujący wybuch? Za pomocą podobnego urządzenia podpalono przecież łódź, na której płynął Lamek.

Zespół występujący na scenie skończył swój pokaz i zszedł schodkami po jej drugiej stronie. W tym samym momencie przez środek sali ruszyła mechaniczna platforma. Z zakamarków jej elementów zaczął wydobywać się dym. W boki i w górę trysnęły fontanny iskier. Kierował nią aktor ubrany w czapkę pilotkę z maską na twarzy przypominającą długi ptasi dziób. Ostra, industrialna muzyka szatkowała przestrzeń. Publiczność na widowni zareagowała oklaskami.

A może to to? Może to tam kryło się niebezpieczeństwo? Za chwilę platforma zrówna się ze sceną. Po jej drugiej stronie, na miejscach z najlepszą widocznością, była trybuna honorowa. Siedzieli tam wszyscy oficjele i zaproszeni goście. Wybuch czegoś takiego spowodowałby ogromne szkody. Fragmenty metalowych urządzeń

wyrzucone w kierunku ludzi zrobiłyby z nich krwawą miazgę. Nie byłoby chyba trudno umieścić tam ładunek, nawet stosunkowo duży. Gdy to się stanie, on także znajdzie się w polu rażenia.

Poczuł nagłą, pierwotną, zwierzęcą chęć ucieczki. Był jednak jak sparaliżowany. Platforma wtoczyła się przed scenę. Artyści wstali i ukłonili się w stronę widowni. Potem platforma pojechała dalej.

Na scenie pojawił się kolejny zespół. Po nim kolejny i jeszcze jeden. Wreszcie parada dobiegła końca.

Nic

się

nie

stało.



Włączono pełne oświetlenie i ludzie zaczęli powoli wychodzić. Muzyka przycichła i zmieniła się w wiązanekę popularnych przebojów. Dołączył do niej szmer tysięcy głosów. Rozłucki nieprzytomnie rozejrzał się wokoło. To już? Tyle? To była ta cała apokalipsa?

Poczuł nagle, jak wszystko z niego opada. Miejsce napięcia zajęło potworne zmęczenie. Pomylił się. Najzwyczajniej się pomylił. Wszystko działo się tylko i wyłącznie w jego głowie. Wymyślił to sobie i zmusił innych, by w to uwierzyli.

Poczuł, jak coś w jego wnętrzu się zapada, zostawiając w zamian wielką, zasysającą wszystko próżnię. Zrozumiał, że musi się napić. Natychmiast. Wszystkie jego postanowienia w tym względzie straciły w jednej chwili ważność. Chce wrócić tam, do alkoholowego rajy. I chce to zrobić teraz.

Ruszył w kierunku wyjścia. Gdzie tu może być najbliższy sklep? Po lewej stronie od hali było chyba jakiś supermarket. Kupi tam sobie coś, cokolwiek, wypije to duszkiem, a potem pójdzie na Stare Miasto do jakiejś knajpy.

Nie dane mu jednak było tam dojść. Tuż przy wyjściu natknął się na Weronikę. Nie chciał z nią teraz rozmawiać, naprawdę. Uciekł spojrzeniem, byleby tylko nie musieć patrzeć jej w oczy. Zastąpiła mu jednak drogę.

Niechętnie podniósł wzrok. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie wyglądała na wściekłą. Wręcz przeciwnie – w jej oczach było chyba coś w rodzaju współczucia.

– Gdzie jest dyrektor? – spytał, by przerwać tę krępującą ciszę, która między nimi zapadła.

– Wyszedł – odpowiedziała. – Po prostu. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Pokiwał głową.

– Strasznie się wygłupiłem – powiedział. – Przepraszam.

Wzruszyła ramionami. Nawet lekko się uśmiechnęła.

– W tym konkretnym przypadku to chyba nawet lepiej, że nie miałeś racji, nie sądzisz? O wiele lepiej w każdym razie, niż gdybyś ją miał.

Trudno się było z tym nie zgodzić. Popatrzył na ludzi spokojnie wychodzących z hali i idących chodnikiem w stronę przystanku. Nie wyglądałoby to tak, gdyby okazał się geniuszem, nie żalonym dupkiem.

– Niewątpliwie – przyznał jej rację.

– Sądecki będzie miał z ciebie używanie – powiedziała i była już w tym odrobina satysfakcji.

Tak. Komisarz Sądecki niewątpliwie nie przepuści takiej okazji i będzie się nad nim znęcał na wszelkie możliwe sposoby. To będzie jego kara. Sprawiedliwa kara.

– Właśnie, a gdzie on jest? – spytał. – Nie widziałem go na hali. Znowu zapił?

– To też – kiwnęła głową. – Ale jest teraz w teatrze.

– W teatrze?

– Dyrektor też tam pojechał. Za pół godziny rozpocznie się oficjalne zakończenie festiwalu. Bankiet, przedstawienie i te rzeczy. To tu to było tylko widowisko dla plebsu. VIP-y będą się bawić tam.

Poczuł nagły powrót niepokoju. Że też o tym nie pomyślał. Bankiet. To przecież jasne, że na końcu każdej takiej imprezy musi być bankiet.

– I Sądecki tam jest? – spytał.

Przytaknęła.

– Tamto też musimy zabezpieczyć. Choć oczywiście większość

naszych ludzi rzuciliśmy tu. Zwłaszcza po tym, co nam naopowiadałeś.

Nagle zrobiło mu się zimno.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Myślałam, że wiesz. Wszyscy wiedzą.

– Musimy tam jechać – powiedział. – Natychmiast.

Oczywiście, oczywiście. Teraz sobie wszystko przypominał. Wszystko, co mówiła Wilczyńska i pan Staszek. Przedstawienie na koniec festiwalu, kompilacja z dramatów Czechowa. Dyrektorowi bardzo na nim zależy.

Że też wcześniej sobie tego nie poskładał. Nie pomyślał. Nikt nigdy co prawda wprost nie przekazał mu tej wiadomości – że prawdziwym zakończeniem festiwalu będzie przedstawienie wyreżyserowane przez dyrektora – prawdopodobnie dlatego, że wszyscy uważali tę wiedzę za oczywistą, ale przecież z tych wszystkich częściowych informacji to wprost wynikało. Lecz on zbyt mocno zafiksował się na tym, co miało nastąpić w hali, wychodząc z założenia, że skoro pierwsze morderstwo popełniono w trakcie parady rozpoczynającej festiwal, to ostatnie zostanie dokonane w trakcie parady odbywającej się na jego koniec. Tymczasem, gdyby choć przez chwilę pomyślał, zrozumiałby, że teatr jest o wiele lepszym miejscem z punktu widzenia mordercy. W hali znajdował się nie na swoim terenie, w miejscu, które znał słabo i w którym mógł przebywać bez wzbudzania podejrzeń tylko podczas dwu ostatnich dni przed zakończeniem festiwalu. W teatrze był u siebie. Jego obecność nie niepokoiła nikogo, nawet gdy był tam późnym wieczorem i w nocy. Mógł wszystko przygotować znacznie wcześniej; mógł ukryć to, co było mu potrzebne, schować to pośród setek rekwizytów i fragmentów dekoracji, bo znał tam każdy kąt.

Poza tym w teatrze wszyscy ci, na których mógł chcieć się zemścić, przebywali razem na o wiele mniejszej przestrzeni. W miejscu,

z którego możliwość ucieczki była mocno ograniczona. Cholera, chyba znowu wszystko spieprzył! Tak jak wtedy, z Karoliną...

Weronika ruszyła spod hali. Trudno powiedzieć, czy uwierzyła w jego kolejną teorię, bo nie skomentowała tego w żaden sposób. Niestety, nie byli jedynymi, którzy usiłowali się stąd wydostać. Dziesiątki samochodów widzów próbujących wrócić do swoich domów skutecznie zakorkowały zarówno wyjazd, jak i wszystkie okoliczne skrzyżowania. Na domiar złego przyjechała tu prywatnym samochodem, w którym nie było policyjnej syreny.

Po dziesięciu minutach, podczas których nie dojechali nawet do głównej ulicy, doszli do wniosku, że to nie ma sensu. Weronika zjechała na pobocze, wysiedli i ruszyli z powrotem pieszo w górę wzgórza, by znaleźć jakiś radiowóz. Większość z nich stała jeszcze pod halą. Wsiedli do jednego z nich i kazali kierowcy włączyć koguta na dachu. Stracili jednak cenne minuty.

Teraz poszło już znacznie szybciej, lecz ich tempo podróży wciąż nie było imponujące. Droga spod hali była wąska, samochody widzów nie miały nawet gdzie zjechać. Dalej też nie było lepiej. Korek był ogromny i przebijali się przez niego z wielkim trudem. Chaosu dopełniał tramwaj, który głośno dzwoniąc, zablokował następne skrzyżowanie.

Weronika zadzwoniła w międzyczasie do Sądeckiego. Wyśmiał ją oczywiście, ale powiedział, że jest na miejscu i wszystko jeszcze raz posprawdza. Rozłucki słyszał tę rozmowę, siedząc obok niej na tylnej kanapie radiowozu. Spora ilość niecenzuralnych słów, które do niego dotarły, dość wyraźnie uświadomiła mu, co komisarz o tym wszystkim myśli. Był zdaje się już trochę pijany.

Gdy dojechali wreszcie na miejsce, była za dwie minuty osiemnasta. O osiemnastej miał się rozpocząć spektakl. Wsiedli z radiowozu i wbiegli po schodach do teatru.

Podwójne, drewniane drzwi na salę były już pozamykane. Ceremonia kończąca festiwal właśnie się rozpoczęła. Słyszeli przytłumiony głos jakiegoś przemawiającego oficjela. Jedna z kobiet

obsługujących widownię ruszyła ku nim, kładąc palec na ustach. Weronika machnęła jej przed oczami policyjną legitymacją. Otworzyli drzwi i weszli do środka.

Światło było już zgaszone. Na scenie stało kilka osób: paru gości w garniturach i kobieta w garsonce. To właśnie ona przemawiała. Po chwili przekazała głos stojącemu obok mężczyźnie, którego przedstawiła jako wojewodę.

Nie było wśród nich dyrektora. Nie został również wymieniony w przemówieniu. Wojewoda podkreślał głównie zasługi władz i rządzącej partii. Sam festiwal został tylko wspomniany pobieżnie. Gdy dziękowano jego organizatorom, nazwisko Kaletnika również nie padło.

W pierwszych rzędach, tam gdzie siedzieli najważniejsi goście, także go nie było. Stąd, gdzie stali z Weroniką, widać było co prawda tylko tyły ich głów, lecz zwałista sylwetka dyrektora na pewno dałaby się rozpoznać. Spojrzał na Weronikę. Ruchem głowy wskazała na drzwi. Wyszli.

– Nie ma go tam – powiedziała. – Gdzie może być? W kulisach?

– Pewnie tak – odpowiedział.

Ruszyli w kierunku drzwi na zaplecze. Zarówno w foyer, jak i w korytarzu, którym teraz szli, nie było żadnego policjanta. Komisarz Sądecki najwyraźniej traktował zabezpieczenie tej imprezy bardzo umownie.

Weszli za kulisy. Wszyscy byli już na swoich miejscach przygotowani do rozpoczęcia spektaklu. Przed małą konsolą tuż przy scenie wpatrzona w monitor z podglądem na przemawiających oficjeli siedziała drobna, kędzierzawa inspicjentka, gotowa do podniesienia kurtyny. Obok garderobiana poprawiała jakiejś aktorce suknię. Tuż za nią jeden aktor kopnął drugiego kolanem w tyłek na szczęście. Potem odwrócił się, oczekując tej samej przysługi.

Dyrektora tu jednak również nie było. Weszli głębiej, w stronę garderób. Czy to tutaj gdzieś stał Roger? Większość aktorów i aktorek, z wyjątkiem tych występujących w pierwszej scenie,

siedziała jeszcze przed lustrami okolonymi świecącymi żarówkami, wpatrując się w teksty lub dokonując ostatnich poprawek makijażu. Przed jednym z lusterek dostrzegł Wilczyńską. Siedziała mocno osunięta w dół na krześle i wbijała wzrok w plik kartek, które trzymała w rękach. Jej usta poruszały się bezgłośnie. Duża, upięta w kok peruka w kolorze spłowiałego brązu, którą miała na głowie, sprawiała wrażenie, jakby to ona przyginała ją tak do ziemi.

Stanął w drzwiach, wpatrując się w nią jak ciele. Tak dawno jej nie widział, że zapomniał już, jak pięknie potrafi wyglądać. Podniosła wzrok i spojrzała na niego. Tylko przez chwilę, sekundę, bo wkrótce potem znów wpatrywała się w tekst sztuki. Nie sprawiała wrażenia, jakby go w ogóle poznała. A nawet jeśli poznała, to nie było to dla niej w tym momencie w najmniejszym stopniu istotne.

– Widziałaś dyrektora? – spytał.

Znowu podniosła na niego wzrok. Tym razem na trochę dłużej.

– Dyrektora? – spytała. – Był chyba gdzieś tutaj – odpowiedziała niezbyt przytomnie.

Zrozumiał, że nie warto z nią teraz rozmawiać i wypytywać o cokolwiek. Była w swoim świecie, skupiona na roli i odcięta od wszystkiego, co nie było związane z rozpoczynającym się za chwilę przedstawieniem.

– Nigdzie go tu nie ma. – Usłyszał za plecami głos Weroniki. Odwrócił się z niechęcią.

– Pytałaś, gdzie może być? – Wrócił powoli do rzeczywistości.

– Był tu jeszcze przed chwilą. Wszystko posprawdzał, życzył wszystkim powodzenia i wyszedł.

– Gdzie?

– Podobno ma na widowni swoje ulubione miejsce, z którego obserwuje przedstawienia. Powiedział, że idzie tam.

– Wiem, gdzie to jest. Na balkonie, przy stanowisku akustyka.

– Idziemy – zarządziła.

Wyszli tą samą drogą. Minęli po drodze dwóch młodych aktorów ubranych w mundury Armii Czerwonej, w długich wojskowych płaszczach i spiczastych czapkach z czerwonymi gwiazdami. Stali obok wózka na dwóch dużych, drewnianych kołach z dwoma długimi dyszlami, na którym widać było jakiś kształt przykryty brezentem. Palili elektroniczne papierosy i śmiali się ze swoich dowcipów. Najwyraźniej nie byli w ogóle zestresowani. Widocznie ich role nie były zbyt istotne.

Wyszli do foyer i po schodach wspięli na piętro. Tu również była pani z obsługi widowni, lecz nikogo, kto choćby wyglądał na policjanta. Rozłucki podszedł do drewnianych drzwi i powoli je uchylił. Przedstawienie już się rozpoczęło. Słychać było kobiecy, w zasadzie dziewczęcy głos i drugi, odpowiadający mu męski, należący do starszego mężczyzny. Wślizgnęli się do środka.

Przez chwilę musieli przyzwyczaić oczy do ciemności. Scena, jarząca się światłem w odróżnieniu od panującego tu mroku, widoczna była w dole. Stała na niej szafa, komoda z talerzami i szklankami, kanapa, stół i krzesła. Wszystko drewniane, rzeźbione, przykryte serwetkami i obrusami, takie jakie powinno być na początku dwudziestego wieku w Rosji. Widział stąd wyraźnie łysinę na głowie starszego, brodatego aktora.

Nie miał jednak czasu, by przyglądać się scenie ani by wsłuchiwać się w monolog młodej aktorki. Zamknął za sobą drzwi i poszukał wzrokiem stanowiska akustyka. Dość długi, ciemny kontuar wznosił się pod samą ścianą. Widniały na nim, dumnie odbijając światło ze

sceny, herb państwa i herb województwa.

Po chwili dostrzegł dyrektora. Siedział tuż przed akustykiem, mając za plecami białego orła w koronie. Jego łysa głowa i masywna postać wyraźnie odznaczały się wśród pozostałych widzów. Był nieruchomy, spokojny, skupiony; jego sylwetka przypominała pułkownika Kurtza z *Czasu apokalipsy*.

Wszystkie pozostałe miejsca również były zajęte. Nawet po bokach, tam, skąd oglądał swoje pierwsze przedstawienie z Wilczyńską i skąd niewiele było widać, siedzieli widzowie. Spojrzał w dół, na widownię na parterze. Wydało mu się, że dostrzegł tam komisarza Sądeckiego. Siedział w piątym rzędzie po lewej stronie na ostatnim miejscu z brzegu i zdaje się spał. A więc tak wyglądało zabezpieczenie przez niego tej imprezy.

Znowu spojrzał na dyrektora. Wydawał się skamieniały, martwy. Ale nie, naraz odwrócił się w stronę kontuaru i powiedział coś szeptem do stojącego za nim człowieka. Mężczyzna skinął głową i przesunął coś na swojej konsoli.

Weronika stuknęła go w ramię. Spojrzał na nią. Wskazała ruchem głowy na drzwi. Wyszli.

– Nic się nie dzieje – powiedziała. – Spokój. Żadnych niepokojących sygnałów. Nadal jesteś pewien tego, co mi powiedziałeś?

Przymknął powieki i oparł się plecami o ścianę. Nie poganiała go, czekała.

– Tak. Jestem pewien. – Otworzył oczy. – Coś się dzisiaj stanie.

Skinęła głową.

– Siedzi tam – powiedziała. – Nic nie robi. Co to mogłoby być?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Może coś przygotował. Coś, co w odpowiednim momencie zadziała. Albo włączy to komórkę, jak ten zapalnik na łodzi.

Popatrzyła w kierunku wejścia za kulisy.

– Wyjątkowo nieprecyzyjna informacja – powiedziała. – Co mamy robić, czego szukać?

– Nie wiem – powtórzył. – Czegoś niepokojącego. Odbiegającego od



normy.

– Czego? Nic takiego nie zauważyłam.

A on tak. Coś było... Coś niepokojącego. Tylko nie mógł sobie uświadomić, co to było.

– Aresztuj go. – Odwrócił się w jej stronę. – Wejdz tam, skuj mu ręce kajdankami i wyprowadź.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Zwariowałaś? Tu, przy wszystkich? Przy tych wszystkich ważniakach? W trakcie spektaklu? Wyobrażasz sobie, jaki to byłby skandal? A gdyby się okazało, że się mylisz? Wywaliliby mnie z policji na zbity pysk. I mieliby rację.

Spojrzał jej w oczy i chwycił dłonią za ramię.

– Zaufaj mi – powiedział. – Zrób to. Nie mylę się.

Pokręciła głową jeszcze raz.

– Ufam ci – powiedziała. – Ale... nie aż tak. Zaryzykowałabym całe swoje życie, rozumiesz? Zawsze chciałam być policjantką i nic innego nie chcę robić. Gdyby mnie wylali, to byłby dla mnie koniec.

– Zginą ludzie, jeśli tego nie zrobisz.

Zamknęła oczy. Po chwili je otworzyła.

– Gdybym wierzyła, że to, co mówisz, jest prawdą, zrobiłabym to – powiedziała powoli. – Ale nie wierzę. Przyjmuję taką możliwość, wydaje mi się to w jakiś tam sposób prawdopodobne, ale nie wierzę w to na sto procent. Sorry, Zyga.

Jedno w każdym razie zrobiła. Zeszła na dół i obudziła komisarza Sądeckiego. Potem zmusiła go, by wyszedł z sali do foyer. Nie był z tego powodu szczęśliwy.

– Czego wy znowu ode mnie chcecie? – Popatrzył na Rozłuckiego ze złością. Wzrok miał szklany i czuć było od niego alkohol. – Oglądałem sztukę!

– Nie oglądałeś, tylko spałeś – powiedziała Weronika. – Nawet zacząłeś trochę chrapać.

– Nie wyspałem się przez tego... – Wskazał na Rozłuckiego.

– Piłeś – przerwała mu.

– Zaprosili mnie. – Rozłożył ręce. – Nie mogłem odmówić.

A więc świętowanie zakończenia festiwalu już się rozpoczęło. Butelka gdzieś na zapleczu, parę kieliszków. Po co czekać do bankietu?

– Jesteś na służbie – przypomniała mu. – I miałeś to zabezpieczać. A ty chlejesz wódę z jakimiś urzędasami i śpisz na widowni.

– Poznałem wojewodę – odpowiedział. – Był bardzo zadowolony z mojej pracy. Podziękował mi.

No tak. Czyli wszystko jak zwykle.

– Jeśli coś tu się stanie – odpowiedziała chłodno, patrząc mu w oczy – on pierwszy założy ci sznur na szyję, wiesz o tym?

Komisarz uśmiechnął się kpiąco.

– Znowu ci coś naopowiadał? – Wskazał na Rozłuckiego. – Co ty mu tak we wszystko wierzysz? Czujesz do niego miętę czy co? – Głos pana komisarza był odrobinę bełkotliwy. – Wiecie co? Mam dla was radę, robaczki. – Objął ich protekcyjnie za ramiona. – Idźcie wreszcie ze sobą do łóżka i przestańcie mi zawracać fujarę! – powiedział, po czym uśmiechnął się bardzo zadowolony.

Nie powinien był do niej tak mówić. Każdy, kto choć odrobinę znał Weronikę, wiedział, że nie należy tak do niej się zwracać. Komisarz również musiał to wiedzieć, lecz widocznie alkohol i samozadowolenie związane z poznaniem najważniejszych ludzi w mieście stępiły jego instynkt samozachowawczy. Głos Weroniki nagle ścichł i stał się zimny i ostry.

– Słuchaj, Rafał – powiedziała powoli. – Zdajesz sobie chyba sprawę, że od wielu dni kryję ci dupę. Zawalasz, przychodzisz do pracy pijany, nie radzisz sobie. Pomagam ci, bo cię lubię i nie chcę, żebyś miał więcej kłopotów, niż masz. Ale ty wydajesz się robić wszystko, żebym cię lubić przestała. Zastanów się, czy to rozsądne i jak długo dasz sobie radę beze mnie.

Po chwili komisarz spokorniał i zgodził się na wszystko. Na

ściągnięcie posiłków, na obstawienie teatru policjantami w cywilu i na to, by to Weronika objęła faktyczne dowodzenie. Rozłucki był pełen podziwu.

Wszystko to jednak musiało trochę potrwać. Radiowozy przed teatrem i z tyłu na ulicy Skłodowskiej-Curie pojawiły się co prawda w ciągu kilku minut, lecz ściągnięcie policjantów w cywilu z ich domów, do których przed chwilą właśnie wrócili, zajęło ponad pół godziny.

W tym czasie pierwszy akt dobiegł końca i rozpoczęła się przerwa. Ubrani w garnitury panowie i wystrojone w suknie lub garsonki panie, dla których dzisiejszy wieczór był zapewne najważniejszą po względem towarzyskim imprezą w roku, wylali się falą do foyer. Rozłucki nagle poczuł, jak nieodpowiednio był ubrany. Jego sprane czarne dżinsy i licha kurteczka w militarnym stylu nie pasowały tu jak mało co. Weronika natomiast wpasowała się tu jak ulał. Jej ciemny żakiet i spódnica do kolan sprawiły, że wyglądała jak pomniejsza urzędniczka zaproszona w ostatniej chwili na miejsce, które zwolnił ktoś odrobinę znaczniejszy.

– Idę na górę – powiedział Rozłucki i wskazał głową schody na balkon. Weronika skinęła głową. Podzielili w ten sposób swoje rewiry.

Przecisnął się przez coraz bardziej gęstniejący tłum i dopchał się do schodów. Wchodząc po dwa stopnie i wciąż czując na sobie zdziwione i pełne dezaprobaty spojrzenia, dotarł po chwili na piętro. Tu również pełno było ludzi. Rozejrzał się w poszukiwaniu dyrektora.

Stał pod oknem razem z dwójką innych ludzi. Tylko dwójką. Wokół nich, Rozłuckiemu rzuciło się to od razu w oczy, rozciągała się wyraźnie zauważalna pusta przestrzeń. Plotki najwidoczniej szybko się rozchodziły. Pan dyrektor stał się nagle człowiekiem, z którym nie warto się pokazywać. A tych dwoje? No cóż... Albo byli wyjątkowo niezorientowani, albo byli naprawdę jego przyjaciółmi.

Rozłucki przystanął w bezpiecznej odległości. Dyrektor nie

zauważył go. Zajęty był rozmową ze stojącymi obok niego ludźmi. Była to jednak raczej zdawkowa wymiana zdań. Widać było, że ma świadomość rozpoczynającego się właśnie ostracyzmu i że to głównie zajmuje teraz jego umysł.

Usiłował jednak nie dać tego po sobie poznać. Uśmiechał się, raz czy dwa wybuchnął krótkim, stłumionym śmiechem, lecz jego oczy patrzyły się na tłoczących się wokół niego ludzi z pogardą, z jaką zdychający lew obserwuje krążące wokół siebie hieny.

Rozłucki spojrział na zegarek. Przerwa trwała już dziesięć minut. Ile czasu jeszcze mogła potrwać? Pięć, dziesięć minut? Postanowił chwycić byka za rogi. Odetchnął głęboko i podszedł do dyrektora.

– Świetne przedstawienie – powiedział. – Gratuluję. To na pewno nie jest disco-sztuka.

Dyrektor popatrzył na niego półwidzącym wzrokiem. Jego dwaj towarzysze, wykorzystując pojawienie się Rozłuckiego, czmychnęli ukradkiem. Oni więc również uciekli z tonącego okrętu.

– O, pan psycholog z Warszawy! – Kaletnik powitał go z ironią w głosie. – Jeszcze się pan nie zorientował? Nie warto już ze mną rozmawiać. Mam zostać dziś złożony w ofierze.

– To nie mój kościół – odparł Rozłucki. – Więc nie mam zamiaru w tym uczestniczyć.

Dyrektor uniósł lekko brwi.

– Bardzo wygodna pozycja. Jest pan niczym obserwator z ramienia ONZ. Popatrz pan sobie na nas, dzikusów, a potem wróci do swojego cywilizowanego świata. Ci tutaj – wskazał głową na przypatrujących się im ludzi – nie mają takiego komfortu. Będą tańczyć wokół ołtarza, nawet jeśli nie wszyscy mają na to ochotę. Ale większość zrobi to z dziką rozkoszą.

– Nie ma zamiaru się pan bronić? – spytał.

– Ja? Niby jak? – Dyrektor zaśmiał się sucho. – Wypiję swój puchar cykuty z pokorą.

– Niezbyt długo pana znam, lecz wydaje mi się to do pana niepodobne.

Dyrektor spojrział na niego spod przymkniętych powiek.

– Gdybym nie znał aż za dobrze swojej obecnej sytuacji, pomyślałbym, że próbuje mi się pan przypocholebić.

Rozłucki wzruszył ramionami.

– Nigdy nie nauczyłem się tej sztuki. I wielokrotnie tego żałowałem.

– Radzę jeszcze raz spróbować – odparł dyrektor. – Idą czasy, gdy ta umiejętność stanie się wyjątkowo przydatna. Mógłbym panu wskazać kilku świetnych nauczycieli. – Powiódł szerokim gestem po otaczających ich ludziach.

– Nie wątpię – odpowiedział Rozłucki. – Tak jak nie wątpię, że przygotował pan coś na swoje pożegnanie. Nie mam racji?

Dyrektor uśmiechnął się nieznacznie.

– Sztuka – odparł. – Sztuka jest moim jedynym puklerzem. I ostrzem.

Zabrzmiał dzwonek obwieszczający koniec przerwy. Dyrektor odwrócił się bez słowa i nie zaszczycając Rozłuckiego nawet pożegnalnym spojrzeniem, odszedł w stronę drzwi. Wraz z nim w kierunku swoich miejsc ruszyła fala pozostałych widzów. Rozłucki dostrzegł kątem oka trzech wchodzących po schodach mężczyzn w tanich marynarkach. Dwóch z nich weszło na salę, a jeden został na zewnątrz. Posiłki przybyły.

On również wszedł wraz z ostatnimi widzami na balkon. Nie miał swojego miejsca, więc stanął pod ścianą. Dwóch policjantów w cywilu oparło się plecami o drzwi.

Kurtyna się uniosła i rozpoczął się drugi akt. Na scenie pojawiła się Wilczyńska, co przez chwilę unieważniło całą resztę. Grała jedną z trzech sióstr w tym, jak zdążył się przekonać, całkiem zgrabnym połączeniu *Wiśniowego sadu*, *Wujaszka Wani* i *Trzech sióstr* właśnie. Wpatrywał się w nią zafascynowany tembrem jej głosu i tym nerwowym, pełnym podskórnego napięcia urokiem, z jakim poruszała się na scenie.

Dopiero gdy zeszła w kulisy, obudził się z transu. Przypomnił sobie słowa dyrektora „Sztuka jest moim puklerzem. I ostrzem”. Naraz zmartwiało. Coś tam się wydarzyło. Tam, na scenie. A ona tam jest.

Wyszedł, w zasadzie wybiegł na zewnątrz i zbiegł po schodach. Potem popędził w stronę kulisy. Minał po drodze dwóch lub trzech smutnych mężczyzn oderwanych od kolacji i telewizora i wbiegł za kulisy.

Jakaś kobieta, raczej nie aktorka, popatrzyła na niego zdziwiona. Stał więc, uspokoił oddech i dalej szedł już normalnym krokiem. Na zapleczu sceny sytuacja przypominała zorganizowany chaos. Aktorzy czekali na swoje wejście na scenę. Kobieta za konsolą wpatrywała się w ekran ze spokojem. W pewnej chwili nacisnęła jakiś świecący przycisk i powiedziała coś do niewielkiego, wystającego z konsoli mikrofonu.

Gdzieś w tym wszystkim mignął mu pan Staszek. Był skupiony i spokojny, tak jak wszyscy inni. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, lecz mężczyzna nie zareagował. On także był teraz w innym świecie.

Rozłucki przystanął z boku i zlustrował wszystko uważnie. Próbował znaleźć w tym widoku coś niepokojącego, jakiś niepasujący element, coś, co jego świadomość lub podświadomość oznaczy czerwoną kropką. Nic takiego nie znalazł. Wszystko wydawało się być w porządku. Aktor ubrany w surdut i białą koszulę ze stojącym kołnierzykiem wpatrywał się w ekran swojego smartfona, dwóch mężczyzn z obsługi siedziało w kucki obok rzędu napiętych lin z boku sceny, czekając na moment, w którym będą potrzebni.

Wyszedł więc z kulis i poszedł w kierunku garderób. Tu również czuć było napięcie, lecz nie było nerwowości. Przedstawienie szło swoim trybem, wszystko było na swoim miejscu i każdy wiedział, co się za chwilę stanie i kiedy ma wykonać swoją robotę.

W jednej z garderób zobaczył Wilczyńską. Siedziała przed lustrem i rozmawiała przez telefon. Garderobiana przyniosła jej herbatę w szklance. Wilczyńska uśmiechnęła się do niej w podziękowaniu i wróciła do rozmowy.

Odszedł stamtąd, choć miał ochotę zostać. Zajrzał po kolei do pozostałych garderób. Niektóre były puste, w innych siedzieli aktorzy i aktorki. Niektórzy przypominali sobie w ostatniej chwili teksty, inni rozmawiali, jeszcze inni poprawiali makijaż lub fryzury.

Tu także nie było nic niepokojącego.

Ten spokój doprowadzał go do szału. Brak niepokojących sygnałów tym bardziej go niepokoił. Dopadły go wątpliwości. A co, jeśli i tym razem się pomylił? Tak jak parę godzin temu, w hali? Zdesperowany uderzył się otwartą dłonią w skroń, jakby chciał naprawić to coś, co mu się tam zacięło.

Dostrzegł to jeden z aktorów i uniósł lekko lewą brew. Miał ochotę podejść i strzelić go za to w pysk. Miał ochotę w ogóle coś zrobić, rozładować jakoś to napięcie, tylko nie wiedział jak. Na ścianie tuż przy wyjściu na scenę zobaczył przyklejoną taśmą samoprzylepną kartkę z napisem wykonanym flamastrem „Tu stał Roger. R.I.P.”. Przypomniało mu to, że jednak nie wszystko dzieje się tylko w jego głowie. Coś wydarzyło się naprawdę.

„Aktorzy biorący udział w ostatniej scenie proszeni są o udanie się w kulisy. Pięć minut do wejścia”, usłyszał nagle głos z małego głośniczka przymocowanego u sufitu. A więc do tego mówiła kobieta za konsolą. Spojrzał w kierunku garderoby Wilczyńskiej. Widział ją stąd, a w zasadzie tylko jej nogi. Nagle zza obrysu framugi wychyliła się jej głowa. Zobaczył, jak poprawia przed lustrem fryzurę, potem wstaje. Ostatnia scena. Jeśli coś ma się wydarzyć, stanie się to teraz.

Aktorzy wyszli ze swoich garderób, Wilczyńska również. Wyglądała pięknie w długiej, szarej sukni do ziemi i z włosami upiętymi w kok. Poczuł ścisk w żołądku. Ten widok go bolał, ale był to bardzo przyjemny ból. Już po chwili pojawiła się jednak panika. To było już zdecydowanie mniej przyjemne.

Po chwili został sam. W scenie finałowej brali udział wszyscy. Podeszedł do konsoli inspicjentki i wpił oczy w ekran. Wszystkie postaci ze wszystkich sztuk Czechowa kłębiły się na scenie. Dyrektor stworzył z ich dialogów i monologów jedną całość, sprawiającą wrażenie, jakby bohaterowie różnych sztuk rozmawiali ze sobą. Jakby spierali się, prowadzili dyskurs, odpowiadali kwestiami z jednej sztuki na pytania zadane w innej.

Nie wszystko słyszał, a przynajmniej nie wszystko słyszał wyraźnie.



Na małym ekraniku niewiele też było widać. Podeszedł do krawędzi dekoracji, próbując w ten sposób podejrzeć aktorów, lecz inspicjentka natychmiast przegoniła go stamtąd.

A może to, co oni tam mówią, jest ważne? Dyrektor przedstawia właśnie swój manifest; wygłasza go ustami swoich aktorów. Może jest w nim coś, co należy wysłuchać i zrozumieć, jakaś wskazówka odnośnie do tego, co się stanie? Tu nie będzie w stanie tego zrobić, coś mu może umknąć. Zresztą może nie tylko słowa są ważne?

Powinien być teraz tam, na widowni, wśród pozostałych widzów. Do nich przecież skierowany będzie przekaz, do wszystkich tych ważnych ludzi, którzy właśnie „złożyli w ofierze” jego autora. Lecz co, jeśli to, co ma się stać, zacznie się tutaj, a jego wtedy tu nie będzie? Tam przynajmniej jest Weronika i jej ludzie, a tu...

Tu też byli. W czasie, gdy przyglądał się scenie, na jej zapleczu pojawili się mężczyźni w marynarkach. Stanęli przy dwóch wejściach i uważnie przypatrywali się temu, co się dzieje.

Podjął decyzję. Szybkim krokiem wyszedł z kulis i korytarzem z oknami dotarł do foyer. Potem otworzył drzwi i wślizgnął się na widownię.

Stanął tuż przy scenie, po jej prawej stronie, wszystkich aktorów widział jakby z ukosa. Niektórzy stali przy kredensie, inni siedzieli na krzesłach przy stole. Wilczyńska siedziała z boku po jego stronie przy pianinie, oparta lewym ramieniem i głową o górną część instrumentu, prawą dłonią wygrywając cicho jakąś melodię.

Kilka kosmyków z jej fryzury wyrwało się z rygorów koka i opadło jej na twarz. Przez chwilę znów nie mógł się skupić. Zmusił się, by oderwać od niej wzrok i przenieść go na pozostałych aktorów.

O czym mówili? Co wynikało z ich prowadzonych coraz bardziej ospałymi, pozbawionymi życia głosami dialogów? Widzowie zaczynali się nudzić; widział to kątem oka. Poprawiali się na krzesłach, chrząkali, niektórzy ukradkiem ziewali. To musiał być celowy zabieg dyrektora, zrozumiał to. Tak kazał grać swoim aktorom. Chciał uśpić widownię, by tym mocniej uderzyło w nią to, co się za chwilę

stanie.

Tylko co się stanie? Odwrócił się i spojrzał w górę, na balkon, tam gdzie siedział dyrektor. Nie zobaczył go i to nie tylko dlatego, że to miejsce tonęło w mroku. Jasna krawędź balkonu zasłaniała przed jego oczami tych, którzy na nim siedzieli. Stąd, gdzie stał, nie widać było nawet stanowiska akustyka.

Odwrócił się ponownie i jeszcze raz wsłuchał się w to, co mówiły postacie ze sceny. Mówiły o upadku, braku woli istnienia, nieuniknionym końcu świata, który znamy. Ich głosy były coraz cichsze, wymiany kwestii coraz wolniejsze, aż w końcu rozmowy na scenie zupełnie zamarły. Słyszeć było tylko powolne, ciche granie Wilczyńskiej na pianinie.

Trwało to dość długo; widzowie zaczęli patrzeć po sobie, jakby pytali jeden drugiego, o co w tym wszystkim chodzi. Wojewoda, siedzący na środku pierwszego rzędu, sapnął gniewnie. Po chwili nawet pianino ucichło.

Cisza, która nastąpiła, była wprost nie do zniesienia. Każdy najmniejszy odgłos, każde poruszenie się na fotelu, każde jego skrzypnięcie brzmiało teraz jak grzmot. Postaci na scenie nie ruszały się, nie wydawały żadnego dźwięku. Widzowie byli coraz bardziej zaniepokojeni. Pojawiły się pierwsze wypowiedane szeptem komentarze.

Rozłucki zrozumiał: teraz. Nie pomylił się. Nagle ciszę rozdarły okrzyki. Okrzyki po rosyjsku. Na scenę wbiegło dwóch mężczyzn w szynelach Armii Czerwonej. Pokrzykując i popychając karabinami, zegnali wszystkich aktorów z ich miejsc i popędzili ich aż na skraj sceny. Byli brutalni, nawet bardzo. Ich spiczaste czapki z dużymi czerwonymi gwiazdami wyglądały groteskowo i jednocześnie upiornie.

Ustawili aktorów w rzędzie, tyłem do widowni. Wilczyńska stała najbardziej po prawej, niemal tuż przy Rozłuckim. Potknęła się i przewróciła, gdy jeden z czerwonoarmistów odpychał ją karabinem spod pianina. Po jej prawej kostce płynęła strużka krwi. Prawdziwej

krwi. Musiała się czymś zranić, upadając.

Mężczyźni w mundurach chwycili za krzesła i stół i znieśli je na bok sceny. Potem stanęli na jej dwóch końcach, celując w szereg z karabinów. Nie był to jednak koniec. Naraz na scenę z lewej kulisy wtoczył się drewniany wózek na dużych kołach. Ciągnęło go dwóch kolejnych mężczyzn w mundurach. Ustawili go na środku sceny, dokładnie przed postaciami stojącymi na jej skraju, i odwrócili dyszlami do tyłu.

Potem jeden z nich ściągnął brezent przykrywający nieregularny kształt między kołami wózka. Rozłucki zamarł. Pod brezentem był karabin maszynowy. Duży, pomalowany na zielono maxim z grubą, walcową lufą i długą taśmą z nabojami zwisającą z boku.

Drugi z mężczyzn stanął za nim i chwycił w dłonie dwie drewniane rączki z tyłu karabinu. Jego towarzysz stanął z boku i ujął w ręce taśmę z nabojami. Widzowie patrzyli na to jak zahipnotyzowani, zbyt zaskoczeni tempem i brutalnością zdarzeń, by móc cokolwiek na ten temat pomyśleć.

Czerwonoarmista wycelował lufę karabinu w stojących przed nim aktorów. Nagle światła na widowni się zapaliły, jakby spektakl już się zakończył. Rozłuckiemu włosy stanęły na całym ciele. Tylko on jeden zrozumiał, co się teraz stanie. Tuż za aktorami była widownia. Łoża honorowa z wojewodą i wszystkimi VIP-ami.

– Nie!!! – krzyknął i rzucił się w stronę sceny. Dostrzegł jeszcze, jak Wilczyńska odwraca w jego stronę głowę.

Rozległ się ogłuszający, terkotliwy huk. Aktorzy na skraju sceny zachwiali się i upadli na jej deski. Na widowni wybuchła panika. Ludzie krzyczeli, przewracali się i tratowali nawzajem, usiłując uciec z pola rażenia karabinowych kul i dobiec do zamkniętych drzwi. Karabin wciąż terkotał. W powietrzu rozszedł się zapach prochu.

Rozłucki widział teraz tylko ją. Leżała na skraju sceny w dziwnej, podkurczonej pozycji. Jej kok rozwiązał się, włosy rozsypały się po podłodze. Nie dostrzegł jej twarzy, lecz widział co innego: krew na bucie i na deskach sceny.

Krzyknął straszliwie i wskoczył na podest. Karabin umilkł. Rozłucki podbiegł do Wilczyńskiej i nachylił się nad jej ciałem. Stąd mógł już zobaczyć jej twarz. Jej oczy były otwarte, patrzyła na niego, żyła. Nie wyglądała na przerażoną.

Odwrócił się w stronę widowni. Ludzie wciąż krzyczeli i tłoczyli się przy wyjściach. Nie było jednak żadnych trupów. Nikt nie został w fotelach ani nie leżał na podłodze. Nie było też żadnej krwi.

– Nic ci nie jest? – spytał.

Pokręciła głową, lecz po jej twarzy przemknął grymas bólu. Usiadła na scenie i podciągnęła skraj sukni. Pończocha na jej nodze była rozdarta, a na pieszczeli widniała powierzchowna, lecz mocno krwawiąca rana.

– Ten kretyń wepchnął mnie na krzesło – powiedziała. – Będę miała bliznę.

Pomógł jej wstać. Syknęła z bólu. Objął ją w pasie i razem pokuśtykali w stronę garderoby.

Krzyki na widowni już ucichły. Zamiast nich pojawiły się podniesione głosy, płacz i histeryczny śmiech. Obejrzał się w stronę pustych już w większości rzędów czerwonych foteli. Kilka osób z tych, którzy nie zdołali przepchać się przez drzwi, wyglądało na poturbowanych; nad jakimś mężczyzną siedzącym na jednym ze skrajnych miejsc pochylała się z płaczem jego żona. Wyglądało to tak, jakby zasłabł albo miał zawał.

Za kulisami chaos był wcale nie mniejszy. Ktoś gdzieś biegł, ktoś coś bardzo głośno i gwałtownie mówił, ktoś śmiał się nerwowo. Usłyszał wypowiedziane z uznaniem słowa: „A to skurwysyn!”. Czterech mężczyzn w wojskowych szynelach ze zdjętymi już czapkami stało obok swojego karabinu z przerażonymi minami.

Dowlekli się jakoś do garderoby. Wilczyńska usiadła na krześle i zdjęła ostrożnie pończochę, a on wyjął z wiszącej na ścianie apteczki bandaż i wodę utlenioną. Ukląkł przy jej nodze. Przemyli wspólnymi siłami ranę, potem Rozłucki przyłożył na nią kompres

i obwiązał wszystko dookoła bandażem.

– Co to było? – spytał, wskazując głową kierunek, gdzie znajdowała się scena.

Wilczyńska pokręciła powoli głową.

– Jego pożegnanie – powiedziała z podziwem. – Trzeba przyznać, że odszedł z przytupem.

Przy jej nodze stał but. Był cały we krwi. Podniósł go machinalnie, wstał i podszedł do małej umywalki w rogu garderoby. Odkręcił wodę, oderwał kawałek stojącego obok papierowego ręcznika, zmoczył go w wodzie i zaczął zmywać czerwone ślady. Po raz pierwszy w życiu, pomyślał, wycierał kobiecie but ze krwi.

Gdy but był już czysty, wytarł go do sucha kolejnym papierowym ręcznikiem, po czym postawił obok nogi Wilczyńskiej.

– Dziękuję – powiedziała.

– Zgodziliście się na to? – spytał. – Przecież wiadomo było, jak to się skończy.

– Na próbach odgłos strzelającego karabinu odtwarzany był z taśmy – powiedziała. – Nie brzmiało to wcale tak strasznie. Musiał to zmienić w ostatniej chwili.

Usiadł na krześle obok. Dopiero teraz poczuł, że cały jest spocony. Podniósł dłoń, by przeczesać palcami włosy. Ręka mu drżała.

– Nie ujdzie mu to na sucho – powiedział. – Wojewoda pewnie posrał się ze strachu.

Wzruszyła ramionami.

– Myślę, że ma to w dupie. Teatr był dla niego wszystkim. A oni mu go zabrali. W ten sposób się na nich zemścił. Imponujące.

– Wiedziałaś, że jest na wylocie? – zdziwił się.

– Od paru dni mówiło się o tym – odparła. – Wiedzieliśmy, że to będzie jego ostatnia premiera. Nie wiedzieliśmy tylko, że wymyśli coś takiego.

– „Sztuka jest moim puklerzem. I ostrzem” – powiedział.

– Nam też coś takiego mówił. Skurwysyn! – Pokręciła głową.

Interkom ciągle działał. Z małego głośniczka w górnym rogu garderoby wciąż słyhać było to, co dzieje się na scenie. Podniesione głosy, niektóre bliższe, niektóre dalsze, jakby dochodzące z widowni, kroki; Rozłuckiemu wydawało się też, że słyszy Weronikę.

Nagle przez tę magmę chaotycznych odgłosów przedarł się inny dźwięk – daleki, jakby pochodzący z drugiego, albo nawet i trzeciego planu, ale jednak wyraźny – krzyk. Krzyk wysoki, kobiecy, stawiający na nogi.

Spojrzeni na siebie. Coś się stało.

– Poczekaj tu – powiedział. – To chyba jeszcze nie koniec.

Wstał i wyszedł z garderoby. Przebiegł przez kulisy i wybiegł na scenę. Zobaczył jeszcze plecy Weroniki znikające w drzwiach prowadzących do foyer. Ruszył za nią.

Wypadł na korytarz. Krzyk już się skończył, lecz wszyscy biegli w kierunku schodów na piętro. Popędził za nimi.

Wbiegał po schodach, skacząc po dwa stopnie. Dopadł do drzwi na balkon. Z drugiej strony było już kilkoro ludzi. Stali w przejściach między rzędami wokół stanowiska akustyka. Jedna z kobiet z obsługi widowni siedziała z boku i płakała. To zapewne ona wcześniej krzyczała.

Podszedł bliżej. Zobaczył Weronikę. Przecisnął się do niej. Zauważyła go kątem oka.

– Miałeś rację – powiedziała. – Choć nie we wszystkich szczegółach.

Zajrzał jej przez ramię. Na fotelu siedział dyrektor. Głowa opadła mu na piersi, a rozchylna marynarka odkrywała opiętą na wielkim brzuchu białą koszulę. Leżał na niej krawat i nie tylko on był czerwony. Obok niego widniała duża, bardzo duża plama krwi.

Dochodziła północ, a oni wciąż byli w teatrze. Technicy zakończyli zabezpieczanie śladów na balkonie i ciało dyrektora wyniesiono w czarnym worku na noszach. Wilczyńskiej już nie było. Rozłucki poprosił Weronikę, by przesłuchano ją w pierwszej kolejności i pozwolono pójść do domu. Odprowadził ją pan Staszek.

Siedział w garderobie na jej krześle ze zwieszoną głową. Łokcie oparł na kolanach i nie myślał. W każdym razie o niczym szczególnym. Przez głowę przewalały mu się obrazy tego, co się dziś wydarzyło.

Usłyszał kroki i spojrział na drzwi. Weszła Weronika. Usiadła na krześle obok.

– Powoli kończymy – powiedziała. Miała bardzo zmęczony głos.

– Gdzie Sądecki? – spytał. – Nie widziałem go od... tego.

– Kazałam mu pójść do domu – odpowiedziała i zdjęła buty. Popatrzył na nie tępo. „Znowu te buty”, pomyślał bez sensu. – Nie dość, że był pijany – ciągnęła – to jeszcze... – przerwała. – No, w każdym razie lepiej dla niego, żeby go tu nie było. Powinien być ci wdzięczny – dodała. – Gdybyś nie uparł się, żeby tu ściągnąć chłopaków, miałby jeszcze bardziej przesrane, niż ma.

Pokiwał głową.

– Wiedziałem, że dzwonią, ale wyjątkowo źle obstawiłem kościół – powiedział.

– I tak byłeś w tym lepszy od nas wszystkich – odparła.

Wyciągnęła przed siebie nogi. Były bardzo zgrabne, zauważył to nawet w tej sytuacji.



– Jak on to zrobił? – spytał. – Morderca. Jeden nabój w taśmie musiał być prawdziwy.

– Nie. – Pokręciła głową. – Karabin strzelał na wprost, w kierunku widowni. Nasi technicy sprawdzili kąty. Nie było szans, by wystrzelona z niego kula trafiła kogoś na balkonie. Poza tym rozmawiałam z tymi biednymi chłopakami w mundurach. To rekonstruktorzy, nie aktorzy. Odtwarzają historyczne bitwy. Używają specjalnych naboji: ślepych, bez kul, z minimalną ilością prochu. Ręczą, że nikt nie dotykał ich taśmy i że ani razu nie podnieśli lufy do góry.

Spojrzał na nią.

– Czyli strzelał ktoś inny – powiedział.

– Z innej broni – dokończyła. – O bardzo dużym kalibrze. Rana jest ogromna.

– Znaleźliście tę broń? – spytał.

– Nie. Ciągłe szukamy. Wiemy tylko, że ten, kto to zrobił, nie stał na balkonie. Żaden z widzów, którzy tam siedzieli, niczego nie widział ani nie słyszał. Co do reszty szczegółów, musimy poczekać na wyniki autopsji. Ona pozwoli określić kaliber broni, kąt strzału i tak dalej. Bo przyczynę śmierci zdaje się znamy.

– Wilczyńska mówiła, że na próbach odtwarzano strzały z taśmy – powiedział.

– Tak. Rekonstruktorzy twierdzą, że dyrektor zadzwonił do nich dziś rano. Powiedział, że zmieniła się koncepcja i żeby przynieśli taśmę ze ślepych nabojami. Żeby było bardziej realistycznie. Nie rozmawiali o tym z nikim innym. Dyrektor to dyrektor. Gdy on coś mówi, nie ma potrzeby pytać nikogo innego o zgodę.

– Ale przecież widzieli, co się dzieje. Dlaczego nie przerwali?

– Dyrektor podszedł do nich przed samym przedstawieniem i powiedział, że mają wystrzelać całą taśmę, aż do końca. A to, co się będzie działo na widowni, jest zamierzonym efektem artystycznym. I tak przerwali w połowie.

– W połowie?? Walili do ludzi dobre kilka minut!

– Wydawało ci się. Czas w takich momentach biegnie inaczej. Wszystko nie trwało dłużej niż minutę.

Podniósł się i oparł plecami o oparcie.

– Znowu nawaliłem – powiedział. – Wszystko było nie tak, jak myślałem.

– W jednym miałeś rację – odparła. – Dyrektor faktycznie zaplanował zemstę. Tyle tylko, że nie chciał nikogo zabijać. Chciał ich przerazić, upokorzyć tych ludzi ich własnym strachem; sprawić, że będą uciekać jak zające na oczach wszystkich. Nie wiedział tylko, że ktoś podczepi się pod ten plan.

To, co działo się przez następne kilka dni, można określić tylko jednym słowem: Armagedon. Teatr został zamknięty do odwołania. Komisarza Sądeckiego wysłano na zwolnienie, a gdy któregoś dnia policyjny patrol znalazł go pijanego, leżącego bez butów na ławeczce przystanku tramwajowego, kazano mu wyjechać z miasta. Wydarzeń w teatrze nie dało się już zamieść pod dywan. Dziennikarze rzucili się na ten temat jak sfora wygłodniałych psów. W Olsztynie pojawiły się wozy transmisyjne wszystkich dużych telewizji. Nawet media lokalne zmuszone były przestać ignorować sprawę. Najpierw ostrożnie i z powściągliwością, potem coraz śmielej i ostrzej, zaczęły powtarzać niewygodne pytania, które już wcześniej z całą mocą wybrzmiewały w mediach ogólnopolskich.

A pytania te były wyjątkowo nieprzyjemne dla obecnych władz miasta i województwa: kto i dlaczego ukrywał wcześniejsze morderstwa; dlaczego, mimo świadomości zagrożenia, nie odwołano imprez kończących festiwal; czemu ostatnie przedstawienie było tak słabo zabezpieczone i wreszcie kto dopuścił, by w jego trakcie wykorzystano prawdziwy, choć strzelający ślepymi nabojami karabin maszynowy, co doprowadziło w efekcie do wybuchu paniki na widowni i śmierci dyrektora teatru? Można więc powiedzieć, że przerażenie, które dopadło władze tamtego teatralnego wieczoru, nie

opuściło ich, zmienił się tylko nieco jego powód.

Władze centralne, rozumiejąc, jak niebezpieczny jest taki skandal przed samymi wyborami, postanowiły wziąć sprawy w swoje ręce. Śledztwo odebrano miejscowej policji i przekazano Centralnemu Biuru Śledczemu. I zajęli się nim nie miejscowi funkcjonariusze, lecz specjalna ekipa przybyła z Warszawy. Nad całością miał czuwać sam wiceminister spraw wewnętrznych, który przybył w tym celu do Olsztyna.

Weronika również została więc odsunięta od sprawy, choć ją obecne zawirowania dotknęły w sumie najmniej. Oficjalnie przejęła już wszelkie obowiązki komisarza Sądeckiego, a ponieważ komendant wojewódzki również był przerażony i bardziej zajmował się kurczowym trzymaniem swojego stołka, niż czymkolwiek innym, miała teraz sporą swobodę.

Zanim jednak „federalni” z Warszawy przejęli śledztwo i wszystkie papiery, dokonała kilku ciekawych odkryć. Spotkała się z Rozłuckim, aby mu je przedstawić. Nie chciała jednak, by przyszedł do niej, do komendy. Wolała spotkać się na mieście. Rozłucki zaproponował więc mały bar w budynku obok teatru, w którym już kiedyś spotkał się z panem Staszkiem. Pogoda w międzyczasie poprawiła się, mogli więc usiąść w ogródku.

– Co ciekawego masz dla mnie? – spytał, gdy już zamówili po kawie.

Weronika wyciągnęła z torebki swój telefon komórkowy, po czym wyłączyła go i wyjęła ze środka baterię. Gestem kazała mu zrobić to samo.

– Aż tak? – zdziwił się.

Kiwnęła głową, nic nie mówiąc. Zrobił to, o co prosiła.

Dopiero gdy jego telefon leżał w częściach na blacie, powiedziała:

– Sytuacja jest bardzo napięta. Nie wiadomo, kto kogo i w jakim celu może teraz podsłuchiwać. Być może mnie akurat nie, ale być może tak.

– Rozumiem – powiedział. Poczuł się dość dziwnie. Po raz pierwszy

w życiu znalazł się w takiej sytuacji.

Kelnerka przyniosła ich zamówienie. Dla niego podwójne espresso, dla Weroniki wzmocnione cappuccino.

– No więc tak – zaczęła. – Znaleźliśmy broń, z której zastrzelono dyrektora.

– Gdzie była?

– Cały czas w teatrze – odpowiedziała. – Nie było łatwo ją znaleźć. Dopiero jeden z technicznych pokazał nam, że w ogóle jest takie miejsce.

– Pan Staszek? – spytał.

– Tak, chyba tak ma na imię. Znasz go?

– Bardzo bystry gość. Domyślił się, że nie jestem żadnym naukowcem. Uważa się za kogoś w rodzaju mojego pomocnika, „zastępcę szeryfa”. Na pewno warto go słuchać, wie mnóstwo rzeczy o teatrze.

– No więc to on pokazał nam ten pomost i jak na niego wejść.

– Pomost?

– Z tyłu sceny, na samym końcu i prawie pod sufitem, jest coś w rodzaju metalowej kładki. Używa się jej, gdy któryś ze sztankietów, tak to się chyba nazywa, się zepsuje. Normalnie nikt tam nie wchodzi, bo nie ma po co. No więc tam to było.

– Co?

– Nie uwierzyłbyś. Karabin przymocowany na sztywno, za pomocą dwóch zwykłych zacisków stolarskich, do metalowego teownika utrzymującego ten cały pomost pod sufitem. Wycelowany dokładnie w miejsce, gdzie siedział dyrektor. Zaopatrzony w zegarowy mechanizm naciągający spust. Bardzo prosty, zbudowany z małego silnika elektrycznego, baterii i zwykłego budzika.

– Tym go zabił?

– Tak. Był niewidoczny, bo zasłaniała go jedna z kurtyn. Strzał zresztą nastąpił przez nią. Dziura jednak była na tyle mała, że nikt jej nie zauważył.

– Mówiłaś, że kaliber był duży.

– No więc okazało się, że wcale nie. To był kbks, karabinek sportowy, taki, jakiego kiedyś używano w szkołach na przysposobieniu obronnym, a teraz często używa się na strzelnicach. Kaliber 5,6 mm, bardzo mały. Obrażenia były tak duże, bo ktoś prawdopodobnie naciął pocisk na czubku na krzyż. Kula wtedy po uderzeniu w ciało deformuje się i rozpląszcza, powodując straszne rany.

– Pocisk dum-dum – powiedział.

– Właśnie. Zakazany przez konwencję haską, ale strzelanie do ludzi w teatrze w ogóle jest zakazane, niezależnie od typu amunicji.

– Straszne.

– Niekoniecznie. Nasz patolog twierdzi, że dyrektor zginął od razu, prawdopodobnie od samego szoku wywołanego uderzeniem. Mógł nawet nie zauważyć, że umiera.

– Przynajmniej to dobre. – Rozłucki zastanowił się. – Czyli co, ktoś zamontował ten karabinek wcześniej, wycelował go w fotel dyrektora i nastawił dokładny czas, w którym ma wystrzelić?

– Na to wygląda. Ten twój pomocnik twierdzi, że nie pamięta, kiedy ostatnio ktoś wchodził na ten pomost, karabin mógł więc być tam od dawna.

– Cholernie sprytne.

– I świadczy o tym, że ktoś, kto to zrobił, doskonale orientował się zarówno w zwyczajach dyrektora – wiedział, że zawsze siada na tym samym miejscu – jak i w przebiegu przedstawienia. Strzał nastąpił dokładnie wtedy, gdy zaczął strzelać karabin maszynowy. Dzięki temu nikt go nie usłyszał.

– Można tak precyzyjnie wycelować karabin na zapas?

– Można. Na kbksie zamontowany był celownik laserowy, ale gdy go znaleźliśmy, był wyłączony. To znaczy, że ktoś użył go wcześniej, gdy teatr był pusty, na przykład w nocy, a potem wyłączył. To też sprytne, bo w czasie przedstawienia ktoś mógłby to zauważyć.

– Mówiłaś, że strzał odbył się przez kurtynę, to możliwe?

– Mógł ją podnieść, wycelować karabin, a potem z powrotem

opuścić. To nie jest problem, po ostatnim remoncie sztankiety obsługiwane są przez elektryczne silniki.

– Taki celownik to chyba nie jest zbyt dostępna rzecz? Można spróbować sprawdzić, skąd go miał.

– Zdziwiłbyś się. To wcale nie takie wielkie halo. Jest powszechnie dostępny w sklepach internetowych i tych zwykłych z militariami. Używa się go na przykład w paintballu, w wiatrówkach i w replikach ASG. To takie karabiny strzelające plastikowymi kuleczkami za pomocą sprężonego powietrza.

– Ale karabin, nawet sportowy, nie jest już chyba tak powszechnie dostępny. Trzeba mieć na coś takiego pozwolenie?

– W Polsce tak, ale na przykład w Czechach już nie. A to jest właśnie czeski karabin. Morderca mógł go kupić tam i przywieźć do nas. Na granicach nie ma kontroli od dawna.

– No tak.

– Takie zakupy są jednak rejestrowane, nawet tam. Żeby kupić taką broń, trzeba pokazać dowód tożsamości. Sprzedawca ma obowiązek spisać jego numer. Karabin też ma swój numer seryjny. Można poprosić policję z Czech, żeby sprawdzili, kto kupił ten konkretny egzemplarz. Chciałam to zrobić, zanim odsunęli mnie od śledztwa. Mam nadzieję, że moi strasznie ważni koledzy z Warszawy wpadną na to.

– A wpadną?

– Powinni. To standardowa procedura. Trzeba jednak poczekać, aż tamci to sprawdzą i odpowiedzą.

– Musimy więc czekać, tak?

– Jest jedna rzecz, którą moglibyśmy zrobić już teraz. Nasi technicy twierdzą, że taki karabinek trzeba wcześniej przestrzelać, spasować go z celownikiem. Nie da się go po prostu kupić, zamontować laser i strzelać. Prawdopodobieństwo niecelnego strzału jest wówczas zbyt duże. Morderca musiał go więc wcześniej gdzieś wypróbować.

– Gdzie?

- Na którejś strzelnicy. Chyba że zrobił to po prostu w lesie.
- Dużo jest tych strzelnic?
- Parę. Kilka sportowych plus jeszcze myśliwska. No i nasza, policyjna.
- Musisz je sprawdzić.
- Nie ja. Nie prowadzę już tego śledztwa. Po tym, co się tu ostatnio działo, nie mogę ryzykować. I tak miałam szczęście, że to szambo nie za mocno mnie opryskało. Ty musisz to zrobić. - Spojrzała Rozłuckiemu w oczy. - Ty nic nie ryzykujesz. I tak szanse na to, że przedłużą ci twój angaż sekretarki, są minimalne.

Podawała mu wszystkie adresy. Strzelnic było w sumie pięć: dwie kryte, urządzone w budynkach w samym mieście; jedna otwarta, na świeżym powietrzu, należąca do Ligi Obrony Kraju; jedna policyjna, również otwarta – obie znajdujące się w Lesie Miejskim po obu stronach drogi na Dywity; oraz jedna myśliwska, także zbudowana na świeżym powietrzu niedaleko wsi Redykajny po drugiej stronie Olsztyna.

Postanowił zacząć od strzelnicy LOK-u w Lesie Miejskim. Stąd, spod teatru, można tam było dojść na piechotę, a on miał ochotę na spacer. Ruszył zaraz po pożegnaniu z Weroniką.

Pogoda była całkiem miła. Wyszło słońce i z powrotem zrobiło się wiosennie. Przeszedł przez samochodowy wiadukt nad torami i wzdłuż alei Wojska Polskiego ruszył na północ. Po kilkunastu minutach minął stację benzynową i wszedł w las. Jedna ze ścieżek doprowadziła go do strzelnicy.

Składała się ona z podłużnego, białego budynku z muru pruskiego z drewnianymi, malowanymi na czarno belkami i kilku długich osi strzeleckich, zakończonych usypanym na ich końcu wałem ziemnym, mającym za zadanie wyłapywać kule. Wał wieńczyły charakterystyczne, zbudowane z desek łuki, których przeznaczenia nie mógł się nawet domyślać.

Wszedł do budynku. Tuż przy wejściu był pokój z otwartymi drzwiami. Siedział w nim za biurkiem starszy, brzuchaty mężczyzna. Ubrany był w brązową flanelową koszulę w kratkę i wędkarską, szarą kamizelkę. Rozłucki zapukał we framugę i wszedł do środka.



- Dzień dobry – przywitał się.
- Dzień dobry. – Mężczyzna uniósł na niego wzrok.
- Chciałbym trochę postrzelać, ale nie mam pozwolenia na broń – zaczął trochę niepewnie.
- A ma pan przy sobie dowód? – spytał mężczyzna.
- Mam. – Zawsze nosił go przy sobie.
- To wystarczy – odpowiedział mężczyzna. – Jeśli będzie pan korzystał z naszej broni, pozwolenie nie jest konieczne.
- A gdybym przyniósł własną? – spytał Rozłucki.
- Wtedy tak. Jest pan członkiem Ligi?
- Nie. A powinienem?
- Nie, ale członkowie mają zniżki.
- Nie jestem.
- Poproszę ten dowód.

Rozłucki wyjął z portfela plastikowy kartonik i położył go na biurku. Mężczyzna skrupulatnie przepisał jego numer do dużego zeszytu w kratkę.

- Z jakiej broni chce pan strzelać? – spytał, gdy już skończył.
- A jakie są?
- Pistolety, rewolwery, karabinki sportowe, karabiny z okresy drugiej wojny światowej...
- Może być pistolet.
- Dziewięć milimetrów?
- Może być.
- Jeden nabój kosztuje dwa złote. Ile pan chce?
- Za pięćdziesiąt złotych.
- Dwadzieścia pięć sztuk.

Mężczyzna wręczył Rozłuckiemu paragon i oddał mu dowód.

- Pójdzie pan tym korytarzem – powiedział, wskazując kierunek ręką. – Na końcu jest wiata strzelecka. Tam znajdzie pan panią Wandę, instruktorkę. Pan pierwszy raz na strzelnicy?
- Pierwszy – przytaknął Rozłucki.
- Ona pana przeszkoli i wyda naboje i broń. Model wybierze pan na

miejscu. To tyle. Powodzenia.

– I to wszystko? – zdziwił się Rozłucki. – Każdy może tak przyjść i postrzelać?

– Jeśli ma dowód osobisty i jest pełnoletni... No i oczywiście jeśli zapłaci.

– A jeśli był wcześniej karany albo, czy ja wiem, jest chory psychicznie?

– Jeśli będzie się dziwnie zachowywał, to oczywiście broni mu nie wydamy, ale w innym przypadku... Nie mam podstaw prawnych, żeby odmówić. Zresztą skąd mam niby wiedzieć, czy był karany, czy nie?

– Nie zdarzały się żadne wypadki?

– Wie pan, to jest broń, wypadki co jakiś czas się zdarzają... Rok temu jeden dzieciak postrzelił instruktora, na szczęście niegroźnie...

– Mówił pan, że trzeba być pełnoletnim.

– Tylko jeśli przychodzi się samemu. Z opiekunem prawnym mogą strzelać również niepełnoletni.

– Rozumiem. Nic poważniejszego się nie wydarzyło?

Mężczyzna popatrzył na niego przeciągle.

– Pan nie stąd, prawda? – spytał. – Inaczej by pan słyszał. Trzy lata temu przyszedł tu taki gość. Wyglądał normalnie, jak pan. Kupił dwadzieścia pięć sztuk amunicji. Pani Wanda, bo też to ona wtedy była, przeskoliła go. Wybrał glocka. Stał na stanowisku, przeładował, a potem włożył go sobie do ust i strzelił. Na jej oczach...

– Mężczyzna pokręcił głową. – Skurwysyn! Zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi... Strasznie to przeżyła. Niech pan, broń Boże, nie wspomina o tym przy niej. – Spojrzał na niego uważnie.

– Nie mam zamiaru – odparł Rozłucki. – Też znam kogoś, kto widział takie coś na własne oczy. – Przyszedł mu na myśl Romanowski wkładający sobie do ust lufę karabinu. Jakże to było dawno...

– No to sam pan rozumie.

Rozumiał to. Aż za dobrze. Przez długi czas z samobójstwami było

mu zadziwiająco po drodze.

– Macie tu kbks-y? – spytał.

– Mamy, a jakże. Ale już teraz rzadko ktoś z nich strzela. Wszyscy wolą pistolety, a jeśli karabiny, to coś potężniejszego.

– Zdarza się, że ktoś tu przychodził z własnym?

Mężczyzna zastanowił się.

– Nie przypominam sobie – odparł po chwili. – Przynoszą różni własną broń, ale kbks-y? Raczej nie. Przychodzą z pistoletami, jest też sporo czarnoprochowców, wie pan, tych, co strzelają z historycznych replik na czarny proch, ale takiego, co przynosi własnego kbks-a, nie pamiętam.

– Może na innej zmianie?

– Jestem tu codziennie. Instruktorzy się zmieniają, ja siedzę cały czas.

Ruszył korytarzem we wskazanym kierunku. Na ścianach wisiały zdjęcia w ramkach. Zwrócił uwagę zwłaszcza na jedno. Były na nim trzy młode dziewczęta w dresach reprezentacji Polski. Uśmiechały się szeroko i wyciągały w stronę obiektywu brązowe medale wiszące na ich szyjach. Zdjęcie było czarno-białe, wycięte z jakiejś gazety. Co to mogło być? Olimpiada? Mistrzostwa świata, Europy? W każdym razie jakieś zawody międzynarodowe.

Otworzył drzwi na końcu korytarza i wyszedł na zewnątrz. Wiata, o której mówił mężczyzna, była drewnianym, przylegającym do budynku tarasem, nad którym wznosił się taki sam drewniany dach wsparty na czterech drewnianych kolumnach. Na jego środku znajdował się niewielki kantorek z oknami w każdej strony. Ktoś w nim siedział.

Podszedł tam. Postać siedząca w środku spojrzała na niego przez szybę. Była to kobieta w wieku pięćdziesięciu – sześćdziesięciu lat, ubrana w polarową, czarną bluzę. Jej jasne, proste włosy opadały po obu stronach twarzy, kończąc się tuż za uchem. Nad oczami

przycięte były w równą grzywkę.

To dzięki tej fryzurze ją poznał. Była taka sama jak na zdjęciu, na które przed chwilą patrzył.

Otworzył drzwi do kantorka.

– Dzień dobry – powiedział, nie wchodząc do środka. – Pani Wanda? Chciałbym postrzelać.

– Ma pan paragon? – spytała.

– Tak. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej pomięty kawałek papieru. Kobieta rzuciła na niego okiem.

– Dziewięć milimetrów – stwierdziła. – Jaki pistolet pan chce?

– A jakie są? – spytał, choć nie był pewien, czy te nazwy cokolwiek mu powiedzą.

– Mam glocka, berettę, policyjnego walthera P99, makarowa...

– Który by pani polecała?

– Pan początkujący? – domyśliła się.

– Nawet bardzo. Pierwszy raz jestem na strzelnicy.

– Glocka – odpowiedziała bez zastanowienia. – Jest lekki, prosty w obsłudze i dobrze się z niego strzela.

– To poproszę.

Kobieta odwróciła się. Z tyłu za jej plecami była niewielka szafka pancerna. Otworzyła ją kluczem i wyjęła z niej małą, plastikową walizeczkę oraz pudełko naboji. Położyła obie te rzeczy na blacie po lewej stronie i otworzyła walizeczkę. W środku na karbowanej czarnej gąbce leżał kanciasty kształt.

– Zna pan zasady posługiwania się bronią? – spytała.

– Nie bardzo – odpowiedział.

– To chodźmy. Wszystko panu pokażę.

Stanęli przy jednym z kilku stanowisk na skraju tarasu. Przy drewnianej kolumnie podtrzymującej dach był mały stoliczek. Kobieta położyła na nim plastikową walizeczkę i pudełko naboji.

– Jaki dystans? – spytała. Po czym widząc jego niepewną minę, sama sobie odpowiedziała: – Dwadzieścia pięć metrów powinno być dla pana dobre.

– Może być – zgodził się skwapliwie.

Kobieta wzięła ze stolika paczkę naboji, włożyła ją do kieszeni bluzy, po czym poszła na sam koniec piaszczystego, porośniętego gdzieniegdzie rzadką trawą toru strzeleckiego. Wzięła stamtąd drewnianą sztalugę z zamocowaną na niej tarczą strzelniczą i przyniosła ją bliżej Rozłuckiego. Potem zmieniła papierową tarczę na nową i wróciła pod wiatę.

Wyjęła z kieszeni pudełko z nabojami i położyła je ponownie na stoliku.

– To jest pistolet. – Wyjęła broń z walizeczki. – Pierwsza i najważniejsza zasada: jego lufa zawsze musi być skierowana w stronę osi strzelniczej – powiedziała. – Zawsze – podkreśliła. – Nawet, jeśli pistolet jest nienaładowany, nigdy nie wolno kierować jego lufy w stronę budynku, siebie lub innych ludzi. Czy to jest jasne?

– Tak – przytaknął pokornie.

– Druga zasada: palec kładziemy na spuście dopiero, gdy lufa skierowana jest w stronę tarczy, nigdy wcześniej. Zanim to się stanie, palec trzymamy tak. – Pokazała, jak jej palec opiera się

o kabłąk osłaniający spust. – To również jest bardzo ważne. Parę osób zginęło, bo ktoś, kto trzymał broń, zapomniał o tej zasadzie.

Rozłucki kiwnął głową.

– W ten sposób wyjmujemy magazynek. – Zademonstrowała. – W ten sposób ładujemy naboje. Potem wsuwamy go z powrotem do środka aż do momentu, gdy usłyszymy kliknięcie. Następnie należy odciągnąć zamek do tyłu, żeby wprowadzić nabój do komory naboowej. Teraz pistolet jest gotowy do strzału.

– A jak zwolnić bezpiecznik? – spytał.

– W Glocku nie ma klasycznego bezpiecznika – odpowiedziała. – Nic więc nie trzeba zwalniać. Niech pan spojrzy na spust. – Podsunęła mu pistolet do oczu. – Jest podwójny, prawda? Pierwszy ze spustów to bezpiecznik. Gdy naciskamy na niego, bezpiecznik się zwalnia. Widzi pan to?

– Tak. – Spotkał się już kiedyś z takim rozwiązaniem. Kilka chwil przed tym, gdy zginęła Karolina. Choć dowiedział się o tym mechanizmie dopiero parę dni potem.

– Teraz pozycja strzelecka. Stajemy w lekkim rozkroku. Jedna stopa trochę bardziej z przodu. Broń trzymamy obiema rękoma, o tak. Prawa dłoń obejmuje rękojeść, lewa podtrzymuje ją od dołu. Chyba że jest pan leworęczny, wtedy odwrotnie.

– Nie jestem – odparł.

– Ręce wyprostowane, nieugięte, jak na filmach – powiedziała. – Teraz nakierowujemy lufę na cel. Muszka i szczerbinka powinny utworzyć jedną linię. Widzi pan te trzy białe kropki? Jedna jest na muszce, dwie na szczerbince. Muszą być obok siebie. Teraz bierzemy wdech, wypuszczamy powietrze i wstrzymujemy oddech. Strzelamy zawsze na wydechu. Potem naciskamy spust. Ważne, żeby nie robić tego gwałtownie, bo lufa podskoczy. Ruch musi być jednostajny i spokojny, ale stanowczy. Aż do momentu wystrzału. Rozumie pan wszystko?

– Mniej więcej – powiedział.

– Dobrze. Proszę spróbować na sucho. – Rozładowała pistolet

i podała mu go.

Wykonał wszystkie czynności chyba w miarę poprawnie. Skierował lufę w stronę tarczy, wstrzymał oddech i powoli pociągnął za spust. Usłyszał suchy trzask.

– Bardzo dobrze – pochwaliła go. – Teraz proszę załadować broń i strzelić naprawdę. Najpierw proszę jednak założyć słuchawki.

Dwie pary plastikowych, pomarańczowych słuchawek leżały na stoliku. Rozłucki włożył jedną, a instruktorka drugą. Spojrzał na nią.

– Proszę zaczynać – powiedziała. Usłyszał to mimo słuchawek.

Wyjął magazynek i załadował go nabojami. Z początku szło mu to dość nieporadnie, ale potem załapał, o co chodzi. Stał w pozycji strzeleckiej na wprost tarczy. Chwytał kciukiem i palcem wskazującym zamek i odciągnął go do tyłu. Usłyszał szcęk metalu. Zamek wrócił do początkowej pozycji. Wyciągnął ręce przed siebie i nakierował lufę na środek tarczy. Trzy białe kropki stanęły obok siebie w równym rzędzie. Wypuścił powietrze z płuc i powoli nacisnął spust.

Usłyszał strzał. Lufa podskoczyła do góry. Poczuł coś w rodzaju lekkiej euforii. Było to przyjemne, nawet bardzo.

– Dobrze! – Usłyszał przytłumiony głos instruktorki. – Ósemka. Nieźle jak na pierwszy strzał. Teraz proszę opuścić ręce i po chwili powtórzyć całą procedurę. Nie musi pan przeładowywać. Broń po wystrzale ładuje się samoczynnie.

Strzelił jeszcze raz, jeszcze i jeszcze. Gdy już wystrzelał cały magazynek, odłożył pistolet na stolik i zdjął słuchawki.

– Całkiem nieźle – pochwaliła go pani Wanda, patrząc na tarczę. – Naprawdę nie strzelał pan wcześniej?

– Nie – odpowiedział. Ręce mu trochę drżały. Za mocno ścisnął kolbę pistoletu.

– Ma pan w takim razie talent – powiedziała. – Gdyby zaczął pan wcześniej trenować, mógłby pan być całkiem niezły.

– Ile lat wcześniej? – spytał.

Spojrzała na niego, oceniając jego wiek.

– Tak ze trzydzieści.

Zaśmiał się.

– Będę o tym pamiętał po reinkarnacji – powiedział.

Uśmiechnęła się lekko.

– Drugi magazynek czy woli pan chwilkę odpocząć? – spytała.

– Odrobinę – odpowiedział. – Ręce mnie trochę bołą.

– Wiem, że to trudne za pierwszym razem, ale musi pan mniej kurczowo ścisnąć rękojeść – powiedziała. – Pistoletu nie trzeba trzymać z całych sił. Gdy lufa idzie do góry po strzale, nic się dzieje. Pocisk już dawno ją opuścił, więc nie ma to wpływu na celność. Ważne, żeby nie poruszyć nią podczas naciskania spustu, bo wtedy kula jest jeszcze w lufie. Dlatego nie wolno go naciskać gwałtownie.

– Zapamiętam.

Odwróciła się, jakby chciała odejść na chwilę na bok.

– To pani zdjęcie tam w korytarzu? – spytał, by ją zatrzymać.

– Tak, moje. – Uśmiechnęła się lekko zawstydzona.

– Jakaś olimpiada, mistrzostwa?

– Nic wielkiego – odparła. – Mistrzostwa krajów socjalistycznych.

Kiedyś było coś takiego.

– Brązowy medal. Gratuluję. Z czego panie strzelały?

– Karabinek sportowy.

– Kbks?

– Coś w tym stylu. Wersja wyczynowa różni się trochę od tej, którą tu mamy.

– Inaczej się z tego strzela niż z pistoletu?

Uśmiechnęła się nieco kącikami ust, jakby odpowiedź na to pytanie była wyjątkowo oczywista.

– Inaczej – odparła. – Jak pan chce, może pan kiedyś spróbować.

– To prawda, że taki karabin trzeba wcześniej przestrzelać? Zanim się go użyje po raz pierwszy?

– Prawda – przytaknęła.

– Dlaczego?



– Każdy egzemplarz broni różni się od siebie minimalnie. Mimo że wykonano je w tej samej fabryce, na tych samych maszynach. Niektóre są celniejsze, inne mniej. Niektóre znoszą trochę w lewo, inne podbijają. Trzeba to skorygować. Robi się to przed opuszczeniem fabryki, ale w praktyce warto to później zrobić też samemu. Zwłaszcza, gdy chce się strzelać wyczynowo. Do tego służy między innymi szczerbinka. Poza tym dużo zależy od dystansu, na jakim będziemy strzelać.

– Czemu?

– Na lecący pocisk działa przyciąganie ziemskie. Im dalej leci, tym mocniej opada. Regulacja szczerbinki powoduje, że przy dalszych dystansach lufa jest uniesiona trochę bardziej w górę.

– W pistoletach też tak się robi? – Podniósł leżącego na stoliku glocka.

– Niektóre pistolety też mają regulowaną szczerbinę – przytaknęła. – Na takim dystansie, jak pan strzelał, nie ma to praktycznie znaczenia, ale gdyby chciał pan postrzelać na dalsze dystanse, już by się przydało.

– Przychodzą tu czasami ludzie przestrzelać nową broń?

– Przychodzą. Zwłaszcza czarnoprochowcy. Broń na czarny proch jest z reguły mniej precyzyjna, więc tam ma to szczególne znaczenie. Ale inni też...

– A widziała pani kogoś z kbks-em?

– Z kbks-em? – niosła brwi. – W ogóle nie widziałam, żeby ktoś tu przynosił własnego kbks-a.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

– A widziała tu pani kogoś, kto by strzelał na nietypowym dystansie?

– Nietypowym?

– Nie dwadzieścia pięć metrów, nie pięćdziesiąt, tylko powiedzmy sześćdziesiąt osiem.

– Nigdy się z czymś takim nie spotkałam – odpowiedziała. – Po co pan o to pyta? – Popatrzyła na niego uważnie. – Jest pan z policji?

– Tak – odpowiedział. Nie wiedział, czy skłamał w tym momencie, czy nie. – Słyszała pani o tym, co wydarzyło się w teatrze?

– Coś tam słyszałam.

– Morderca użył tam właśnie kbks-a. Zamocował go na stałe do elementu wyposażenia teatru. – Zdradzał w tym momencie prawdopodobnie tajemnicę śledztwa. – Po czym wykonał bardzo precyzyjny strzał. Dystans był dokładnie określony. Co by pani zrobiła, gdyby chciała pani tak strzelić?

Zastanowiła się.

– Odtworzyłabym dokładnie warunki takiego strzału. Taki sam dystans i takie samo nachylenie broni względem celu. Cel był niżej czy wyżej niż karabin?

– Niżej.

– Tym bardziej. U nas coś takiego byłoby niemożliwe.

– Dlaczego?

– Strzelamy na wprost. Można by wprowadzić podnieść tarczę tak, by była wyżej od strzelającego, ale niżej już nie. Strzelec musiałby leżeć na dachu. Nikt na coś takiego by się nie zgodził.

– A na innych strzelnicach?

– Podobnie. Chyba że... – zastanowiła się.

– Chyba że co?

– Na strzelnicy myśliwskiej strzelają w różnych dziwnych pozycjach. Niech pan spyta tam. Jest tylko jeden problem.

– Jaki?

– Strzał musiałby być oddany w jakimś mocno osłoniętym miejscu. W teatrze powietrze stoi. Na dworze zawsze się może zdarzyć jakiś podmuch wiatru albo różnica ciśnień w różnych warstwach powietrza. Przy precyzyjnym strzale to wszystko ma znaczenie.

Strzelnica myśliwska w Olsztynie mieściła się na obrzeżach miasta, tuż przy drodze prowadzącej na Gdańsk i Morąg. Nie dało się tam już dojść na piechotę. Wrócił więc do centrum, wsiadł w autobus jadący w stronę osiedla Gutkowo, wysiadł na przystanku przy szkole i kierując się zaleceniami nawigacji satelitarnej, ruszył dalej na własnych nogach.

Czekała go jeszcze całkiem długa droga. Szedł osiedlowymi uliczkami zabudowanymi po obu stronach przez schludne, jednorodzinne domy; mijał niewielkie zakłady i warsztaty; przeszedł nawet obok hodowli szwajcarskich psów pasterskich, aż wreszcie dotarł do dużego, ogrodzonego terenu położonego już na skraju lasu i w zasadzie częścią tego lasu będącego.

Nikt nie zatrzymał go przy bramie, szedł więc dalej, aż dotarł na parking. Stało na nim kilka samochodów. Tuż obok, po prawej stronie, był drewniany budynek biura. Wszedł do środka, odnalazł coś w rodzaju recepcji, zapukał w półotwarte drzwi i wsunął głowę do wnętrza.

– Przepraszam, można? – spytał.

W środku, za biurkiem, nad którym wisiała skóra dzika i kilka poroży saren, siedział starszy mężczyzna. Jego siwe włosy otaczały całkiem pokaźną łysinę, lecz równie siwe, pokaźne wąsy rekompensowały te braki w owłosieniu. Ubrany był w ciemnozieloną kamizelkę z mnóstwem kieszeni, kraciastą, zielonkawą koszulę i spodnie bojówki w kamuflażu maskującym. Spod biurka oprócz nich wystawały również niepasujące do tego wszystkiego stopy

w białych skarpetkach i plastikowych klapkach. Dość spory, gąbczasty i czerwonawy nos świadczył o tym, że jego właściciel lubił nie tylko polowania.

– Czym mogę panu służyć? – odezwał się mężczyzna. Jego głos był głęboki, lekko schrypnięty i od razu skojarzył się Rozłuckiemu z rykiem starego jelenia, mimo że, jako żywo, Rozłucki nigdy ryku starego jelenia nie słyszał.

– Chciałbym skorzystać ze strzelnicy. Można? – spytał.

– Ma pan legitymację Polskiego Związku Łowieckiego?

– Nie.

– W takim razie przykro mi. – Mężczyzna rozłożył ręce. – Strzelnica przeznaczona jest tylko dla członków PZŁ.

– I nikt inny nie może na niej strzelać? – upewnił się Rozłucki.

– Nie – odparł mężczyzna. – To jest strzelnica myśliwska i trenują na niej wyłącznie myśliwi.

– Dobrze. – Rozłucki wszedł do środka. – Tak naprawdę chodzi mi o coś innego. – Postanowił tym razem od razu przejść do rzeczy. – Jestem z policji i potrzebuję pewnych informacji.

– Ma pan legitymację? – spytał mężczyzna. Zabrzmiało to tak, jakby miał wyjątkowe zamiłowanie do legitymacji.

– Nie, nie mam.

– W takim razie nie jest pan z policji – zawyrokował mężczyzna.

Tej komplikacji Rozłucki nie przewidział.

– Jestem pracownikiem cywilnym, psychologiem. – Spróbował wyjaśnić swoją skomplikowaną sytuację zawodową. – Może pan to sprawdzić, jeśli pan chce. Proszę zadzwonić do Komendy Wojewódzkiej na Partyzantów i poprosić aspirant Weronikę Stankiewicz. Ona to potwierdzi.

Mężczyzna wpatrywał się w niego w dalszym ciągu bez słowa.

– Poza tym informacje, o które chcę pana spytać, nie są jakoś specjalnie tajne. W zasadzie, gdybym przyszedł do pana jako prywatny człowiek, też mógłby mi pan ich udzielić.

– No dobrze, niech pan w takim razie pyta – zgodził się w końcu

mężczyzna. – Ale nie obiecuję, póki co, że odpowiem.

– Mogę usiąść? – spytał Rozłucki, wskazując stojące pod ścianą krzesło z miękkim oparciem.

– Proszę.

Wziął krzesło i postawił je naprzeciwko biurka. Usiadł z wyraźną ulgą. Bolały go trochę już nogi po tych dzisiejszych marszobiegach.

– To o co chodzi? – spytał mężczyzna.

– Chciałbym dowiedzieć się, czy trenował ktoś u państwa strzelanie na nietypowym dystansie.

– Jakim konkretnie?

Dobre pytanie. Powinien był to sprawdzić.

– Nie wiem dokładnie. Nietypowy. Nie pięćdziesiąt, nie sto metrów, tylko powiedzmy trzydzieści dwa.

– Nie.

– Jest pan pewien?

– Nie.

– Nie?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Wie pan, nie chodzimy za myśliwymi po strzelnicy. Przychodzą, wpisują się do księgi i idą. To dorośli ludzie, a skoro są myśliwymi, to umieją obchodzić się z bronią. Nie ma potrzeby ich pilnować. Chyba że są zawody albo sprawdzian.

– Sprawdzian?

– Raz do roku każdy myśliwy musi zaliczyć obowiązkowy sprawdzian ze strzelania. No ale tam dystanse są ściśle określone.

– Ale ktoś musiałby coś takiego zauważyć.

– Być może, lecz ja o takiej sytuacji nie słyszałem. Ale wydaje mi się, że prędzej czy później taka informacja by do mnie dotarła. To jednak dość nietypowe zachowanie i gdyby ktoś coś takiego zauważył, na pewno opowiedziałby o tym innym. Myśliwi to dość zamknięte i w sumie niewielkie środowisko. Nie ma ich w Olsztynie aż tak znowu wielu.

– Czyli nic takiego nie miało tu miejsca?

– Z drugiej strony – mężczyzna za biurkiem uniósł brwi – zdarzają się sytuacje, że jest tylko jeden myśliwy na obiekcie. Gdyby wtedy coś takiego robił, nikt by tego nie widział.

Czyli wiadomo, że nic nie wiadomo. No pięknie.

– A czy jest u was możliwość strzelania pod kątem? – Rozłucki spróbował z drugiej strony.

– W jakim sensie?

– W takim, że na przykład cel jest niżej od strzelającego.

– Nie – odparł bez zastanowienia mężczyzna. – Wszystkie osie strzeleckie są na tym samym poziomie. Zarówno te zwykłe, jak i te służące do strzelania po osi i po kręgu.

– Ale jak widzę, teren jest tu dość pofałdowany. Byłaby chyba możliwość, żeby urządzić sobie stanowisko na jednym ze wzgórków i strzelać do tarczy ustawionej niżej?

– Teoretycznie pewnie by była, ale gdyby któryś z kolegów lub koleżanek coś takiego zobaczył, na pewno huczałoby o tym we wszystkich kołach.

– Sam pan jednak mówił, że czasami na strzelnicy jest tylko jeden myśliwy.

– To prawda, ale to, że teraz jest jeden, nie oznacza, że zaraz nie przyjdzie drugi. Ktoś, kto by tak robił, ryzykowałby mocno, że zostanie nakryty. Bo rozumiem, że rozmawiamy o kimś, kto nie do końca chciałby, żeby ktoś go w tej sytuacji zobaczył? – Mężczyzna spojrzał na Rozłuckiego spod swoich krzaczastych brwi.

– Tak, właśnie o kimś takim rozmawiamy – potwierdził Rozłucki.

– Chodzi o tego gościa z teatru?

– Tak, właśnie o niego.

– Po mojemu – mężczyzna podrapał się po policzku – jeśli on gdzieś trenował, nie wykorzystywał do tego żadnej ze strzelnic.

– To gdzie to robił?

– W lesie. Jeśli to rzeczywiście ktoś od nas, w co szczerze mówiąc, nie chce mi się wierzyć, mógł wykorzystać jedną z dzikich strzelnic.

– Są takie?

– Oficjalnie nic o tym nie wiem. Rozumie pan, to nielegalne. Za coś takiego może grozić odebranie pozwolenia na broń. Ale wiem, że to się zdarza. Czasami jest tak, że myśliwy jedzie do lasu, strzela i widzi, że broń źle bije. Dobrze wycelował, ale nie trafił. Nie chce mu się przyjeżdżać do nas, więc przestrzeliwuje ją na miejscu. Niewiele ryzykuje, bo gdy on jest w lesie, żaden inny myśliwy nie ma prawa tam wejść. Są takie miejsca, naturalne strzelnice. Jakaś skarpa wyłapująca kule, czy coś w tym stylu. Mógłby też wykorzystać ambonę, żeby postrzelać sobie w dół.

– Gdzie są takie miejsca?

– Problem w tym, że mogą być wszędzie. Ale jak mówiłem, nie wierzę, że to ktoś od nas.

– Dlaczego?

– My instynkty mordercze mamy dość dobrze zaspokojone. Nie musimy strzelać do ludzi.

– Cześć, masz ochotę na kawę? – Weronika jak zwykle od razu przechodziła do rzeczy.

– Chcesz się ze mną umówić? – spróbował zażartować.

– Powiedzmy. – Ton głosu w słuchawce wyraźnie wskazywał, że nie ma czasu na takie gierki i że jej to nie bawi.

– Tam gdzie poprzednia randka? – ciągnął niezrażony.

– Może być – odparła lodowatym głosem. – Za godzinę. – A to już był niemalże rozkaz.

Spotkali się ponownie w małym barze przy teatrze. Zamówili też dokładnie to samo: Rozłucki podwójne espresso, a Weronika wzmocnione cappuccino.

– Masz coś dla mnie? – spytała.

– Niewiele – zreferował jej swoje niezbyt imponujące ustalenia. – A co u ciebie?

– I dobrze, i niedobrze – odparła. – Dobre jest to, że „federalni” ostro wzięli się do roboty. Tam nie ma „miętkiej” gry, jak

u Sądeckiego. Podoba mi się to.

– A co jest niedobrze?

Westchnęła.

– To, że traktują mnie, jakbym była kimś takim, jak on. Prowincjonalnym policjantem, który na niczym się nie zna i który czego się nie dotknie, to spieprzy. Po raz pierwszy mam możliwość pracować z prawdziwymi profesjonalistami, a oni mnie zbywają i lekceważą.

– Frustrujące. – Wykazał się zrozumieniem.

– Jak wszyscy diabli – prychnęła. – Muszę z tym coś zrobić, bo zwariuję.

– Co?

– Muszę im coś dać, jakiś trop, poszlakę, cokolwiek. Coś, żeby zaczęli mnie traktować poważnie. – W jej głosie brzmiała determinacja.

– Sama mówiłaś, że jesteś odsunięta od śledztwa i że nie możesz się nim zajmować.

– Ale ty możesz. – Spojrzała na niego stanowczo. – Przynieś mi coś, proszę cię. Gdy przyjdę do nich z dowodem, nikt nie będzie patrzył, czy jestem odsunięta od śledztwa, czy nie.

Wypuścił powietrze nosem.

– Chciałbym, wiesz przecież – odparł bezradnie. – Problem w tym, że nie mam już pomysłów, co dalej.

– Nawet mi w ten sposób nie mów – powiedziała. – Masz intuicję, myślisz niekonwencjonalnie; zupełnie inaczej niż my, policjanci. Wykorzystaj to.

– Spróbuję. – Nie potrafił chyba ukryć w swoim głosie sceptycyzmu.

– No i co najważniejsze, masz nad nimi przewagę czasową. Oni dopiero zapoznają się z materiałami śledztwa. Z prawdziwą robotą ruszą pewnie za dwa dni. Tyle właśnie mamy czasu. Nie zmarnujmy go.

„Łatwo powiedzieć”, pomyślał.



– Potem sprawdzą strzelnice, bo na pewno na to wpadną, potem przyjdzie odpowiedź z Czech, a potem go złapią i odjadą. A ja tu zostanę ze świadomością, że przejechał obok mnie pociąg, a ja nawet nie dotknęłam drzwi – powiedziała ponuro.

Spojrzał na nią uważnie. Nigdy jej dotąd nie widział w takim nastroju. Dopiero teraz to zrozumiał. Chciała się stąd wyrwać. Miała pewnie ze trzydzieści lat i liczyła, że wreszcie zaatakuje życie. Wiedziała, że teraz ma na to szansę.

– Zrobię wszystko, co będę mógł – powiedział. Tylko nie bardzo wiedział co.

– Dziękuję – odpowiedziała.

– Ty zaś, jeśli możesz, sprawdź, czy któryś z aktorów lub pracowników teatru nie jest myśliwym albo członkiem klubu strzeleckiego. To byłby jakiś trop.

– Już to zrobiłam. Nic nie znalazłam. Pracownicy kultury, jak widać, brzydzą się mordowaniem zwierząt.

– Za to nie brzydzą się mordowaniem dyrektorów.

Minął jeden z dwóch dni i nic się nie wydarzyło. Rozłucki odwiedził dla pewności dwie pozostałe olsztyńskie strzelnice, ale, tak jak przypuszczał, niczego się tam nie dowiedział. Obie mieściły się w budynkach i obie miały automatyczne systemy prowadnic ustawiających tarcze strzeleckie na określonych odległościach: dziesięciu, piętnastu, dwudziestu i dwudziestu pięciu metrów. Ustawienie tarczy na nietypowym dystansie było po prostu niemożliwe. Strzelanie pod kątem, z góry, było niemożliwe nawet jeszcze bardziej. Ich pracownicy twierdzili ponadto, że nie przypominają sobie, by ktoś się o taką możliwość pytał.

Odwiedził też strzelnicę policyjną położoną w lesie, po prawej stronie drogi na Dywity. Tu też nic nie znalazł. Mimo tego, że strzelnica była otwarta i do tego niepilnowana, po krótkim namyśle i ją odrzucił jako miejsce ewentualnego ćwiczenia technik strzeleckich przez mordercę. Po pierwsze, była doskonale widoczna z pobliskiej drogi, każdy więc, kto robiłby tam coś dziwnego, na przykład strzelał na nietypowym dystansie i w nietypowy sposób, ryzykowałby, że zostanie dostrzeżony i zapamiętany. Po drugie, możliwość przestrzeliwania broni, która miała być wkrótce użyta do morderstwa w miejscu, gdzie w każdej chwili mogli się pojawić policjanci, wydała mu się mimo wszystko zbyt nieprawdopodobna.

Wieczorem zajrzał jeszcze raz do stosu maszynopisów ze sztukami teatralnymi, mając nikłą, w zasadzie prawie niezauważalną nadzieję, że znajdzie tam jakąś wskazówkę i że jego poprzedni pomysł, że mordercą może być jakiś niespełniony dramatopisarz, nie był jednak

aż tak głupi, jak mu się to potem wydawało.

Po trzech godzinach czytania poczuł jednak, że głowa mu puchnie i że nie rozumie już nie tylko zdań, lecz nawet pojedynczych słów. Rzucił trzymany w ręku egzemplarz na podłogę i zamknął oczy. Przypomniawszy sobie nagle o cygarze, które kupił parę dni temu. Wstał z fotela i sprawdził kieszenie kurtki. Było tam ciągle. Przesuszone i nieco ukruszone, ale było. Wziął krzesło i wystawił je na balkon. Zapalił. Dym był lekko gryzący, ale nie przeszkadzało mu to zbytnio. Palił i patrzył na nocną panoramę Olsztyna. Odnalazł teatr, odlażł mocno podświetlony zamek, potem odszukał miejsce, gdzie prawdopodobnie były wiadukty kolejowe nad Łyną. Spróbował przemyśleć wszystko jeszcze raz. Nic to nie dało.

Następnego dnia rano obudził się z lekkim bólem głowy. Wziął jakiś proszek, zjadł byle jakie śniadanie i w zasadzie nie wiedział, co dalej zrobić. Ubrał się więc i poszedł w kierunku teatru.

Nie spieszył się zanadto, więc dotarł tam po dwudziestu minutach. Wszedł po schodkach na górę, minął ławeczkę, gdzie po raz pierwszy zobaczył Wilczyńską, minął bar, gdzie wczoraj rozmawiał z Weroniką, i doszedł do furtki prowadzącej na parking. Ze zdziwieniem zobaczył, że stoją na nim samochody.

Wszedł na teren teatru. Podeszedł do tylnych drzwi. Nacisnął klamkę. Były otwarte. Wszedł do środka.

Pani na portierni siedziała, jak gdyby nigdy nic.

– Teatr jest otwarty? – spytał.

– Od dzisiaj – odpowiedziała mu ze swojego oszklonego kantorka.

– Co się stało?

– Nie wiem. Zadzwonili wczoraj wieczorem, żebym przyszła, to przyszłam.

Wszedł dalej. Po chwili był przy garderobach. W jednej z nich siedziała aktorka, którą poznał pierwszego dnia na ławeczce razem z Wilczyńską. Spróbował przypomnieć sobie, jak ma na imię. Zdaje się, że Krystyna.

– Cześć – powiedział, uznając, że przeszli wtedy na „ty”. – Otworzyli

teatr?

Podniosła oczy znad tekstu.

– Tak – odpowiedziała. – Na razie tylko na próby. *Show must go on.*

– Kiedy ruszy pełną parą?

Wzruszyła ramionami.

– Podobno po wakacjach. Ale może mała scena ruszy szybciej. Dobrze by było. Płacą nam za spektakle, nie za próby.

– Dlaczego dopiero po wakacjach? To ponad cztery miesiące.

– Chcą zrobić nowe otwarcie. Nowy repertuar, nowy dyrektor. Za parę dni ogłoszą konkurs. Żeby się odciąć i zatrzeć złe wrażenie.

– Nowy repertuar? Całkiem?

– Całkiem raczej nie. Parę tytułów pewnie zostanie. Ale ten ostatni Czechow na przykład spada. Z oczywistych względów. Szkoda, dobrze to Łyseму wyszło.

– No tak. Ale trudno się dziwić.

– Trudno. Tak.

Wróciła do czytania tekstu.

– Kto będzie nowym dyrektorem? Wiadomo już coś?

Podniosła z powrotem wzrok. Z pewnym zniecierpliwieniem, jak zauważył.

– Na razie pełniącym obowiązki został Muszyński.

– Kto?

– Krystian Muszyński, ten reżyser.

Przypomniał sobie lekko łysiejącego mężczyznę z czarną brodą.

– O, to spora zmiana! – zauważył. – Słyszałem, że nie był ostatnio w łaskach.

– No, to teraz to sobie mocno powetuje – odparła z przekąsem. – Podobno ma dobre układy z marszałkiem województwa. Chodzą słuchy, że to on wygra konkurs.

– No proszę. To teraz będziecie grali wyłącznie jego sztuki.

Zaśmiała się.

– Piękny przepis na katastrofę.

– Jesteś w obsadzie?

– W jednej na pewno. – Podniosła trzymanego w ręku egzemplarz. – Za to Agnieszka będzie pewnie we wszystkich.

Poczuł nagle, wyraźne ukłucie zazdrości.

– Jest tu gdzieś? – spytał.

– Nie, chyba nie. Nie widziałam jej.

Komórka w jego kieszeni zaczęła wibrować. Wyjął ją i spojrzał na wyświetlacz. Weronika. Odebrał.

– Kawa. – Usłyszał w słuchawce. – Zaraz.

Czekała już na niego. Podeszedł i usiadł przy stoliku.

– Dobrze, że byłem akurat w teatrze – powiedział. – Gdybym siedział jeszcze w mieszkaniu, to „zaraz” nie byłoby takie łatwe.

Zignorowała to zupełnie. Wskazała na leżącą na stoliku wybebeszoną komórkę. Wyjął swoją i rozłożył ją tak samo.

– To naprawdę konieczne? – spytał. – Czuję się wyjątkowo idiotycznie, gdy to robię.

– Mamy przewagę – powiedziała. – Nie możemy jej zmarnować przez głupi błąd.

– A mamy?

Nachyliła się w jego stronę.

– Zadzwoił do mnie ten gość ze strzelnicy myśliwskiej, z którym rozmawiałeś – powiedziała ściszym głosem.

– Co chciał?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Zadzwoił na centralę w komendzie i kazał połączyć się ze mną. Nie mogłam go spytać, o co chodzi – dodała z naciskiem.

– Spotkasz się z nim?

– Ty się spotkasz. – Położyła przed nim na stoliku pięćdziesiąt złotych. – Weź taksówkę i jedź tam natychmiast. Nie dzwoń na radio-taxi, tylko weź ją z postoju przy Starym Mieście. Potem mi wszystko opowiesz. Nie przez telefon oczywiście.

Wysiadł na parkingu przed strzelnicą, zapłacił i wszedł do drewnianego budynku. Wąsaty mężczyzna siedział, tak jak poprzednio, w swoim pokoju za biurkiem. Skarpetki miał tym razem fioletowe.

– Aspirant Stankiewicz przekazała mi, że pan dzwonił – powiedział Rozłucki.

Mężczyzna spojrzał na niego z pewnym zdziwieniem.

– Nie sądziłem, że ktoś tu przyjedzie – powiedział. – Ta pani dziwnie się zachowywała. Jakby w ogóle jej nie ciekawiło, co mam do powiedzenia.

– Po prostu chciała, żebym porozmawiał z panem osobiście – wyjaśnił Rozłucki. – Mogę usiąść?

– Proszę.

Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko mężczyzny.

– To co pan nam chciał powiedzieć?

Mężczyzna pogładził się po wąsach. Wciąż patrzył na Rozłuckiego nieufnie.

– Naprawdę jest pan z policji? – spytał.

– Zadzwoił pan na komendę, tak? Poprosił jedną z policjantek. A ona przekazała to potem mi. W jaki inny sposób dowiedziałbym się, że pan dzwonił i że ma pan dla nas jakieś informacje?

– No tak, faktycznie.

– To o co chodzi?

Mężczyzna znów spojrzał na Rozłuckiego z nieufnością. Najwyraźniej nie był wciąż do końca przekonany. Weronika musiała mocno go skołować tą swoją konspiracją. W końcu jednak zaczął:

– Popytałem trochę kolegów o to, o co pan pytał – powiedział. – No i jeden z nich faktycznie widział coś dziwnego.

– Co?

– Spotkał w lesie faceta, który ćwiczył strzelanie. Tak jak pan powiedział – gość leżał na wzgórk, a tarcza była poniżej.

– Gdzie to było?

– Za Dobrym Miastem. Ale to musiałyby pan go dokładnie spytać.  
– Co jeszcze mówił?  
– Że ten człowiek dość dziwnie się zachowywał.  
– W jakim sensie?  
– W ogóle się nie odzywał. Nawet słowem. Kiedy ten kolega do niego podszedł i powiedział mu, że nie wolno tak sobie po prostu strzelać w lesie, nic nie odpowiedział. Wstał tylko z ziemi i patrzył. Kiedy go spytał o pozwolenie na broń, też nie zareagował. A potem po prostu sobie poszedł.

Rozłucki poczuł, jak przez jego ciało przechodzi dreszcz. Po raz pierwszy ktoś opowiadał mu o prawdopodobnym mordercy. Był ktoś, kto widział, jak on wygląda. A on niedługo będzie mógł z tym kimś porozmawiać. Niezwykłe uczucie. Jakby odnalazł gałązkę złamaną przez zwierzę, które tropi, i poczuł po raz pierwszy jego zapach. Pomyślał, że w tej chwili jest chyba w stanie zrozumieć tych wszystkich ludzi chodzących ze strzelbami po lasach. Ten moment był naprawdę ekscytujący.

– Gdzie mieszka ten myśliwy? – spytał.  
– W Dywitach.  
– Ma pan do niego numer telefonu?  
– Nie. Ale mam adres. Jak się przyjeżdża tu strzelać, zawsze trzeba wpisać adres.  
– Da mi go pan?

Mężczyzna sięgnął po gruby zeszyt w formacie A4. Otworzył go na ostatniej zapisanej stronie.

– Wczoraj tu był. O, tu jest. Niech pan sobie zapisze.  
– Szkoda, że nie wziął pan numeru telefonu.  
– Tak się spieszyłem, żeby zadzwonić do tej pana policjantki, że o tym zapomniałem. Ale niech pan jedzie. Gość ma osiemdziesiąt pięć lat, rzadko już poluje, jest na emeryturze. Powinien być w domu.

Pieniędzy od Weroniki starczyło jeszcze, żeby wrócić taksówką do centrum. Tam wsiadł w autobus numer 110 i pojechał do Dywit. Minął po drodze most na rzece Wadąg i dom, w którym niegdyś mieszkał Olgierd Jakubiec. Starał się nie patrzeć w tamtą stronę, by nie musieć przypominać sobie tego wszystkiego. Żeby nie musieć znów przypominać sobie Karoliny.

Dojechał wreszcie na miejsce i wysiadł na pętli niedaleko kościoła. Wpisał w GPS adres. Trasa prowadziła w stronę jeziora. Ruszył w tamtą stronę. Minął po drodze szkołę podstawową, nad którą wznosiła się niewielka kopuła, wyglądająca jak obserwatorium astronomiczne. „Obserwatorium astronomiczne w szkole?“, pomyślał. Świat naprawdę idzie do przodu.

Po dziesięciu minutach był na miejscu. Klockowaty dom z płaskim dachem wznosił się na szczycie skarpy opadającej łagodnie w stronę widocznego w dole jeziora. Od niewielkiej, wyłożonej betonową kostką uliczki oddzielał go stary, drewniany płot. Bramy nie było, najwyraźniej rozpadła się ze starości i nikt nie uważał za potrzebne, by wstawić nową. Na podjeździe stała zielona skoda fabia – znak, że gospodarz jest w domu.

Dom obrośnięty był drzewami. Od frontu ocieniał go duży, rozłożysty klon; po bokach rosły jeszcze dwa inne drzewa przypominające jarzębinę, lecz znacznie od niej większe. Po drugiej stronie uliczki rozrósł się olbrzymi, zasłaniający widok na jezioro krzak głogu.

Podszedł do furtki. Domofonu nie było, nacisnął więc na klamkę



i wszedł na teren posesji. Dalszą drogę zagradzał duży konar sosny. Musiał się schylić, by wejść dalej.

Wszedł na niewielkie, betonowe, porośnięte mchem ze starości schodki i nacisnął przycisk dzwonka przy białych drzwiach. Po chwili usłyszał odgłos otwieranych wewnątrz kolejnych drzwi, a za moment dźwięk przekręcanego klucza w zamku.

Drzwi otworzył starszy mężczyzna – wysoki i szczupły. Siwe, w zasadzie białe włosy okalały jego głowę. Jeden kosmyk, tuż nad czołem, sterczał lekko w górę.

– Tak, słucham? – spytał.

– Dzień dobry – powiedział. – Nazywam się Zygmunt Rozłucki, jestem z policji. Dostałem pana adres na strzelnicy myśliwskiej.

Mężczyzna spojrzał na niego poważnie.

– Proszę – powiedział.

Weszli do środka. W niedużym wiatrołapie stał stary kredens kuchenny pomalowany na zielono. Rozłucki ściągnął buty.

Weszli do wyłożonego boazerią przedpokoju.

– Tu proszę. – Mężczyzna wskazał mu ręką wejście do pokoju. – Napije się pan kawy albo herbaty?

– Nie, dziękuję – odparł. – Nie chcę robić kłopotu. Ja tylko na chwilę.

Weszli do dużego pokoju. Na jednej z jego ścian wisiał dywan. Za długim, na całą szerokość pokoju oknem bez firan widać było ścianę liści rosnącego po drugiej stronie drzewa.

– Niech pan usiądzie.

Rozłucki usiadł na jednym z dwóch stojących pod ścianą foteli. Mężczyzna przysiadł na kanapie pod dywanem. Ten dywan i to wielkie, zielone drzewo za oknem sprawiało, że pokój sprawiał wrażenie bardzo przytulnego.

– Pan w sprawie tego strzelca z lasu? – domyślił się mężczyzna. – Przepraszam, w zasadzie od razu chciałem zgłosić to na policję, ale potem pomyślałem sobie, że to może nic aż tak ważnego.

– Wtedy to rzeczywiście nie było chyba nic ważnego – odparł

Rozłucki. – Teraz sytuacja się zmieniła.

– Myśli pan, że to mógł być ten z teatru?

– Tak przypuszczam.

Mężczyzna spojrział przez okno na rosnący za nim klon.

– Gdybym to wtedy zgłosił na policję...

– Niech się pan nie zadręcza – przerwał mu Rozłucki. – Nie da się wiedzieć takich rzeczy. Zresztą jak znam moich kolegów, zapewne zignorowaliby to zgłoszenie. Skupmy się na tym, co jest teraz. Jak on wyglądał?

– Normalnie. Średniego wzrostu, raczej szczupły. Na pewno nie myśliwy.

– Dlaczego?

– Był w niebieskich dżinsach. Żaden myśliwy nie pojechałby do lasu w niebieskich dżinsach.

– Jak poza tym był ubrany?

– W czarną, wojskową kurtkę i czapkę z daszkiem.

– Bejsbolówkę?

– Tak.

– Był na niej jakiś napis?

Mężczyzna zastanowił się.

– Był. Ale nie pamiętam jaki.

– Może jakaś znana firma? Nike, Adidas? Albo nazwa miasta lub kraju?

– Naprawdę nie pamiętam.

– A ta kurtka?

– Wojskowa, amerykańska. Model M65. Bardzo charakterystyczna. Noszono takie w Wietnamie. Wiem, bo miałem kiedyś taką. Z tym że oryginalna była w kolorze khaki, a ta jego była czarna.

– A kolor oczu pan pamięta?

– Miał okulary przeciwsłoneczne. I brodę.

– Brodę?

– Taką bardzo gęstą. Krótką, ale gęstą. Wyglądała...

– Jakby była sztuczna?

– Tak. Wtedy wydała mi się tylko dziwna, ale teraz myślę, tak, że mogła być sztuczna.

– Naprawdę nic nie mówił?

– Nic. Ani słowa.

– Niech pan opisz całą tę sytuację.

Mężczyzna splótł dłonie na brzuchu.

– Pojechałem do lasu, bo była ładna pogoda, a w nocy miał być księżyc. Byłem na miejscu koło osiemnastej. Zanotowałem swój pobyt w książce ewidencji pobytu myśliwych w łowisku, określiłem rewir, gdzie będę polował, potem zostawiłem samochód i wszedłem w las. Chodziłem trochę i wtedy usłyszałem, że ktoś strzela. Nikogo więcej nie powinno tam być. Po to właśnie myśliwi zapisują się w książce ewidencji, żeby nigdy dwóch naraz nie polowało w jednym miejscu, bo to bardzo niebezpieczne. Chyba że chodzą razem, ale to zupełnie inna sprawa.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to kłusownik. Ale strzały były regularne, powtarzały się raz za razem. Nikt tak nie strzela do zwierzyny, bo ta nie czeka przecież, by dać się zabić, tylko po pierwszym strzale ucieka. Od razu więc doszedłem do wniosku, że ktoś tu przyszedł poćwiczyć sobie strzelanie.

Słyszałem, że to jakaś dziwna broń, małokalibrowa. Na pewno nie sztucer ani dubeltówka. Poszedłem w tamtym kierunku. Byłem zły, bo jak ktoś tak strzela, to z polowania nici. Strzały wypłoszyły zwierzynę i ta bez wątplenia wyniosła się z ostępu.

Po jakimś czasie wiedziałem już, gdzie on strzela. Jest w tym lesie takie stare wyrobisko, kiedyś miejscowi wybierali tam żwir. Sam parę razy tam przestrzeliwałem broń. Szedłem od strony polany, nie od strony skarpy, bo tak się powinno strzelać: leżąc na polanie i celując w stronę skarpy, żeby wyłapywała kule.

Ale gdy doszedłem na miejsce, zrozumiałem, że on strzela odwrotnie! Od strony skarpy w kierunku polany. Wtedy byłem już naprawdę wściekły. To wbrew wszelkim zasadom bezpieczeństwa. Żaden myśliwy nigdy by tak nie zrobił. Zeszedłem go więc od drugiej

strony. Nie słyszał mnie, bo był zajęty strzelaniem. Poza tym miał, potem to zauważyłem, w prawym uchu zatyczkę dla ochrony przed hukami.

Leżał na ziemi na szczycie wyrobiska i strzelał w dół, do tarczy ustawionej w niecce...

– Jaka to mogła być wysokość?

– Niewielka, może trochę ponad dwa metry. To nieduże wyrobisko.

– I co było dalej?

– Stałem nad nim i krzyknąłem: „Co pan tu robi?”. Zerwał się na równe nogi i wycelował we mnie broń. Wtedy ja ściągnąłem z ramienia swój sztucer i wycelowałem w niego.

– Jaka to była broń, zauważył pan?

– Karabinek sportowy, wydaje mi się, że czeski. Kaliber dwadzieścia dwa.

– Dwadzieścia dwa?

– Pięć i sześć dziesiątych milimetra.

– Kbks?

– Tak, kbks.

– I co dalej?

– Staliśmy tak naprzeciw sobie przez jakiś czas, a potem on opuścił lufę. Nie całkiem, trochę, tak że nie celowała już we mnie, ale w każdej chwili można ją było szybko podnieść. Zrobiłem to samo. Byłem naprawdę mocno zdenerwowany; zacząłem na niego krzyczeć, że nie można tak sobie strzelać w lesie, że to niebezpieczne, że od tego jest strzelnica...

– A on?

– Nic. Stał tylko i słuchał.

– Nie reagował?

– W żaden sposób.

– A potem?

– Powiedziałem, żeby mi pokazał dowód, bo inaczej zadzwonię po policję.

– I co?

– Wyciągnął go z kieszeni i mi go dał.

Rozłucki myślał, że się przesłyszał.

– Pokazał panu dowód?! Tak po prostu? – spytał z niedowierzaniem.

– Tak.

Kurczę, to byłoby naprawdę coś...

– Nie robił problemów?

– Nie.

– Pamięta pan, jakie było na nim nazwisko?

– Nie, ale zrobiłem mu zdjęcie telefonem.

Rozłucki przełknął ślinę. Już niemal widział sylwetkę zwierzęcia.

– Może mi pan je pokazać?

– Oczywiście.

Mężczyzna sięgnął po niewielki telefon leżący na stoliku przy kanapie, a potem po leżące obok okulary.

– Zaraz, gdzie to było... – powiedział, wpatrując się w wyświetlacz.

– O, jest! Proszę. – Podał telefon Rozłuckiemu.

Rozłucki spojrział na mały ekranik. Obraz był dość niewyraźny; widocznie starszy mężczyzna nie potrafił dobrze złapać ostrości. Nazwisko całe szczęście dało się odczytać: Wojciech Malinowski. Obok niego było lekko zamazane zdjęcie. Rozłucki poczuł, że ręce drżą mu z podniecenia. A więc tak wyglądał zwierz, którego tropił.

– Może mi pan je przesłać? – spytał.

– Mógłbym, gdybym wiedział, jak to się robi – odparł mężczyzna. – Może sam pan spróbuje?

Rozłucki odnalazł w telefonie mężczyzny funkcję „prześlij”, po czym wpisał swój numer telefonu. Po chwili w jego komórce rozległ się sygnał przychodzącej wiadomości. Wyjął ją z kieszeni i sprawdził.

– Jest – powiedział. – Udało się. – Oddał mężczyźnie jego telefon. – I co stało się potem?

– Tamten człowiek wziął swój dowód, potem odwrócił się nagle i odszedł. Krzychałem jeszcze za nim, żeby powiedział, co tutaj robi, ale on po prostu szedł dalej. Wycelowałem nawet w niego sztucer –

byłem naprawdę zdenerwowany – i krzyczałem, żeby się zatrzymał, ale przecież nie będę strzelał człowiekowi w plecy tylko dlatego, że nielegalnie ćwiczy strzelanie.

– Oczywiście.

– Stałem jeszcze przez chwilę i patrzyłem za nim, a kiedy zniknął za drzewami, zarzuciłem sztucer na ramię i też odszedłem. Polowanie nie miało już sensu, więc tylko pochodziłem trochę po lesie, żeby się uspokoić, a potem wróciłem do domu. Zajechałem jeszcze do łowczego, żeby mu o tym powiedzieć, ale nie było go już w domu. Potem miałem zamiar to zgłosić, ale wie pan, jak to jest, odwlekałem to, odwlekałem, aż w końcu tego nie zrobiłem...

– Rozumiem. – Znał niestety doskonale ten mechanizm.

– I to w zasadzie tyle.

– Słyszał pan jakiś samochód? Potem, gdy odszedł?

Mężczyzna zastanowił się.

– Tak, chyba tak. Po jakimś czasie.

– Zabrał pan może łuski?

– Nie. Nie pomyślałem.

– Powinniśmy tam pojechać.

Wsiedli w skodę i ruszyli. Na miejscu byli po niecałej półgodzinie. Mężczyzna zaparkował samochód na skraju lasu.

– Przepraszam na chwilę – powiedział Rozłucki. – Muszę zadzwonić.

Odszedł parę metrów w bok. Wybrał numer Weroniki.

– Cześć, masz ochotę na kawę? – spytał, gdy już odebrała.

– Tam, gdzie zawsze?

– Nie, nie tam, gdzie zawsze. Wyślę ci namiary. Tylko musisz wziąć... termos.

Ta ich cała konspiracja stawała się coraz bardziej śmieszna.

– OK – odpowiedziała po chwili. – Termos. Chyba rozumiem. Ale nic mi nie wysyłaj.

– To skąd będziesz wiedziała, gdzie przyjechać? – spytał.

– Nie możesz mi tego jakoś opisać?

– Nawet gdybym mógł mówić otwartym tekstem, nie wiem, czy byłbym w stanie zrobić to na tyle precyzyjnie, żebyś tu trafiła.

– Gdzie jesteś? Tak najogólniej...

– W samym środku lasu.

– Cholera...

– Poczekaj. – Wpadł naraz na pewien pomysł. – Wyślę współrzędne „zastępcy szeryfa”. Masz jego numer?

Przez chwilę milczała.

– Nie wiem, czy to jest najlepszy pomysł. – Usłyszał w jej głosie rezerwę. – To mimo wszystko cywil. Nie powinniśmy go do tego mieszać.

– Znasz jakiś lepszy sposób? – spytał. – Zresztą on i tak połowę rzeczy wie, a drugiej połowy się domyśla.

– To coś istotnego...? To, co odkryłeś? – Słyszał, że się waha.

– Będziesz zadowolona.

– W porządku – zdecydowała. – Wysyłaj.

Podszedł do czekającego przy samochodzie mężczyzny. Ruszyli polną drogą wzdłuż lasu, potem skręcili w jego głąb. Szli leśnym duktem wśród wysokich drzew, deptając sosnowe igły i kopiając raz po raz szyszki. Ptaki darły się wokoło, jak zwykle na wiosnę. Piękny był ten las, pachnący i majestatyczny. Miało się ochotę zostać w nim na zawsze.

Skręcili raz i drugi w coraz węższe leśne ścieżki. W końcu wyszli na niewielką polanę. Na jej końcu wznosiła się piaszczysta, półkolista skarpa.

– To tu – powiedział mężczyzna. – Tu strzelał.

Mimo swoich osiemdziesięciu kilku lat nie sprawiał wrażenia ani trochę zmęczonego. Rozłucki natomiast czuł pot na karku, a koszula lepiła mu się do pleców.

Stanął z ulgą i wyciągnął telefon. Całe szczęście był tu zasięg. Wysłał panu Staszкови współrzędne GPS wraz z krótkim wyjaśnieniem, o co chodzi. „Będzie zachwycony”, pomyślał. Naprawdę został „zastępcą szeryfa”.

Na polanie stał niewielki, usypany z ziemi i kamieni kopczyk, o który wspierała się prostokątna, pilśniowa deska. Podeszli bliżej. Była do niej przymocowana strzelnicza tarcza. Widniała na niej czarna sylwetka człowieka w kapeluszu.

Kucnął przy niej. Płyta była przekrzywiona a papier tarczy sfałdowany i wyblakły od deszczu i wilgoci, lecz wyraźnie widać było na nich ślady po kulach. Było ich bardzo dużo.

– Dawno to było? – spytał mężczyznę.

– Jakiś tydzień temu.

Wstał.

– Skąd strzelał? – spytał.



– Stamtąd. – Mężczyzna wskazał ręką skarpe. – Pokażę panu.

Poszli w tamtym kierunku. Weszli na skarpe z lewej strony i wzdłuż jej brzegu ruszyli w górę. W pewnym momencie mężczyzna przystanął.

– Tu leżał. – Wskazał miejsce między drzewami.

Na samym skraju skarpy, pod rosnącą tu sosną był niewielki fragment porośniętej tylko mchem przestrzeni. Rozłucki nachylił się nad nim. Niczego w zasadzie tu nie było widać. Jeśli mech był tu kiedyś wygnieciony, to już dawno zdążył się podnieść.

– Jeśli szuka pan łusek, to tam są. – Usłyszał nad sobą głos mężczyzny. – Pazur zamka wyrzuca je zawsze trochę w bok.

Spojrzał we wskazanym przez myśliwego kierunku. Były tam. Faktycznie. Przykurzone, pokryte igłami i liśćmi, ale były. Lśniły czystym, mosiężnym blaskiem pośrodku mchu i szyszek. Nie było ich aż tak znowu dużo; znacznie mniej, niż śladów na tarczy. Widocznie te wcześniejsze zbierał, zostały tylko te z dnia, gdy został nakryty.

Kucnął i przyjrzał im się z bliska. Były niewielkie. Aż dziwne, że pocisk z czegoś takiego mógł zabić człowieka. Wstał.

– Świetnie – powiedział. – Bardzo panu dziękuję. Teraz muszę poczekać na kogoś, kto je stąd zbierze. Ja nie mogę ich dotykać, żeby nie zniszczyć ewentualnych śladów. W zasadzie może pan już wracać.

– A jak się pan stąd wydostanie?

– Przyjadą po mnie – powiedział.

Miał przynajmniej taką nadzieję.

– Dobrze. Faktycznie będę się zbierał. Żona została sama, a jest trochę chora.

– Mam tylko jeszcze jedno pytanie – powiedział Rozłucki. – W którą stronę odszedł? Jak już go pan przegonił.

– W tamtą. – Mężczyzna wskazał kierunek.

– I stamtąd było słychać samochód?

– Tak.

– Jest tam jakaś droga?

– Leśna. Ze dwieście metrów stąd.

– Świetnie. Jeszcze raz panu dziękuję.

Wyciągnął do mężczyzny rękę na pożegnanie.

– Mam nadzieję, że choć trochę pomogłem – powiedział tamten. – Nie mogę sobie darować, że wtedy tego nie zgłosiłem.

– Proszę się nie przejmować. Wtedy zapewne i tak nikt by na to nie zwrócił uwagi. Dopiero teraz nabrało to znaczenia.

Uścisnęli sobie dłonie. Mężczyzna ruszył z powrotem w dół skarpy.

– I bardzo nam pan pomógł – rzucił za nim Rozłucki. – To tak naprawdę pierwszy poważny trop, który znaleźliśmy.

Mężczyzna odwrócił się.

– To bardzo się cieszę.

Zamarł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Wie pan, jest jeszcze coś. Właśnie to sobie przypomniałem.

– Niech pan mówi – zachęcił go.

– Wydawało mi się, że czuję od niego porzeczki.

– Porzeczki?

– Tak. Wiem, że to dziwne, ale mam u siebie na działce parę krzaków, więc dość dobrze znam ten zapach. Czułem od niego lekką woń porzeczek. To ważne?

– Nie wiem. Ale dobrze, że pan to powiedział.

Odszedł parę kroków i usiadł pod drzewem. Oparł się o nie plecami. Spojrzał w dół na przekrzywioną, postrzelaną tarczę. Czy była to dokładnie ta sama odległość, jaka dzieliła karabin na pomoście od fotela dyrektora? Trzeba by to sprawdzić, ale wydawało mu się, że tak. Zamknął oczy, wsłuchując się w dźwięki otaczającego go zewsząd lasu. Porzeczki? Co to mogło być? Może chodziło o gumę do żucia o tym smaku? Była taka, wiedział o tym.

Wyjął telefon i odszukał zdjęcie dowodu osobistego, który miał przy sobie tamten mężczyzna. Wpatrzył się w jego twarz. Nie było w niej

niczego charakterystycznego. Nie przypominała też nikogo, kogo widział w teatrze.

Może więc nie był to żaden z pracowników ani aktorów? Może jego wcześniejsza intuicja, że mógł to być jakiś niespełniony dramaturg, była prawdziwa? Niestety, zdjęcie przedstawiało tylko pierwszą stronę dowodu. Na drugiej w dowodach starszego typu, a to zdaje się był właśnie taki, był adres stałego zameldowania. Ale był tu PESEL. To najważniejsze. Przeczytał sześć pierwszych cyfr: 800419 – w każdym PESELU jest to data urodzenia. Dziewiętnasty kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Mężczyzna, który strzelał do tarczy, miał więc trzydzieści osiem lat.

Schował telefon do kieszeni. Przydałoby się teraz cygaro. To, które wypalił na balkonie. Choć może lepiej, że go nie miał – w lesie nie wolno przecież palić.

Po mniej więcej godzinie usłyszał trzask nadepniętej gałązki. Spojrzał w tamtym kierunku. Przez las za jego plecami szła Weronika. Trzymała w ręku telefon i wpatrywała się w jego ekran. Tuż za nią szedł pan Staszek.

Wstał.

– Tutaj! – krzyknął.

Mężczyzna pomachał mu wesoło.

– Czołem, szeryfie!

A więc ich tajna, ochotnicza jednostka śledcza liczyła już trzy osoby.

Podeszli do niego.

– Nie dało się go nie wziąć – powiedziała Weronika, wskazując głową swojego towarzysza.

– Ale super! – Jej nowy partner był niezwykle podekscytowany. – Dostanę odznakę? – zażartował.

– Co tu masz? – spytała, nie zwracając na niego uwagi.

– Miejsce, gdzie morderca prawdopodobnie ćwiczył strzelanie – odpowiedział. – Tam masz tarczę – wskazał ręką w dół – w tu stanowisko strzeleckie. Obok leżą łuski.

– Świetnie! – powiedziała. – Mam nadzieję, że są na nich odciski palców.

– Podobno odszedł w tamtą stronę. Prawdopodobnie odjechał samochodem. Jest tam leśna droga. Może uda wam się zdjąć odciski opon.

Popatrzyła pod stopy.

– Po ostatnich deszczach ziemia jest miękka – powiedziała. – Powinno się udać.

– A tu masz jeszcze coś. – Wyciągnął swój telefon komórkowy. – Zdjęcie jego dowodu.

– Genialnie! – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Zdaje się, że jesteśmy w domu.

– Tak myślisz?

– Jeśli analiza balistyczna kul, które znajdziemy za tarczą, potwierdzi, że były wystrzelone z tej samej broni, co tamta w teatrze, i jeśli do tego będziemy mieć odciski palców i ślady opon, że już nie wspomnę o tym dowodzie, to w zasadzie pozamiatane.

– Co teraz zrobisz?

– Zadzwonię po „federalnych” – odparła. – Gdy dostarczę im pod nos taki materiał, będą musieli być po wrażeniu. – Popatrzyła na niego ciepło. – Dzięki, Zyga! – powiedziała. – Wiedziałam, że ci się uda.

– I co? To już, wszystko? – Pan Staszek był wyraźnie zawiedziony. Jechali jego samochodem w stronę Olsztyna. Weronika została, żeby poczekać na ekipę. Mężczyzna koniecznie chciał jej towarzyszyć, ale ona kategorycznie kazała im wracać. Nie wyglądałoby dobrze, jak twierdziła, gdyby po terenie tak pełnym ewentualnych dowodów kręciły się postronne osoby.

Rozłucki wzruszył ramionami.

– Jesteśmy tylko zwiadowcami – powiedział. – Teraz przyjedzie kawaleria i dokończy robotę.

– Eee. – Jego pomocnik nie był tym zachwycony. – Spodziewałem się czegoś bardziej spektakularnego.

– Pościgów i strzelanin?

– Nie, no może nie aż tak. Ale czegoś... sam nie wiem. Ciekawszego.

– Przynajmniej pochodził pan po lesie.

Umilkli na jakiś czas. Minęli Dywity, most na Wadągu i wjechali w las przed Olsztynem.

– I co oni tam teraz będą robić? – spytał mężczyzna.

– Nie wiem, nie znam się za bardzo na policyjnej robocie, ale wydaje mi się, że odnajdą te kule, które wbiły się w ziemię gdzieś za tarczą; sprawdzą, czy nie ma gdzieś odcisków palców – na łuskach albo na tarczy – przeszukają teren, czy sprawca nie zostawił tam jakichś niedopałków czy czegoś w tym stylu; zrobią odlew śladów opon, jeśli je znajdą. Tego typu rzeczy.

– Myśli pan, że da się zdjąć odciski palców po tak długim czasie?

Padał przecież deszcz...

– Nie wiem. Naprawdę. Może na tej desce, pod papierową tarczą coś się zachowało. Ale naprawdę nie mam pojęcia.

– A te ślady opon? Naprawdę da się po nich odnaleźć samochód?

– Tak słyszałem.

– One się tak różnią? Jak odciski palców?

– Podobno. Ale na czym to dokładnie polega, nie wiem. Na pewno są różne typy opon. Różne marki, rozmiary. Więc chociażby po tym.

– No tak.

Wjechali do miasta. Minęli stację benzynową po lewej stronie, szpital psychiatryczny, w którym kiedyś pracował, i poliklinikę tuż przy nim. „Ciekawe, co tam u doktora Goczała?”, pomyślał. „Warto by go kiedyś odwiedzić”.

– Gdzie pana zawieźć? – Usłyszał pytanie z fotela kierowcy.

– A pan gdzie jedzie?

– Muszę wracać do teatru.

– Też tam mogę wysiąść.

Przejechali wiadukt nad torami i skręcili w ulicę Marii Curie-Skłodowskiej. Po chwili wjeżdżali na parking na tyłach teatru.

Gdy się zatrzymali, Rozłucki o czymś sobie przypomniał. Wyciągnął telefon komórkowy i odnalazł zdjęcie dowodu, które dostał od myśliwego.

– Zna go pan może? – spytał.

Mężczyzna przyjrzał się zdjęciu przez chwilę.

– Wydaje się, że kogoś mi przypomina – powiedział. – Ale nie wiem, kogo. Nazwiska na pewno nie znam.

– To nikt z teatru? – upewnił się.

– Nie, na sto procent.

Wysiedli.

– Panie Staszku, dobrze, że pana widzę! – Usłyszeli nagle głos Wilczyńskiej.

Rozłucki poczuł ucisk w żołądku.

– Znowu ten grat mi nawala! – Wilczyńska stała parę samochodów

dalej przy starej, srebrnej almerze z nadwoziem w wersji sedan. –  
Mógłby pan na to rzucić okiem?

Podeszli do niej.

– Co się znowu dzieje? – spytał mężczyzna.

– A bo ja wiem? – Ze złością kopnęła w oponę. – Jechałam tu i nagle wszystkie kontrolki zaczęły migać. A potem nagle zgasły. Dobrze, że dojechałam. Wyłączyłam silnik, a kiedy znowu spróbowałam go odpalić, już nic nie działało.

– Akumulator albo cewka – orzekł mężczyzna.

– Już trzeci raz coś się dzieje w tym miesiącu! Nie mam już do niego siły... – Wyglądała na załamana.

– Musi pani wreszcie kupić nowy. To stary grat, niedługo całkiem się rozpadnie.

– Za co? I jeszcze teraz, jak odwołali wszystkie spektakle. Cztery miesiące na gołej pensji...

– Dobrze, że pani mieszka blisko.

– Ale chciałam pojechać na weekend do domu. I tak przecież nie gramy.

– Niech go pani tu zostawi. Jak będę miał czas, spróbuję zerknąć. Pani mi da kluczyki.

– Dziękuję, panie Staszku! Złoty człowiek z pana. Jak ja się panu odwdzięczę?

– Niech pani zagra następną premierę tak, że wszystkim szczęki opadną.

– I tak opadną. Z żenady. Wie pan, co to będzie? Ta sztuka Muszyńskiego. Właśnie idę na próbę. Aż mi się niedobrze robi, gdy pomyślę, jak się będzie teraz puszył.

Przez całą tę wymianę zdań nie popatrzyła na Rozłuckiego ani razu. Jakby go w ogóle nie zauważała. Trochę to było frustrujące.

– Mogę wejść i popatrzeć? – spytał.

Dopiero teraz na niego spojrzała.

– Naprawdę nie ma na co – odparła, krzywiąc lekko usta. – Ale jak chcesz, to wejdź. To zresztą nie zależy ode mnie. Jak cię Muszyński

nie przegoni, możesz siedzieć. On tu teraz rządzi.

Weszli do środka.

Pan Staszek poszedł do swojego warsztatu, a oni ruszyli białymi korytarzami, nie odzywając się do siebie.

– Naprawdę jest taka zła? – spytał w końcu.

– Kto? – Myślała zdaje się o czymś innym.

– Ta sztuka.

– A. Nie, nie aż tak znowu bardzo. Trochę nieporadna. Czepiam się, bo chyba go nie lubię.

– Czemu?

– Nie wiem. Jest w nim coś dziwnego. Potrafi udawać twojego najlepszego przyjaciela, ale jednocześnie jest śliski. Lepiej się do niego nie odwracać plecami.

– Wrywa cię – nie wiadomo, czy spytał, czy stwierdził Rozłucki.

– Trochę. Tak już mam, że przyciągam takich pokręconych.

„To by się zgadzało”, Rozłucki pomyślał o sobie.

– Swoją drogą, niezła odmiana – stwierdził.

– Jaka?

– No, z nim. Z chłopca do bicia na pełniącego obowiązki dyrektora.

– *Is fecit, cui prodest* – powiedziała.

– Co?

Zaśmiała się.

– Mówiłam kiedyś taką kwestię w jednej sztuce. To po łacinie. „Ten uczynił, czyja korzyść”. Gdyby patrzeć na to, kto najwięcej zyskał na śmierci dyrektora, to byłby właśnie on.

– Myślisz, że... – Przystanął.

– Nie, no co ty! – Machnęła ręką. – Tak mi się tylko skojarzyło.

Doszli do garderób.

– To na razie – powiedziała.

– Na razie.

Jeszcze raz wciągnął w nozdrza jej zapach. Uwielbiał go, był od niego uzależniony. Co to było? Gdyby wiedział, co to za perfumy, kupiłby je i spryskał nimi całe swoje mieszkanie.



Odeszła. Patrzył za nią jeszcze przez jakiś czas. „Jeśli się odwróci”, pomyślał, „to będzie dobry znak.” Nie odwróciła się.

Westchnął.

Doszła do swojej garderoby. Wyciągnęła rękę, żeby nacisnąć kłamekę. I właśnie w tym momencie przez moment na niego spojrzała. Uśmiechnęła się lekko. Po chwili już jej nie było.

Wszedł do foyer. Schody na balkon odgradzała wciąż taśma, ale była ona opuszczona i rozciągnięta, co oznaczało, że pracownicy i aktorzy już tam wchodzili. „Ciekawe, czy zdążyli wymienić fotel?”, pomyślał.

Otworzył drzwi na widownię i wszedł do środka sali. Na scenie nie było jeszcze nikogo. Usiadł tam gdzie zwykle, pod nawisem balkonu, z prawej strony, bliżej wejścia.

Na widowni także widać było ślady ostatnich wydarzeń. Niektóre fotele były zniszczone: siedzenia opuszczone nienaturalnie w dół, jeden czy dwa podłokietniki wyrwane. Poza tym wszystko wyglądało jak dawniej. Tylko z trudem przypomniał sobie stojący na scenie karabin maszynowy, plujący ogniem w stronę uciekających w popłochu ludzi.

Pomyślał o dyrektorze. Czy jego duch będzie teraz straszył nocą w murach tego teatru? Na pewno takie opowieści wkrótce się pojawią. Za kilkadziesiąt lat, gdy ordynarna dosłowność tej śmierci nie będzie już nawet wspomnieniem, być może stanie się to kolejną atrakcją turystyczną.

Dekoracje z tamtego feralnego wieczoru zostały już rozebrane. Scena była czarna i pusta. Gdy wszedł na nią reżyser – również ubrany na czarno – nie było go prawie widać. Jaśniały tylko jego dłonie trzymające plik białych kartek i twarz okolona przystrzyżoną bródką.

– Zapraszam – powiedział.

Zarówno jego głos, jak i odgłos kroków na scenie rozchodziły się szerokim echem w tym pustym, wielkim pomieszczeniu.

I zadziwiające: już samo to wyglądało jak fragment przedstawienia. Jakby to scena stwarzała spektakl, a nie to, co się na niej konkretnie robi.

Po chwili pojawiła się na niej również Wilczyńska. Ubrana była ciągle prywatnie: w jasne dżinsy z dziurami i kremowy, rozciągnięty, ażurowy sweter, spod którego prześwitywała czarna bluzka.

Staneła na środku w oczekiwaniu na dalsze polecenia. Jej widok sprawiał mu przyjemność. Mógłby tak siedzieć tu i patrzeć na nią do końca życia.

– Halo! Zapraszam na scenę! – Reżyser ponaglił pozostałych aktorów.

Po chwili pojawili się i oni: kobieta i mężczyzna. Znał ich już z poprzednich prób. Reżyser zszedł na widownię i usiadł w pierwszym rzędzie.

– Kochani – powiedział. – Najpierw parę słów wstępu. Spotkała nas wszystkich straszna tragedia. Ale musimy otrząsnąć się i iść dalej. Mamy wobec Tomasza ogromny dług, spłaćmy go naszą pracą. Jak długo na tych deskach będą stać aktorzy, tak długo on i jego dzieło będą w jakiś sposób żywe. Sztuka, której próby znów dziś rozpoczynamy, będzie pierwszą premierą po jego śmierci. Uczyńmy z niej nasz hołd dla niego.

– Hipokryta. – Usłyszał głos Wilczyńskiej. Powiedziała to cicho, pod nosem, lecz słysząc to było nawet tu, gdzie siedział Rozłucki. Reżyser udał, że tego nie usłyszał.

– Dobrze – powiedział, zaglądając w kartki. – Akt drugi, scena piąta. Proszę bardzo!

Próba zakończyła się. Tym razem obyło się bez awantur na koniec. Reżyser zebrał swoje notatki i wyszedł. Rozłucki wstał i podszedł do skrajności sceny.

– Hej – powiedział do Wilczyńskiej. – Nie masz ochoty na obiad?

Spojrzała na zegarek na rękę.

– W sumie... – odpowiedziała. – Idziemy do bufetu?

– Nie – odparł. – Wyjdźmy gdzieś na miasto. Za ciężka tu atmosfera.

Spojrzała w kierunku balkonu. Wzdrygnęła się.

– Masz rację – powiedziała. – Dobrze, że stało się to tam, nie tu. Nie wiem, jak wtedy dałabym radę w ogóle grać.

– Tym bardziej chodźmy.

Wyszli z teatru.

– Z tym, że nie wiem za bardzo gdzie – powiedział, gdy byli już na parkingu. – Nie jestem z Olsztyna, mało znam tu lokali. Przy zamku po drugiej stronie Łyny jest niezła restauracja. Może tam?

– Za drogo – odparła. – Nie stać mnie teraz na takie ekstrawagancje.

– Zapraszam cię – powiedział. – To mój pomysł, więc płacę.

Jego też w sumie nie było na to stać.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego przelotnie. – No nie wiem...

– Jestem bogatym psychologiem z Warszawy – powiedział. – Chcę w ten sposób wesprzeć lokalną kulturę.

Zaśmiała się lekko.

– No dobrze. Jak chcesz.

Zeszli ulicą Marii Skłodowskiej-Curie, potem skręcili w prawo i idąc ulicą wzdłuż parku, obeszlili zamek od dołu. Przekroczyli Łynę mostem obok browaru, a potem skręcili w lewo wzdłuż jej biegu. Niewielka brukowana uliczka doprowadziła ich do białego budynku stojącego na brzegu rzeki dokładnie naprzeciwko zamku. Weszli do środka.

Było ciepło, więc wybrali miejsce na tarasie. Rozciągał się stąd widok na park przy Łynie i ładną fontannę w kształcie dziecka siedzącego na rybie. Kelner przyniósł menu. Rozłucki spojrzał na ceny i postanowił już więcej o tym nie myśleć. Wybrał spaghetti z wątróbką w sosie buraczkowym. Wilczyńska zamówiła carbonarę.

– Masz ochotę na wino? – spytał.

– Tak, czemu nie – odpowiedziała. – Myślę, że mi się należy po tym

wszystkim.

Domówił więc jeszcze lampkę białego pinot grigio, a dla siebie tonic z cytryną.

– Ty nie pijesz? – spytała.

– Lepiej nie – odpowiedział. – A już na pewno nie tu. Kiedyś wypilem w tej restauracji lampkę wina i nie za dobrze to się skończyło.

– Nie za dobrze, czyli jak?

– Trafiłem do izby wytrzeźwień.

– To musiała być bardzo duża lampka – zaśmiała się.

– Lampka była normalna, ale dość szybko przyprowadziła koleżanki – odpowiedział.

Kelner przyniósł ich dania. Zaczęli jeść. Jego makaron, pomimo tak niespotykanego sosu, był bardzo smaczny. Lekko kwaśny, przyjemnie pikantny, z wyraźnym posmakiem wątróbki.

– Jak twoje? – spytał.

– Bardzo dobre – odpowiedziała. – Miło czasami zjeść coś innego. Pani Jagódka gotuje smacznie, ale dość monotannie. Ciągłe kotlety, gołąbki, mięso w sosie. Bardziej dla mężczyzn niż dla kobiet.

Zjedli i zamówili jeszcze lampkę wina dla niej, a dla niego espresso. Zrobiło się bardzo miło. Nie na tyle jednak, by móc zapomnieć o ostatnich wydarzeniach.

– Nie mogę przestać o tym myśleć – powiedziała.

– To zrozumiałe – odparł.

– Nie lubiłam go, czasami nawet bardzo, i teraz mam z tego powodu wyrzuty sumienia.

– Niepotrzebnie.

– Życzyłam mu śmierci – powiedziała. – Czasami.

– Gdyby takie życzenia się spełniały, połowa ludzi na świecie by umarła – odpowiedział.

– Lamka też nie lubiłam.

– Nie jesteś temu winna – powiedział z naciskiem.

– Jesteś pewien? – spytała, patrząc na fontannę. – Czasami mam

wrażenie, że moje myśli potrafią zmieniać rzeczywistość.

– Złudzenie – odparł. – Wiele osób je miewa.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego. Poczuli przyjemne ciepło.

– Oczywiście. To był zwykły zbieg okoliczności. Nie lubiłaś kogoś i ten ktoś zginął. Nie dlatego jednak zginął, że go nie lubiłaś. Zginął, bo ktoś go zabił.

– Może jestem czarownicą? – spytała.

– Jeśli już, to czarodziejką – odpowiedział.

Uśmiechnęła się.

– Wino i komplementy – powiedziała. – Podoba mi się.

Naraz spoważniała.

– Nie pomyślałeś przez chwilę, że zrobił to sam?

– Kto? – Nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– Dyrektor.

– Dyrektor?

– Sam przymocował ten karabin, sam go wycelował i sam nastawił na moment, gdy ten drugi na scenie zaczął strzelać?

– Skąd o tym wiesz? O tym przymocowanym karabinie?

Nie była to póki co wiedza ogólnie dostępna.

– Staszek mi powiedział.

No tak, on mógł to wiedzieć. Sam go w końcu pomógł odkryć. Pewnie pochwalił się tym już wszystkim w teatrze.

– Dlaczego tak myślisz? – spytał.

– Byłoby to w jakiś sposób do niego podobne. Ostatnia wielka manipulacja. Genialnie wyreżyserowana własna śmierć.

– Tylko dlaczego miałyby chcieć się zabić?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Bo go chcieli wyrzucić z jego ukochanego teatru? Może taki sobie wymyślił sposób na pożegnanie...

Popatrzył na nią uważnie.

– Myślisz, że byłby do czegoś takiego zdolny? – spytał.

– O, to na pewno. Nie wiem, czy rzeczywiście to zrobił, ale byłoby to na pewno bardzo w jego stylu. Nie pomyślałeś, że to wszystko było

zadziwiająco dobrze zgrane? Ten karabin maszynowy na scenie, który nagle zaczyna naprawdę strzelać, i tamten na górze? Kto inny byłby w stanie tak to zorganizować?

– Nie wiedzieliście o tym?

– Że nie będzie odgłosów z taśmy? Nie mieliśmy pojęcia. Byliśmy tak samo przerażeni jak widzowie.

Zastanowił się.

– Nie – odpowiedział. – To raczej nie był on.

– Dlaczego?

– Odkryliśmy pewien ślad – powiedział powoli. – Ktoś prawdopodobnie widział mordercę. I to na pewno nie był dyrektor. On był wielkim, zwalistym chłopem, a tamten... tak nie wyglądał.

Zdradził jej w ten sposób tajemnicę śledztwa, ale nie potrafił oprzeć się pokusie. Pokusie zrobienia na niej wrażenia.

Jej zielone oczy spojrzały na niego badawczo.

– Odkryliśmy? – spytała. – Jesteś z policji?

Przełknął ślinę.

– Pan Staszek ci nie mówił?

– Nie.

Cholera.

– Jestem psychologiem. To akurat prawda. Ale pracuję dla nich.

Pokiwała głową.

– Czyli te twoje badania to ściema? – Jej głos stał się nagle matowy i chłodny.

– Tak.

– A już zaczynałam cię lubić.

Obudził się. Był ranek. Ptaki darły się wokół jak opętane. Otworzył oczy. Zobaczył rzekę. Płynęła z dołu do góry.

Odkleił policzek od rękawa kurtki. Ręka, która służyła mu dziś za poduszkę, zdrętwiała tak, że prawie jej nie czuł. Opuścił nogi na ziemię i usiadł. Rzeka wróciła do normalnego położenia.

„A więc to tak”, pomyślał. Spał dzisiaj na ławce w parku. Poszedł w ślady komisarza Sądeckiego. Dobrze, że i jego nie znalazł patrol, bo zaliczyłby dziś znowu izbę wytrzeźwień.

Rozejrzał się. Nie odszedł aż tak znowu daleko od restauracji. Zobaczył przed sobą zamek, a z boku niewielki, za to dość wysoki most nad Łyną. Pamiętał jeszcze, że zachował na tyle rozsądku, by nie spróbować upijać się alkoholem z karty. Poszedł do sklepu na ulicy Wyzwolenia i kupił tam najtańszą whisky. Kosztowała czterdzieści dziewięć złotych – to też pamiętał – i nigdy wcześniej nie widział jej na oczy.

Potem musiał tu wrócić. Butelka leżała obok niego pod ławką. Chciało mu się strasznie pić, lecz głowa nie bolała go aż tak znowu mocno. Rzeką przepływał właśnie kajak. Człowiek siedzący w jego środku popatrzył na niego między jednym a drugim machnięciem wiosłem.

Spojrzał na zegarek. Minęła szósta rano. Że też komuś się chciało o tej porze... Gdzie on chciał dopłynąć, do Kaliningradu?

Wstał. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo przemarzył. W nocy było jeszcze dość chłodno. Przydałyby się mu teraz gorący prysznic i herbata. Dobrze, że był jeszcze trochę pijany, to zawsze grzeje.



Ruszył wzdłuż Łyny, przeszedł pod mostem i poszedł dalej w kierunku swojego mieszkania. Obchodząc zamek, podjął decyzję: nigdy więcej takich akcji. Czas wziąć się ostro do roboty. Jedyne sposoby, jaki teraz miał, by zrehabilitować się choć trochę przed Wilczyńską, to odnaleźć mordercę.

Przyszedł do domu, wziął prysznic, po raz kolejny konstatuując, że trzeba by zamontować jakąś zasłonkę nad wanną, umył zęby i położył się do łóżka, owijając się ciasno swoją cienką kołderką.

Mimo tego gruzu w głowie nie mógł zasnąć. Zaczynał trzeźwieć i myślał już niestety całkiem jasno. Może wolno i trochę nieźbornie, ale jasno. Czy dyrektor naprawdę mógł sam zaaranżować to wszystko? Jeśli tak, kim wobec tego był człowiek ćwiczący strzelanie w lesie? Może był zwykłym, przypadkowym miłośnikiem militariów? Który postanowił postrzelać sobie ze swojej nie do końca legalnie posiadanej broni?

Nie, mimo wszystko nie brzmiało to sensownie. Może jednak w takim razie dyrektor miał współnika? Wspólnika w samobójstwie? To też nie wydawało się zbyt mądre. Naprawdę powinien już zasnąć.

W końcu mu się to udało. Musiał spać naprawdę mocno, bo gdy się obudził, poczuł, że poduszka przy jego ustach mokra jest od śliny. Poczuł coś jeszcze. Że boli go głowa. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Wstał, połknął tabletkę i usiadł w fotelu. Dokładnie wtedy zadzwonił telefon. Spojrzał z niechęcią na wyświetlacz. Weronika. Naprawdę nie miał ochoty teraz odbierać. Odebrał.

– Cześć! Dobra nasza! – Usłyszał w słuchawce.

– W jakim sensie? – wymamrotał.

– Analiza balistyczna pocisków znalezionych w lesie wykazała, że zostały wystrzelone z karabinka, który posłużył do zabójstwa dyrektora. Odległość tarczy od stanowiska strzeleckiego i kąt nachylenia strzału też mniej więcej się zgadza.

– A. – To było jedyne, co zdołał powiedzieć. Czyli nie był to niewinny miłośnik militariów.

– Są też wiadomości nie do końca dobre. To zdjęcie dowodu możemy sobie w dupę wsadzić. Nie ma kogoś takiego. To falsyfikat. Numer PESEL nie zgadza się z nazwiskiem. Szkoda.

– Szkoda – przytaknął.

– Ale mam też z kolei coś na osłodę. – Weronika terkotała jak najęta, co było zupełnie od niej niepodobne. – Dostałeś podwyżkę!

– O! – Super tak porozumiewać się samymi samogłoskami.

– Jako że przejęłam wszystkie funkcje Sądeckiego, wystąpiłam o to do komendanta. Zgodził się. W przyszłym miesiącu, a to już całkiem niedługo, możesz się spodziewać wyższej pensji.

– Dzięki. Cholernie się przyda. – Ciekawe, ile wczoraj przepuścił?

– No i „federalni” dopuścili mnie do swojego śledztwa. Prowadzimy je teraz wspólnie – my i oni. Po tym, co odkryłeś, nie jestem już dla nich głupią policjantką z prowincji. Czyli to jednak ja dziękuję tobie, nie ty mi.

– A co z tymi śladami opon? Znaleźliście coś?

– Coś tam znaleźliśmy. Ale jest ich parę i nie są zbyt wyraźne. „Federalni” wysłali je do Warszawy. Mają tam program komputerowy, który pomoże je zanalizować. Musimy jednak poczekać na wyniki. A, no i dostaliśmy odpowiedź z Czech. Karabin faktycznie został kupiony u nich, w Czeskim Cieszynie. Niestety, dokument przedstawiony przez nabywcę to ten sam fałszywy dowód ze zdjęcia.

– Spryciarz – skomentował Rozłucki.

– Sprawdzamy właśnie, czy aż tak bardzo. Jeśli pojechał tam pociągiem, może został po tym jakiś ślad. Może nie był aż tak cwany i zapłacił na przykład kartą? Gdyby tak było, możemy go odszukać. Sprawdzimy, czy ktoś z pracowników teatru, a nawet szerzej – mieszkańców Olsztyna – nie kupował ostatnio biletów do Cieszyna. Niestety, jeśli zapłacił gotówką, to nic z tego.

– Bilety nie są imienne?

- Nie. Tylko te kupione przez internet.
- Coś mi się wydaje, że nie popełnił tego błędu.
- Nie wiadomo. Przestępcy często wpadają przez takie głupie niedopatrzienia.

Zakończyli rozmowę. Odłożył telefon na podłogę przy fotelu. Miło posłuchać, że ktoś jest w tak dobrym nastroju.

Zamknął oczy. Podwyżka. Kto by pomyślał? Może kiedyś dadzą mu nawet mundur? Poszedłby w nim do ślubu z Wilczyńską. Policjanci zrobiliby szpaler, a Weronika rzucałaby przed nimi kwiaty. Doktor Goczał mógłby robić za księdza.

Zasnął.

Obudził się po dwóch godzinach. Wstał z fotela, zjadł coś – stary chleb z jeszcze starszym jogurtem truskawkowym – potem jeszcze raz wziął prysznic i jeszcze raz umył zęby. Głowa już go nie bolała i czuł się nad wyraz świetnie. „Nad wyraz świetnie” – spodobała mu się ta fraza; powtarzał ją więc sobie raz za razem w myślach, gdy się ubierał. Gdy już to zrobił, stanął na środku swojego zapyziałego apartamentu. Co dalej? Co powinien teraz zrobić? Policjanci z Warszawy robili swoje, Weronika była w siódmym niebie, a on niedawno postanowił, że to jednak jemu uda się dorwać mordercę. Dorwie go, a potem przyniesie Wilczyńskiej w zębach jak kot upolowaną mysz i złoży u stóp swojej pani. Tylko jak?

No cóż, nie miał póki co lepszego pomysłu, niż pójść do teatru. Tak. Co innego mógłby zrobić? Pójdzie tam i zobaczy, co się stanie.

Wyszedł. Pogoda zrobiła się... zrobiła się nad wyraz świetna. Słońce świeciło jak w najprawdziwsze lato. Tylko powietrze ciągle było trochę chłodne.

Dwadzieścia minut później był pod teatrem. Wszedł do środka.

W garderobach nie było nikogo. Zajrzał na scenę. Trwała tam znowu próba. Zdaje się, że tej samej sceny, co poprzednio.

Cofnął się i przez foyer wszedł na widownię, ciesząc się, że będzie

mógł znowu bezkarnie wgapić się w Wilczyńską. Usiadł w tym samym miejscu, co poprzednio.

Tym razem jednak nie było mu to dane. Reżyser dostrzegł go.

– Przepraszam bardzo – zwrócił się do niego. – Trwa próba i nie jest to próba otwarta dla publiczności. – Słysząc było po głosie, że jest podenerwowany. – Mógłby pan łaskawie opuścić widownię?

– Dyrektor Kaletnik, gdy jeszcze żył, pozwolił mi uczestniczyć we wszystkich próbach – odpowiedział.

– Dyrektor Kaletnik na zawsze pozostanie w naszej pamięci. Ale reżyserem tego spektaklu jestem ja i proszę pana, aby pan wyszedł. Przeszkadza mi, gdy ktoś przygląda się mojej pracy na tym etapie. Zapraszam na próbę generalną, wtedy będzie pan mógł siedzieć tutaj do woli.

Rozłucki spojrzał na Wilczyńską. Nie patrzyła na niego. Widać było, że też jest zdenerwowana. Atmosfera wydawała się napięta. Postanowił nie dokładać jej stresu. Wstał.

– Oczywiście. Przepraszam – powiedział.

Wyszedł.

Wrócił za kulisy. Natknął się tam na pana Staszka. Po jego twarzy błąkał się nieokreślony uśmiezek.

– Pogonił pana? – zagadnął wesoło, widząc jego minę.

– Tak jakby – kwaśno odparł Rozłucki.

– Pan się nie dziwi. Od rana tam skrzy. Iskry latają jak w popsutym transformatorze.

– Coś się stało?

– To się stało, że pan reżyser wyobrażał sobie, że teraz, gdy tu wszystkim rządzi i może przydzielać role, komu tylko chce, Agnieszka wskoczy mu do razu łóżka. A ona, pan to sobie wyobrazi, ciągle nie ma na to ochoty!

Rozłuckiemu od razu poprawił się humor.

– O to poszło?

– O to i o to, że pan reżyser ogólnie strasznie się rządzi. Mówię panu, najlepszy sposób, żeby zobaczyć, jakim kto jest człowiekiem,

to zrobić z niego dyrektora. Od razu widać, kto jest prostak i cham, a kto człowiek z klasą.

Niewątpliwie. Ciekawe jak on, Rozłucki, zachowałby się w takiej sytuacji? Nigdy nie było mu dane przejść takiej próby i najprawdopodobniej nigdy nie będzie.

– Długo tak będą jeszcze próbować? – spytał mężczyznę.

– Myślę, że długo. Ten dureń się zawziął i będzie chciał ją przeczłagać. Ale spokojnie, to twarda zawodniczka.

Wyobraził ją sobie stojącą tam, na pustej scenie, naprzeciwko człowieka, który chce ją zmusić do uległości lub stłamsić. Sytuacja nie do pozazdroszczenia.

– Musi ją to sporo kosztować – powiedział.

– Na pewno. – Mężczyzna spoważniał. – Ostatnio nie jest chyba w najlepszej formie. Jeszcze ta historia z dyrektorem...

– Dzieje się coś? – zaniepokoił się Rozłucki.

– Wie pan, zawsze miała skłonność do dziwnych wypadków. A to zacięła się w windzie, a to wpadła na drzwi, a to wybiła sobie palec... Ale ostatnio takie historie przydarzają jej się częściej niż dawniej. Pewnie ze stresu.

– Pewnie tak.

– A jak tam... nasza sprawa? – Pan Staszek zmienił temat i ściszył głos.

– W porządku. Powoli wszystko toczy się do przodu – ostrożnie odparł Rozłucki.

– A te rzeczy, które znaleźliśmy w lesie... Przydały się?

– Nawet bardzo.

– Te kule... pasują?

– Tak.

– Czyli to był on?

– Na to wygląda.

Jego samozwańczy pomocnik pokręcił głową.

– Nieźle – powiedział. – Jest adrenalina, nie można powiedzieć.

– Można to polubić – zgodził się Rozłucki.

– Ma szeryf dla mnie jakieś nowe zadanie? – Mężczyzna uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie, na razie nie.

– Jakby co, trzymam kolty w pogotowiu – powiedział pan Staszek, modulując głos.

– Jasne. Będę pamiętał.

– Dobra, lecę. – Pracownik teatru uderzył się dłońmi po udach. – Robota czeka. Ale jakby co... – Wycelował w Rozłuckiego swój palec wskazujący.

– Będę dzwonił. – Rozłucki kiwnął głową.

Mężczyzna odwrócił się, jakby chciał odejść, ale w pół obrotu zmienił zdanie.

– Wpadnie pan wieczorem na monodram? – spytał.

– Jaki monodram?

– Wilczyńskiej, w Baszcie. Robię tam za technicznego.

– W tym brzydkim budynku nad Łyną?

– Tak, o dziewiętnastej. Dawno go już nie grała, ale teraz, jak nie ma przedstawień w teatrze, trzeba na czymś zarabiać, no nie?

Pewnie, że wpadnie. Jakżeby mógł nie wpaść? Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta. Do monodramu były jeszcze trzy godziny. Nie było sensu spędzać ich w teatrze, skoro i tak reżyser przegonił go z próby. Postanowił zrobić więc coś, o czym od dawna myślał.

Wyszedł z kulis i białym korytarzem dotarł do foyer. Tędy miał bliżej, niż gdyby wyszedł przez parking, poza tym miał infantylną nadzieję, że jeszcze zobaczy albo chociaż usłyszy Wilczyńską.

Nadzieja niespodziewanie się spełniła.

Gdy mijał drzwi prowadzące na widownię, te nagle otworzyły się i wyszła przez nie Wilczyńska. Tuż za nią wyszedł, a w zasadzie wypadł reżyser.

– Agnieszka, poczekaj! – Złapał ją za rękę.

Stanąła jak wryta i nie odwracając się do niego, powiedziała:

– Czy mogłabym cię prosić, żebyś od tego momentu nie rozmawiał ze mną bez towarzystwa innych osób? – Była naprawdę wściekła. – Chcę mieć zawsze świadków naszych rozmów. W porządku?

Oboje zdawali się go nie widzieć.

– Dlaczego?

– Bo jesteś psychopata, Krystian – powiedziała przez zaciśnięte usta. – A teraz pozwolisz, że pójdę do toalety.

Dopiero teraz zauważyła Rozłuckiego.

– Jeszcze jeden – prychnęła.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Zostali we dwóch. Reżyser spojrział na niego ze złością.

– Jeszcze pan tu jest? – spytał.

– Tu również nie mogę przebywać?

Reżyser podszedł do niego powoli. Wyglądało to tak, jakby miał ochotę go uderzyć.

– A w zasadzie w jakim charakterze pan tu się ciągle kręci? – spytał.

– Prowadzę badania – odparł Rozłucki. – Świętej pamięci dyrektor Kaletnik wyraził na nie zgodę.

– Świętej pamięci dyrektor jest już, jak pan słusznie zauważył, świętej pamięci. Teraz ja decyduję, kto tu może prowadzić badania, a kto nie. I szczerze powiedziawszy, nie życzę tego sobie. Przeżyliśmy ostatnio ciężkie chwile i potrzebujemy teraz spokoju. Jeszcze dziś wydam odpowiednie dyspozycje na portierni.

– Czyli nie mogę już tu przychodzić?

– Jeśli pan kupi bilet, może pan przyjść na któreś z naszych przedstawień. Jak każdy inny mieszkaniec tego miasta.

– Nie gracie teraz żadnych przedstawień – zauważył Rozłucki.

– A to pech! – powiedział reżyser, odwrócił się i odszedł.

Wyszedł głównym wejściem. Stał przed drzwiami. Ulicą w dole jechały samochody. Po drugiej stronie popiersie Stefana Jaracza patrzyło na teatr. Miał wrażenie, że przypatruje się właśnie jemu. Zbolała, pełna napięcia twarz wielkiego aktora wbijała w niego swój badawczy wzrok.

„Jeszcze jeden”, przypomniał sobie słowa Wilczyńskiej. Zabolało, jak cholera. Tym więc dla niej był? Jeszcze jednym przypierdalającym się do niej pojebem?

Zszedł po schodach. Do tego jeszcze ten kretyn, który właśnie zabronił mu wstępu do teatru. To też był mocny cios. Przez te parę tygodni, które minęły od jego powrotu do Olsztyna, to wszystko stało się dla niego bardzo ważne. A teraz ktoś mu to odebrał.

Mógłby co prawda poprosić Weronikę, żeby porozmawiała z szanownym panem reżyserem i przekonała go do zmiany jego



decyzji, ale czuł, że właśnie tego nie powinien robić. Reżyser najwyraźniej nie wiedział, jaka jest jego prawdziwa rola, i chyba tak powinno pozostać.

Na pocieszenie czekał go teraz monodram w wykonaniu Wilczyńskiej. Będzie mógł ją znowu zobaczyć. I to zobaczyć z całkiem bliska. Sala, w której miał być grany, była o wiele mniejsza niż sala teatralna i widzowie siedzieli o wiele bliżej artystów.

Ruszył w kierunku Starego Miasta. Minął ratusz i ulicą biegnącą lekko w dół poszedł w kierunku gotyckiej Wysokiej Bramy. Zanim jednak przez nią przeszedł, dostrzegł w dole, w parku przy Łynie niecodzienny widok. Wzdłuż ulicy przy browarze nad rzeką stały rzędem zaparkowane radiowozy. Coś się tam musiało dziać. Spojrzał na zegarek. Do rozpoczęcia spektaklu Wilczyńskiej miał jeszcze sporo czasu. Poszedł w tamtym kierunku.

Po chwili był już na miejscu. Radiowozy stały puste, lecz widać było ludzi – w mundurach i bez – kręcących się w pobliżu kolejowych wiaduktów nad Łyną. Ruszył w tamtą stronę. Wkrótce drogę zagrodziła mu policyjna taśma.

Tuż za nią stał policjant w mundurze, którego znał z widzenia. Był na pewno w hali Urania, gdy odbywała się tam parada. Podszedł do niego w nadziei, że skoro on rozpoznał jego, to i policjant będzie mniej więcej wiedział, kim on jest.

– Cześć – zagadnął. – Stało się coś?

Policjant spojrzał na niego niepewnie. Widać było, że coś tam kojarzy, lecz niezbyt dokładnie.

– Zygmunt Rozłucki, psycholog – odświeżył mu pamięć. – Ten od Weroniki Stankiewicz i komisarza Sądeckiego.

Policjantowi najwyraźniej to wystarczyło.

– Nic szczególnego – odpowiedział. – Przeszukujemy znowu teren tego pierwszego morderstwa. To znaczy „federalni” przeszukują, my tylko zabezpieczamy.

– Jest tu gdzieś Weronika? – spytał Rozłucki.

– Nie widziałem jej – odparł policjant.

– Mogę wejść? – Wskazał teren za taśmą.

– Lepiej nie – odpowiedział policjant. – Wiesz, „federalni”...

Pozostało mu więc przypatrywanie się wszystkiemu zza taśmy. Odszedł trochę w bok, żeby lepiej widzieć. Zobaczył techników brodzących w rzece, nachylonych nad wodą i przypatrujących się wodorostom porastającym jej dno. Na brzegu, przy metalowej barierze oddzielającej wąską uliczkę biegnącą wzdłuż Łyny od jej brzegu, stał, opierając się o nią plecami, mężczyzna z czymś w rodzaju laptopa wiszącego mu na piersiach na specjalnej uprzęży. Z boku urządzenia był niewielki joystick, który mężczyzna trzymał w dłoni, jakby czymś kierował. Po chwili usłyszał charakterystyczny dźwięk – ni to warkot, ni to brzęczenie. Spojrzał w górę. Wśród koron drzew latał dron. Niewielki, biały, wyposażony w cztery wirniki. Podlatywał do kolejnych drzew, zawisał przy nich, jakby podglądał żyjące tam wiewiórki i ptaki.

Widowisko było fascynujące, więc jakiś czas przyglądał mu się z zainteresowaniem. Jego jednak czekało coś znacznie ciekawszego. Pożegnał się gestem ręki z policjantem i odszedł.

Ruszył w kierunku zamku. Dotarł do restauracji, w której jadł obiad z Wilczyńską, przeszedł przez mostek nad Łyną i wzdłuż wysokiej, ceglanej ściany zamku poszedł w kierunku kamieniczek Starego Miasta. Przekroczył potem dawną fosę, w której był teraz niewielki amfiteatr, skręcił w prawo i brukowaną uliczką poszedł w kierunku Baszty. Na miejscu był za kwadrans dziewiętnasta.

Kupił bilet. Miejsca były nienumerowane. Tym razem kotara była już odsunięta, więc zszedł od razu na dół. Ludzi nie było zbyt wielu. Może trochę ponad połowa widowni. Zajął miejsce w czwartym rzędzie po prawej stronie. Przez chwilę korciło go, żeby usiąść w pierwszym, ale ponieważ był on prawie cały wolny, doszedł do wniosku, że jego obecność byłaby wtedy zbyt nachalna. Mogłaby wyglądać wręcz na jakiś rodzaj manifestacji. Tak, czwarty rząd był w sam raz.

Czekał niecierpliwie, coraz bardziej się denerwując. Żołądek ścisnął

mu się i rozkurczał na przemian. Czym tak w zasadzie się stresował? Po prostu chyba tym, że za chwilę ją zobaczy. I że ona być może dostrzeże jego.

Minęła dziewiętnasta. Na scenę wyszło dwóch muzyków. Akordeonista o twarzy chłopca, u którego tylko wyraźnie już widoczne siwe nitki w bujnych kędzierzawych włosach świadczyły, że dawno już nim nie jest, i łysy gitarzysta z krótko przystrzyżoną brodą. Usiedli na dwóch czarnych krzesłach po prawej stronie.

Nie było tu dzwonek ani komunikatów puszcanych z taśmy o zakazie nagrywania i konieczności wyłączenia telefonów. Nikt też nie zapowiedział, co się za chwilę rozpocznie. Światło na widowni po prostu przygasło, na scenie pojawił się spot, a potem wyszła ona.

Stała w jaskrawym kole światła. Włosy miała w nieładzie. Ubrana była w coś rozciągniętego i zwisającego z niej jak worek. Zapaliła trzymanego w ręku papierosa. Zaciągnęła się i wypuściła powoli dym w kierunku widowni. Wyglądało to tak, jakby dmuchała tym dymem widzom w twarz.

Zapadła cisza. Nikt nie poruszył się ani nie wydał żadnego dźwięku. Wilczyńska też nic nie mówiła. Wodziła wzrokiem po widowni, patrząc ludziom prosto w oczy. Niektórzy wytrzymywali to spojrzenie, inni spuszczaali wzrok.

Trwało to dość długo. A może tylko tak się wydawało? Usłyszał, jak siedząca obok kobieta nerwowo przełyka ślinę. Napięcie rosło, stawało się wręcz nieznośne.

Gdy w końcu zaczęła mówić, było to tak nagłe, że aż bolesne. Jakby ktoś włączył nagle pilarkę w pustym kościele. Rozłucki złapał się na tym, że dopiero po chwili zaczął rozumieć słowa.

– Ja to już myślałam nawet, żeby zmienić płeć – powiedziała i zaciągnęła się znowu papierosem. – Tylko nie mogę się póki co zdecydować, na którą – mówiąc to, wypuściła dym. – Obie są gównie, obie są do dupy. A to, co pomiędzy, jest nawet jeszcze gorsze. Tak, tak, jestem homofobką. Ale nie bójcie się, jestem też heterofobką. Generalnie jestem fobką. Was też nie lubię, gdybyście się mieli ochotę zapytać. Przyjęte jest, żeby w takiej sytuacji opowiedzieć coś o sobie. Jak nam minęło dzieciństwo, które z rodziców nas molestowało i tak dalej. Czy ksiądz proboszcz wkładał nam za majteczki swoje łapy, a jeśli nie, to dlaczego. No więc nie wkładał, przykro mi. Dzieciństwo miałam, jak to się mówi, szczęśliwe. Jeśli w ogóle można być szczęśliwym, będąc małym, nic niewiedzącym o życiu gnojem, którego nikt nie traktuje poważnie i od którego nic nie zależy. Teraz w sumie też nic ode mnie nie zależy, ale przynajmniej mogę sobie sama kupić w sklepie alkohol.

Papieros, zaciągnięcie, wypuszczenie dymu.

– Kurwa, jak mnie to wszystko wkurwia! – Elegancka pani siedząca obok Rozłuckiego aż odchyliła się, to słysząc. – Nawet sobie tego, kurwa, nie wyobrażacie! Skąd się w ogóle bierze w człowieku coś takiego? Dlaczego jednych wkurwia, a innych nie wkurwia? Dlaczego jeden będzie ciągle jeszcze w miarę zadowolony, leżąc w rowie po zbiorowym gwałcie, a drugiemu będzie przeszkadzało ziarnko grochu pod dwudziestoma pierzynami? Bardzo chciałabym to wiedzieć. Bo mnie właśnie akurat przeszkadza. Mnie właśnie akurat wkurwia. Wy też mnie wkurwiacie, gdybyście się mieli ochotę

zapytać.

Wydawało się, że ludzie na widowni przestali wprost oddychać. Dym z papierosa snuł się w ostrym świetle punktowego reflektora i wypełniał powoli salę. Ktoś zakaszał. Wilczyńska podeszła bliżej pustego pierwszego rzędu i wbiła wzrok w siedzącego w drugim rzędzie mężczyznę. Znow się zaciągnęła.

– A najbardziej to mnie już chyba wkurwia to tak zwane życie erotyczne – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Kurwa! Kto to w ogóle wymyślił? – Mężczyzna spuścił wzrok. – Nie lepiej by nam było bez tego? Gdyby naprawdę znajdowano dzieci w kapuście, czy to nie byłoby prostsze? A tak? Te wszystkie gadki szmatki, cukiereczki... O, naprawdę masz taką ważną pracę? Bez ciebie nie wysłaliby tego rocznego raportu? Słucham sobie tego czasem i myślę, że wolałabym być muzulmanką. Taką, której mąż wysadził się w jakimś zamachu. I która ma to wszystko raz na zawsze z bani. Ale nie. Klikam i umawiam się na kolejną randkę. Na portalu symulacja.pl. Idę i symuluję: zainteresowanie, wrażliwość, nawet kobiecość potrafię zasymulować. Kobiecość, kurwa... Co to w ogóle jest? Jakies emocjonalne, infantylne rozmemłanie. Nie życzę sobie, by wymagano ode mnie czegoś takiego. Rozumiecie? Nie życzę sobie! – prawie krzyknęła. – Dlaczego, powiedzcie, dlaczego tak na dobrą sprawę mam być kobieca?

Podniosła wzrok na dalsze rzędy, zostawiając w spokoju biednego, spoconego już pewnie faceta.

– Czy może mi ktoś to wytłumaczyć? Mężczyźni już przecież nie muszą być męscy, już im odpuszczono. Mężczyzna może sobie nawet być ciotą i nikt, kto nie jest łysy i nie ma skórzanej kurtki, nie ma prawa mu nic złego powiedzieć. A kobieta ciągle, kurwa, musi być kobieca! Może sobie nawet być lesbą, ale kobieca musi być cały czas! Inaczej, jak w średniowieczu, na stos. No więc idę. Wchodzę, patrzę, siedzi. Zobaczył mnie. Niemal słyszę, jak myśli: „Mogłaby być ładniejsza”. Ale zaraz potem: „Ale przynajmniej ma cyce”. „A skoro ma cyce – widzę, jak kombinuje – to pewnie to drugie też ma.

Wszystkie mają”. Uśmiecha się zadowolony. Czyli jest mój. Poderwałam go. Dalej jest normalnie. Jak mam pecha, to nawet spędzamy z sobą parę lat. Kończy się też normalnie. Zaczyna mnie wkurwiać. Prędzej czy później, wszyscy zaczynają. Był taki jeden, co mnie nie wkurwiał. To znaczy też mnie wkurwiał, ale w taki, no nie wiem, uroczy sposób. Mówił do mnie: „ty głupia cipo”. Słodkie, nie? Przy nim czułam się prawdziwą kobietą. Coś w nim jednak było. Tylko nie mogę sobie, kurwa, przypomnieć co. A, już wiem. Chciał mnie. Już to jedno mnie przekonuje, że niepotrzebnie się z nim wiązałam. Nie ufam mężczyznom, którym się podobam. Drugi z kolei, o, ten był nawet dość w porządku. Pracował – gdzieś. Robił – coś. Kompletnie nieinteresująca osoba. Czasami myślę, że gdybym kiedykolwiek miała odnaleźć tak zwane szczęście, to właśnie z kimś takim – z kompletnie nieinteresującą osobą. Z kimś, w którego mdłej nijakości moja nadintensywna jakość roztopiłaby się niezauważalnie, jak bakterie kałowe w mleku. Dlaczego wobec tego, spytacie się zapewne, nam nie wyszło? Cóż, on miał na ten temat inne zdanie. Na wszystkie inne tematy nie miał zdania, a na ten właśnie akurat musiał, kurwa, mieć! Mówił, że irytuje go moja osobowość. Że nie nadaża, że potrzebuje odrobiny wytchnienia. No kurwa żesz jego mać! Jak nie nadażasz, to sobie kup hulajnogę! – tak mu mówiłam. A on robił wtedy taką minę, jakby przez przypadek, zamiast do sklepu mięsnego, wszedł do prosektorium. Gdy o tym teraz myślę, to trochę go rozumiem. Ludzie dobierają się podobno na zasadzie podobieństwa. Podoba nam się to, co jest do nas podobne. On też marzył więc pewnie o takim samym memle jak on sam. O jakiejś średnio ładnej, średnio inteligentnej, średnio sympatycznej paniusi średniego wzrostu, pochodzącej ze średniej wielkości miasteczka. A co dostał? Dostał mnie. Bajaderę z kompleksów, wkurwienia i zółci. I tu dochodzimy do następnego etapu tego rozumowania. Skoro ludzie dobierają się na zasadzie podobieństwa, to jaki powinien być ten mój wymarzony? Wniosek jest taki, że podobny do mnie. No to takiego bym, kurwa, nie

chciała! Za żadne skarby. Za wszystkie telezakupy świata. Nie ma mowy. Aż tak pierdolnięta nie jestem.

Ktoś wstał i wyszedł. Rozłucki spojrzał na mężczyznę z drugiego rzędu. Wilczyńska wciąż stała przed nim, lecz już całe szczęście nie patrzyła mu w oczy. On też miałby ochotę to zrobić. Miał ochotę uciec, wyjść stąd i biec jak najdalej. Siedział jednak za blisko. Inni, zwłaszcza z tylnych rzędów, nie mieli jednak tego problemu. Co i raz ktoś wstawał i wychodził. Wilczyńska zdawała się tego nie zauważać. A może był to zamierzony efekt? Mówiła dalej:

– Lubię tu przychodzić. Mają tu, można powiedzieć, optymalny stosunek jakości do ceny. Pasuję tu, o mnie można powiedzieć to samo. Zawsze mówię ten tekst na pierwszej randce. „Nie jestem może za ładna, ale mam za to optymalny stosunek jakości do ceny”. Czekam na faceta, który się z tego zaśmieje. To będzie mój książkę. Na tyle inteligentny, by zrozumieć subtelną, podszytą gorzką samoświadomością ironię, albo na tyle głupi, by śmiać się ze wszystkiego, co powiem. Oba te modele mi odpowiadają. Oba kupuję od razu. Lecz póki co żaden z nich mi się jeszcze nie trafił. Zamiast tego biorę więc to, co jest, czyli wszystkich tych, którzy myślą wtedy, że jestem nienormalna. Mają oczywiście rację, lecz nie zmienia to faktu, że mnie to wkurwia. Więc idę z takim, co mnie wkurwia, a on idzie z taką, którą uważa za nienormalną. To się nazywa safari, co nie? A potem odprawiamy ten nasz nieporadny, niesmaczny rytuał przypominający skrzyżowanie świniobicia z występem klaunów z mongolskiego cyrku. Jeśli istnieje szatan, musi się strasznie śmiać, gdy na to patrzy. Swoją drogą gość musi być naprawdę świetnym sprzedawcą. Umieć wcisnąć klientowi coś takiego... Naprawdę szacun. Wszyscy ci goście z Amwaya wysiadają. Nie wiem, Panie Najgorszy, może się, kurwa, czepiam, ale wydaje mi się, że grzech powinien być jednak przyjemny! Na tym to chyba powinno polegać. Robimy coś, co jest zabronione, bo jest to, kurwa, przyjemne. Ja tymczasem za każdym razem, gdy popełniam występki, mam nieodparte wrażenie, że zrobił mnie pan w wała. Że

zjadłam owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego, a w środku był, za przeproszeniem, robak. Na wierzchu trochę słodkiego, a wewnątrz pleśń i zgnilizna. I że rację ma ten pana kolega na górze, mówiąc, że lepiej dać sobie z takimi rozrywkami spokój. Nawet kiedyś przeczytałam sobie stosowny fragment, żeby zobaczyć, jak to tam było z tą Ewą i jabłkiem. I wiecie co? Tam nigdzie nie jest napisane, że jej smakowało! A potem dzwoni do mnie jakaś pinda i pyta, czy nie chciałabym drugiego telefonu dla bliskiej osoby. A ja nie mam żadnej bliskiej osoby, rozumiesz, głupia cipo? Nie mam! I wsadź sobie w dupę ten drugi telefon. Tylko nie zapomnij włączyć wibracji.

Widownia powoli pustoszała. Nawet gość z drugiego rzędu, korzystając z okazji, że Wilczyńska odeszła trochę na bok, wstał i cichcem przepchał się do wyjścia. Rozłucki spojrział na siedzących z boku muzyków. Kędzierzawy uśmiechał się wciąż zza swojego akordeonu, a łysy siedział, obejmując gitarę i wbijając wzrok w podłogę. Jak na razie byli bezrobotni. Skoro jednak tu siedzieli, musieli w końcu do czegoś się przydać.

Nie pomylił się. W pewnym momencie Wilczyńska odeszła w głąb sceny, rzuciła na podłogę wypalonego już papierosa i stanęła znowu w samym środku światła reflektora. Łysy gitarzysta obudził się i zaczął grać. Po chwili dołączył do niego akordeonista.

Zacząła śpiewać. Tę samą piosenkę, co wtedy. Najpierw zwrotkę, potem refren:

Kto cię pokaleczył,  
Że tak bardzo boli?  
Ranka za głęboka,  
Jak to mocno pali...  
Jak to mocno pali...

Korzystając z okazji, kolejni widzowie opuścili salę. Zostało już zaledwie parę osób.

Muzyka w końcu ucichła, rozległy się oklaski. Ci, którzy zostali,



klaskali naprawdę mocno. Niektórzy nawet wstali. Wilczyńska uciszyła ich gestem dłoni.

– Walcie się – powiedziała i ukłoniła się głęboko.

Rozległy się okrzyki i ponowne oklaski. Tym razem wstali już wszyscy. Tych kilka osób potrafiło zrobić naprawdę niezłą owację. Wilczyńska ukłoniła się po raz drugi, pokazała im środkowy palec i weszła za kotarę.

Punktowiec zgasł. Widzowie zaczęli wychodzić. O dziwo, nie zapalono światła na sali. Rozłucki siedział dalej na swoim miejscu. Ukryty w mroku próbował uporządkować i chociaż wstępnie przetrwać to, co przed chwilą zobaczył.

Po chwili nad sceną pojawiło się techniczne światło. Muzycy zaczęli składać swoje instrumenty. Zza kotary wyszła Wilczyńska. Tuż za nią wyszedł starszy mężczyzna z siwą hiszpańską bródką i siwymi włosami upiętymi z tyłu w mały kucyk. Pamiętał go z poprzedniego koncertu.

– Agnieszka – powiedział mężczyzna – wiesz, że jestem twoim wielkim fanem. To, co zrobiłaś, było świetne, wręcz genialne, ale... – Zawahał się.

– Najważniejsza część zdania zaczyna się po „ale” – zauważyła z ironią.

– No właśnie. – Mężczyzna wydawał się być szczerze skonfundowany tym, co miał zamiar za chwilę powiedzieć. – Ale nie możesz tak obrażać widowni. Jesteśmy finansowani z budżetu miasta. Wiesz, jak jest. Zaraz pojawią się jacyś krety, którzy zainicjują protestować, i będziemy mieli kłopoty. Słyszałaś, co działo się w Miejskim Ośrodku Kultury, jaka była afera, bo się komuś wystawa nie spodobała. Czasy się zmieniły, chyba zdajesz sobie z tego sprawę...

– Czasy zawsze się zmieniają. Od niepamiętnych czasów.

– Ale nie chodzi tylko o to. Widziałaś, prawie wszyscy wyszli... Nie można robić takich rzeczy.

– To co można?

– Wiele rzeczy można. Proszę cię, wróć do poprzedniej wersji. Ona nie była taka... brutalna.

– Była mdła.

– Ale ludziom się podobała. Nie była taka kontrowersyjna.

– Powoli nie chce mi się już robić niekontrowersyjnych rzeczy.

– Agnieszka, proszę cię... Wiesz, że cię kocham. A może jakiś recital, co? Przygotuj parę piosenek. Ludzie lubią piosenki.

Pokiwała głową i zeszła ze sceny.

– Pomyśl o tym, dobrze? Pomyślisz? – rzucił za nią mężczyzna.

Nie odpowiedziała.

Idąc w stronę wyjścia, przechodziła koło Rozłuckiego. Wstał.

– To było świetne – powiedział. – Wstrząsające.

Popatrzyła na niego zmęczonym wzrokiem.

– Gównu mnie obchodzi twoje zdanie – odpowiedziała. – Oszukałeś mnie. Za wielu było takich jak ty.

Wyszła.

Nie tak łatwo się chodzi po takim ciosie pięścią w brzuch. Nie tak łatwo się robi cokolwiek. Szedł półprzytomny ulicą w stronę ratusza, zbyt otępiały, by myśleć o czymkolwiek konkretnym. „Oszukałeś mnie” – te dwa słowa kołatały mu się w mózgu. One i jeszcze refren tej choleralnej piosenki.

Był wściekły, choć zdawał sobie sprawę, że miała rację. Oszukał ją. Mógł się co prawda usprawiedliwiać, że musiał, że nie miał wyjścia, ale ten nagi fakt pozostawał faktem – okłamał ją i to dokładnie w tym momencie, gdy się poznali.

Dotarł wreszcie do domu. Wjechał windą na swoje piętro i wszedł do mieszkania. „Kto cię pokaleczył, że tak bardzo boli?” Znowu ta cholerna piosenka! Czy był to przekaz? Czy śpiewając ją, chciała coś przez to powiedzieć? Wybrała ją przecież na finał swego monodramu. Swojego pełnego wściekłości i bólu przedstawienia, którego tekst, jak wynikało z rozmowy z siwym mężczyzną z kitką, sama napisała. Co ją tak pokaleczyło? I co tak bardzo boli?

Usłyszał jakieś głosy na korytarzu bloku. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie zamknął za sobą drzwi. Podeszedł do nich i zatrzasnął je z hukiem, aż z futryny na górze posypał się pył. Miał ochotę otworzyć je znowu i jeszcze raz trzasnąć. „Kto cię pokaleczył, że tak bardzo boli...” Coś powoli kiełkowało w jego głowie. Coś niepokojącego. Bał się tego.

Następnego dnia rano poszedł wreszcie zrobić zakupy. Zjechał windą

na dół i ruszył w stronę osiedlowego samoobsługowego sklepu przy tej samej ulicy. Kupił tam dużo – wszystkiego. Przez jakiś czas stał przed stoiskiem z alkoholami, wpatrując się w uśmiechającą się do niego z półki butelkę Jacka Daniel'sa, w końcu jednak odszedł. Jak to się wszystko skończy, upije się. Raz, drugi, trzeci. To już postanowione. Ale jeszcze nie teraz.

Wracając obwieszony siatkami w stronę swojego bloku, zaczął znowu myśleć o tym, co zobaczył i usłyszał wczoraj. Te przecucia i obawy... Dziś już nie były takie silne. Wczoraj przeżywał duże emocje. Emocje do tego bardzo osobistej natury. To musiało wpłynąć na jego postrzeganie.

Musi poczekać, aż będzie w stanie spojrzeć na to chłodnym okiem i jeszcze raz wszystko dokładnie przemyśleć. Sztuka rządzi się w końcu swoimi prawami. Jeśli ktoś coś pisze, nie znaczy to jeszcze, że tak myśli i czuje. Ma to na pewno jakieś swoje odzwierciedlenie i zaczepienie w jego wewnętrznym świecie, lecz przecież nie tak bezpośrednio, jak nam się zwykle wydaje.

Wjeżdżając windą na górę, poczuł w kieszeni wibracje telefonu. Przełożył wszystkie siatki z zakupami do prawej ręki, a lewą spróbował wyciągnąć aparat. Gdy mu się to w końcu udało, telefon zamilkł. Spojrzał na wyświetlacz. Dzwoniła Weronika. Trudno. Oddzwoni do niej, jak już będzie w mieszkaniu.

Kiedy otwierał drzwi, telefon zadzwonił znowu. Miał teraz w dłoni klucze, więc było jeszcze ciężiej. W końcu udało mu się go wyjąć. Jedna z plastikowych siatek ześlizgnęła mu się z palca i upadła na posadzkę. Duży, naturalny jogurt pękł. Zobaczył, jak rozlewa się w jej wnętrzu.

Znowu Weronika. Odebrał.

– Halo! – powiedział, przytrzymując aparat między policzkiem a ramieniem. Przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę. Wszedł do środka.

– Czemu nie odbierasz, śpisz? – W głosie Weroniki słychać było podekscytowanie.

– Nie, już dawno nie. – Nie spał mniej więcej od czwartej rano, kiedy obudził go męczący sen i uruchomił niedającą się powstrzymać lawinę myśli. – Byłem na zakupach.

– Mamy coś! – powiedziała.

– Poczekaj. – Położył siatki na fotelu i wrócił, żeby zamknąć drzwi. Tamtym rozlanym jogurtem zajmie się później. – No dobra, mów.

– Nie ma, że mów. Przyjdź na komendę. Musisz to zobaczyć.

Rozłączyła się. Cwaniara. To się nazywa budowanie napięcia. Wziął wszystkie siatki z zakupami i włożył je bez rozpakowywania do lodówki. Powinien coś zjeść, ale w sumie i tak nie był głodny. Ubrany już był. Wszedł.

Za drzwiami wdepnął w leżącą na wycieracze siatkę z rozlanym jogurtem. Z nie do końca opróżnionego pojemnika wytrysnęła biała strużka i ochlapała mu spodnie. Zaklął. Prawy but także był cały w jogurcie.

Spojrzał bezradnie na bałagan pod swoimi stopami. Trzeba by to jakoś posprzątać i powycierać. Dobra tam. Zrobi to, jak wróci.

Przekręcił klucz w zamku i ruszył w stronę windy. Zamykając jej drzwi od wewnątrz, dostrzegł białe ślady od jogurtu, jakie zostawił jego but na posadzce korytarza. Winda już jednak ruszyła. Zachował się właśnie jak typowy menel. Żeby chociaż pił...

Do komendy dotarł po piętnastu minutach. Wszedł do środka, potem schodami na pierwsze piętro. Wkrótce był pod gabinetem komisarza Sądeckiego. Dawnym gabinetem komisarza Sądeckiego. Wszedł.

Weronika siedziała za biurkiem. Za plecami miała okno i tory kolejowe. Wpatrywała się jak zwykle w ekran swojego laptopa. Trzeba przyznać, że dobrze tu pasowała. O wiele lepiej niż Sądecki.

– Cześć – powiedziała, nie podnosząc wzroku. – Siadaj.

– To co ciekawego dla mnie masz? – spytał.

– Poczekaj, poznam cię z kimś. – Sięgnęła po telefon. – Tomek? –

powiedziała do słuchawki. – Chodź, już przyszedł.

– Tomek? – spytał.

– Gość z Warszawy, z CBS-u – wyjaśniła.

– I już „Tomek”? – zdziwił się.

Drzwi otworzyły się i wszedł przez nie mężczyzna. Ubrany był w cienką, brązową skórzaną kurtkę, niebieskie dżinsy i czarne, błyszczące buty. Był to styl w sumie podobny do tego, który preferował komisarz Sądecki, ale różnica w ich wyglądzie była kolosalna. Ten tu prezentował się naprawdę dobrze. Tak dobrze, że Rozłucki od razu poczuł się nieswojo.

– Poznajcie się, panowie – powiedziała Weronika. – Zygmunt Rozłucki, psycholog. Komisarz Tomasz Halicki.

Rozłucki wstał. Uścisnęli sobie dłonie. Komisarz Halicki obrzucił szybkim spojrzeniem jego ubrudzoną na biało nogawkę. Zdaje się, że wiarygodność Rozłuckiego w jego oczach spadła w tym momencie co najmniej o połowę.

– Pan jest tą sekretarką o nadzwyczajnych zdolnościach? – spytał z ledwo wyczuwalną ironią w głosie.

– Tak jakby – odparł Rozłucki. Ten gość go onieśmiał. Samiec alfa. Męski i stanowczy. Rozłucki nigdy taki nie był i nigdy nie będzie. Świat nie jest sprawiedliwy.

– Naprawdę możemy mu ufać? – Komisarz zwrócił się do Weroniki.

– Mówiłam ci – odpowiedziała z naciskiem. – To jeden z najinteligentniejszych ludzi, jakich znam. I ma świetną intuicję.

– OK. – Przy Weronice nawet samiec alfa zjeżdżał o jedną literkę w dół. Halicki usiadł na drugim krześle.

– Którą chcesz najpierw usłyszeć wiadomość: dobrą czy bardzo dobrą? – spytała Weronika. Ten odrobinę czerstwy żart w jej ustach świadczył o tym, że była naprawdę w dobrym humorze.

– Zacznijmy może od dobrej – odparł Rozłucki. „Jeden z najinteligentniejszych ludzi...” To zdanie wciąż miło kołatało w jego głowie.

– Znaleźliśmy, to znaczy ludzie Tomka znaleźli – poprawiła się –

świadka. Kogoś, kto prawdopodobnie widział zabójcę w dzień pierwszego morderstwa na torach.

– O! – Rozłucki uniósł brwi. – Kto to?

– To akurat najmniej istotne – odparła z pewnym zniecierpliwieniem Weronika. – Ważne jest, co ten człowiek widział.

– A co widział?

– Jego opis pokrywa się w większości z tym, co przekazał nam twój myśliwy. Niebieskie džinsy, wojskowa czarna kurtka. Pokazaliśmy mu, to znaczy Tomek pokazał, zdjęcie amerykańskiej kurtki model M65 – takiej, o jakiej mówił ten myśliwy. Powiedział, że to chyba ta.

– Z tym, że trzeba nadmienić, że to dość popularny krój – wtrącił komisarz Halicki. – Można je kupić we wszystkich sklepach z odzieżą militarną. Sam też mam taką.

– Z tym, że trzeba nadmienić – skontrowała Weronika – że mimo wszystko ta zbieżność wydaje się znacząca.

– Niewątpliwie – zgodził się komisarz.

– Do tego czapka bejsbolówka – również jak w opisie myśliwego. I jeszcze coś. – Weronika postanowiła najwyraźniej stopniować napięcie.

– Co?

– Miał na twarzy teatralną maskę.

– Teatralną maskę??

– Taką, jakiej używano w teatrze w antycznej Grecji. Spytałam o nie u nas w teatrze. Mają takie. Były używane podczas wystawiania *Antygony w Nowym Jorku* parę lat temu.

– Ten gość nie zdziwił się, gdy to zobaczył?

– Mówi, że z początku się zdziwił, ale potem pomyślał, że to pewnie któryś z aktorów z ulicznego teatru. Tego dnia wielu dziwaków kręciło się po Starym Mieście.

– To było przed morderstwem czy po?

– Po.

– I nie zgłosił tego na policję?

– A co miał zgłosić? – spytała Weronika. – Że widział faceta

w masce podczas festiwalu? Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że ta chryja na wiadukcie to było morderstwo. Nasze władze dość skrętnie próbowały to ukryć.

– Poza tym to pijak, menel – odparł Halicki. – Tacy nie przychodzą z własnej woli do psów. Nie chcą kłopotów, a poza tym mają to w dupie. Pierwsze, co zrobiłem, jak tu przyjechałem, to zacząłem przepytować miejscowych pijaczków. To zaskakująco dobrzy obserwatorzy. Mają dużo czasu i kręcą się sporo na świeżym powietrzu. Jeśli nie są akurat kompletnie napruci, potrafią dużo zauważyć.

– Pięknie. – Pokiwał z uznaniem głową Rozłucki.

– Jest jeszcze coś – powiedziała Weronika.

– No?

– Miał podobno na dłoniach czarne rękawiczki. Gdy nasz świadek go przydybał, właśnie ściągał jedną z nich. Pijaczek twierdzi, że miał pomalowane na czerwono paznokcie.



Tamto niepokojące przeczucie wróciło. Rozłucki przełknął ślinę.

– Z daleka to widział? – spytał.

– Z kilkunastu metrów.

– Może to była krew?

– Miał rękawiczki – przypomniał komisarz.

– No tak.

– I co ty o tym sądzisz? – spytała Weronika.

Rozłucki zamknął oczy. Cholera. Wyprzeć to, wyprzeć to jak najszybciej.

– Może to przejaw problemów z tożsamością? – powiedział po chwili. – Czytałem kiedyś o pewnym mordercy ze Stanów. Tam ten mechanizm był podobny.

– Szukamy więc transwestyty? – spytał Halicki.

– Nie, niekoniecznie – odparł Rozłucki. – Nie do końca chodzi o to. Ten gość może zachowywać się jak zwyczajny facet. I nikt z jego otoczenia może o tym nie wiedzieć. Może tylko ten jeden element świadczy o jakimś ukrytym konflikcie. Zresztą bardzo możliwe, że maluje te paznokcie tylko przed morderstwami. Jako rodzaj pewnego rytuału. Na co dzień to może być coś innego, ale raczej ukrytego. Na przykład bielizna.

– Rozumiem – powiedział Halicki.

Rozłucki spojrzał na niego z pewnym uznaniem. Komisarz Sądecki perorowałby teraz zapewne o pedziach. Ten wydawał się odrobinę bardziej rozumny.

– Mniej więcej to samo powiedział Krzysiek – skomentowała

Weronika.

– Ten wasz profiler? – upewnił się Halicki.

– Tak.

– Mamy u nas w Warszawie też takich magików. Poproszę, żeby któryś przyjrzał się tej sprawie.

– Nie bierzemy pod uwagę możliwości, że to może być kobieta? – spytała Weronika.

Przez wnętrze Rozłuckiego przeleciał chłodny wiatr.

– Bardzo rzadko kobiety są seryjnymi zabójcami – zareagował szybko. Może trochę nazbyt szybko. – A jeśli już, to wybierają daleko mniej brutalne metody, na przykład truciznę. Spytaj Krzyśka.

– Tak, chyba nawet coś takiego kiedyś mówił.

– Statystycznie rzecz biorąc, morderca jest mężczyzną – potwierdził komisarz.

– Czyli problemy z tożsamością uznajemy za bardziej prawdopodobne – podsumowała Weronika.

„Tak”, pomyślał Rozłucki, „tak”. Świetny pomysł. On też powinien je uznać za bardziej prawdopodobne. „Ja to myślałam już nawet, żeby zmienić płeć. Tylko nie mogę się póki co zdecydować, na którą”, przebiegł mu przez głowę fragment monodramu Wilczyńskiej. Cholera.

– A bardzo dobra wiadomość? – spytał, żeby nie musieć już myśleć o tamtym.

Weronika uśmiechnęła się tryumfująco.

– Znaleźliśmy coś – powiedziała. – To znaczy Tomek znalazł.

– Co?

– Patrz. – Sięgnęła do szuflady biurka i wyjęła stamtąd plastikową, przezroczystą torebkę. Potem położyła ją na blacie.

– Wisiało na jednym z drzew rosnących pod wiaduktem – wyjaśnił komisarz Halicki. – Podmuch uderzenia musiał to zwiać z nasypu.

– Co to jest? – spytał.

– Przyjrzyj się dokładnie.

Rozłucki nachylił się nad torebką. W środku był mały, biały,

podłużny kawałek papieru. Rozprostował dłońią folię. Rachunek. Rachunek ze sklepu. Wydruk z kasy fiskalnej.

– Rachunek? – spytał.

– Z jednego z hipermarketów. Spójrz na listę zakupionych rzeczy.

Wbił wzrok w ciąg liter i cyfr. W większości były to jakieś mało zrozumiałe skróty nazw. Tylko ceny podane były w całości.

– „Olej d.poch?” – przeczytał. – Co to jest?

– Sprawdziliśmy to dziś rano w tym sklepie – odparła Weronika. – Olej do pochodni. Takich ogrodowych. Można go używać również do lamp naftowych. Zobacz dalej: podpałka do grilla w płynie, kije do szczotek – dziesięć sztuk, sznurek i prześcieradło. Mówi ci to coś?

Chyba mówiło.

– To są wszystko rzeczy – nie czekała na jego odpowiedź – których można użyć do wyprodukowania pochodni. Takich, jakie zamontowano na łodzi podczas drugiego morderstwa.

– Ale... – zastanowił się – jak to się uchowało na tym drzewie? Przecież ostatnio padało...

– Rachunek był w małej reklamówce foliowej. Takiej, jaką dają w sklepach. Wisiała na jednej z gałęzi – wyjaśniła. – Morderca musiał w niej coś przynieść i nie zauważył, że w środku został ten paragon. A potem podmuch uderzenia zwiął mu ją z wiaduktu. Mówiłam ci: przestępcy często wpadają przez takie głupie błędy.

– Ale co nam daje ten paragon?

– Zobacz. – Pokazała na coś palcem. – Tu jest data. I godzina. A w tym sklepie jest monitoring. Nie minął jeszcze miesiąc, więc nie skasowali tych zapisów. Zabezpieczyliśmy je dziś rano. Zapłacił co prawda gotówką, więc nie odnajdziemy go po numerze karty kredytowej, ale może zobaczymy, jak naprawdę wygląda. Monitoring jest też na parkingu. Jeśli przyjechał samochodem, a zapewne tak zrobił, będziemy znać jego markę, a jak nie będziemy mieć jakiegoś straszego pecha, także numery rejestracyjne. A wtedy: bingo!

Odchyliła się na krześle i zaplotła podniesione ręce na karku. Był to bardzo męski gest. Tak mógłby zachować się komisarz Sądecki.

Rozłucki wpatrywał się ciągle w paragon.

– To znaczy, że miał to wszystko dobrze zaplanowane – powiedział.

– Kupił materiały potrzebne do drugiego morderstwa jeszcze przed popełnieniem pierwszego. I tylko zapomniał o tym głupim paragonie...

– Świat wokół nas jest bardzo skomplikowany i w dużej mierze chaotyczny – wtrącił komisarz Halicki. – Przestępcy zazwyczaj o tym zapominają. Zbyt ufają własnemu sprytowi i temu, że są w stanie kontrolować przebieg wypadków. Gdyby nie podmuch nadjeżdżającego pociągu, który wszystko wyrzucił w górę, morderca zapewne podniósłby tę reklamówkę i schował do kieszeni. Nie przewidział tego. Nie da się wszystkiego przewidzieć.

– A tak – dokończyła Weronika – torebeczka pofrunęła i nie dał rady jej już złapać ani znaleźć. Gdyby nie dron, my też byśmy jej nie znaleźli.

– Przestępcy zawsze popełniają błędy, bo rzeczywistość nigdy nie odpowiada dokładnie ich planom. Wystarczy tylko te błędy odnaleźć – dodał Halicki.

– To dlaczego nie zawsze się to udaje? – spytał Rozłucki.

– Bo błędy przestępców niwelowane są przez błędy śledczych. – Komisarz wzruszył ramionami. – Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi.

Rozłucki jeszcze raz nachylił się nad paragonem.

– A te pozostałe pozycje na liście? – spytał.

– Produkty spożywcze – wyjaśniła Weronika. – Widocznie morderca postanowił przy okazji zrobić sobie zakupy. Paczkowana wędlna, masło, chleb, serek do smarowania, pomidory, musli. Te rzeczy akurat nie za bardzo nas obchodzą.

– A to? – Rozłucki wskazał ostatnią pozycję na liście.

– Piwo. – Komisarz Halicki uśmiechnął się. – Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi – powtórzył.

„Korm.miod”, przeczytał Rozłucki. Cholera. Chyba wiedział, co to za piwo.

Wyszedł na ulicę przed komendą. „Korm.miod”, piwo miodowe. Dokładnie takie piła Wilczyńska, gdy się po raz pierwszy spotkali. Dobrze zapamiętał jego nazwę i etykietę. Ciągłe miał przed oczami ten widok: pusta butelka leżąca w śmietniku i obok niedopałek jego cygara.

Ruszył przed siebie. Pogoda znów się zmieniła i zaczął wiać nieprzyjemny chłodny wiatr. Zasunął suwak kurtki i postawił kołnierz. Piwo miodowe.

Szedł przed siebie wciąż jeszcze zbyt skołowany, by próbować wyciągać jakieś wnioski. Nie powiedział o tym Weronice ani jej nowemu znajomemu. Nie powiedział o tym, bo... bo to wszystko było zbyt nieprawdopodobne i oparte na zbyt wątpliwych podstawach. Tak sobie to przynajmniej teraz tłumaczył. Wiedział jednak gdzieś w głębi duszy, że prawdziwy powód był inny. Daleko bardziej osobisty i mniej profesjonalny.

Piwo, które ona piła. Piwo kobiece bardziej, niż męskie. Pomalowane na czerwono paznokcie. Tamten dziwny, pełen wściekłości monodram. Piosenka o zranieniu. O palącej ranie. I tamta, zapomniana już trochę przez niego sprawa z nocnymi próbami u dyrektora... O, kurwa.

Nie, spokojnie. Musi spróbować spojrzeć na to wszystko chłodnym okiem. To przecież nie były nawet poszlaki, znaki bardziej, przeczucia, wróżby raczej. Musi też pamiętać o swoim nastawieniu emocjonalnym do niej, zwłaszcza teraz. Nastawieniu, które może zaburzać jego osąd. Odrzuciła go przecież, zraniła. Czy jego przeczucia nie są więc wynikiem projektowania na nią jego własnych negatywnych emocji? Musiał brać to pod uwagę.

W każdym razie dobrze, że nie powiedział o niczym Weronice. Gdy wreszcie sprawdzi zapisy z monitoringu, ta zagadka rozwiąże się sama, bez jego udziału. Okaże się wówczas, czy jego przeczucia były tylko podświadomą zemstą zranionego ego, czy też... Aż skulił się w sobie. Ta druga możliwość przerażała go znacznie bardziej, niż

zawstydziała pierwsza.

Gabinet doktora Goczała w przychodni specjalistycznej szpitala psychiatrycznego w Olsztynie emanował jak zwykle spokojem i profesjonalizmem.

– Trochę szkoda, że już u nas nie pracujesz – powiedział Goczał. – Nie byłeś może zbyt zdyscyplinowanym pracownikiem, ale przynajmniej miałem z kim pogadać.

Rozłucki uśmiechnął się.

– Tego akurat też mi najbardziej żal – odpowiedział.

– Dlaczego w sumie zrezygnowałeś? Chodziło o tamtą sprawę? Nie jesteś pierwszym psychologiem, który przeżył osobistą tragedię. Pomogliśmy ci. Do tego służy między innymi ta przychodnia.

Rozłucki rozejrzał się po gabinecie. Białe ściany z błękitną lamperią u dołu. Kolorowe, wesole grafiki. I dyplomy świadczące o wysokich kwalifikacjach doktora Goczała. Miło.

– Nie chodziło tylko o to – odpowiedział. – Zrozumiałem po prostu, że muszę podjąć jakąś decyzję dotyczącą reszty swojego życia. I podjąłem ją. Doszedłem do wniosku, że nie chcę już być terapeutą. Zbyt wiele mam problemów sam ze sobą, by mieć czelność pomagać innym. Póki co, jestem z tej decyzji zadowolony.

Doktor Goczał uniósł ironicznie brew.

– Ludzie zazwyczaj są zadowoleni ze swoich decyzji, nawet jeśli, obiektywnie rzecz biorąc, przyniosły im szkodę – powiedział.

Rozłucki roześmiał się.

– Wiem, znam ten mechanizm – odparł.

– A jak tam twój bilans strat i korzyści?

Zastanowił się.

– Straciłem perspektywę stabilnego zatrudnienia, spokojnego i coraz bardziej zapewne dostatniego życia, pracy cieszącej się ludzkim szacunkiem i prestiżem oraz przewidywalnej przyszłości.

– No właśnie. A co zyskałeś w zamian?

– To, co teraz robię, jest po prostu znacznie ciekawsze. Nawet jeśli obarczone wyższymi kosztami emocjonalnymi. A może właśnie dlatego? Zawsze miałem skłonność do nałogów, a to jest jak nałóg. Daje mi kopa, choć również poniewiera.

Doktor Goczał pokiwał głową.

– W pewnym sensie ci nawet zazdroścę – powiedział. – Także tego, że potrafiłeś rzucić wszystko i wybrać takie życie.

Rozłucki uśmiechnął się.

– To tak jak ja. Też ci w pewnym sensie zazdroścę – powiedział. – Także tego, że potrafiłeś zwalczyć w sobie taką pokusę.

Doktor Goczał również się uśmiechnął.

– Tak to jest, że zazdrościmy innym tego, czego nie mamy, nie wiedząc, że oni w tym samym momencie zazdroszczą nam tego, czego im samym brakuje.

– No tośmy sobie pogadali – zauważył Rozłucki. – Aż szkoda, że nikt tego nie notował.

Tym razem to doktor Goczał się roześmiał.

– No dobra. – Tymi słowami doktor Goczał zakończył towarzyski wstęp ich rozmowy i przeszedł do części oficjalnej. – Chciałeś ze mną o czymś porozmawiać.

– Potrzebuję pana konsultacji, panie doktorze.

– Dawaj. Chodzi o jakąś sprawę, którą teraz prowadzisz?

– Jako osobnik oficjalnie zatrudniony na stanowisku sekretarki nie prowadzę aktualnie żadnych spraw.

– Naprawdę? – zdziwił się Goczał. – Taki masz etat? Trzeba było powiedzieć, mi też by się przydał ktoś taki.

– Bardzo śmieszne.

– Czyli wszystko, co tam robisz, robisz półoficjalnie?



- Tak.
- I nasza rozmowa też jest półoficjalna?
- Nawet mniej.
- Super! Czuję się teraz jak w jakimś szpiegowskim filmie.
- Cieszę się, że mogę ci dostarczyć takich ekscytujących wrażeń.
- No mów! Teraz nie mogę się już doczekać.

Rozłucki zamilkł na chwilę. Naprawdę nie wiedział, od czego zacząć. Jak ma przedstawić tę magmę niejasnych przeczuć, podejrzeń oraz podszeptów intuicji zalanych sosem jego własnej, coraz silniejszej obsesji.

- Zetknąłeś się kiedyś z osobowością wieloraką? - spytał. - Z czymś, co kiedyś nazywało się rozdwojeniem jaźni?

Doktor Goczał spoważniał.

- Nie - odpowiedział. - Nigdy. I nie znam nikogo, kto by się z czymś takim zetknął w swojej praktyce zawodowej. I muszę cię od razu uprzedzić, że to dość grząski teren.

- Dlaczego?

Doktor Goczał odchylił się na swoim krześle.

- Ta hipoteza wydaje się mieć dość słabe podstawy - powiedział. - Oczywiście znam ją. Część osobowości pacjenta, zazwyczaj pod wpływem jakichś silnych, traumatycznych przeżyć, oddziela się i tworzy oddzielną personę, która co jakiś czas przejmuje kontrolę, wskazując niejako na miejsce osobowości głównej. Ale szczerze ci powiem, że opisanych tego typu przypadków jest bardzo mało i w dodatku budzą one moje dość poważne wątpliwości. Moim zdaniem to bardziej taka pop-teoria, niż udowodniona teoria naukowa.

- Pop-teoria?

- Jest bardzo nośna kulturowo. Powstało mnóstwo książek na ten temat i parę filmów. Natomiast czy jest w tym coś wspólnego z rzeczywistością... Byłbym bardzo sceptyczny.

- Ale nie jest to przecież całkowicie wymysł literacki?

- Nie, nie jest. Wiem, że istnieje parę publikacji na ten temat, choć

żadnej z nich nie czytałem. Znam też jeden dość wstrząsający zapis sesji z kimś takim. Pojawiają się też głosy, że zjawisko opętania może mieć źródło w czymś bardzo podobnym. Ale mówię, ja jestem sceptyczny.

– Dlaczego?

– Według tej hipotezy, gdy osobowość, nazwijmy ją „pasożytnicza”, wskakuje na miejsce osobowości głównej, następuje całkowita wymiana wszelkich cech charakteru. Zmieniać się mogą również cechy fizyczne – człowiek inaczej mówi, inaczej chodzi, inaczej się zachowuje, czasami ma wręcz inne ciśnienie krwi. Może mieć nawet inną płć – nie fizycznie rzecz jasna, a mentalnie – a także inną, zazwyczaj większą sprawność i siłę oraz posiadać umiejętności, których wcześniej nie posiadał. I oczywiście niczego nie pamięta z tego, co wtedy robił. Według mnie to bardziej pachnie jakimś szamanizmem niż nauką. To jak bajka o wilkołaku. Zresztą *Doktor Jekyll i Mister Hyde*, najbardziej znana literacka wersja tej opowieści, to taka właśnie uwspółcześniona wersja legendy o wilkołakach.

– Ale możemy sobie przecież wyobrazić odwrócenie twojego rozumowania: że opowieści o wilkołakach mają swoje źródła w takich właśnie zjawiskach.

– Takie wytłumaczenie też słyszałem. – Doktor Goczał kiwnął głową.

– Z tego też, co pamiętam, jest to oficjalna jednostka chorobowa.

– Tak. Jako dysocjacyjne zaburzenie osobowości widnieje w rejestrze chorób i zaburzeń psychicznych.

– Dlaczego więc uważasz, że coś takiego nie istnieje?

Doktor Goczał uniósł w górę otwarte dłonie.

– Mówię tylko o swoich odczuciach. Ja jestem sceptyczny. Ale faktycznie, biorąc pod uwagę obecny, oficjalny stan wiedzy, nie mogę powiedzieć, że to kompletna bzdura.

– No dobrze. – Rozłucki zaplótł dłonie na brzuchu. – To opowiedz mi trochę o tym oficjalnym stanie wiedzy. Zawsze byłem kiepski

z jednostek chorobowych.

Doktor Goczał bezwiednie przybrał podobną pozę.

– Osobowość wieloraka pojawia się zazwyczaj w wyniku silnej traumy, przeżytej najczęściej w dzieciństwie. To może być gwałt lub inne przestępstwo albo jakiś rodzaj katastrofy, na przykład tragiczny wypadek. Jest co do zasady mechanizmem obronnym. Traumatyczne wspomnienia i uczucia przez nie wywołane zostają wyparte, zepchnięte w podświadomość, gdzie tworzy się z nich oddzielna, autonomiczna osobowość. Dzięki temu osobowość główna jest w stanie normalnie funkcjonować, nie pamiętając o tym, co się wydarzyło. Co jakiś czas następuje jednak pewnego rodzaju przełączenie – osobowość wyparta wypływa na powierzchnię i zastępuje osobowość główną. Obie osobowości zazwyczaj nie wiedzą o swoim istnieniu. Zaburzenie to dotyczy częściej kobiet niż mężczyzn i, jak już mówiłem, diagnozowane bywa niezwykle rzadko.

Rozłucki zastanowił się przez chwilę.

– W jaki sposób odbywa się to przełączenie?

– W jaki? – Doktor Goczał wydawał się nie rozumieć.

– Spontanicznie, niezależnie od okoliczności, czy mogą je wywoływać czynniki zewnętrzne?

Doktor Goczał uniósł do góry brwi.

– Szczerze powiedziawszy, nie wiem. Musiałbym to doczytać. – Spojrzał na Rozłuckiego uważnie. – Ale o co ci konkretnie chodzi? Bo widzę, że o coś ci chodzi.

Rozłucki wciągnął powietrze przez nos. Było to coś, o czym myślał od dłuższego czasu. Przynajmniej od momentu, gdy przyszło mu do głowy to przerażające wyjaśnienie.

– Wyobraźmy sobie – zaczął powoli – że tą traumą z dzieciństwa jest gwałt lub coś podobnego. Wspomnienia tego są wyparte do podświadomości, gdzie formuje się z nich osobowość alternatywna. Pozostaje ona jednak w uśpieniu do czasu, gdy podobne wydarzenie, na przykład molestowanie, budzi ją i prowokuje do ujawnienia.

Doktor Goczał zastanowił się.

– Taki mechanizm wydaje się prawdopodobny – odpowiedział po chwili. – Tego typu czynnik spustowy, rodzaj psychicznego detonatora, występuje w różnego typu zaburzeniach. Nie widzę więc powodu, dla którego nie miałby racji bytu i tutaj. Jeśli oczywiście, co jeszcze raz zastrzegam, to wszystko jest w ogóle prawdą.

Pożegnali się serdecznie i obiecali wzajemnie odwiedzać, wiedząc doskonale, że ani jeden, ani drugi nigdy tego nie zrobi. No chyba, że Rozłucki znów będzie potrzebował podobnej porady.

Wyszedł. Przeszedł przez przejście dla pieszych i ruszył w stronę parku rozciągającego się po drugiej stronie ulicy. Postanowił pójść nad Łynę, która tam, za parkiem i za linią brzydkich bloków, biegła przez las dość dzikim wąwozem.

Potrzebował tego. Musiał to wszystko przemyśleć, a najlepiej się myśli, robiąc coś innego. Na przykład idąc bez specjalnego celu przez las wzdłuż wijącej się w dole rzeki.

Po kilkunastu minutach był już nad wodą. Łyna, ta sama, która przepływała pod wiaduktami przy Starym Mieście, płynęła tu znacznie bardziej wartko, wstrzymywana tylko co jakiś czas leżącymi w jej korycie zwalonymi pniami. Drzewa rosnące na jej stromych brzegach tworzyły nad nią niemal domykający się zielony baldachim. Odnalazł niewielki mostek przerzucony nad jej nurtem i przeszedł na drugą stronę. Był tu szlak turystyczny oznaczony kolorowymi pasami malowanymi na pniach. Ruszył nim w stronę miasta.

Starął się skupić na samym ruchu, na samej czynności chodzenia, tak, by uwolnione myśli pobiegły swoim własnym torem. Wiedział, że i tak wrócą do tego, co go najbardziej interesuje, ale może zajdą to z innej, niespodziewanej strony.

Miał w głowie mętlik, ale póki co nie próbował go porządkować. Mętlik potęgowany jeszcze przez dławiące uczucie aż nazbyt osobistej natury. Czy to wszystko mogło być prawdą? CZY MOGŁO BYĆ PRAWDĄ? Potknął się o wystający z ziemi korzeń.

To przypomniało mu o tym, co sceptyczny doktor Goczał powiedział, gdy już się żegnali. Że posiadanie dwóch rywalizujących ze sobą i wymieniających się co jakiś czas osobowości musi skutkować mniejszą lub większą dezintegracją codziennego życia. Nie da się normalnie funkcjonować, mając w głowie dwóch siebie. Muszą pojawiać się zgrzyty, tarcia, czasami przybierające postać mniejszych lub większych katastrof. Ktoś, kto cierpiałby na takie rozszczepienie, musiałby mieć spore problemy w normalnym funkcjonowaniu. Problemy uniemożliwiające mu wręcz samodzielną egzystencję. Także dlatego doktor Goczał był wobec tej teorii tak zdystansowany. „Tacy ludzie – powiedział – jeśli rzeczywiście istnieją, musieliby spędzać czas w zamkniętych zakładach. A ty, zdaje się, masz na myśli kogoś, kto żyje wśród nas i popełnia przestępstwa”.

Tak, miał na myśli kogoś takiego. Lecz zastrzeżenia doktora Goczała nie tylko go od tego nie odwiodły, lecz jeszcze bardziej utwierdziły. Przypomniał sobie bowiem w krótkim, bolesnym błysku wszystko to, co pan Staszek opowiadał mu o Wilczyńskiej. O dziwnych wypadkach, które jej się zdarzają, ostatnio coraz częściej. Czyżby chodziło o coś takiego? O uzewnętrznione przejawy wewnętrznego konfliktu? To także musiał przemyśleć.

Doszedł do Starego Miasta, wiedząc niewiele więcej niż wtedy, gdy zaczynał ten marsz. W jego umyśle panował chaos. Miał do tego wszystkiego zbyt emocjonalny stosunek, nie potrafił zdobyć się na odpowiedni dystans. Nie wiedział, które jego myśli są chłodną oceną rzeczywistości, które biorą się z podświadomej chęci wyparcia niewygodnych faktów, a które są projekcją jego własnych negatywnych uczuć.

Wiedział w zasadzie tylko jedno: nie może nikomu więcej o tym powiedzieć, a już na pewno nie Weronice. Gdyby bowiem jego przeczucia okazały się trafne... oznaczałoby to dla niej, dla Wilczyńskiej, szpital, zamknięcie w zakładzie psychiatrycznym. Nie mógł do tego dopuścić.

Musiał spróbować uporać się z tym sam. Znaleźć jakiś sposób, by potwierdzić lub obalić swoje przypuszczenia. Dopiero gdy to zrobi, podejmie decyzję. I wcale nie był pewny, jaka ona będzie, gdyby to wszystko okazało się prawdą.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk dzwonka telefonu i jego wibracje w kieszeni. Zanim go wyjął, przestał dzwonić. Spojrzał na wyświetlacz. Trzy nieodebrane. Wszystkie od Weroniki.

Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że słyszał ten dźwięk już od dłuższego czasu. Słyszał, ale nie dopuścił tego faktu do świadomości, zajęty czym innym. Oddzwonił.

– Gdzie jesteś? – Weronika nie zwykła bawić się we wstępy.

Rozejrzał się wokoło. Szedł ulicą biegnącą od Rynku ku Wysokiej Bramie. Tej informacji też wcześniej nie zarejestrował.

– Na Starym Mieście – odpowiedział.

– Przyjdź na komendę – powiedziała i rozłączyła się.

Tyle. W jej głosie nie było już tamtego entuzjazmu.

Po niespełna półgodzinie wszedł do jej pokoju. Komisarza Halickiego tym razem w nim nie było. Weronika siedziała za biurkiem, wpatrzona jak zwykle w ekran swojego laptopa.

– Chodź – powiedziała, gdy go dostrzegła. Obszedł biurko i stanął za jej plecami.

– Znaleźliśmy go na tym nagraniu z monitoringu – powiedziała. – Patrz.

Puściła mu od początku fragment, który najwyraźniej oglądała wcześniej wiele razy. Nachylił się nad jej ramieniem. Poczł zapach perfum. Chyba po raz pierwszy czuł od niej perfumy. Czyżby to dla tamtego?

Nagranie było czarno-białe. Ujęcie z góry i trochę z boku. Widać było na nim kasę w hipermarkecie i stojącą do niej kolejkę klientów. Dość gruba kasjerka w firmowej kamizelce monotonnym ruchem przesuwiała towary nad czytnikiem.

Na taśmę przed kasą wykładał właśnie swoje towary mężczyzna. Poznał go od razu, mimo że nigdy wcześniej go przecież nie widział. Czarna czapka bejsbolówka, ciemne okulary, broda. Ubrany w czarną, wojskową kurtkę z pagonami i jasne, prawdopodobnie niebieskie dżinsy.

– Nie zapomniiał, jak widzisz, o kamuflażu – powiedziała Weronika. – Skurwysyn.

Zatrzymała nagranie na ujęciu, na którym najlepiej widać było jego twarz, potem ją powiększyła. Nie za wiele to, szczerze mówiąc, dało. Daszek czapki, duże czarne lustrzane okulary i dość gęsta broda przesłaniały praktycznie całkowicie rysy twarzy.

– Myślisz, że jest doklejona? – spytał Rozłucki.

– Prawie na pewno – odparła. – W teatrze pracuje trzech mężczyzn z brodami. Żaden z nich tuszą i wiekiem nie pasuje do tego tutaj. Zresztą popatrz na nią. Jest niemal karykaturalnie duża i gęsta.

Założę się, że mają tam taką na stanie.

– Rozmawialiście z kasjerką? – spytał.

– Tomek tam właśnie pojechał. Ale nie spodziewaj się zbyt dużo. Taka kasjerka ma setki klientów dziennie. Trudno, żeby wszystkich zapamiętała.

– Zapamiętujemy rzeczy, które odbiegają od normy – zauważył. – Jeśli to rzeczywiście nasz morderca, jest duża szansa, że w jego zachowaniu było coś takiego. Miał rękawiczki?

Weronika przewinęła nagranie do momentu, na którym widać było ręce.

– Miał.

– Widzisz. Choćby to. Nikt nie chodzi raczej po sklepie w rękawiczkach. Nawet gdy na zewnątrz jest mróz, zdejmujemy je, gdy wchodzimy do środka.

– Miejmy nadzieję, że masz rację – powiedziała. – Bo jak na razie, to kicha.

– A ten parking? – spytał. – Mówiłaś, że to też sprawdzisz.

– Nie ma go na żadnym nagraniu – odparła zrezygnowana. – Albo nie przyjechał samochodem, albo zaparkował gdzieś indziej. Szlag by to trafił! – dodała po chwili. – Myślałam, że coś z tego będzie...

Rozłucki wpatrywał się wciąż w zatrzymaną w pół ruchu postać widoczną na nagraniu. Czy mogła to być Wilczyńska? Z niepokojem stwierdził, że tak. Ledwo widoczny spod okularów i brody pociągły zarys twarzy mógłby należeć do niej, choć oczywiście wcale nie musiał. Obszerna, trochę zbyt duża wojskowa kurtka na tyle dokładnie zakrywała sylwetkę, że równie dobrze mogłaby się pod nią skrywać kobieta, co mężczyzna.

Weronika ze złością zamknęła ekran laptopa.

– Tak że tak – powiedziała. – Dupa blada.

Wkrótce potem zadzwonił Halicki. Tak jak podejrzewała Weronika, rozmowa z kasjerką również niewiele dała. Co prawda zwróciła ona uwagę na mężczyznę kładącego towary na taśmę w rękawiczkach, lecz był to jedyny szczegół, który zapamiętała. Kończyła właśnie



swoją zmianę i, jak sama powiedziała, jedyną rzeczą, o której wtedy myślała, było to, by wreszcie pójść do toalety. Zresztą, jak twierdziła, klienci w rękawiczkach wcale nie byli aż taką rzadkością. Co jakiś czas trafiał się ktoś, kto obsesyjnie bojąc się zarazków, opakowywał każdą najmniejszą nawet rzecz w oddzielną torebeczkę foliową i bał się dotknąć czegokolwiek gołą ręką.

Weronika przekazała to Rozłuckiemu, choć i tak większość rzeczy słyszał, gdy rozmawiała z Halickim, potem zaś niedwuznacznie zasugerowała mu, że chce już się zająć swoimi sprawami. Pożegnał się więc i wyszedł. Jemu też było to na rękę, wpadł bowiem właśnie na pewien pomysł. Pomysł, do którego realizacji potrzebował tylko dwóch rzeczy: własnego telefonu i trochę czasu.

Opuścił komendę i poszedł pod teatr. Usiadł na ławeczce, tej samej, na której poznał się z Wilczyńską, i wyciągnął komórkę. Wpisał w wyszukiwarce internetowej jej nazwisko i przełączył tryb wyszukiwania na obrazy. Szukał zdjęcia. Nie jakiegokolwiek, konkretnego. Trafił na nie kiedyś, gdy obsesyjnie przeglądał wszelkie informacje na jej temat. W końcu je znalazł.

Było to zdjęcie z jednego z jej dawnych spektaklów. Wilczyńska ubrana na nim była w białą koszulę i krawat. Jej twarz, pozbawiona makijażu, a przynajmniej wszystkich tych szminek, kresek pod oczami, cieni na powiekach i pogrubionych tuszem rzęs, wyglądała jak twarz mężczyzny. Efektu dopełniały spięte ciasno do tyłu włosy.

Ściągnął to zdjęcie do pamięci telefonu, potem rozpoczął realizację drugiej części swojego planu. Odnalazł aplikację umożliwiającą sprawdzenie, jak wyglądałoby się w różnych fryzurach i różnych ubraniach. Wiedział, że taka jest, bo kiedyś rzuciła mu się w oczy jej reklama. Tę aplikację również ściągnął na swój telefon.

Teraz wystarczyło tylko dokleić Wilczyńskiej brodę, dodać czapkę i okulary, białą koszulę zaś zakryć czarną kurtką. Zajęło mu to wszystko masę czasu, bo po raz pierwszy robił takie rzeczy. W końcu jednak efekt był zadowalający. Zapisał go w pamięci i schował telefon do kieszeni. Potem zszedł na dół, przeszedł na drugą stronę

ulicy i udał się na przystanek. Autobus do Dywit miał za szesnaście minut.

– O, witam! To znowu pan? – Starszy mężczyzna ubrany był w zieloną, dość spraną bluzę dresową z wyszytym na piersi małym wizerunkiem jeleniej głowy. – Proszę, niech pan wejdzie.

– Ja tylko na chwilę – odpowiedział Rozłucki. – Nie chcę państwu zawracać głowy.

– Byli u mnie dwa dni temu pańscy koledzy. Powiedziałem im wszystko to, co panu. W czym jeszcze mógłbym pomóc?

– Chciałbym, żeby przyjrzał się pan pewnemu zdjęciu. – Rozłucki wyjął telefon i wyciągnął jego ekran w stronę mężczyzny.

– A to chwileczkę, muszę pójść po okulary – odparł mężczyzna. – Może jednak pan wejdzie?

– Nie, dziękuję. Zaczekam tutaj.

– To niech pan wejdzie chociaż do wiatrołapu.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył w głąb domu. Rozłucki przekroczył próg i wszedł do niewielkiego, pachnącego wilgotnymi ścianami pomieszczenia. Tuż przy drugich, wewnętrznych drzwiach prowadzących do właściwego domu stał tam niewielki stół, na którym leżał duży, szklany talerz z przykrytym papierowym ręcznikiem ciastem. Sądząc po zapachu, był to sernik. Wzruszyło go to. Przypomniał sobie dom swoich dziadków. Oni też mieli zwyczaj wynosić jedzenie „do zimnego”.

Po chwili usłyszał z głębi domu kobiecy głos, a potem odpowiadający mu głos starszego mężczyzny. Za moment w drzwiach pojawił się znowu mężczyzna. Tym razem miał na nosie okulary w złotej, metalowej oprawce.

– Proszę pokazać. – Wyciągnął rękę w stronę Rozłuckiego.

Rozłucki podał mu swój aparat.

– Jak pan myśli – spytał – to mógł być ten człowiek? Ten, którego widział pan w lesie?

Mężczyzna wziął telefon w dłoń i przyjrzał się widocznemu na wyświetlaczu zdjęciu.

– Kurtka była inna – powiedział po chwili. – Tamta była wojskowa.

– Niech pan nie zwraca uwagi na kurtkę. Chodzi o twarz.

Mężczyzna w skupieniu studiował efekt pracy Rozłuckiego.

– Wydaje mi się, że tak – odpowiedział w końcu. – To mógł być on. Choć tu wygląda trochę dziwnie.

– Czapka, okulary i broda są doklejone – wyjaśnił Rozłucki. – To dlatego. Chodzi mi bardziej o zarys twarzy. Czy też była taka pociągła, jak tu, czy inna, na przykład bardziej owalna? Czy była szczupła, jak ta, czy raczej nalana?

Mężczyzna po raz kolejny wbił wzrok w ekran.

– Tak – powiedział po chwili. – Była właśnie taka. Szczupła i pociągła. Na pewno nie nalana.

– Czyli to mógł być on?

– Tak, mógłby.

– Jest pan tego pewien?

– Młody człowieku – mężczyzna zdjął okulary – gdy będzie pan w moim wieku, zrozumie pan, że niczego w życiu nie można być na sto procent pewnym. Ale tak, wydaje mi się, że to był on.

Wrócił do miasta. Przez całą drogę autobusem siedział przy oknie skulony, walcząc z niemal fizycznym bólem. Starszy myśliwy nie potwierdził co prawda jednoznacznie jego podejrzeń, ale dołożył do nich kolejne „być może”. Być może to była ona, być może chodzi o rozdwojenie jaźni, być może, być może... Strasznie już dużo tego było. Mnóstwo poszlak i żadnego konkretnego dowodu.

Ewentualność, że znowu to wszystko sobie wymyślił, ciągle była dość spora. Przypomniawszy sobie swoje podejrzania związane z dyrektorem. Część z nich co prawda się potwierdziła, ale to najważniejsze nie. Wtedy również opierał się na podobnych „być może”. I się pomylił.

Coraz bardziej żałował, że nie jest prawdziwym, rasowym policjantem. Takim, który twardo stąpa po ziemi, myśli spójnie, logicznie i bierze pod uwagę wyłącznie konkretne, potwierdzone fakty. Podchodzącym do sprawy profesjonalnie, zachowującym dystansowany obiektywizm, posługującym się zestawem sprawdzonych metod śledczych, wykorzystującym ogromny aparat policyjnej maszyny. A potem wracającym spokojnie do domu, gdzie co prawda pije i bije, ale przynajmniej go ma.

Zdawał sobie sprawę, że musi spróbować jakoś to wszystko potwierdzić. Albo jakoś to wszystko obalić. Tylko jak? Nie znajdzie przecież raczej żadnego rozstrzygającego dowodu, nie wygrzebie go z dna jeziora ani z koryta Łyny; w tym musi zdać się na Halickiego i Weronikę. Więc co?

Pozostaje mu jedna jedyna droga: Wilczyńska. Tylko przez nią

może do tego dojść. Musi z nią porozmawiać. I to nie w zwykły, normalny sposób, nawet nie jak terapeuta albo psycholog. Musi ją sprowokować, wstrząsnąć nią, spróbować zmusić, by ujawniła swoją tajemnicę, jeśli jakąś w ogóle ma. Może to być ryzykowne, niebezpieczne, a w sytuacji, gdyby się mylił, podłe, ale to jego jedyna szansa.

Wysiadł pod teatrem. Spojrzał w górę. Jego budynek z tej perspektywy był ogromny, niczym góra, na którą musi się wspiąć. Szkoda, że nie mógł tam znowu wejść. To by mu znacznie ułatwiło sprawę. A może... Może reżyser Muszyński po dyrektorsku rządzący się od jakiegoś czasu w teatrze nie zrealizował swojej groźby albo o niej po prostu zapomniał? W każdym razie nie zaszkodzi spróbować.

Wspiął się po schodkach z boku, obszedł budynek naokoło i przez parking dotarł do tylnego wejścia. Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Oszklona portiernia w środku nie była niestety pusta. Siedziała w niej ta sama kobieta, co zawsze.

– Dzień dobry – powiedział i ruszył pewnie przed siebie. Może się uda.

– Halo! Proszę pana! – Usłyszał za sobą. Nie udało się.

– Tak? – Odwrócił się.

– Przepraszam bardzo – kobieta schyliła głowę, by lepiej ją było słyszeć przez małe okienko – ale pan Muszyński cofnął panu przepustkę. Przykro mi, ale nie mogę pana wpuścić – dodała przepraszającym tonem.

– Ja tylko na chwilę – postanowił być bezczelny. – Zostawiłem tam jedną rzecz.

Ruszył w głąb budynku.

– Pan Muszyński wyraźnie zabronił... – Kobieta wstała i otworzyła drzwiczki z boku portierni.

– Jest dzisiaj? – spytał swobodnym tonem, jak gdyby nigdy nic.

- Jeszcze nie, ale...
  - Naprawdę, zaraz wrócę.
- Wszedł do środka.

Tak jak miał nadzieję, nie pobiegła za nim ani nie wezwała ochrony. (Czy w ogóle była w tym teatrze ochrona?) Szedł więc dalej, mijając kolejne pomieszczenia, aż doszedł do garderób. Niestety ta, na której drzwiach widniało nazwisko Wilczyńskiej, była pusta. Nie było w niej również żadnych jej rzeczy, co wskazywało, że nie było jej po prostu jeszcze w teatrze.

Po krótkim zastanowieniu postanowił odszukać dla odmiany pana Staszka. Skoro już miał swojego pomocnika, warto go było w końcu wykorzystać.

Zastał go w warsztacie piętro wyżej. Było to dość spore pomieszczenie wypełnione najrozmaitszymi maszynami: frezarkami, wyrzynarkami oraz kilkoma innymi, których przeznaczenia nawet się nie domyślał. Każda z nich podłączona była od góry do specjalnej rury znikającej w suficie, która, jak się domyślił, miała za zadanie odsysać wszystkie te wióry, ścinki i pył wydobywające się z nich podczas pracy.

Mężczyzna siedział przy jednym z wysokich, drewnianych stołów i w zasadzie nie robił nic.

- Witam „pomocnika szeryfa”! – przywitał go Rozłucki.
  - O, dzień dobry! – Pan Staszek podniósł wzrok znad czegoś, w co wpatrywał się na podłodze.
  - Dużo pracy? – spytał Rozłucki.
  - No właśnie nie. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Nic się nie dzieje. Przychodzę tu w zasadzie tylko po to, żeby podpisać listę.
  - Fajnie.
  - Trochę fajnie, a trochę nefajnie. Ale co pan tu robi? Wpuścili pana? Słyszałem, że dostał pan wilczy bilet.
  - Przemknąłem między zasiekami.
- Mężczyzna roześmiał się.
- Zapali pan? – Wyciągnął w jego stronę paczkę papierosów.

– Tu można palić? – zdziwił się Rozłucki.

– Nie można. – Jego rozmówca uśmiechnął się szelmowsko. – Chyba że się zna pewną sztuczkę. – Podeszedł do jednego z urządzeń i wcisnął jakiś przycisk zamontowany obok niego na ścianie. Wyciąg nad nim zaszumiał i zaczął zasysać powietrze. Mężczyzna odpalił papierosa, zaciągnął się i wydmuchał dym w stronę wylotu. Potem wyciągnął paczkę z powrotem w stronę Rozłuckiego.

– W sumie... – Rozłucki wyjął jednego papierosa.

– Nudzi mi się – powiedział pan Staszek. – Może ma szef dla mnie jakąś robotę?

Rozłucki zaciągnął się i wypuścił dym w stronę wyciągu. Z zaciekawieniem obserwował, jak niebieski obłoczek znika zasysany przez rurę.

– Jest Wilczyńska? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie ma i raczej dziś nie będzie. Już się całkiem pokłóciła z tym kretyńcem. Wczoraj też jej nie było.

– Z reżyserem?

– No a z kim? Nawet zaszedłem do niej, ale nie otworzyła. Naprawiłem wreszcie ten jej samochód i chciałem jej oddać kluczyki. Telefonów też nie odbiera.

– O co tym razem?

– A ja wiem? Z kretyńcami żyje się trudno, ale kłóci łatwo. Jest między nimi chemia, nie można powiedzieć. Tylko raczej z tych zrażających.

Czyli wspaniały plan Rozłuckiego spalił póki co na panewce.

– A co tam... w biurze szeryfa? – spytał mężczyzna, mrugając okiem. – Złapaliście już tego kowboja z lasu?

– Nie, jeszcze nie.

– Naprawdę? Cwaniaczek się trafił, co?

– Na to wygląda.

– Są jakieś nowe tropy?

– Chyba nie bardzo mogę o tym mówić.

– No co pan, szeryfie! – Pan Staszek uśmiechnął się szeroko. –

Należę do drużyny, co nie?

– Coś tam jest, ale nic konkretnego – odparł Rozłucki wymijająco.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Szkoda – powiedział. – Myślę, że jej też by pomogło, gdybyście go złapali.

– Dlaczego?

– Nie jest ostatnio w zbyt dobrej formie. Może to przez to? Kiedyś by odpuściła Muszyńskiemu albo go jakoś spacyfikowała, a teraz...

– Co teraz?

– Nerwowa jest. Ciągle czegoś zapomina. Ostatnio znowu o mała nie spadła ze sceny.

– Nic się nie stało? – zaniepokoił się Rozłucki.

– Nie. Muszyński ją złapał. O mała go potem nie zabiła. Choć, trzeba przyznać, w tym akurat przypadku naprawdę jej pomógł.

– I co, nie wiadomo, gdzie teraz jest?

– Nie. W domu jej nie ma albo nie otwiera. Do pracy nie przyszła.

– Wzięła urlop?

– Nie. Po prostu nie przyszła.

– Można tak?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Niby nie można. Obecność na próbach jest obowiązkowa. Ale wie pan, jak to jest. Teraz w teatrze jest ogólnie rozpierducha po tym wszystkim. Poza tym Muszyński jej przecież nie wyrzuci. Jeśli po coś został tym pełniącym obowiązki dyrektora, to właśnie po to. Żeby spróbować ją wreszcie dostać w swoje łapy. No i żeby wystawiać te swoje, pożałuj Boże, sztuki. Najchętniej z nią w obsadzie oczywiście.

Rozłucki zaciągnął się i wypuścił dym. Papieros powoli się dopalał. Zaczął rozglądać się za miejscem, gdzie można by go zgasić.

Pan Staszek, widząc to, sięgnął pod drewniany stół i wyjął z za jego nogi plastikową butelkę z obciętą szyjką. W wypełniającej ją brązowej wodzie pływały niedopałki. Rozłucki dorzucił swój do tej kolekcji.



– No dobra – powiedział. – Czas na mnie. Nie chciałbym, żeby mnie zastał tu Muszyński.

Mężczyzna również wrzucił swój niedopałek do brązowej wody.

– To jak? – spytał. – Ma szef dla mnie jakieś zadanie?

Rozłucki zastanowił się przez chwilę.

– Niech pan obserwuje Muszyńskiego – powiedział. – I da mi znać, gdyby pojawiła się Wilczyńska. Nie mogę tu teraz przychodzić. Dziś jakoś się udało, ale następnym razem może już nie pójść tak łatwo. Musi być pan tu moimi oczami i uszami – dodał cokolwiek patetycznie.

– Tak jest, szefie! – Jego pomocnik zsalutował teatralnie.

– A, jeszcze jedno. Mam pytanie. Czy Wilczyńska była skonfliktowana z Lamkiem? Tym aktorem, który się utopił?

– Wiem, kto to był Lamek. – Pan Staszek odstawił z powrotem obciętą butelkę pod stół.

– No więc?

– Czasami się żarli, nie można zaprzeczyć.

– O co?

– Wie pan, Lamek był dupowłazem. Przybocznym dyrektora. Chodził za nim jak pies. I czekał na tych, których nie lubił jego pan. A Wilczyńska z dyrektorem dość często darli koty.

– Rozumiem.

Mężczyzna popatrzył na niego uważnie.

– Ale o co chodzi? – spytał.

– Nie, o nic. Uzupełniam po prostu informacje.

– Bo to zabrzmiało, jakby...

Pan Staszek był naprawdę bystrym gościem.

– Jeśli jakkolwiek to zabrzmiało, to przypadkiem. – Rozłucki spróbował wszystko zbagatelizować. – Usiłuję po prostu zapełnić puste miejsca w ogólnym obrazie sytuacji.

– Bo jeśli myśli pan o tym, co mi się wydaje, to jest pan w błędzie.

– Mężczyzna spoważniał nagle i stał się bardzo stanowczy. – To na pewno nie ona, na sto procent.

- Nic nie myślę...
- Już prędzej bym się przyjrzał Muszyńskiemu. On też miał konflikt z dyrektorem i na niego Lamek też czekał. I nie da się ukryć, że najwięcej zyskał na tym wszystkim.

Wyszedł z teatru, mówiąc „do widzenia” patrzącej na niego spode łba pani na portierni. Nie odpowiedziała.

Ruszył w stronę mieszkania Wilczyńskiej. Od pana Staszka dostał jej numer telefonu (wreszcie!) i dokładny adres. Gdy doszedł na miejsce, zadzwonił domofonem. Nikt się nie odezwał.

Spróbował więc zadzwonić na jej komórkę. Nie odebrała. Gdzie mogła być? Może w domu, tylko nie miała ochoty nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać? A może kolejna kłótnia z reżyserem zadziałała znowu jak detonator, budząc po raz kolejny z uśpienia jej drugie ja?

Jeśli to wszystko oczywiście w ogóle było prawdą.

Rozmowa z jego samozwańczym pomocnikiem zasiała bowiem ponownie w jego umyśle wątpliwości. Zwłaszcza to, co powiedział na samym końcu. Muszyński. On faktycznie najwięcej zyskał na zmianach spowodowanych śmiercią dyrektora. Zresztą Wilczyńska kiedyś mówiła to samo. Powiedziała to co prawda żartach, ale żarty bywają znaczące.

Nie dało się ukryć, że coś mogło być na rzeczy. Śmierć dyrektora rozwiązała kilka dokuczliwych problemów pana reżysera i otworzyła mu nowe możliwości w kilku istotnych dla niego kwestiach. Przestał być poniewieranym przez szefa chłopcem do bicia, dostał możliwość wystawiania swoich sztuk i reżyserowania ich, zyskał też kontrolę (przynajmniej zawodową) nad Wilczyńską, o co zdaje się szczególnie mu chodziło. Pasował też do starej koncepcji Rozłuckiego, że mordercą może być niedoceniony dramaturg, pragnący zwrócić na siebie w ten sposób uwagę.

Jedyny problem polegał na pytaniu: po co Muszyński miałby zabijać aż trzy osoby? Wystarczyłoby przecież chyba, żeby zabił samego dyrektora. To on stał mu na drodze, to on gnębił go i upokarzał. Jeszcze Lamka też można by w sumie jakoś tam zrozumieć – jako prawa ręka dyrektora musiał mu nieźle zależeć za skórę – ale ten biedny urzędnik z wydziału kultury? Co on mu zawinił?

Choć nie, to też dałoby się jakoś tam wytłumaczyć. Może w ten sposób odwracał uwagę od swojej głównej ofiary, jaką miał być dyrektor? Albo wykalkulował, że dopiero skumulowany efekt trzech następujących o sobie zbrodni wywoła tak duży chaos, że możliwe stanie się przejście przez niego teatru.

A może odpowiedzią jest coś, o co Rozłucki pierwotnie podejrzewał dyrektora: chęć reżyserowania prawdziwych spektakli na scenie prawdziwego życia?

Gdyby to jednak była prawda i gdyby ta ostatnia motywacja była dla niego najważniejsza – Rozłucki aż przystanął na tę myśl – oznaczałoby to, że dyrektor wcale nie musiał być jego ostatnią ofiarą. Oznaczałoby to też, że w niebezpieczeństwie mogła być Wilczyńska.

Z drugiej jednak strony, gdyby mordercą była jednak ona, czy też raczej jej mroczne alter ego, w niebezpieczeństwie mógł być sam Muszyński.

Stanął przed przejściem dla pieszych, nie wiedząc, gdzie iść, co robić i które z tych dwóch wytłumaczeń może być bliższe prawdy. A może jest jeszcze inne, trzecie wyjaśnienie, którego nie widzi, i to właśnie ono jest prawdziwe? Zielone światło zapaliło się, potem zgasło, a potem znowu się zapaliło. Ludzie przechodzący przez ulicę mijali go, ktoś nawet go potrącił. Coraz wyraźniej widział ograniczenia swojej metody, którą trudno byłoby nawet nazwać śledczą. Policjanci opierali się na twardych dowodach, profilerzy na statystykach, doświadczeniu i badaniach naukowych, a on? On po prostu próbował zrozumieć, co się stało. Mając do pomocy tylko

swoją intuicję, rozum i coraz bardziej dla niego samego wątpliwą wiedzę psychologiczną. A to – teraz to rozumiał – było o wiele za mało. Świat był zbyt skomplikowany, zawierający zbyt duży komponent chaosu, a on był w tej dziedzinie amatorem, żółtodziobem, nie miał narzędzi, by to wszystko ogarnąć.

Ktoś potrącił go znowu. Bezwiednie ruszył przed siebie. Zielone światło zaczęło migać, lecz zdążył przejść na drugą stronę. Co teraz? Na pewno musiał ją znaleźć, musiał zlokalizować Wilczyńską. Gdzie mogła być? Jedyne miejsce, które mu się z nią kojarzyło, oprócz teatru i jej mieszkania, był ten klub na Starym Mieście, w którym ostatnio widział jej monodram. Jak on się nazywał? Chyba Baszta. Ruszył w tamtą stronę.

Na miejscu był po kilku minutach. Wszedł do środka. Pusto. Zejście na dół było zamknięte. Nie było też nikogo, kogo można by o cokolwiek spytać. Na tym samym piętrze był jednak bar. Tam również było pustawo, lecz za kontuarem stał przynajmniej barman.

– Dziś? – odpowiedział na pytanie Rozłuckiego. – Dziś chyba nic się tam nie dzieje. Nie co dzień jest tam jakaś impreza.

– Nie wie pan, gdzie można by kogoś stamtąd znaleźć?

– Nie mam pojęcia.

– Taki siwy gość z bródką. Nie wie pan, gdzie może być?

– Nie. Ale on nawet nie jest stąd. Prowadzi tu tylko co jakiś czas imprezy. Musiałby pan spytać szefa. Ale teraz nikogo jeszcze nie ma. Za wcześnie.

Wszedł na zewnątrz. Stał na środku brukowanej ulicy. Wąska uliczka schodziła w dół w stronę rodzaju małego placu. Stały na nim stoliki i krzesła knajpy mieszczącej się po drugiej stronie. Siedziało przy nich kilka osób. Niektórzy pili piwo, inni coś jedli.

Poszedł w tamtym kierunku. W sumie też mógłby coś zjeść. Dzisiaj jeszcze nic nie miał w ustach. Rano mu się nie chciało, a potem miał inne rzeczy na głowie. Był głodny, dopiero teraz to poczuł, i to od razu w bardzo gwałtowny sposób. Teraz co prawda też miał inne rzeczy na głowie, lecz bycie głodnym nie rozwiązało przecież jeszcze

żadnego problemu.

Wszedł na teren ogródka, wybrał jeden ze stolików i usiadł przy nim. Menu w postaci jednej, dużej, zafoliowanej karty wetknięte było w stojak na przyprawy. Wyjął ją, odsłaniając sobie w ten sposób widok na sąsiedni stół. Siedział przy nim mężczyzna. Siwe włosy spięte w cienki kucyk opadały na dżinsową kurtkę. Po wystrzyżonej hiszpańskiej bródce spływała kropla pomidorowej zupy, którą właśnie jadł.

Patrzył na niego przez chwilę, nie mogąc uwierzyć, że takie przypadki mogą mieć miejsce.

– Przepraszam – odezwał się wreszcie. Mężczyzna podniósł na niego wzrok znad talerza. – Smaczna ta zupa? Przepraszam, że pytam, ale jestem tu pierwszy raz i zastanawiam się, co zamówić.

– Bardzo. – Mężczyzna kiwnął głową. – Ale mogę nie być obiektywny. Bardzo lubię pomidorową i w zasadzie każda mi smakuje.

– Poleca pan tu coś jeszcze?

– Żeberka mają dobre. Z frytkami. Rozpływają się w ustach.

– Dziękuję bardzo.

Akurat podszedł do niego kelner. W samą porę. Zamówił to, co polecił mu mężczyzna.

– Przepraszam jeszcze raz. – Rozłucki postanowił przejść wreszcie do rzeczy. – Ja chyba pana znam. Widziałem pana w Baszcie na monodramie Agnieszki Wilczyńskiej.

Mężczyzna spojrzał na niego uważnie.

– A tak, pamiętam pana! – odpowiedział. – Był pan jednym z niewielu, który został do końca. I był pan przez to, zdaje się, świadkiem dość niemiłej sceny.

– A nawet pod sam koniec jej uczestnikiem.

– Oberwało się panu, można powiedzieć, rykoszetem. – Mężczyzna uśmiechnął się.

– Nie do końca. Trochę mi się należało.

– Zapewne tak. Pretensje kobiet wobec mężczyzn są zazwyczaj

w najogólniejszym wymiarze zasadne. Wiem to po sobie i po swojej żonie.

Tym razem to Rozłucki się uśmiechnął.

– Proszę się przysiąść. – Mężczyzna zaprosił go gestem do swojego stolika. – Póki nie dostał pan jedzenia, jest to jeszcze absolutnie legalne.

– Chętnie. – Rozłucki podniósł się ze swojego krzesła. – To strasznie głupio jeść samemu w restauracji.

Usiadł naprzeciwko mężczyzny. Zapach pomidorówki sprawił, że aż zakłuły go ślinianki. Mężczyzna przyjrzał mu się z ciekawością.

– Dawno pan zna Agnieszkę? – spytał Rozłuckiego.

– Raptem parę tygodni – odparł. – Poznaliśmy się w teatrze.

– Pracuje pan w teatrze?

– Nie, ale do niedawna często tam bywałem.

Skończył zupę i odsunął talerz. Potem wytarł serwetką usta, szczególną uwagę przy tym poświęcając swojej bródce.

– Niezwykła kobieta i wspaniała artystka – powiedział, odkładając chusteczkę. – Bardzo magnetyczna. Choć czasami ten magnes bardziej odpycha, niż przyciąga.

Rozłucki uśmiechnął się cierpko.

– Doświadczyłem tego na własnej skórze.

Kelner wrócił i postawił przed nim talerz z zupą. Nie czekając nawet, aż odejdzie, wziął łyżkę i zaczął jeść. Jezu, jaka ona była dobra! Choć może on również nie był obiektywny – naprawdę był bardzo głodny.

– A właśnie, nie wie pan, gdzie ona może być? – spytał, gdy już zaspokoił pierwszy głód. – Mam do niej pewną sprawę i nie mogę jej znaleźć. W teatrze nie była już dwa dni, w domu też jej nie ma, a telefonów nie odbiera.

– Wiem, gdzie powinna być jutro. W radiu. Mamy o siedemnastej nagranie.

– Nagranie?

– Mamy tam taką małą audycję satyryczną raz na tydzień. Wiem,

że jutro czyta tam jakąś rolę.

Budynek Radia Olsztyn wznosił się niemal na skraju miasta. Tuż za nim był już tylko miejski las, a niedaleko płynęła Łyna. Wsiadł na przystanku przed szpitalem psychiatrycznym, przeszedł na drugą stronę ulicy i mijając po lewej niewielki staw z prostą, sikającą w górę fontanną ruszył w jego kierunku.

Na miejscu był po niespełna pięciu minutach.

Gdy zobaczył ten w sumie dość brzydki, szklany, niebiesko-czerwony budynek, zalała go nagła fala wspomnień. Był tu już kiedyś. Z Karoliną. Oglądali tu taśmę znaną w domu starego Jakubca. Boże, jak to wydawało się dawno. Tak dawno, że prawie w to nie wierzył.

Karolina nie żyła, a on coraz bardziej o niej zapominał. Poczul z tego powodu nagłe wyrzuty sumienia. Nie minął przecież nawet rok od jej śmierci.

Spojrzał na zegarek. Była za kwadrans siedemnasta. Wilczyńska powinna zaraz przyjechać. Postanowił, że spróbuje z nią porozmawiać dopiero, jak wyjdzie. Odszedł więc w bok i usiadł na ławeczce stojącej przed jednym z budynków wznoszących się po drugiej stronie ulicy.

Miał stąd dobry widok na parking przed budynkiem radia, sam zaś był na tyle daleko, że nikt, kto specjalnie nie zacząłby się przyglądać okolicy bloku, nie powinien go zauważyć.

Nie czekał długo. Po kilku minutach na podjazd pod radiem wjechał srebrny nissan almera. Wsiadła z niego Wilczyńska.

Trochę się zdziwił, bo to znaczyło, że pan Staszek zdołał wreszcie przekazać jej kluczyki. Musiał się więc z nią spotkać. Dziwne było, że go o tym nie poinformował.

Choć może po prostu zostawił je gdzieś, na przykład w portierni teatru, a ona jej później odebrała.

Nie miał czasu jednak dłużej o tym myśleć, bo całą swoją uwagę



poświęcił teraz jej. Ubrana była w beżowy, rozpięty płaszcz; szła zgarbiona, z pochyloną głową, jakby od strony budynku radia wiał wiatr, którego opór musiała przewyższać. Jasne włosy opadały w lekkim nieładzie na jej ramiona. Wyglądała zwyczajnie, prawie po domowemu. Nie umalowała się ani nie uczesała jakoś specjalnie. Szła w końcu do pracy.

Złapał się na tym, że próbuje ocenić, czy jej wygląd, sposób chodzenia, zachowanie potwierdzają jego hipotezę, czy ją obalają. Wiedział, że to bez sensu, a jednak nadal to robił. Gdy się potknęła o krawężnik, zamarł z przerażenia.

Otworzyła szklane drzwi i weszła do środka. Spojrzał ponownie na zegarek. Była za pięć piąta. Ile takie nagranie mogło potrwać? Pewnie nie dłużej niż godzinę. Czekala go więc godzina siedzenia na ławce, godzina ściśniętego z napięcia żołądka i serca podchodzącego do gardła.

Gdy w końcu wyszła, było w pół do siódmej. W pierwszej chwili chciał się zerwać i podbiec do niej, lecz zobaczył, że ktoś za nią idzie. Wysoki mężczyzna, w którym rozpoznał jednego z członków zespołu wykonującego piosenkę o awionetce podczas pierwszego koncertu w klubie Baszta, wyszedł razem z nią.

Rozmawiali ze sobą przez chwilę z uśmiechami na twarzach, potem pożegnali się, całując w policzek, i rozeszli każde do swojego auta. Dopiero teraz wstał i ruszył szybkim krokiem w jej stronę.

Wilczyńska podeszła do swojego samochodu i otworzyła go pilotem. Otworzyła drzwi, włożyła torebkę na tylne siedzenie i dopiero teraz go zobaczyła. Przez jej twarz przemknął wyraz zaskoczenia. Przyspieszył kroku, prawie teraz biegł. Nie mógł dopuścić, by wsiadła do samochodu i odjechała.

Faktycznie uczyniła gest, jakby miała zamiar tak zrobić. Był już jednak przy niej.

– Agnieszka! – wysapał. – Poczekaj!

Jej twarz stężała.

– Co ty tu robisz? – spytała. Nie było to pytanie wypowiedziane życzliwym tonem.

– Czekałem na ciebie.

– Co za cudowna niespodzianka! – Ironicznie podniesiona lewa brew nie pozostawiała złudzeń co do prawdziwej intencji tego zdania.

– Czemu nie byłaś w teatrze?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– A co cię to obchodzi? – powiedziała. Dobitnie i powoli.

Obeszła samochód i otworzyła go od strony kierowcy.

– Trochę się spieszę – powiedziała. – Do widzenia.

Wsiadła i zamknęła za sobą drzwi.

Nie namyślając się wiele, otworzył drzwi od swojej strony i usiadł na miejscu pasażera.

– Co ty wyprawiasz?! – spytała wściekła. – Wyjdź stąd natychmiast! Mimowolnie skulił się, jakby w obawie, że zaraz go uderzy.

– MUSZĘ z tobą porozmawiać – powiedział, nie patrząc na nią. – Przepraszam.

– Skoro przepraszasz, to wyjdź. To będą najlepsze przeprosiny.

– Nie mogę. Przepraszam.

– Mam wezwać policję? A nie, sorry! – dodała po teatralnej pauzie.

– Ty jesteś z policji.

Dopiero teraz spojrzał na nią.

– Agnieszka, posłuchaj! – Odetchnął głęboko. – Jestem twoim przyjacielem, nawet jeśli sądzisz, że jest inaczej. I chcę ci pomóc. Obiecuję, że po tej rozmowie się od ciebie odczepię.

– Serdecznie dziękuję za takich przyjaciół – odparła cierpko. – Takich, którzy cię oszukują i szpiegują za twoimi plecami.

Najgorsze było to, że miała rację.

– Zgodziłem się odgrywać tę rolę, zanim cię poznałem – powiedział.

– Zresztą gdyby nie to, w ogóle bym cię nie poznał. Choćby dlatego nie żałuję.

– A ja nie miałabym nic przeciwko temu.

Co odpowiedź, to cios. Teraz on sam miał ochotę wysiąść.

Spróbował jednak jeszcze raz jakoś do niej dotrzeć.

– Słuchaj, niezależnie od tego, co o mnie myślisz, chciałbym, żebyś wiedziała, że w tym momencie liczy się dla mnie tylko twoje dobro. Nic innego. Nie żadne śledztwo, nie to, kto zabił dyrektora i tych dwóch poprzednich kretyńców, ale ty jesteś dla mnie najważniejsza. I jeśli będę musiał ci zaszkodzić po to, żeby odkryć, kto jest mordercą, to nie zrobię tego. Obiecuję ci to i przysięgam.

Po raz pierwszy spojrzała na niego trochę mniej wrogo.

– No proszę – odpowiedziała. – Co za rycerskość! – skwitowała ciągle z ironią w głosie, lecz już bez poprzedniej złości.

Postanowił pójść za ciosem.

– Porozmawiajmy! – poprosił. – Muszę parę rzeczy wyjaśnić, a ty jesteś jedyną osobą, która może mi w tym pomóc.

– Dlaczego ja? – spytała.

– Mam wrażenie, że wszystko tu kręci się wokół ciebie. Jesteś na końcu wszystkich sznurków.

– Taka ze mnie *femme fatale*? Chyba pomyliłeś kobiety.

– Możesz nawet nie zdawać sobie z tego sprawy, ale jesteś w centrum tego wszystkiego. Tylko nie wiem jeszcze, w jakim charakterze.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Podejrzewasz mnie o coś?

– Nie ciebie. – Odwrócił wzrok. – Kogoś, kto może być bardzo silnie z tobą związany, choć prawdopodobnie nie masz o tym pojęcia.

– Kogo?

– No właśnie to chcę ustalić.

Odwróciła głowę i spojrzała przez przednią szybę.

– Zaintrygowałeś mnie, muszę to przyznać – powiedziała. – No dobrze, jedna rozmowa. Co chcesz wiedzieć?

– Chcę cię gdzieś zabrać i coś ci pokazać.

– Co?

Nie była jego pomysłem zachwycona, lecz i tym razem zdołał ją przekonać. Mimo tego, że nie chciał do końca wyjaśnić, o co mu chodzi. Ruszyli. Jechali w milczeniu. Fizycznie i niemal boleśnie odczuwał jej obecność obok siebie, choć ani razu, przez całą drogę na nią nie spojrzał. Ani ona na niego.

Powiedział, że mają jechać do parku przy zamku nad Łyną i tam gdzieś zaparkować. Wyjechała na aleję Wojska Polskiego i skręciła w stronę centrum. Potem wjechali na wiadukt nad torami i skręcili

w prawo tuż za nim w ulicę Marii Skłodowskiej-Curie.

Zdziwił się, gdy wjechała na parking pod teatrem.

– Dlaczego tu? – spytał.

– Tam na dole prawie nigdy nie ma miejsca – wyjaśniła. – Bardzo często tu parkuję. U mnie pod domem też jest zawsze ciasno.

Po jej poprzedniej wrogości nie było nawet śladu. Zdawało się, że wszystko wróciło do poprzedniego stanu, gdy nie wiedziała jeszcze, że ją okłamywał. Cieszyło go to, ale jednocześnie martwiło. Zdawał sobie sprawę, że po tym, co zaplanował, może go z powrotem znienawidzić.

Wysiedli z samochodu i ruszyli w dół ulicą. Szli obok siebie, a on bawił się myślą, że wyglądają jak para idąca na wspólny spacer. Wciąż się do siebie nie odzywali, lecz napięcie między nimi zniknęło.

Doszli do ulicy Wyzwolenia i skręcili w prawo. Po chwili byli już przy rzece.

– Gdzie ty mnie prowadzisz? – spytała w końcu.

– Tam. – Wskazał dwa wysokie, ceglane łuki rozpięte nad rzeką.

– Po co? – zdziwiła się.

– Chcę tam wejść, żeby coś sprawdzić.

Spojrzała na niego z lekkim zaniepokojeniem.

– Na pewno nie chcesz mnie zepchnąć z wiaduktu? – spytała. – Może to ty jesteś tym mordercą.

Uśmiechnął się. „Osoba silnie z nią związana, choć prawdopodobnie ona nie ma o tym pojęcia”. Pasowało to do niego.

– Nie było mnie w Olsztynie podczas pierwszego zabójstwa – odpowiedział. – Możesz to sprawdzić.

– Jak?

Jak? Być może był na to sposób. Zaczął szperać po swoich kieszeniach. Po chwili wyciągnął niewielki, zadrukowany kartonik. Tak jak podejrzewał, nie wyrzucił biletu. Przez cały ten czas tkwił w wewnętrznej kieszeni jego kurtki.

– Proszę. – Podał go jej. – Byłem w Zakopanem. To jest bilet powrotny z następnego dnia po morderstwie. Ta historia z pociągiem

wydarzyła się wieczorem. Nie zdążyłbym pojechać do Zakopanego i wrócić.

– Co robiłeś w Zakopanem?

– Pojechałem się zabić.

– Zabić?

– Popełnić samobójstwo.

Jej duże, zielone oczy popatrzyły na niego odrobinę ciepłej.

– Dlaczego?

– Już nie pamiętam. Idziemy?

Ruszyli. Nie zadawała już więcej pytań. Zaczynało powoli zmierzchać. Przyszli tu w ostatniej chwili. Jeszcze godzina, a byłoby za ciemno, by cokolwiek zobaczyć.

Doszli do pierwszego z dwóch wiaduktów i zaczęli wspinać się po schodkach biegnących nasypem między nimi. On pierwszy, ona za nim. Pomyślał, że zachował się właśnie jak morderca albo gwałciciel. Uspił jej czujność, zdobył zaufanie, wzbudził współczucie, gdy opowiedział jej o swojej próbie samobójczej, czym rozbroił jej naturalne mechanizmy obronne, a potem przekonał, by za nim poszła. Jednym słowem wprowadził ją w swój „psychologiczny rewir działania”. On jednak nie miał zamiaru jej zabijać ani gwałcić, choć w pewnym sensie miała stać się jego ofiarą.

Weszli na szczyt wiaduktu.

– Co teraz? – spytała.

– Przejdźmy na drugą stronę – odpowiedział.

Rozejrzał się, sprawdzając, czy pociąg nie jedzie, i wszedł na torowisko. Białe kamyki chrzęściły mu pod stopami. Obejrzał się za siebie. Zobaczył, że ona wciąż stoi.

– Chodź – powiedział.

– Po co mamy tam iść? – spytała z niechęcią.

– Musimy przejść na tamtą stronę. Stąd tego nie widać.

Z wyraźnym wahaniem weszła na torowisko. Zaczekał, aż podejdzie do niego, i podał jej rękę, żeby jej pomóc.

– Poradzę sobie – powiedziała.

Odwrócił się więc, uniósł nogę i przekroczył pierwszą lśniąca szynę. Jeszcze raz dla pewności rozejrzał się, czy z którejś strony nie nadjeżdża pociąg. Tory po obu stronach były puste. Stał na jednym z betonowych podkładów. Kątem oka zobaczył, że idzie za nim. Przekroczył drugą szynę i ruszył w stronę barierki oddzielającej brzeg wiaduktu od rozciągającej się po jej drugiej stronie kilkudziesięciometrowej przepaści. Barierka wmurowana była w wąski, mniej więcej metrowej szerokości betonowy postument biegnący wzdłuż całej długości wiaduktu. Wszedł na niego.

Odwrócił się. Wilczyńska była tuż za nim. Podał jej rękę; tym razem skorzystała z pomocy. Stała obok niego.

– Co mi chcesz pokazać? – spytała. – Trochę się tego boję.

– Już niedaleko – odpowiedział. – Chodźmy.

Ruszył wzdłuż barierki, przyglądając się uważnie białym kamikom leżącym między torami. Usłyszał, że idzie za nim. Gdzie to było? To musiało być gdzieś tu. Pytanie tylko, czy zostały jakieś widoczne ślady. Zakładał, że tak było, lecz przecież wcale nie musiało tak być.

W końcu je znalazł. Brunatne, choć mocno już spłowiałe plamy na białych kamieniach. Ślady krwi. Gdyby zostały gdzieś w dole, na ulicy, już dawno nie byłoby po nich śladu. Stał. Podeszła do niego i spojrzała w dół, podążając za jego wzrokiem.

– Co to jest?! – spytała przerażona.

– Tu zginął Grzegorz Kostecki, pracownik Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie, pierwsza ofiara mordercy.

– Po co... po co mi to pokazujesz?! – Spojrzała na niego rozszerzonymi ze strachu oczami.

Odwrócił się w jej stronę.

– Nic sobie nie przypominasz? – spytał.

– Co mam niby sobie przypominać?!

– To miejsce nie przywołuje w tobie żadnych wspomnień? Nie wydaje ci się, że kiedyś tu byłaś?

– Po co miałabym tu być?!

– To nie muszą być normalne, pełne wspomnienia; może chodzić

o jakiś rodzaj przebłysku, obrazu, czegoś przypominającego bardziej sen, niż rzeczywiste wydarzenie. Nic takiego się nie pojawia?

– Nie! – Odsunęła się od niego.

– Zastanów się! – Chwycił ją za przedramię. – Nie śniło ci się nigdy, że tu jesteś i że robisz różne dziwne rzeczy? Przypomnij sobie!

– Zostaw mnie! – Spróbowała odepchnąć jego rękę. – Zwariowałeś?! Nie pozwolił jej na to.

– Poczekaj, Agnieszka, proszę cię! Spróbuj o tym pomyśleć, przypomnieć sobie! To ważne. Nie chcę ci zrobić krzywdy, chcę ci pomóc. Zaraz pozwolę ci odejść, obiecuję. Tylko spróbuj o tym pomyśleć...

– Nie chcę o tym myśleć! – Wciąż próbowała się wyrwać. – Nie mam o czym myśleć, rozumiesz?! Jesteś nienormalny, odczep się ode mnie! Odczep się ode mnie raz na zawsze!!!

– Powiedz mi chociaż, czy go znałaś? Znałaś Kosteckiego? Powiedz mi!

– Nie znałam! Nigdy w życiu nie widziałam go na oczy! Puść mnie!!!

Wyrwała się w końcu. Odepchnęła go od siebie i zaczęła uciekać. Zachwiał się i oparł o barierki. Potem ruszył za nią, nie wiedząc nawet dokładnie, po co. Żeby ją złapać? Zmusić ją, żeby mówiła? Jak? Chyba faktycznie stawał się powoli nienormalny.

Przebiegła przez tory. Ten dziwny dźwięk, który od jakiegoś czasu słyszał, lecz nie zwrócił na niego uwagi, szarpiąc się z nią... Spojrzał odruchowo w lewo. Po torze w jego stronę pędził pociąg. Powietrze rozdarł ostry, wysoki dźwięk sygnału z lokomotywy i pisk hamulców. W ostatniej chwili zatrzymał się przed rozpędzoną masą żelastwa.



Gdy pociąg wreszcie przejechał, już jej nie było. Wskoczył z powrotem na betonowy podest i spojrzał w dół za barierkę. Zobaczył ją, jak biegnie ulicą wzdłuż Łyny. W tym właśnie momencie zapaliły się latarnie.

– Agnieszka! – krzyknął za nią.

Nawet się nie odwróciła.

Przełknął ślinę. Serce waliło mu jak oszalałe. Spierdolił to. Spierdolił to koncertowo. Niczego się nie dowiedział, w zamian za to zraził ją do siebie raz na zawsze. Nigdy już nie będzie chciała z nim rozmawiać, nigdy.

Odwrócił się i powoli przeszedł przez tory. Trzeba było wleźć pod ten pociąg. Naprawdę żałował, że tego nie zrobił.

Zszedł na dół i powłókł się w kierunku swojego mieszkania. Nic już nie było do zrobienia. Żaden pomysł więcej nie miał już sensu. Dojdzie pod swój blok, a po drodze kupi butelkę whisky. Ten dzień, w którym miał się urządzić, wypadł, jak się okazało, dzisiaj.

Z jakiegoś masochistycznego powodu szedł drogą, którą tu przyszli. Najpierw wzdłuż Łyny, potem ulicą Wyzwolenia, potem w górę Marii Skłodowskiej-Curie. Nie spieszył się; nie miał do czego. Gdy doszedł na wysokość teatru, skręcił w lewo, by jeszcze raz, być może ostatni, przejść obok tamtej ławeczki. Jutro, gdy wytrzeźwieje, spakuje się i wróci do Warszawy. W jego mieszkaniu ktoś mieszkał, ale nie miało to w tym momencie znaczenia. Nie mógł tu zostać ani dnia dłużej.

Gdy jednak przechodził obok teatralnego parkingu, coś zauważył.

W jednym z samochodów stojących na parkingu paliły się światła. Było już ciemno, więc widać to było tym wyraźniej. Podszedł bliżej. To był jej samochód.

Furtka była otwarta na oścież. Wszedł przez nią i podszedł do samochodu. Zajrzał do środka. Nie było jej tam, lecz drzwi od strony kierowcy były niedomknięte. Rozejrzał się naokoło. Nikogo nie było. Coś jeszcze było nie tak. Po chwili wiedział już, co. Światło nad wejściem dla artystów znów nie działało. Parking spowijał mrok. Poczuł niepokój. Prawie strach. W ustach momentalnie mu zaschło, a włosy na karku podniosły się. Obszedł samochód dookoła, a potem ruszył w kierunku wejścia do teatru. Nigdzie jej nie było.

Nagle od ciemnej ściany oderwała się ludzka sylwetka. Stanął jak wryty. Chyba wiedział, kto to jest. Nie uciekał.

Postać podeszła do niego szybkim krokiem. Ubrana była na czarno, a zamiast twarzy miała teatralną, wykrzywioną przesadną wściekłością maskę. Zobaczył jeszcze, jak postać unosi w górę rękę, potem poczuł tępy ból w okolicach czoła. Przewrócił się chyba. Tak, przewrócił, bo teraz leżał na ziemi, a po twarzy spływała mu krew. Spojrzał w górę. Postać stała nad nim i trzymała w ręku jakiś przedmiot. Podniósł się na czworaki, a potem uniósł głowę i korpus. Zobaczył, jak ręka z tamtym przedmiotem unosi się w górę.

– Agnieszka! – Wyciągnął przed siebie dłoń. – Poczekaj! Kocham cię! Rozumiesz? Kocham! To dlatego to zrobiłem. Chcę ci tylko pomóc! Kocham cię... – powtórzył bezradnie.

Zobaczył, jak ręka uniesiona w górze zamiera, a potem opuszcza się powoli. Postać stała nad nim jeszcze przez chwilę. Słyszał wyraźnie jej przyspieszony oddech wzmacniany dodatkowo przez maskę. Potem postać odwróciła się i odeszła.

Kłęczał tak jeszcze przez dłuższy czas, ciężko dysząc. Potem otarł rękawem krew z twarzy i wstał. Zachwiał się, o mało znów się nie przewrócił. Podszedł powoli, na chwiejnych nogach do jej auta. Otworzył niedomknięte drzwi i zgasił światła przełącznikiem przy kierownicy. Na koniec zamknął samochód.

Rozejrzał się ponownie. Nie było nikogo. Krew ciągle spływała mu po twarzy. Otarł ją jeszcze raz rękawem, a potem poszukał czegoś w kieszeniach, czym mógłby ją zatamować. W prawej bocznej kieszeni kurtki znalazł pokrytą paprochami chusteczkę – pamiątkę po dawnej wizycie w Macdonaldzie. Przytknął ją do czoła.

Opuścił parking i poszedł w stronę skwerku z ławką. Usiadł na niej, ciągle przytrzymując chusteczkę przy czole. Patrzył teraz na długą, oświetloną reflektorami boczną ścianę teatru. Jego okna były ciemne; nie grano teraz żadnych przedstawień, więc teatr o tej porze był pusty.

Czy to była ona? Ta postać, która go zaatakowała? Wszystko na to niestety wskazywało. Wygląda na to, że jego eksperyment jednak się udał. Jego działanie, szarpanina z nią, próba zmuszenia jej do przypomnienia sobie tamtych wydarzeń, zadziałały jak detonator, czynnik spustowy, budząc z uśpienia jej drugą, mroczną osobowość.

Nie był z tego powodu szczęśliwy, mimo że jego hipoteza właśnie znalazła potwierdzenie. Wręcz przeciwnie – dałby chyba wszystko, by jednak się mylić. Nawet gdyby to oznaczało, że ostatecznie się zbłądził, a ona nigdy więcej już na niego nie spojrzy.

Ale była w tym wszystkim jedna rzecz w miarę pocieszająca. Wtedy gdy zaatakowała go, tam na tym parkingu, który stąd widział, a on zwrócił się do niej jej prawdziwym imieniem i powiedział, że ją kocha – wtedy coś ją powstrzymało. Nie zabiła go, tak jak wcześniej tamtych. Mogło to znaczyć, że jest jakiś kontakt między jej dwiema osobowościami, że nie są od siebie całkowicie odseparowane. I że może dałoby się je odpowiednią terapią zintegrować.

Tak. Uchwycił się tej myśli jak ostatniej deski ratunku. Tak. Nie mógł przecież pozwolić, by trafiła do więzienia albo do zamkniętego oddziału szpitalnego, gdzie kieruje się niepoczytalnych przestępców. Pomoże jej. I wyleczy. Sam lub z pomocą Goczała. Nikt się nie dowie, że to ona stała za tymi morderstwami, a nawet jeśli Goczał uzyska taką wiedzę w trakcie terapii, będzie przecież związany tajemnicą lekarską.

Nagle na parkingu przed teatrem dostrzegł jakieś światełko. Nieduże, jakby małą latarkę. Zerwał się na równe nogi, starając się dostrzec, kto tam chodzi. Mała, okrągła plama światła wędrowała po nawierzchni parkingu, wydobywając z ciemności jej fakturę i koła samochodów. Niestety, oprócz niej nic nie było widać. To, co było powyżej, stało się wręcz jeszcze ciemniejsze. Powoli ruszył w tamtym kierunku. Po drodze wyrzucił chusteczkę do kosza.

Podchodził ostrożnie, starając się nie robić hałasu. Kto to mógł być? Może ona? Wróciła po coś, pytanie tylko, jako która ze swoich osobowości?

Gdy podszedł bliżej, do furtki, zdołał wreszcie dostrzec coś więcej. Po parkingu ktoś chodził. Trzymał w ręku telefon komórkowy z włączoną funkcją latarki, omiatając światłem wydobywającym się z lampy błyskowej ziemię naokoło samochodów. To była ona, Wilczyńska. W swojej zwykłej, normalnej postaci.

Podszedł do niej, nic nie mówiąc. Nie był pewien, jak zareaguje, gdy go zobaczy.

– Stało się coś? – spytał ostrożnie, gdy już go dostrzegła.

– Zgubiłam kluczyki – odparła niepewnym głosem. – Musiały mi gdzieś wypaść. Jeszcze ta głupia lampa znowu nie działa...

– Gdzie byłaś? – spytał.

– Wkurwiłam się na ciebie – odpowiedziała. – Chciałam trochę się przejść, żeby ochłonać. A potem przypomniałam sobie, że coś zostawiłam w samochodzie, i tu wróciłam. Ciągle jestem na ciebie wkurwiona – zastrzegła – i nie chcę cię znać. Ale teraz pomóż mi znaleźć te cholerne kluczyki.

Wyciągnął swój telefon i włączył w nim lampę. Podszedł do samochodu i pociągnął za klamkę. Drzwi otworzyły się.

– Otwarte – zdziwiła się. – Musiałam zapomnieć je zamknąć...

Zajrzał do środka i poświecił latarką w kabinie. Kluczyki leżały na dywaniku pod siedzeniem. Podniósł je i wyprostował się.

– Gdzie konkretnie chodziłaś? – spytał.

– Nie pamiętam – odpowiedziała z roztargnieniem. – To tu, to tam.

Byłam mocno zdenerwowana.

Podał jej kluczyki. Dostrzegła krew na jego czole.

– Co ci się stało? – spytała.

– Ktoś mnie napadł. Tu, na tym parkingu. Człowiek w ciemnym ubraniu i w teatralnej masce. Dokładnie ktoś taki zabił Kosteckiego. Policja ma na to świadka.

– Boże drogi... – Była autentycznie wstrząśnięta.

– Słuchaj, Agnieszka. – Czuł w piersiach nieznośny ciężar, gdy to mówił. – Tak jak mówiłem, myślę, że ma to spory związek z tobą.

– Jaki związek? – spytała zdumiona.

– Chciałbym to właśnie ustalić – odparł łagodnie. – Przepraszam cię za to, co stało się na wiadukcie. Musiałem to zrobić. I zrobiłem to po to, żeby ci pomóc.

– Dziękuję za taką pomoc...

– Bardzo proszę. A teraz muszę cię prosić o jeszcze jedną rzecz: żebyś poddała się krótkiej obserwacji.

– Jakiej znowu obserwacji? Co ty znowu wymyślasz?! – W jej głosie pojawiło się oburzenie.

– U mojego przyjaciela, doktora Goczała. Pracuje w szpitalu przy Wojska Polskiego.

– W szpitalu dla wariatów?! – Skierowała snop światła latarki wprost na jego twarz. Zmrużył oczy, nie mogąc znieść jaskrawego blasku.

– W szpitalu psychiatrycznym, na otwartym oddziale... – Starął się, by jego głos brzmiał pewnie i spokojnie. Oczy zaczęły mu łzawić.

– Pierdol się! – krzyknęła.

– Posłuchaj, Agnieszka. Jeśli się nie zgodzisz, będę zmuszony powiedzieć o swoich podejrzeniach policji, a oni wtedy skierują cię na taką obserwację przymusowo. I będzie to na pewno o wiele mniej przyjemne. – Czuł się jak świnia, gdy to mówił. – A to jest mój przyjaciel, potraktuje cię łagodnie i uprzejmie. I nikt się o niczym nie dowie. Wszystko odbędzie się nieoficjalnie.

– Grozisz mi?! – spytała z niedowierzaniem.

Ciężar w piersiach pozbawiał go niemal tchu.

– Tak, grożę – odpowiedział spokojnie. – Bo chcę cię zmusić do czegoś, co będzie dla ciebie dobre.

– Ty cholerny skurwysynu...

Przez całą drogę nie odzywała się do niego. Jej milczenie, ciężkie i pełne pogardy, było jedną z gorszych tortur, jakich kiedykolwiek doświadczył. Jej ciało odwrócone było od niego pod kątem i odchylone w stronę przeciwległej szyby samochodu. Jakby był szczurem, a ona brzydziła się samej jego obecności.

To on prowadził. Nie mógł się skupić, raz przejechał nawet na czerwonym świetle. Nie zauważyła tego, albo przynajmniej nie raczyła skomentować. Cała, niezbyt daleka przecież droga, dłużyła się niemiłosiernie. Gdy w końcu dojechali, poczuł wręcz fizyczną ulgę.

Zadzwoił wcześniej do doktora Goczała, by upewnić się, że jest w szpitalu. Był. Zdziwił się, gdy usłyszał, że Rozłucki przywiezie mu zaraz pacjenta, ale w końcu zgodził się, by przyjechali.

Zaparkował samochód na parkingu po drugiej stronie ulicy. Wysiedli. Oddał jej kluczyki. Wzięła je, nie patrząc nawet na niego.

– Chodźmy – powiedział.

Przeszli przez przejście dla pieszych i weszli przez bramę. Po chwili byli w gabinecie doktora Goczała.

Przywitali się. Doktor Goczał obrzucił Wilczyńską uważnym spojrzeniem, potem spojrzał na Rozłuckiego. Jego twarz wyrażała daleko posunięty sceptycyzm.

– Godzi się pani zostać u nas na obserwację? – spytał Wilczyńską.

– Zdaje się, że nie mam wyjścia – odparła lodowato.

Doktor Goczał jeszcze raz spojrzał na Rozłuckiego, jakby pytał się, czy na pewno wie, co robi. Rozłucki nie zareagował. Doktor Goczał

uniósł lekko brew.

– Proszę, tu są dokumenty do podpisania. – Podsunął Wilczyńskiej papiery. – Oddział jest otwarty, więc może pani zostać w swoich prywatnych rzeczach. Proszę się nie niepokoić, dostanie pani salę jednoosobową i będzie pani pod moją osobistą opieką.

– Super – odpowiedziała z sarkazmem.

– Proszę podpisać tu i tu. – Wskazał jej długopisem dwa miejsca. Zrobiła to.

– Ile ten cyrk może potrwać? – spytała.

– Dwa, góra trzy dni. Wystawię pani zwolnienie.

– Zwolnienie od psychiatrii? – zauważyła z ironią. – To będą mieli w teatrze używanie!

– Mamy tu również internistę – odparł doktor Goczał. – Poproszę go, żeby to on przystawił pieczęć.

– Dobrze i to – odpowiedziała.

– Ma pani jakieś rzeczy do przebrania? Szczoteczkę, pastę, ładowarkę?

Rozłucki zaklął w duchu. W ogóle o tym nie pomyślał...

– Tylko to, co mam na sobie – odpowiedziała. – Zostałam aresztowana na parkingu.

Doktor Goczał popatrzył na Rozłuckiego.

– W takim razie może lepiej, by wzięła je pani ze swojego domu – powiedział. – I zgłosiła się do nas jutro rano.

– Nie – odparł szybko Rozłucki. – Zależy mi bardzo, by pacjentka została przyjęta już dzisiaj. – Bał się, że drugi raz nie uda mu się już zmusić jej do przyjechania tutaj.

Doktor Goczał popatrzył na Wilczyńską, jakby czekał, aż zaprotestuje. Nie doczekał się.

– Dobrze – powiedział w końcu. – W takim razie damy pani naszą szpitalną pidżamę, a szczoteczkę i pastę można kupić u nas w sklepiku. Ładowarkę pożyczę pani swoją.

– A jutro przywiozę ci wszystkie potrzebne rzeczy – dodał Rozłucki. – Musisz tylko dać mi klucze.



Pomyślał, że będzie to doskonała okazja, by przeszukać jej mieszkanie.

Domyśliła się chyba tego, bo odpowiedziała:

– Brudne majtki są w koszu przy wannie. Możesz sobie jedne wziąć.

Ta kobieta potrafiła okazywać pogardę, trzeba jej to było przyznać. Poczuł, że się czerwieni.

– W takim razie chodźmy na oddział – powiedział doktor Goczał. – Poczekaj tu – zwrócił się do Rozłuckiego.

– Klucze – przypomniał Rozłucki. Zabrzmiało to trochę zbyt obcesowo.

Sięgnęła do torebki, wyjęła je i położyła na biurku Goczała.

– W samochodzie też sobie pogrzeb – rzuciła z niezmierną godnością, kładąc obok również kluczyki do swojej almery. Poczuł się po raz kolejny śmieciem.

Patrzył na nią, gdy wychodziła. Była piękna. Piękna i dumna. A on spalił właśnie wszystkie mosty, które mogły do niej prowadzić. Mało tego, rozkopywał teraz brzeg i stawiał zasieki.

Wyszli.

Po dziesięciu minutach wrócił sam Goczał. Usiadł na swoim miejscu za biurkiem i spojrzał na Rozłuckiego.

– Jesteś pewny tego, co robisz? – spytał. – Ona mi nie wygląda na osobę w najmniejszym stopniu zaburzoną.

– Przed chwilą mnie zaatakowała. – Uniósł dłonią włosy na czole i pokazał przyschniętą już ranę.

– To jeszcze nie dowód. Agresja nie świadczy o zaburzeniach psychicznych. Należy do normalnego arsenału ludzkich zachowań.

– Chciała mnie zabić.

– Jesteś tego pewien?

– Słuchaj, poobserwuj ją. Porozmawiaj, zrób testy. Nikomu to nie zaszkodzi.

– Oprócz ciebie – zauważył Goczał. – Strasznie między wami iskrzy. Na pewno zachowujesz w tej sprawie pełen obiektywizm?

Rozłucki nie odpowiedział od razu.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Tym lepiej będzie, jeśli ty to zweryfikujesz.

Wyszedł. Już dawno nie potrzebował świeżego powietrza tak jak teraz. Odetchnął głęboko. Nie pomogło. Nieznośny ciężar w jego piersiach nie stał się ani odrobinę mniej nieznośny.

Przeszedł przez przejście dla pieszych i podszedł do jej samochodu. Otworzył go i przeszukał. Najpierwabinę, potem bagażnik. Nic nie znalazł. W każdym razie nic podejrzanego. Jeśli ukryła gdzieś maskę i przebranie, nie było to tutaj.

Zamknął z powrotem samochód i odniósł kluczyki doktorowi Goczałowi. Nie było przecież powodu, by je zatrzymywał. I tak chciał pójść do jej mieszkania pieszo. Taki spacer dobrze mu robi.

Zanim jednak doszedł pod jej dom, poczuł ogromne, obezwładniające wprost znużenie. Za dużo dzisiaj się stało. Bolała go głowa od uderzenia i ledwo rozumiał, co się wokół dzieje. Zatrzymał się. Może lepiej jednak będzie, gdy pójdzie do jej mieszkania jutro? Powinien być przecież wtedy w pełni sił fizycznych i psychicznych, a w takim stanie jak teraz mógł coś ważnego przegapić. Poza tym, gdy w środku nocy jakiś obcy mężczyzna zacznie buszować po jej mieszkaniu, któraś z wścibskich sąsiadek może poczuć się zaniepokojona. I wezwać na przykład policję. A on chciał to przecież zrobić dyskretnie, tak żeby nikt, a już zwłaszcza Weronika i ten jej nowy koleś, się o tym nie dowiedzieli.

Poza tym nic się chyba nie stanie, jeśli odłoży to o parę godzin.

Skręcił więc w prawo i poszedł w kierunku swojego domu. Po drodze zaszedł jeszcze do sklepu całodobowego i kupił sobie małą, dwustumililitrową buteleczkę taniej whisky. Tylko tak, na sen. I żeby wreszcie przestać o tym wszystkim myśleć. Był naprawdę bardzo, bardzo zmęczony. Należało mu się to.

Nawet nie dopił tej buteleczki do końca. Zmęczenie i alkohol ścięły go z nóg niczym porządny cios w podbródek. Ledwo się rozebrał i dowlóknął do łóżka. Gdy tylko położył głowę na poduszce, odcięło mu prąd i zasnął.

Obudził się następnego dnia o wiele za późno. Spojrzał na zegarek. Minęła dziesiąta.

Wstał, umył zęby, którą to czynność miał zaległą z wczoraj, zjadł śniadanie, a potem znowu umył zęby. Ze zdziwieniem zauważył brudne ślady biegnące od wejścia do mieszkania do miejsca (mniej więcej na środku pokoju), gdzie zostawił buty. Ruszył po tych śladach niczym wytrawny tropiciel. Otworzył drzwi i wtedy zrozumiał, skąd się wzięły. Na wycieraczkę wciąż leżał pęknięty jogurt. Biała plama wyschła, zżółkła i popękała. Kilka karaluchów rozbiegło się na wszystkie strony, rezygnując ze swojego śniadania.

Wrócił do środka, znalazł jakąś foliową torbę, zwinął wycieraczkę razem z jogurtem, zapakował w nią, zjechał windą na dół i wyrzucił to wszystko do kosza przy wejściu. Potem wrócił do mieszkania, umył ręce, wykapał się i włożył w czyste ubranie. Nic więcej nie było do zrobienia. Mógł już iść do jej domu.

Zamiast tego jednak usiadł w fotelu. Nieznośny ciężar gniotący mu piersi powrócił. Spojrzał na niedopitą, małą buteleczkę whisky stojącą na stoliku. Gdyby tak dało się zrezygnować z tego wszystkiego, odpuścić, powiedzieć: „a co mnie to?” i upić do nieprzytomności. Ale się nie da. Musi dociągnąć tę sprawę do końca niezależnie od tego, co nim będzie.

Nie chciał tam iść. Bał się. Bał się tego, że coś tam znajdzie, i bał się tego, że nic tam nie znajdzie. Bał się wszystkich możliwych konsekwencji tego, co musiał zrobić. Robiło mu się niedobrze na samą myśl o tym. Jeszcze raz spojrzął na małą buteleczkę. A gdyby tak to wypić? Tylko to? Może by to choć na chwilę zatrzymało tę kręcącą się w jego mózgu karuzelę? Nie. Nie mógł tego zrobić. Wiedział to. Wstał i wyrzucił buteleczkę do kosza.

Skoro już był na nogach, założył kurtkę i wyszedł. W ściemniałym lustrze wiszącym w windzie dostrzegł, że są na niej plamy krwi. Potarł je paznokciem. Schodziły. Wyschnięta, brunatna ciecz zdrapywała się niczym stara farba.

Wyszedł z bloku i ruszył w stronę teatru i jej mieszkania. Wlókł się noga za nogą, jakby szedł na ścięcie. Rozwiązanie całej tej historii zbliżało się nieubłaganie. Czuł to. I był tym przerażony.

Był mniej więcej w połowie drogi, gdy zadzwoniła Weronika.

– Cześć, mógłbyś wpaść na chwilę na komendę? – spytała.

– Co się stało?

– To się stało, że prowadzimy śledztwo. Zapomniałeś? A ty ostatnio jakoś średnio nim się interesujesz. Znudziło ci się?

– Nie, po prostu...

Po prostu schował właśnie głównego podejrzanego u znajomego w szpitalu.

– Co, po prostu?

– Po prostu nic się ostatnio nie działo. Masz coś nowego?

– Przysłali ten profil psychologiczny z Warszawy. Chcemy go omówić z Tomkiem i Krzyśkiem. Dobrze, żebyś też był.

– Kiedy?

– Teraz. Powiedzmy za dwadzieścia minut. Zaczniemy, jak przyjdiesz.

Rozłączyła się. Nawet poczuł ulgę. Nie będzie więc musiał na razie tam iść. Wyrok został odroczone, ale nie wstrzymany. Dobre i to.

Piętnaście minut później był u niej w gabinecie.

– Cześć – powiedziała. – Siadaj.

Sięgnęła po telefon.

– Tomek? – powiedziała do słuchawki. – Weź Wareckiego i chodźcie do mnie.

Po paru minutach siedzieli już wszyscy wkoło jej biurka.

– Tomek – zwróciła się do Halickiego. – Możesz przedstawić nam to, co dostałeś?

Rozłucki ze zdziwieniem zauważył, że to ona zdawała się pełnić tu teraz funkcję dowódcy. Szybko jej to poszło. Jeszcze niedawno dobijała się o uznanie komisarza z Warszawy, a teraz sprawiała wrażenie, jakby to ona była jego szefem.

– Może niech lepiej Krzysiek to zrobi. – Halicki wskazał gestem siedzącego obok profilerę. – Czytał raport, a zna się na tym lepiej ode mnie.

– OK – zgodziła się Weronika. – Możesz? – zwróciła się do profilerę.

Mężczyzna wbił wzrok w plik kartek leżących mu na kolanach. Zawsze tak robił, gdy miał coś powiedzieć. Świadczyło to o tym, że był niezbyt pewny siebie.

– No więc – zaczął – profil nadesłany z Warszawy w kilku miejscach zgadza się z moimi ustaleniami, a w kilku dość znacząco od nich odbiega. Zgadza się mniej więcej, że tak powiem, ustalenia ogólne. Mężczyzna, wiek trzydzieści – czterdzieści pięć lat, typ przestępcy zorganizowanego, inteligencja wyższa od przeciętnej. Zamiłowania albo ambicje artystyczne. Być może związany w ten czy inny sposób z szeroko rozumianą sztuką.

– Raczej na pewno pracuje w miejscowym teatrze, to żeśmy już chyba ustalili – zauważył komisarz Halicki.

– Tak – zgodził się profiler.

– A w czym odbiega od pańskiego? – spytał Rozłucki.

– Prawdopodobne kłopoty z tożsamością, możliwe, że na tle stłumionego homoseksualizmu. Rozmawialiśmy kiedyś o czymś podobnym – profiler zwrócił się do Rozłuckiego. – Świadczyć o tym może zarówno pierwsze morderstwo: ten rozrywający ofiarę pociąg jest symbolem mocno fallicznym; o tym też mówiliśmy...

Rozłucki skinął głową.

– ...jak i drugie morderstwo, mogące być symboliczną próbą zniszczenia swoich skłonności, wypalenia ich ogniem, a potem zepchnięcia z powrotem do podświadomości, którą symbolizują

ciemne wody jeziora.

– Co ty o tym sądzisz? – spytała Weronika Rozłuckiego.

– Bardzo ciekawe – odparł. – I prawdopodobne.

Oraz odwracające uwagę od Wilczyńskiej.

– A co z trzecim morderstwem? – spytał.

Profiler po raz kolejny wbił wzrok w plik kartek.

– Tu kluczowa zapewne jest postać dyrektora. Był on typem bardzo patriarchalnym; stanowczym, męskim i władcym. Być może symbolizował on w umyśle zabójcy wszystko to, co było opresyjne w jego życiu. Mógł się też w jakiś sposób kojarzyć mu z ojcem – oziębłym, przemocowym, gardzącym niemęskimi cechami syna i próbującym je wyplenić. Jeśli to nałożyło się na realny konflikt, mogło być doskonałą motywacją do morderstwa.

– To może mieć sens – przytaknął Rozłucki.

– Wszystko ładnie pięknie, ale jak to się ma do prawdziwych ludzi, z którymi mamy do czynienia? – spytała Weronika. – Przywodzi wam to kogoś na myśl?

– Reżysera – odpowiedział Rozłucki. – Krystiana Muszyńskiego.

Była to kolejna doskonała okazja, by odwrócić uwagę od Wilczyńskiej. Poza tym... Poza tym faktycznie nie mógł tego wykluczyć.

– Dlaczego jego? – spytał Halicki.

– Ktoś mi ostatnio zwrócił uwagę, że to on najbardziej skorzystał na tych morderstwach. Miał poważny konflikt z Kaletnikiem, a teraz został pełniącym obowiązki dyrektora ze sporymi podobno szansami na oficjalne objęcie tego stanowiska. Pisze też sztuki, których poprzedni dyrektor nie chciał wystawiać, a teraz może je sobie wystawiać do woli. Miałby więc doskonały motyw.

– A co z jego ewentualnym homoseksualizmem? – spytała Weronika.

– Nic o tym nie wiem – przyznał Rozłucki. – Ma żonę i dzieci, ale to w końcu o niczym nie świadczy. W tym zawodzie i w tym środowisku procent osób homoseksualnych jest zauważalnie wyższy niż w całej

populacji.

To, że ewidentnie próbował poderwać Wilczyńską, świadczyłoby z kolei przeciwko temu, ale o tym Rozłucki nie wspomniał.

– Ambicje artystyczne niewątpliwie też posiada – zauważył profiler.  
– A te morderstwa były dość dobrze wyreżyserowane.

Spojrzeli po sobie.

– Czyżbyśmy mieli podejrzanego? – spytał Halicki.

– Na to wygląda – odparła Weronika. – To co? Do roboty!

Porozdzielano zadania i spotkanie zakończyło się. Rozłucki miał robić to, co zawsze: kręcić się w pobliżu, obserwować, wypytywać. Halicki i profiler wyszli. On został trochę dłużej.

– Coś jeszcze? – spytała Weronika.

– Tak – odparł. – Masz tam – wskazał na jej komputer – te nagrania z monitoringu na parkingu przed hipermarketem?

– Mam, a co?

– Mógłbym je przejrzeć?

– Oglądałam je. Nic tam nie ma.

– Wiem, ale może dostrzegę tam coś, czego ty nie zauważyłaś.

– Na przykład co?

– Nie wiem. Po prostu chciałbym je przejrzeć. Mógłbym?

Wzruszyła ramionami.

– Jasne. – Nachyliła się nad ekranem. – Tu je masz – powiedziała po chwili. – Usiądź sobie na moim miejscu, ja i tak muszę lecieć.

Wstała.

– Jak skończysz, nie wyłączaj komputera – dodała, wychodząc.

Obszedł biurko i usiadł na fotelu Weroniki. Włączył nagranie. Chciał coś sprawdzić, wpadł na to dosłownie przed chwilą.

Po niespełna półgodzinie znalazł to, czego szukał. Zatrzymał film. Wpatrywał się w zamrożony kadr otępiałym wzrokiem. Nie było żadnych wątpliwości. Na parkingu stał jej samochód. Stary, srebrny nissan almera. Numer rejestracyjny też się zgadzał.

Nieznośny ciężar osunął się parę centymetrów niżej.



Wyszedł z budynku komendy. Stał na chodniku. Teraz należałoby tam pójść. Potwierdzić to, co już w zasadzie wiedział.

Nie znalazł dotychczas co prawda żadnego rozstrzygającego dowodu, lecz tyle tak różnych poszlak wskazujących na nią nie mogło być dziełem przypadku. Był pewien, że coś tam znajdzie. Jeśli jego hipoteza, że Wilczyńska nosi w sobie dwie osobowości, jest prawdziwa, jakiś ślad po tym musiał pozostać w jej mieszkaniu. Skoro te dwie osoby zasiedlające na zmianę jej świadomość nie wiedzą nawzajem o swoim istnieniu i nie kontaktują się ze sobą, jest praktycznie niemożliwie, by zdołały ukryć dowody świadczące o tym rozdwojeniu przed postronnym obserwatorem. Ona sama może tego nie zauważać. Może sądzić, że ten dziwny przedmiot, który leży u niej w szafie – maska, ubranie albo coś, co służyło do dokonania któregoś z tych trzech morderstw lub było po prostu pamiątką zabraną z miejsca zbrodni – znalazło się tam z innego powodu. Może stworzyć sobie nawet fałszywe wspomnienie tłumaczące obecność tego w mieszkaniu. Ale on będzie wiedział od razu, o czym to świadczy.

Sięgnął do kieszeni. Klucze wciąż w niej były. Nie pozostało już nic innego, jak tam pójść.

Ruszył. Nie spieszył się specjalnie, ale też nie włókł jak ostatnio. Decyzja została podjęta, procedura wdrożona. Za chwilę się dowie.

Doszedł do końca ulicy Partyzantów, potem skręcił w lewo w 1 Maja. Minął popiersie Stefana Jaracza na skwerku naprzeciwko teatru. Jego zboląła, pełna napięcia spizowa twarz doskonale

odpowiadała temu, jak on sam się teraz czuł. Pozdrowił wielkiego aktora smutnym półuśmiechem.

Po chwili stał już przed długim, brzydkim budynkiem, w którym mieszkała. Wejście było od tyłu, od strony sporego podwórka otoczonego z czterech stron budynkami, na którym parkowały samochody i na którym, jak wiedział, nigdy nie było miejsca. Wszedł tam przez dużą bramę.

Odnalazł wejście na klatkę, w której znajdowało się jej mieszkanie. Nie znał kodu do domofonu, lecz metalowe, ciemnobrązowe drzwi otwierały się też jednym z kluczy.

Wszedł do środka i ruszył w górę schodami. Mijał kolejne piętra, sprawdzając numery mieszkań. Jej było na czwartym. Stał pod drzwiami. Wyglądały zupełnie tak samo jak te, które prowadziły do jego mieszkania. Zamki były dwa: górny i dolny. Dopasował klucze od jednego, potem do drugiego. Otworzył i wszedł do środka.

Stał w niewielkim przedpokoju. Wciągnął nosem powietrze. Tak, to był jej zapach, jej perfumy. Te same, za które oddałby wszystkie swoje pieniądze. Poczł bolesne wzruszenie. Dlaczego aż tak bardzo na niego działała? Po raz kolejny zadał sobie to pytanie. Dlaczego tak strasznie, beznadziejnie pogrążył się w tej miłości? obsesji? – sam już nie wiedział, co to było.

Po prawej stronie były drzwi do łazienki. Wszedł tam i odnalazł na półce flakonik z perfumami. Podniósł go, otworzył i powąchał zakrętkę. Potem psiknął trochę na wewnętrzną stronę nadgarstka. Nie potrafił się powstrzymać.

Intensywny, upajający zapach rozszedł się w powietrzu. Przytknął przegub dłoni do nosa i głęboko wciągnął powietrze. Co to było? Ten zapach coś mu przypominał, coś znanego.

Zamknął flakonik i odstawił na miejsce. Dość tych sentymentalnych głupot. Miał tu robotę do wykonania. I to robotę, w której był absolutnym nowicjuszem.

Rozejrzył się po łazience. Skoro już tu był, równie dobrze mógł zacząć stąd. Nigdy wcześniej nie przeszukiwał niczyjego mieszkania.

Jak to się robi? Raz tylko kiedyś buszował po piwnicy starego Jakubca. Ale to było trochę co innego. Nie grzebał nikomu w jego osobistych rzeczach, tylko przeglądał stare kartony.

Nagle uświadomił sobie jedną rzecz: powinien w zasadzie założyć wcześniej rękawiczki. Jeśli kiedyś przyjdzie tu policja, wszędzie znajdą jego odciski palców. Dosłownie wszędzie, na każdej rzeczy. Tylko że on nie miał rękawiczek. Nie pomyślał o tym.

Oderwał kawałek papieru toaletowego z rolki i z jego pomocą otworzył szafkę pod umywalką. Może ona ma jakieś? Kobiety często sprzątają w rękawiczkach, żeby nie zniszczyć sobie dłoni. Albo używają ich, żeby nie pobrudzić sobie skóry podczas nakładania farby na włosy. Uff... miał szczęście. Pod syfonem umywalki, obok różnych środków czystości, stało też tekturowe pudełko z jednorazowymi, lateksowymi rękawiczkami.

Założył jedną parę, a potem dokładnie wytarł flakonik perfum, klamkę w drzwiach do łazienki i gałkę górnego zamka w drzwiach wejściowych. Niczego więcej chyba nie dotykał.

Teraz mógł zabrać się do przeszukiwania.

Minęły trzy godziny, a on niczego nie znalazł. Żadnych męskich ubrań, żadnych przedmiotów ani narzędzi, które mogłyby być użyte w jednym z trzech morderstw. Nic.

Spocił się za to jak mysz. Bardziej ze zdenerwowania niż z wysiłku. Czuł, że włosy na karku i skroniach ma mokre, a koszula lepi mu się do pleców.

Usiadł zrezygnowany i zniechęcony na jasnej kanapie z płóciennym obiciem. Rozejrzał się jeszcze raz po jej mieszkaniu. Jedyne połączenie było z kuchnią i przedpokojem w jedną, pozbawioną ścian przestrzeń. Tylko łazienka miała drzwi i była oddzielnym pomieszczeniem.

Czy było tu jeszcze coś, czego nie przeszukał? Jakiś zakamarek, do którego nie zajrzał? Chyba nie. Zaglądał nawet do zamrażalnika

w lodówce.

Choć, z drugiej strony, nie miał przecież doświadczenia, nie wiedział, gdzie w takim mieszkaniu można urządzić skrytkę. Może zresztą to, czego szukał, leżało na wierzchu, a on nie potrafił tego dostrzec? Weronika (już nie mówiąc o komisarzu Halickim) poradziłaby sobie tu na pewno o wiele lepiej. Wiedziałyby, gdzie zajrzeć i czego szukać. No ale Weroniki (ani Halickiego) nie mógł tu przyprowadzić.

Nie pozostawało mu nic innego, jak szukać dalej. Przejrzeć jeszcze raz te same miejsca. Do skutku. Nikt go przecież nie gonił. Nikt nie przyjdzie, żeby go stąd wyrzucić i powiedzieć, że czas minął. Gdy będzie trzeba, może tu siedzieć choćby i całą noc.

Wstał z kanapy i skierował się jeszcze raz do kuchni. Wszedł na krzesło, potem na blat, by po raz kolejny sprawdzić, czy nic nie leży na szafkach od góry. Potem zaczął je znowu systematycznie przeszukiwać. Zaglądać pod talerze, do puszek z kawą i za stojące w szafce garnki. Zaaferowany i zajęty swoimi myślami, nie usłyszał, jak ktoś powoli otwiera drzwi. Nachylony nad szufladą ze sztucami nie zauważył, jak ktoś cicho podchodzi do niego od tyłu. Szczęk metalowych noży i widelców skutecznie zagłuszył oddech, skrzypienie butów i szelest trących o siebie ubrań. Spowodował, że nie usłyszał nawet, jak ktoś podnosi w górę rękę, bierze zamach i ze świstem powietrza przecinanego krótką, owiniętą gumą i okręconą sznurkiem drewnianą pałką uderza go mocno w tył głowy.

Potem – i jeszcze przez bardzo długi czas potem – nie był już w stanie niczego dostrzec, usłyszeć ani zauważyć.

Gdy w końcu się ocknął, nie wiedział, gdzie jest ani co się stało. Wydawało mu się w pierwszej chwili, że leży w swoim łóżku, jest środek nocy, a on obudził się, bo coś mu się przyśniło. Poczuł, że mocno boli go głowa. Nie było w tym nic nadzwyczajnego; zdarzały mu się czasem takie pobudki, zwłaszcza gdy poprzedniego wieczoru sporo wypił, a czasem nawet i bez tego. Trzeba było teraz wstać, połknąć dwie tabletki ibupromu, a potem usiąść w fotelu i poczekać, aż przejdzie.

Sęk w tym, że nie mógł tego zrobić. Gdy przekręcił się na plecy, by zmniejszyć trochę ból w potylicy (czasami to pomagało), zrozumiał, że to, na czym leży, jest za twarde na łóżko. Za twarde i za krótkie, gdyż nie mógł rozprostować w pełni nóg. Dopiero teraz poczuł też, że jest związany. Zarówno jego ręce, jak i nogi obwiązane były ciasno czymś, co sądząc po dźwięku, jaki wydawało, gdy się poruszał, było szeroką taśmą klejącą.

Ciemność wokół niego była czarna, absolutna, bez żadnego, najmniejszego nawet śladu światła, choćby nikłego i rozproszonego. Takiej ciemności nie da się uzyskać w żadnym pomieszczeniu, w którym zazwyczaj śpią ludzie, zawsze bowiem znajdzie się coś – latarnia za oknem, mała dioda przy telewizorze lub fosforyzująca tarcza zegara – co tę ciemność choć trochę rozjaśnia. Raz tylko doświadczył podobnej ciemności. Kiedyś, w dzieciństwie, gdy nocował u babci na wsi i spał w pokoju, którego jedyne okno wychodziło na las i rzekę, a noc była bezgwiezdna i bezksiężycowa. Obudził się wówczas tak jak teraz – w czarnej, nieprzeniknionej

ciemności – i tak jak teraz zastanawiał się, czy aby przypadkiem nie umarł.

Jednak żył, był tego pewien. Umarli nie czują takiego bólu. Ich sytuacja w porównaniu do żywych jest w większości aspektów zdecydowanie gorsza, ale w tym jednym na pewno lepsza – nic ich nie boli. A jego bolało i to coraz mocniej.

Spróbował określić i zanalizować ten ból. Bolała go głowa, lecz nie w środku, jak podczas na przykład migreny. Bolała go czaszka, tył głowy. Ktoś musiał go tam uderzyć, choć nie pamiętał tego.

Co się więc stało? Nic nie pamiętał. Pamiętał, że był w mieszkaniu Wilczyńskiej i że je przeszukiwał. I to w zasadzie tyle. Nic więcej. Następnym obrazem była ta ciemność. Ktoś musiał go więc zająć od tyłu i czymś zdzielić. Tylko kto? Na pewno nie ona, ona była przecież w szpitalu u doktora Goczała. Poczował nagle ogromną, zupełnie nieadekwatną do sytuacji ulgę. To nie ona. Mylił się. Nie ona była mordercą. Prawie się uśmiechnął.

Prawie, bo tego też nie mógł zrobić. Gdy spróbował oblizać językiem wargi, zrozumiał, że usta ma również zaklejone taśmą. No pięknie. Na domiar złego, jakby na umówiony sygnał, zaczął mu się zatykać nos. Śluzówki mu nabrzmiały, blokując dopływ powietrza do płuc. Być może z powodu paniki, w jaką właśnie powoli wpadał, a być może od kurzu i brudu, którym przesiąknięte było to coś, na czym leżała jego twarz.

Zaczął się dusić. Przyspieszony z przerażenia oddech jeszcze pogarszał sprawę. A więc tak umrze, tu? Nie wiedząc nic, ani gdzie jest, ani kto go tu umieścił, ani jakie jest rozwiązanie tej całej zagadki? Ze świadomością, że nie był jednak głównym bohaterem tej historii, a postacią zaledwie drugoplanową, niegodną, by doczekać jej zakończenia? Nie, nie może na to pozwolić.

Spróbował uspokoić oddech, wciągać powietrze długimi, głębokimi pociągnięciami, dostarczając organizmowi tlen mimo coraz bardziej zwężających się kanałów nosowych.

Uniósł głowę i zaczął nią ruszać gwałtownie w górę i w dół.

Uparcie, raz za razem, mimo bólu w tyle głowy, tak żeby zmienić ciśnienie w obrębie jamy nosowej i spowodować odpłynięcie krwi ze śluzówek do pracujących z takim wysiłkiem mięśni karku.

W końcu się udało. Nos odetkał się, śluzówki się obkurczyły. Odetchnął głęboko, z wdzięcznością. Szczęśliwy mimo wielkiego młota bólu walącego go wciąż w potylicę.

Dobrze. Teraz wypadałoby określić, gdzie się znajduje. Ten zapach, który go otaczał, był dość specyficzny. Spróbował kopnąć związanymi nogami w to coś, co było blisko niego. Usłyszał stłumiony, dudniący dźwięk. Jakby metalu, ale czymś obłożonego. Teraz już wiedział: był w bagażniku samochodu, a ten zapach to woń starej tapicerki.

Tuż po tym, jakby dla potwierdzenia prawdziwości tego odkrycia, usłyszał dźwięk odpalanego silnika. Poczł wibracje przenoszące się poprzez karoserię na jego ciało. Samochód ruszył, a po chwili wszystko zaczęło się trząść. W plecy uderzyło go coś, co widocznie razem z nim podróżowało w tym bagażniku.

Był teraz workiem, niczym więcej. Trzęsącym się, podskakującym, objającym, pozbawionym jakiegokolwiek kontroli nad tym, co się z nim dzieje. Nie za przyjemne uczucie. Przeróżające. Panika, którą udało mu się niedawno opanować, wróciła.

Nie wyglądało to za dobrze. Ktoś go pozbawił przytomności, związał, włożył do bagażnika, a teraz gdzieś wiozł. Nie robi się takich rzeczy raczej, by pokazać komuś zachód słońca. Nie o taki rodzaj niespodzianki zazwyczaj w tym chodzi. Poczł, że zaczyna się pocić.

Tamte myśli powróciły. To koniec. Tak się to wszystko kończy. W połowie opowieści, bo prawdziwe życie nie przypomina książki, więc nie musi kończyć się z sensem. Nie musi czekać na rozstrzygnięcie, zamknięcie klamry i puentę. Ucina się je jak kiełbasę wiszącą na haku.

Morderca, kimkolwiek był, dopadł go. I zamierza zrobić z nim to, co z tamtymi trzema, choć prawdopodobnie w inny, zapewne nie mniej spektakularny sposób. Zostanie za chwilę aktorem w jego

widowisku. Cóż za fascynująca kariera! Najpierw psycholog, potem prawie policjant, teraz aktor amator. Szkoda, że nie miał profilu w Wikipedii, mógłby to wszystko sobie tam wpisać.

Samochód w końcu się zatrzymał. Silnik przestał pracować, potem usłyszał dźwięk otwieranych, a po chwili zatrzaskiwanych drzwi. Czekał teraz, aż ktoś otworzy klapę bagażnika, mimowolnie skulił się i napiął mięśnie, nic takiego jednak nie nastąpiło. Zapadła cisza.

Gdzie był? W lesie? Pod ceglanymi wiaduktami? Nad jeziorem? Dwie pierwsze ofiary mordercy prawdopodobnie pokonały swoją ostatnią drogę w podobny sposób. I czuły to samo, co on. Panikę i przerażenie, które powoli ustępowało miejsca otępieniu. Tak jak teraz u niego. Być może dlatego morderca nie otwierał jeszcze klapy. Czekał na moment, w którym będzie go można prowadzić jak barana na rzeź.

Nie, to nie mogło być żadne z tamtych miejsc. Morderca nie powtarzał się. Jego zabójstwo odbędzie się gdzieś indziej, w innej scenografii. Ciekawe gdzie? Może na zamku? I czy tak jak w poprzednich razach towarzyszyć mu będzie publiczność?

Naraz uświadomił sobie, że ciągle ma na dłoniach lateksowe rękawiczki. Te, które założył jeszcze u Wilczyńskiej. Skóra pod nimi była nieprzyjemnie spocona i było to niezbyt komfortowe uczucie. I jedyne spośród niekomfortowych, doświadczanych przez niego aktualnie uczuć, któremu mógł jakoś zaradzić. Postanowił je zdjąć.

Nie było to łatwe, ręce bowiem miał związane na plecach. Nadgarstki były złączone i obwiązane taśmą. Nie było proste schwycić palcami jednej dłoni śliski, gumowaty materiał ściśle przylegający do skóry, a potem ściągnąć go krótkimi, posuwistymi ruchami z ręki, ale w końcu mu się to udało. Potem tę samą czynność powtórzył z drugą dłonią.

Poruszał palcami obu rąk. Poczował ulgę. To małe, nieistotne zwycięstwo sprawiło jednak, że choć trochę wróciła mu wiara w siebie. Uświadomił sobie nagle, po co założył te rękawiczki: po to, żeby nie zostawiać odcisków palców. Teraz zaś, gdy je zdjął, mógł je



zostawiać, ile tylko wlezie. Zaczął macać wewnątrz bagażnika za swoimi plecami w poszukiwaniu przedmiotów, na których mógłby zostawić swoje ślady. Odnalazł coś, chyba sztywną, plastikową torbę na zakupy, jakiś okrągły, walcowaty przedmiot i pustą butelkę, zdaje się, po jakimś napoju. Obmacał wszystko dokładnie i systematycznie. Jeśli kiedyś policja będzie przeszukiwała ten samochód, znajdą jego odciski i może choć w ten sposób przyczyni się do ujęcia mordercy.

To wszystko jednak było za mało. Co jeszcze mógłby zrobić? Zaczął drapać paznokciami tapicerkę, którą wyłożony był bagażnik. Jej włókna pod paznokciami jego trupa także mogą naprowadzić policję na ślad.

Jego trupa... Ta myśl przygniotła go nagle niczym stutonowy gład. Dopiero teraz tak naprawdę zrozumiał i poczuł, że może za chwilę umrzeć. Że najprawdopodobniej umrze. Poczucił obezwładniające, zwierzęce przerażenie. Jeszcze niedawno, parę tygodni temu sam chciał się zabić, teraz zaś ta perspektywa napełniła go taką grozą, że aż nie mógł oddychać.

Zaczął walić z całej siły związanymi nogami w wewnętrzne ściany bagażnika. I krzyczeć. Wrzeszczeć tak głośno, na ile pozwalała mu taśma na ustach. Potem opadł z sił. Znieruchomiał. Bez sensu. To wszystko było bez sensu. Zastygł w katatonicznym stuporze.

Gdy pokrywa bagażnika wreszcie uniosła się, był już złamany. Bezwolny i otępiały. Bez najmniejszej ochoty i szansy na przeciwstawienie się mordercy. Na jakikolwiek opór.

Spocony ze strachu musiał przedstawiać sobą żaloszny widok. Ledwo widział sylwetkę, która się nad nim nachyla. Rozpoznał tylko maskę. Białą, wykrzywioną wściekłością teatralną maskę.

Człowiek w masce nachylił się nad nim jeszcze mocniej. Zobaczył w jego ręku nóż. Jego ostrze zaślniło w świetle ulicznej latarni. Nawet nie poczuł trwogi, było mu już wszystko jedno. Nóż jednak nie zagłębił się w jego ciele. Człowiek w masce chwycił jego nogi, a potem przeciął nim oplatającą je taśmę.

Nóż zniknął schowany w kieszeni. Uwolniona od niego dłoń w czarnej rękawiczce szturchnęła Rozłuckiego w bark. Popatrzył na nachyloną nad nim postać nierozumiejącym wzrokiem. Dwie ręce chwyciły go za kurtkę na barku i pociągnęły do siebie. Miał wyjść, o to tu chyba chodziło.

Posłusznie wystawił nogi za obręb bagażnika. Spróbował wysiąść, ale mu się to nie udało. Wcale nie tak łatwo jest wyjść z bagażnika samochodu, gdy ma się obie ręce związane z tyłu. Człowiek w masce pomógł mu. Po chwili stał już obok niego, lekko się chwiejąc.

Rozejrzał się wokoło. Człowiek w masce nie popędzał go; dawał mu czas na oswojenie się z sytuacją. Zobaczył oświetloną reflektorami ścianę zamku. A więc przynajmniej w tym się nie pomylił.

Wiedział już, gdzie był. Na parkingu przed restauracją nad Łyną. Tam gdzie kiedyś był z Wilczyńską i gdzie dowiedziała się o jego współpracy z policją. Musiała być noc, bo parking był pusty. W dzień zawsze stało na nim mnóstwo samochodów.

Poczuł szturchnięcie w ramię. Koniec zwiedzania. Ruszył przed siebie, przytrzymywany z tyłu za kołnierz kurtki. Człowiek w masce prowadził go w kierunku mostka nad rzeką. Przeszli przez niego, potem skręcili w bok i zeszli schodkami nad samą Łynę.

Weszli pod wysoko sklepiony łuk mostu. Łyna przelewała się w dole, wydając kojący dźwięk. Jej powierzchnia lśniła, odbijając światło ulicznych latarni. Było to piękne, nawet teraz to zauważył.

Pod łukiem mostu z tej strony rzeki biegł chodnik oddzielony od nurtu barierką. Weszli na niego.

Na jego środku stał stołek. Poznał go od razu, w swoim mieszkaniu w Warszawie miał taki sam. Dosyć charakterystyczny, kupiony w jednym w hipermarketów meblowych, zrobiony ze sklejki; dosyć lekki, choć niezbyt solidny; w każdym razie nie na tyle, by móc na niego wejść, wieszając firanki. Obok niego stała mała, plastikowa, trójstopniowa, składana drabinka.

Nad tym wszystkim wisiał sznur. Zakończony był pętlą. W pierwszym momencie nie zrozumiał. Zatrzymał się tylko zdziwiony tym niecodziennym widokiem. Dopiero po chwili dotarło do niego znacznie połączenia tych dwóch elementów. Wydał stłumiony taśmą klejącą okrzyk i odwrócił się, jakby chciał uciekać.

Człowiek w masce był jednak na to przygotowany. Trzymał coś w ręku i to coś przytknął mu do brzucha. Rozłucki usłyszał ciche brzęczenie i po chwili jego ciało przeszył silny, ściągający wszystkie mięśnie ból. Skulił się, a potem przewrócił. Kiedy już doszedł do siebie, zobaczył, że człowiek w masce coś mu pokazuje. Paralizator.

Następny gest kazał mu wstać. Gdy nie posłuchał, ręka z paralizatorem zbliżyła się do niego wymownie. Przewrócił się na bok, uklęknął, a potem nieporadnie podniósł się na nogi. Biała maska przypatrywała się temu spokojnie.

Ruszyli dalej. Podeszli do sznura. Człowiek w masce szturchnął go i wskazał ręką stołek. Potem podsunął mu pod oczy paralizator i nacisnął przycisk. Elektryczny łuk z przeciągłym trzaskiem przeskoczył między dwiema przypominającymi szczypcę żuka elektrodami.

Rozłucki spojrział na stołek, a potem postawił na nim prawą nogę. Już pod tym ciężarem stołek zachybotał się lekko na boki. Usłyszał obok siebie znowu przeciągły trzask. Przeniósł ciężar swojego ciała

na prawą nogę i spróbował unieść się w górę. Człowiek w masce pomógł mu, inaczej prawie na pewno by się przewrócił.

Stał teraz na stołku, czując, jak drży i chwieje się pod nim. Człowiek w masce obszedł go, wszedł na drabinkę i od tyłu założył mu pętlę na szyję. Potem docisnął węzeł. Poczuli i zobaczyli, jak koło jego głowy przelatuje nietoperz.

Człowiek w masce zszedł z drabinki, obszedł go z powrotem i cofnął się o parę kroków, jakby chciał ocenić, czy wszystko jest jak należy. Potem ściągnął z ramion mały plecak i coś z niego wyjął. Małą, białą, foliową reklamówkę. Taką samą jak ta, którą Halicki znalazł na drzewie. Podeszedł do niego bliżej i wysypał jej zawartość pod nogi Rozłuckiego. Małe, srebrne, metalowe krążki zaślśniły, tocząc się na wszystkie strony po granitowym bruku.

Monety. Były to monety. Sądząc po dźwięku, jaki wydawały, uderzając o kostkę, raczej nie prawdziwe. Srebrne. Srebrniki. Nie musiał liczyć, by wiedzieć, że było ich trzydzieści.

Mimo otępienia i strachu, zrozumiał wymowę tego symbolu. Był zdrajcą, Judaszem, a to była jego zapłata. Trzydzieści judaszowych srebrników. I sznur, z pomocą którego Judasz odebrał sobie życie. A więc tak wyglądał przygotowany dla niego spektakl.

Człowiek w masce odszedł parę kroków i przyjrzał się swojemu dziełu. Stał tak przez chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. Potem znowu zdjął z ramion plecak i wyjął z niego podłużny przedmiot. Gdy podeszedł bliżej, Rozłucki zobaczył, co to jest: krótka pałka owinięta gumą i obwiązana sznurkiem.

Człowiek podeszedł do niego i mocno uderzył go tą pałką z boku w kolano. Rozłucki jęknął z bólu i zachwiał się, lecz człowiek w masce przytrzymał go, by nie spadł. Chwilę później to samo zrobił z drugą nogą. Potem złożył drabinkę, odwrócił się i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Rozłucki został sam. Zdziwiło go to w pierwszej chwili, lecz wkrótce zrozumiał, o co w tym chodzi. Judasz powiesił się sam. Popełnił samobójstwo, nie mogąc znieść ciężaru swojego czynu. On też

musiał sam odebrać sobie życie. Morderca nie mógł go zabić, nie mógł wykopać mu stołka spod nóg, bo wtedy symbol nie były pełny. Zostawił go więc tu, by sam, pod wpływem zmęczenia, osunął się w dół.

Aby mieć jednak większą pewność, że Rozłucki, mimo wszystko, mimo chybotliwego stołka i coraz bardziej drżących nóg, nie utrzyma się do rana, gdy ktoś go wreszcie odnajdzie, obił mu nogi pałką.

Pięknie wymyślone. Imponująco. Rozłucki był pod wrażeniem. Gdyby nie ręce sklezione z tyłu taśmą, zacząłby bić brawo.

Rozejrzał się wokoło, mając nadzieję, że gdzieś zobaczy przechodzącego człowieka. Kogoś, kto zaalarmowany jego stłumionym jękiem, pomógłby mu zerwać się z tego stryczka. Nikogo jednak nie było. Która to mogła być godzina? Druga lub trzecia w nocy. Normalny dzień tygodnia. Za późno, by pijana młodzież wracała ze staromiejskich knajp do domów i akademików. Zresztą dziś nie piątek ani nie sobota i wszystkie lokale zamykane były pewnie koło dwunastej.

Ile więc jeszcze mu zostało, zanim ktoś go tu znajdzie? Żywego lub już martwego. Trzy do czterech godzin. A może nawet więcej, bo tu, pod tym mostkiem w parku, w miejscu, którego nie widać z góry, nikt raczej nie chodzi o szóstej lub siódmej rano. W pobliżu nie ma domów mieszkalnych, nikt więc nie wyjdzie tu na spacer z psem. Mógł mieć tylko nadzieję, że jakiś poranny biegacz zapędzi się aż tutaj.

Czy tyle wytrzyma? Kolana bolały go i czuł, że zaczynają puchnąć. Starał się o tym nie myśleć, lecz nie na wiele to się zdało. W krótkich przebiegach, praktycznie nie do opanowania, widział już siebie wiszącego na tym sznurze, z wywalonym z ust nabrzmiętym jęzorem i spodniami pobrudzonymi własnymi fekaliami.

Naprawdę, nie chciałby zostać tak znaleziony, mimo że byłaby to w pewnym sensie piękna klamra – jego ojciec przecież skończył z sobą dokładnie w ten sam sposób. Mimo wszystko jednak nie. A może? Przecież niedawno sam chciał się zabić. Może los, Bóg albo

szatan podsuwa mu w ten sposób kolejną, tym razem stuprocentowo pewną metodę?

Nogi bolały go coraz mocniej, łydki zaczęły drżeć, stołek kołysał się niebezpiecznie na boki. Miał wrażenie, że jego drewniane, wykonane ze zgiętej sklejki nogi za chwilę rozjadą się same na boki pod ciężarem jego ciała, albo po prostu się złamią. Ile mogło już minąć czasu? Nie wiedział. Równie dobrze pięć minut, co pół godziny. W ustach mu zaschło i nie mógł przełknąć śliny. Musiał pilnować, by stać prosto i nie opierać ciężaru swojego ciała na sznurze, pętla bowiem zaciskała się w takich momentach coraz mocniej.

A może by tak poddać się, skończyć z tym wszystkim, wypchnąć stołek spod nóg i mieć to już za sobą? Ile jeszcze będzie w stanie tak stać? Godzinę, dwie? Po co się męczyć, czekając na nieuniknioną klęskę? Teraz jeszcze byłaby to jego decyzja. Jego własna. Uratowałyby w ten sposób choć resztki godności.

Nie. Jednak nie. Zrobiłby wtedy dokładnie to, czego oczekiwał od niego morderca. Sam sobie wymierzyłby karę. Niedoczekanie. Nagle poczuł złość. Nie da mu tej satysfakcji.

Musi zacząć myśleć o czymś innym. O czymś, co da mu siłę do walki. O niej, o Wilczyńskiej. Śpi teraz pewnie w szpitalnym łóżku, przykryta cienką kołdrą w białej, spranej poszewce. Nie może jej przecież tam zostawić. Ma wobec niej zobowiązania. Musi uwolnić ją od podejrzeń, które sam na nią rzucił. Zdradził ją, to prawda. Zdradził ją aż dwukrotnie. Zapał się jej, niczym Święty Piotr Jezusa. Lecz przecież on zrozumiał w końcu swój błąd i naprawił go swoim dalszym życiem. Nie poleciał na Pole Krwi wieszać się jak tchórz Iskariota. To jest dla niego wzór, nie tamten.

Był nieprzytomny; no, może półprzytomny. Lecz ciągle stał. Nie wiedział, ile już godzin czy dni. Raz czy dwa zachwiał się niebezpiecznie, lecz udało mu się jakoś utrzymać równowagę. Nie zauważył nawet, że zaczęło świtać, ani też później, że nastał dzień. Mostem nad nim ktoś przeszedł, lecz on miał tak wyschnięte gardło, że nie zdołał wydobyć z siebie nawet dźwięku. Potem słyszał śmieciarkę podjeżdżającą pod restaurację na górze i głosy ludzi opróżniających pojemniki.

Był już na granicy, w zasadzie już nie żył. Rozluźnienie mięśni i opadnięcie w dół stanowiłoby tylko formalność. Był jak uschnięte drzewo, które jeszcze stoi, lecz jego zwalenie się w dół jest tylko kwestią czasu.

A jednak tego nie robił. Łydki i całe nogi drżały mu coraz mocniej. Miał ochotę zasnąć, tu, na stojąco. Gdyby to zrobił, nie zauważyłby nawet momentu swojej śmierci.

I wtedy coś usłyszał – plusk. Otworzył szerzej przymknięte powieki i rozejrzał się wokoło. Plusk powtarzał się, powtarzał się regularnie. Dochodził zza jego pleców i jakby się przybliżał.

Wykręcił głowę jak tylko najbardziej mógł do tyłu. Znowu się zachwiał, lecz i tym razem zdołał utrzymać pion. I wtedy to zobaczył, choć w pierwszej chwili nie zrozumiał nawet, co to jest. Środkiem rzeki, otulony unoszącą się znad wody mgłą, płynął kajak. Dwóch kajakarzy ubranych w ciepłe, polarowe bluzy odpychało wiosłami wodę długimi skoordynowanymi ruchami.

Po chwili kajak znalazł się na jego wysokości. Kajakarze dostrzegli

go, choć sprawiali wrażenie, jakby nie do końca rozumieli, co widzą. Przeszli wiosłować, patrząc na niego w zdumieniu.

W tym momencie w zasięgu jego wzroku pojawił się drugi kajak, który uderzył w rufę tamtego. A po nim jeszcze jeden. Usłyszał głosy, coraz głośniejsze i przekrzykujące się nawzajem. Mężczyźni z pierwszego kajaka zaczęli gwałtownie wiosłować z jednej strony, chcąc jak najszybciej dobić do brzegu. Po chwili udało im się to. Jeden z mężczyzn wyskoczył, zanurzając się po kolana w wodzie.

Zamknął oczy, a potem je otworzył. Poczuł, że czyjeś ręce chwytają go w pasie. Po chwili drugi z mężczyzn złapał go od przodu. Poczuł, jak ktoś próbuje poluznić ściskającą mu gardło pętlę. Wtedy dopiero się poddał, opadł w dół i stracił przytomność.

Zawieźli go do szpitala, nawet nie wiedział, jakiego. Jeszcze w karetce odzyskał przytomność, lecz wkrótce potem po prostu zasnął. Jakkolwiek by patrzeć, był na nogach przez całą noc.

Potem budził się jeszcze parę razy: gdy przynosili go na szpitalne łóżko, gdy podłączali mu kroplówkę i gdy badała go jakaś miła pani doktor. Wszystko to jednak widział jak przez mgłę i nie był do końca pewny, czy i to mu się nie śni.

Gdy obudził się na dobre, przy jego łóżku siedziała Weronika. Patrzyła na niego poważnie i z niepokojem.

– W coś ty się znowu wpakował? – spytała z troską w głosie.

Uniósł się trochę na poduszce.

– To miasto mi nie służy – odparł. – Proszę mnie natychmiast odwiedzić do Warszawy.

Uśmiechnęła się.

– Nie ma mowy – odpowiedziała. – Jesteś teraz świadkiem. Zakazuję ci opuszczać granice administracyjne Olsztyna.

– Hm – mruknął i rozejrzał się wokoło. Miła, jasna, jednoosobowa sala. Telewizor na monety. Czysta pościel. Standard lepszy niż w jego własnym mieszkaniu.



– Jest tu coś do picia? – spytał.

Usta miał spierzchnięte i wysuszone, jakby nie pił od tygodnia.

Weronika podała mu jednorazowy kubek z wodą. Wypił go na raz i gestem poprosił o jeszcze. Nigdy w całym jego życiu nic mu bardziej nie smakowało. Nie będzie już pił whisky. Woda jest znacznie lepsza.

– Możesz mówić czy wolałbyś jeszcze trochę odpocząć? – spytała.

– Mogę – odpowiedział i oddał jej kubek.

Odstawiła go na szafkę.

– No to opowiedz, co tam się wydarzyło? – spytała łagodnie.

– Dorwał mnie – odpowiedział.

– Ten sam?

– Tak. Ubrany na czarno, maska na twarzy. Sprawdziliście w teatrze, czy im jakaś nie zginęła?

– Sprawdziliśmy. Nie zginęła. Było sześć i jest sześć. Tak twierdzą.

– Ciekawe.

– Jak wszystko tutaj. Co mówił?

– Nic nie mówił. Nie odezwał się przez cały ten czas nawet słowem.

– Dziwne. Przecież chciał cię zabić. Nie musiał martwić się, że go rozpoznasz.

Pomyślał przez chwilę. Faktycznie było to zastanawiające.

– Może dopuszczał ewentualność, że jednak przeżyję? – powiedział.

– Postawił mnie na tym stołku z pętlą na szyi, żebym sam odebrał sobie życie. Lecz może brał mimo wszystko pod uwagę możliwość, że wytrzymam? Nie zabił mnie, jak tamtych, tylko dał szansę na przeżycie. Niewielką, ale jednak.

– Dlaczego miałby tak robić?

– Nie wiem. Może to jakaś paradoksalna oznaka szacunku. Albo uznał, że moja wina jest jednak mniejsza niż tych trzech.

– Albo się w tobie zakochał.

– Co? – Popatrzył na nią, jakby zwariowała.

– Stłumiony homoseksualizm, pamiętasz? Było to w tym profilu z Warszawy.

– No tak. – Zapomniał o tym, bo nie brał tego profilu na poważnie.

On przecież już miał swoją podejrzaną.

– Jak cię dopadł? – spytała.

– Na parkingu przed teatrem – skłamał. – Musiał mnie czymś uderzyć w głowę. Prawdopodobnie taką krótką pałką obwiązaną gumą. Widziałem ją później, jak bił mnie nią po nogach. Potem wsadził mnie do bagażnika samochodu. Obudziłem się już w środku. Powinno być tam sporo moich śladów. Staralem się ich trochę nazostawiać.

– Jaki to był samochód?

Zastanowił się.

– Nie wiem – odpowiedział zdziwiony. – Gdy byłem w środku, nic nie widziałam. A gdy już wysiadłem... – odchrząknął z zakłopotaniem – byłem zbyt przerażony, żeby na to zwrócić uwagę. Naprawdę myślałem, że zaraz umrę...

Przypomniał sobie tamtą chwilę, gdy człowiek w masce prowadził go pod most. Na razie był jeszcze odcięty od tamtego swojego strachu, ale wiedział, że on jeszcze wróci. W nocy, w koszmarach sennych, albo w dzień, w nagłych, niesprowokowanych niczym atakach paniki. To była tylko kwestia czasu.

– W porządku – odpowiedziała. – Rozumiem to. Coś jeszcze pamiętasz?

– Monety – powiedział. – Sztuczne, plastikowe monety. Rozrzucił je wokół mnie. Macie je?

– Tak – odparła. – Ci kajakarze, którzy cię uratowali, dość dokładnie zdeptali wszystkie ślady, także je, ale może uda nam się coś na nich znaleźć. Są teraz w laboratorium.

– A właśnie, *à propos*. – Spojrzał na swoje dłonie. – Powinienem mieć za paznokciami włókna z tapicerki tego bagażnika. O tym akurat pomyślałem.

– Świetnie. Zaraz znajdę jakiś sterylny pojemnik i pęsetę i spróbuję ci tam pogrzebać. W szpitalu nie powinno być z tym problemu.

– Rewelacja. Już dawno powinienem zrobić sobie manicure – spróbował żartować.

Uśmiechnęła się. Łagodnie i ciepło. Całkiem jak nie ona.

– Dobrze, że nic ci się nie stało – powiedziała. – Gdzie ja bym znalazła lepszą sekretarkę?

Odpowiedział jej uśmiechem.

– Wszędzie. Wszędzie byś znalazła lepszą.

Zrobiło się niezręcznie. Nie byli przyzwyczajeni do okazywania sobie takich uczuć.

– Dobra, pójdę już po tę pęsetę. – Klepnęła się w kolano i wstała, wybawiając ich oboje z tej kłopotliwej sytuacji. Był jej za to niepomiernie wdzięczny.

– Mogłabyś mi przy okazji załatwić jakąś kawę? – rzucił jeszcze za nią. – Najlepiej podwójne espresso. Pewnie mają tu jakiś barek.

– Kawę? – odwróciła się zdziwiona. – Jeszcze parę godzin temu wisiałeś na stryczku. Nie wiem, co by na to powiedział twój lekarz prowadzący.

– Nie mów mu – odparł. – Muszę się napić kawy. Czuję, że mózg mi nie pracuje, a jest tu parę rzeczy do przemyślenia.

Wyszła. Został sam. Opadł głębiej na poduszkę i wbił wzrok w sufit. Oj, było, było tu sporo rzeczy do przemyślenia. Potarł dłonią szyję. Miał na niej opatrunek. Widocznie sznur obtarł mu skórę. Trochę go to bolało, ale tylko trochę. Najbardziej w sumie bolały go nogi, poza tym czuł się w miarę dobrze.

Zamknął oczy. Kim był wobec tego człowiek w masce? Skoro nie była to Wilczyńska, bo ona przecież leżała w szpitalu, podobnie jak teraz on, to kto? Reżyser? I co znaczyły w takim razie te monety? Zdradę? Kogo on zdradził? Gdyby człowiekiem w masce była ona, miałoby to sens. A teraz? Kogo zdradził, dla kogo był Judaszem? Reżyser nie do końca tu pasował. I kto mógł wiedzieć, że jest w mieszkaniu u Wilczyńskiej? A może był to przypadek? Może morderca nie wiedział, że on tam jest, wszedł tam z innego powodu, natknął się na niego i zaatakował go, by pozbyć się świadka? I kolejne pytanie: czy zamknął wtedy za sobą drzwi? Czy zamknął je na zamek? Nie pamiętał tego. Gdyby to zrobił, oznaczałoby to, że

morderca ma klucz. Tylko kto mógłby mieć klucz do jej mieszkania?  
A może po prostu zapomniał je wtedy zamknąć?

Weronika wróciła. W lewym ręku niosła czarny, jednorazowy kubek, a drugim przezroczystą torebkę z pojemnikiem i pęsetą.

– Trudno to nazwać espresso, ale kawa to niewątpliwie jest – powiedziała, podając mu napój.

Ujął go w obie dłonie i spróbował czarnego płynu. Faktycznie. Była to kawa.

– Dawaj łapę – powiedziała, wyjmując z torebki pojemnik. Posłusznie wyciągnął w jej stronę prawą dłoń.

Odkręciła wieczko pojemnika – takiego samego, w jakim oddaje się mocz do analizy – i postawiła go na szafce przy jego łóżku. Potem chwyciła pęsetę i zaczęła delikatnie wygrzebywać brud zza jego paznokci. To, co udało jej się wydobyć, umieszczała w pojemniku.

– Tyle powinno wystarczyć – powiedziała, puszczając jego rękę.

Dopił resztę kawy. Miała smak rozmoczonego papieru.

– I jak, wróciły ci władze umysłowe? – spytała.

Uśmiechnął się półgębkiem.

– O tyle, o ile – odparł. – Przyda się to od czegoś? – spytał, wskazując na pojemnik.

– Przyda się, jeśli będziemy mieli podejrzanego samochód. Porównamy wtedy włókna z jego bagażnika z tym, co tam jest.

– A te ślady kół w lesie, pamiętasz? Było z tego coś?

– Podobna sytuacja. Musimy pobrać odciski kół i próbki tapicerki samochodów wszystkich pracowników teatru i porównać z zabezpieczonymi śladami. Może to coś da. Porozmawiam o tym dziś z Halickim. Trzeba to zrobić jak najszybciej; to w tym momencie

nasz jedyny trop.

Dopił kawę do końca i odstawił pusty kubek na szafkę.

– Chyba już się dobrze czuję – powiedział. – Chciałbym stąd wyjść.

Spojrzała na niego z niepokojem.

– Moim zdaniem nie powinieneś. Minęło raptem parę godzin...

– Odpoczęłam, wyspałem się, dostałem kroplówkę, jest OK – powiedział. – Nie chce mi się tu siedzieć.

– Jak uważasz – odparła sceptycznie. – Zawsze możesz wypisać się na własne żądanie.

– Jaki to szpital? – spytał. Przez okno widać było park, ale niczego mu to nie mówiło.

– Poliklinika – odpowiedziała. – Szpital MSWiA. Jesteś pracownikiem policji, więc tu cię przywieźli.

– Gdzie to jest?

– Na Wojska Polskiego.

Wojska Polskiego... Obok, przy tej samej ulicy leżała Wilczyńska.

– Dobra – powiedział, unosząc się z pościeli. – Wychodzę. Nie ma na co czekać.

Ubrał się, podpisał stosowne dokumenty i opuścił oddział. Wcześniej przed lustrem w łazience zdjął z szyi opatrunek. Różowa pręga trochę go szczypała, lecz była prawie niewidoczna. Widocznie sznur nie obtarł go aż tak mocno. Weronika spytała go jeszcze, czy go gdzieś nie podwieźć, ale gdy usłyszała, że nie, nie czekając na niego, odjechała. Dziwnie się czuł; nogi wciąż miał sztywne, jakby przebiegł maraton, ale poza tym był w miarę dobrej formie. Trochę tylko wciąż bolała go z tyłu głowa.

Dziwne było też to, że póki co nie miał żadnego stosunku emocjonalnego do wydarzeń, które rozegrały się wczoraj w nocy. Nie był ani wstrząśnięty tym, że o mało nie zginął, ani uradowany i wdzięczny losowi za to, że jednak przeżył. Jakby to wszystko było tylko snem, który przyśnił mu się nad ranem.

Wyszedł ze szpitala. Odetchnął świeżym powietrzem. Dopiero teraz poczuł coś, coś prawie jak radość. Dobrze było móc oddychać swobodnie, dobrze było nie mieć pętli na szyi i dobrze było oddalić perspektywę śmierci z powrotem w bliżej nieokreśloną przyszłość. Tak, to wszystko było dobre. Jak mógł kiedykolwiek pomyśleć o tym, żeby samemu się zabić?

Szpital psychiatryczny, gdzie leżała Wilczyńska, był po prawej stronie. Wyszedł przez bramę polikliniki i ruszył chodnikiem w tamtym kierunku. Być może było między tymi dwoma szpitalami jakieś bezpośrednie przejście, ale on go nie znał.

Wszedł przez drugą bramę i ruszył w kierunku gabinetu doktora Goczała. Po chwili dotarł na miejsce. Drzwi były zamknięte. Zapukał. Nikt nie odpowiedział. Nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się, więc zajrzał do środka. Nikogo nie było. Poszedł na oddział.

Odnalazł doktora Goczała w jednej z sal. Pokazał mu się, a doktor dał mu ręką znak, by chwilę poczekał.

Cofnął się z powrotem na korytarz. Z braku lepszych zajęć zaczął przyglądać się ścianom. Ciepłe, pastelowe barwy. Co jakiś czas obraz – grafika lub zdjęcie. Wszystko w jasnych, optymistycznych kolorach. Miło. Nagle poczuł dziwną, irracjonalną chęć, by się tu położyć i mieć na wszystko wywalone. Nie musieć się już niczym przejmować.

Usłyszał kroki i odwrócił się. Doktor Goczał podszedł do niego.

– Co tam znowu? – spytał.

– To ja się pytam, co tam? – odparł. – Jak tam nasza pacjentka?

Doktor popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– To ty nic nie wiesz?

– Co mam wiedzieć?

– Wyszła. Wypisała się.

Przez chwilę myślał, że się przesłyszał.

– Kiedy?!

– Jeszcze wczoraj.

Rozłucki poczuł, że uginają się pod nim nogi.

– O której?

– Nie wiem. O pierwszej? Jakoś tak.

– Nie mogłeś jej zatrzymać?! – Nie wierzył w to, po prostu nie wierzył.

Doktor Goczał rozłożył ręce.

– Jak? Była tu z własnej woli. Chciała, to przyszła; chciała, to wyszła.

– To nie mogłeś, czy ja wiem...

– Nie mogłem – odpowiedział z naciskiem lekarz. – Nie wykazywała żadnych zaburzeń.

– Rozmawiałeś z nią chociaż, badałeś?

– Nie za bardzo zdążyłem. Zwinęła się jeszcze przed obiadem. Byłem wtedy mocno zajęty.

– Ale jak wyszła? Dlaczego?!

– Przyszedł do niej jakiś facet, porozmawiał z nią, a ona powiedziała potem, że chce się wypisać na własne żądanie. Poprosiła tylko, żebym jej dał zwolnienie na tydzień. Co miałem zrobić?

– Jaki znowu facet?

– Mężczyzna. Chyba mniej więcej w naszym wieku.

– Ale jak wyglądał? Blondyn, brunet, miał brodę?

– Nie miał. Blondyn. Zwyczajnie wyglądał.

– Po co go w ogóle wpuszczałeś?! – zaczął już niemal krzyżeć.

Doktor Goczał uniósł lekko brew z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy.

– Słuchaj, Zyga, to jest oddział otwarty – powiedział, jakby tłumaczył Rozłuckiemu rzecz, która powinna być dla niego absolutnie oczywista. – Nie ma tu żadnych obostrzeń dotyczących odwiedzin. Przyszedł, zgodziła się z nim rozmawiać, nie miałem tu nic do gadania.

– Jasne. – Rozłucki odwrócił się i nie żegnając się, ruszył w kierunku wyjścia.

– Wiesz, że od początku uważałem to za nie najlepszy pomysł. – Usłyszał jeszcze za swoimi plecami.



Wyszedł na zewnątrz. Zatrzymał się. Zachwiał się lekko na tych cholernych nogach. Poczuł, że kręci mu się w głowie. Pierdolone świeże powietrze. Usiadł na ławce przed wejściem do szpitala.

A więc to była ona. To ona... Wyszła o pierwszej, miała dość czasu, by wrócić do swojego mieszkania. Zobaczyła go tam i zaatakowała. Jego widok grzebiącego w jej rzeczach zadziałał jak czynnik spustowy. Przemieniła się. Pewnie nie była wtedy nawet przebrana. Nie widział przecież, kto podchodzi do niego od tyłu.

Kurwa, kurwa mać! Wszystko się zgadza. To dla niej był zdrajcą, Judaszem. I tak go właśnie potraktowała. Czy też raczej on, ten mściciel, który ją wtedy przejął we władanie, tak go potraktował. Bo to jego tak naprawdę Rozłucki zdradził, jemu zagrażał, gdy zmusił Wilczyńską do pobytu w szpitalu.

Lecz kto u niej był? Kto przyszedł do szpitala, żeby ją stamtąd wyciągnąć? Pan Staszek? Opis wskazywał na niego. Jaka więc była jego rola w tym wszystkim? Może po prostu przyszedł po raz kolejny jej pomóc? Dowiedział się jakoś, że jest w szpitalu, i postanowił ją uratować niczym wierny giermek swoją panią. Bo że i on był pod jej wpływem, to było chyba pewne. Tak jak Rozłucki, reżyser, a wcześniej dyrektor. Co ona takiego w sobie miała?

Potarł dłonią czoło. I wtedy to poczuł. Zapach na nadgarstku, jeszcze z wczoraj. Słabo już wyczuwalny, ale mimo wszystko możliwy od rozpoznania. Jej perfumy, którymi spryskał się u niej w mieszkaniu. Nie mył od tego czasu rąk, nie miał kiedy, więc go nie zmył. Zapach zwietrzały, zmieszany z jego własną wonią, z którego czas i kontakt ze skórą usunęły wspólnie jedne nuty, a zostawiły inne.

Przytknął nos do skóry i wciągnął powietrze. Jedna nuta zwłaszcza wybijała się, jedna oparła się upływowi czasu bardziej niż inne. Znał ją, znał ten zapach, tylko nie potrafił go jeszcze nazwać. Spokojnie, spokojnie. Zamknął oczy i jeszcze raz wciągnął powoli powietrze. Po

chwili już wiedział: porzeczka. Zapach czerwonej porzeczki. Otworzył oczy porażony tym odkryciem. Taki dokładnie zapach wyczuł tamten myśliwy od człowieka ćwiczącego strzelanie w lesie.

Wrócił do swojego mieszkania i zamknął za sobą drzwi. Potem wyłączył telefon. Miał w reklamówce trochę jedzenia kupionego w sklepie na dole i butelkę Jacka Daniel'sa. Postawił to wszystko na stole, następnie umył ręce, szczególną uwagę poświęcając nadgarstkowi. Później usiadł przy stole i zjadł tyle, ile mógł: zimny zestaw sushi z plastikowego pojemniczka, dwie parówki z musztardą, kromkę chleba i trzy śledzie ze słoiczka. Gdy poczuł się najedzony, wstał, schował resztę do lodówki, wziął z szafki nad zlewem czystą szklankę, otworzył butelkę i nalał sobie niemal do pełna. Spojrzał na nią pod światło i wypił. Do dna. Potem nalał sobie jeszcze jedną. Miał zamiar wypić całą butelkę. Była to jedyna rzecz, którą w tej sytuacji był w stanie zrobić.

Nie za wiele to pomogło. Co prawda zasnął w końcu, już po wypiciu mniej więcej połowy butelki, lecz za to obudził się o czwartej nad ranem i to od razu w samym środku niepowstrzymanej karuzeli myśli. Leżał tak jeszcze później przez godzinę lub dwie, próbując uchwycić się krawędzi czegoś, co pomogłoby mu zatrzymać bęben tej wirującej w jego mózgu pralki, lecz nic z tego nie wyszło. Wstał więc, napił się wody, potem usiadł z powrotem na łóżku. Pod powiekami miał piach, a w głowie słyszał dźwięk przypominający szum nienastrojonego na żadną częstotliwość radia. Tak też właśnie się czuł: jakby ktoś wyłączył to dziwne, oszukańcze urządzenie powodujące, że słyszymy złudną, nieistniejącą melodię, zamiast zwykłej, prawdziwej kakofonii świata.

Spojrzał na majaczący na stole w kuchni kształt butelki Jacka Daniel'sa. Mógłby wypić tę resztę i odciąć sobie z powrotem prąd. Była to bardzo kusząca wizja, nie zdecydował się jednak na to. Przez okno, w którym nie było firan, wpadała łuna światła śpiącego miasta. Była na tyle silna, że stojące w jego pokoju przedmioty – meble, krzesła, szklanki i butelka – rzucały cienie, choć przecież nie zapalił lampy ani żyrandola. Usłyszał daleki, przedzierający się przez trzewia uśpionego budynku odgłos windy. Ktoś jeszcze oprócz niego pełnił tu wartę. Gdzieś kiedyś przeczytał, że gdyby wszyscy ludzie na Ziemi zasnęli w jednym momencie, świat by zniknął. Jeśli więc teraz trwał, to między innymi dzięki niemu. Nie był wcale pewny, czy to dobrze.

Położył się z powrotem na łóżku. Zamknął powieki. Nie zaśnie

pewnie i tak, lecz przecież trzeba jakoś doczekać do świtu. A może jednak sen zlituje się i wróci, choć na godzinę? Należało mieć taką nadzieję. Należało mieć nadzieję choćby na to.

Gdy znowu otworzył oczy, już świtało. Czyli jednak zasnął. Nie wiedział, jak długo spał, lecz nawet coś mu się śniło. Krążył wokoło jakiegoś budynku, próbując znaleźć do niego wejście. W środku ktoś był, ktoś dla niego bardzo ważny. Chyba nawet wiedział, kto.

Spojrzał w stronę okna. Białe światło nieśmiało wsączało się przez szyby. Włączył telefon. Piasek pod powiekami nie zniknął, podobnie jak szum w jego głowie. Znakomity początek dnia, nie ma co.

Wstał, zjadł byle jakie śniadanie, wykąpał się i nawet ogolił. Automatyczne czynności wykonywane przez automat. Czuł się jak zombie, który siłą przyzwyczajenia próbuje jeszcze żyć dawnym życiem. Usiadł w fotelu. Próbował myśleć. Nie udawało się. Nie udawało się jak cholera. Zamiast mózgu miał opuchniętą, napierającą od środka na oczy i kości czaszki obcą, wrogą mu istotę. Mniej więcej po trzech godzinach poddał się. Wstał, podszedł do stołu w kuchni i sięgnął po butelkę. Nalał ciemnego płynu do szklanki aż po same brzegi. Spojrzał na nią od góry, jakby przygotowywał się do skoku. Czuł się źle, bardzo źle. Bolało go serce. Pomyślał, że gdy wypije to wszystko na raz, być może umrze. Nie obchodziło go to.

Sięgnął po szklankę i ostrożnie podniósł ją do ust. Trochę płynu wylało się i pociekło mu po palcach. I wtedy właśnie zadzwonił telefon. Spojrzał z niechęcią na leżącą tuż obok komórkę. Na wyświetlaczu pojawiło się imię Weroniki. Mógłby nie odebrać, przez chwilę chciał tak zrobić. Odwrócić telefon ekranem do dołu i wyciszyć dźwięk. Z jakiegoś powodu jednak nie potrafił. Znowu zadziałał automatyzm zachowań z poprzedniego życia. Od Weroniki przecież zawsze się odbiera. To była jedna z tych osób, które nie sposób było zignorować.

Odłożył szklankę na blat i sięgnął po aparat. Odebrał.

– Tak? – Usłyszał swój matowy, pełen śmiertelnego znużenia głos.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedział, starając się brzmieć już trochę bardziej normalnie.

– Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

Sprawa to wrażenie, jakby naprawdę była tym zainteresowana.

– W porządku – skłamał. – Trochę tylko boli mnie szyja.

– To dobrze – odpowiedziała. – Mógłbyś tu do nas na chwilę wpaść?

– Po co? – spytał.

– Po pierwsze, po to, żebyś nie siedział teraz w domu. Po głosie słyszę, że jesteś w nie najlepszej formie. Zresztą wcale ci się nie dziwię. Gdybym ja przeżyła coś takiego, pewnie też nie tryskałabym radością życia.

Czyli jednak nie udało mu się tego ukryć.

– A po drugie? – spytał.

– Po drugie, chcemy dopaść tego, kto ci to zrobił. Halicki wpadł na parę pomysłów. Chcemy je przegadać.

Nadpolicjant Halicki. Zaczynał go już powoli wkurwiać.

– Dobrze, wpadnę. – Jeśli któryś z tych pomysłów dotyczył w jakiś sposób Wilczyńskiej, powinien być na miejscu i spróbować ugasić pożar. – Kiedy?

– Kiedy chcesz. Nie spiesz się. Jesteśmy na miejscu. Załatw swoje sprawy i przyjdź.

Co za miła odmiana. Już nie rozkaz z klauzulą natychmiastowej wykonalności, a w zasadzie prośba. Wyglądało na to, że Weronika naprawdę się o niego martwi.

– Nie mam swoich spraw – odpowiedział. – Zaraz przyjdę.

Ubrał się i wyszedł. Nogi miał wciąż sztywne i bolały go kolana, więc szedł niemal dwa razy dłużej niż zwykle. Na komendę dotarł cały spocony. Weronika czekała na niego w swoim gabinecie.

– Siadaj – powiedziała. – Już dzwonię po Tomka. I zrobię ci kawę. Wyglądasz, jakbyś jej potrzebował.

– Zrób mi po-kurwa-czwórną. Kiepsko spałem. Przyzwyczailem się widocznie, że w nocy się stoi, a nie leży.

Po chwili mocna, świeżo zalana rozpuszczalna kawa stała przed nim na biurku Weroniki. Nienawidził rozpuszczalnej, lecz dziś miał to w dupie. Sięgnął po szklanę i upił pierwszy, parzący łyk.

– Tomek będzie za chwilę – powiedziała.

Przypatrywała mu się z niepokojem. Widział to. Najwyraźniej jego wygląd był równie fatalny jak głos. Dobrze, że przypisywała to jego przeżyciom z tamtej nocy, i nie domyślała się prawdziwej tego przyczyny.

Komisarz Halicki nie kazał długo na siebie czekać. Wszedł i przywitał się z Rozłuckim uściskiem dłoni. Potem usiadł na drugim krześle obok.

– Jak się pan czuje? – spytał.

I jeszcze do tego, kurwa, empatyczny! Ten gość naprawdę denerwował go coraz bardziej. Prawdopodobnie przenosił na niego swoje własne negatywne emocje związane z zupełnie czymś innym.

– W porządku – odpowiedział. – Tylko nie mogłem w nocy spać.

– Rozumiem – odparł Halicki. – Trauma. Po czymś takim trudno się dziwić.

Trauma, kolego, ujawnia się dopiero po pewnym czasie. On po prostu dowiedział się czegoś, czego wolałby się nie dowiedzieć. I nie miał pojęcia, co z tym dalej zrobić.

– To jakie ma pan te nowe pomysły? – spytał.

Starał się, by nie było słychać w tym pytaniu ironii. Miał nadzieję, że się udało.

– Po pierwsze, zajęliśmy się na ostro tymi śladami opon w lesie. Mamy już pierwsze analizy – odparł Halicki.

– Co z nich wynika?

– Należą niestety do najbardziej popularnego w Polsce rozmiaru jednego z najbardziej popularnych producentów. Ale to nic straconego. Każda używana opona jest jak odcisk palca. Każda trochę inaczej się ściera, ma niepowtarzalne ślady uszkodzeń. Zbieramy teraz odciski opon samochodów wszystkich pracowników teatru. Miejmy nadzieję, że do któregoś z nich uda nam się je

dopasować.

A Rozłucki z kolei miał nadzieję, że nie będą to ślady opon Wilczyńskiej. Choć obawiał się, że tak właśnie będzie.

– A może jednak nie był to nikt z teatru? – spróbował nieudolnie zmylić trop. – Przez cały ten czas trwał ten cholerny festiwal. Wiele osób postronnych miało zapewne wtedy dostęp do jego budynku.

– Bierzemy to pod uwagę. Analizujemy księgę wejść i wyjść z portierni. Jeśli jakieś nazwisko będzie się tam pojawiało częściej, sprawdzimy i to. Jak na razie wychodzi na to, że najczęściej bywał tam pan. – Halicki uśmiechnął się.

Spróbował odwzajemnić ten uśmiech.

– Jeśli o mnie chodzi, możecie mnie aresztować od razu – odparł. – Przyda mi się odpoczynek.

– Bierzemy mimo wszystko ciągle pod uwagę, że może to być ktoś całkiem z zewnątrz – wtrąciła Weronika. – Sprawdzamy, kto w ostatnim czasie kupował bilety na przedstawienia. Jeśli jakieś nazwisko będzie się tam pojawiało zauważalnie częściej, może to być jakiś trop.

– Jak to robicie? – zdziwił się Rozłucki. – Bilety kupuje się w kasie. Tam chyba nikt nikogo nie legitymuje?

– W kasie nie – wyjaśniła Weronika. – Ale dziś większość biletów kupuje się przez internet. A tam już trzeba zostawić po sobie jakiś ślad. Założyć konto albo chociaż podać adres mailowy, na który teatr wyśle bilety. Dostaliśmy właśnie listy z takimi transakcjami od początku roku.

No tak. Jego mózg nie działał dziś tak dobrze jak zwykle. Choć czy kiedykolwiek tak naprawdę działał dobrze?

Nagle coś sobie przypomniał.

– Sprawdźcie też bilety pracownicze – powiedział. – Kiedy chodziłem na przedstawienia, to mimo tego, że wejściówki miałem za darmo, za każdym razem było to odnotowywane.

Weronika i Halicki spojrzeli na siebie.

– No widzisz – powiedziała. – Choćby dlatego warto cię było tu

zaprosić.

Sięgnęła po telefon. Po chwili połączyła się z teatrem.

– Faktycznie – powiedziała po krótkiej rozmowie. – Jest coś takiego. Niestety, nie mają tego w wersji elektronicznej, więc nie mogą nam tego przesłać. Wszystko zapisywane jest w zwykłym zeszycie. Mógłbyś tam pójść i to od nich wziąć? My tu z Tomkiem mamy huk roboty.

– Jasne – opowiedział. – Dziękuję ci, że starasz się, bym czuł się potrzebny.



Nie czuł się wciąż zbyt dobrze. Nogi bolały go, obtarcie na szyi piekło, do tego dochodziło ekstremalne niemal niewyspanie. Miało to jednak swoje dobre strony. Wszystkie te fizyczne, dokuczliwe objawy skutecznie odwracały jego uwagę od różnych niewesołych, trudnych do zniesienia myśli, które tylko czekały, by go dopaść. Jedno było pewne – potrzebował czegoś, co by choć trochę rozruszało jego mózg, bo rozpuszczalna lura u Weroniki niewiele tu pomogła.

Idąc do teatru, wstąpił więc po drodze do trafiki i kupił cygaro: kubańskiego partagasa, którego sprzedawca polecił mu jako nad wyraz mocnego. Siedział teraz na ławeczce przed teatrem – tej samej, przy której kiedyś poznał Wilczyńską – i palił. Nie spieszył się, gdyż w sekretariacie poinformowano Weronikę, by przyjść do nich najwcześniej za godzinę.

Na razie minęło dopiero pół. Pół godziny i pół cygara. Siedział więc, palił i patrzył na boczną ścianę teatru. Myślał i nie myślał jednocześnie. Zamiast cygara przydałby mu się po prostu sen.

Nie wiedział, co ma dalej robić. Brnąć w próby odwrócenia uwagi od Wilczyńskiej? Odpuścić i pozwolić, by ją złapali? Czy przejść na ciemną stronę mocy i spróbować nakierować podejrzenia na kogoś innego? To ostatnie byłoby już czystym skurwysyństwem, lecz gdyby tylko wiedział, jak to zrobić, mógłby się nie oprzeć tej pokusie. Problem polegał na tym, że nie wiedział. Już za chwilę badania odcisków opon wskażą na jej samochód; policja przeszuka go i odnajdzie w nim ślady, które sam tak pieczołowicie tam porozmieszczał i wszystko dla wszystkich stanie się jasne. Zamkną

ją, najpierw w areszcie, a później, co najbardziej prawdopodobne, w szpitalu. I nic już nie będzie mógł zrobić.

Nie potrafił poradzić sobie z tą myślą, nie potrafił. Miał wrażenie, jakby jego dusza – to puste, nieistniejące coś – stawała się powoli zbyt ciężka, by móc utrzymać się w ciele. Za chwilę opadnie mu na kolana, a potem wsiąknie w pokrytą petami ziemię. Przytknął do ust cygaro i wciągnął do ust dym. Końcówka brązowego cylindra rozjarzyła się na czerwono. Biały walec popiołu, długi już na parę centymetrów, nie chciał wciąż odpaść. Spojrzał na niego. Tym właśnie był: kolumną wypalonego popiołu trzymającą się jeszcze z niewiadomych przyczyn.

Jedyne, co mógłby jeszcze zrobić, to spróbować porozmawiać z panem Staszkiem, wyjaśnić jego rolę w tej sprawie. To w sumie było już tylko tu do zrobienia.

Pan Staszek był zapewne kimś takim samym jak on: mężczyzną ogarniętym obsesją, pozostającym pod przemożnym wpływem jej fascynującej osobowości. Tym bardziej fascynującej, że pękniętej, ambiwalentnej, niejednoznacznej. To właśnie przyciągało wszystkich tych mężczyzn do Wilczyńskiej: tajemnica. Tylko że ta tajemnica potrafiła zabijać.

To dlatego jej pomagał, był na każde jej zawołanie. Chronił ją, być może pomagał zacierać ślady zbrodni. Udając pomocnika Rozłuckiego, donosił jej prawdopodobnie o wszystkim, czego się dowiedział. Sprytne. W pewnym sensie godne podziwu. Prawdziwa miłość, która nie cofa się przed niczym. Gotowa nawet poświęcić samą siebie.

Biały walec popiołu w końcu spadł. Cygaro zgasło, a jemu nie chciało się go ponownie podpalać. Wyrzucił niedopałek do kosza i wstał. Godzina minęła, czas zrobić to, co do niego należało.

Otworzył drzwi i wszedł do sekretariatu.

– Dzień dobry, pani Kaju – powiedział.

Kobieta popatrzyła na niego wzrokiem pełnym zdziwienia.

– Przepraszam, ale nie może pan tu przebywać – powiedziała. – Dyrektor Muszyński wyraźnie zabronił wpuszczać pana na teren teatru.

A więc już „dyrektor”, a nie „pełniący obowiązki dyrektora”. Wszyscy jak widać uznali za pewnik jego nominację.

– Po pierwsze, znajdujemy się w instytucji publicznej, a to jest jej sekretariat – odpowiedział. – Każdy ma prawo tu przebywać. Pan Muszyński może zabronić mi wejść na zaplecze teatru albo do swojego gabinetu, ale nie tutaj.

– Przekazuję tylko to, co mi powiedział – usprawiedliwiła się kobieta.

– Po drugie, przychodzę tu w konkretnej sprawie. Dzwoniła do pani godzinę temu aspirant Weronika Stankiewicz z Komendy Wojewódzkiej, prawda? W sprawie spisu osób, które korzystały z biletów pracowniczych. Mam go odebrać.

– To pan? – zdziwiła się.

– Tak. Zygmunt Rozłucki. Podała przecież moje nazwisko.

– Przepraszam, nie skojarzyłam w pierwszej chwili. To znaczy, że pan...?

– Pracuję w policji.

– Nie miałam pojęcia... – Była naprawdę zaskoczona.

– Świętej pamięci dyrektor Kaletnik był o wszystkim powiadomiony. Prosiłmym jednak, by zachował to w tajemnicy.

– Rozumiem. Jeszcze raz przepraszam.

– Czy te papiery są gotowe?

– Tak. – Kobieta wstała i podeszła do szafy. – Zrobiłam ksero, bo wolałabym, żeby oryginał został póki co u nas. Czy tak może być?

– To może być dowód w sprawie. Prosiłbym więc, by przekazała mi pani oryginał.

– Odniosłam go już z powrotem do kasy...

– Dobrze, proszę dać mi w takim razie to ksero. Lecz przy najbliższej okazji proszę tam pójść i zabezpieczyć ten zeszyt. Ma pani

tu jakiś sejf?

– Tak, mam. – Kobieta podała mu plik kartek.

– Niech go pani tam schowa. Jeśli zginie, może pani odpowiadać za zniszczenie dowodu.

Nie wiedział, dalibóg, czy to prawda. Uznał jednak, że postraszona w ten sposób, tym skrupulatniej wykona jego polecenie.

– Oczywiście – przytaknęła skwapliwie.

W tym momencie drzwi do gabinetu dyrektora otwały się i wyszedł przez nie Muszyński. Ubrany był w kurtkę, jakby wybierał się właśnie na zewnątrz. Rozłucki odwrócił się, ciekawy jego reakcji. Gdyby to mimo wszystko on był mordercą i gdyby to on zakładał mu pętlę na szyję pod mostem nad Łyną, prawdopodobnie nie ustrzegłby się okazania w tej sytuacji zaskoczenia.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Muszyński spojrzał na niego chłodno i powiedział:

– Co pan tu robi? Zabroniłem panu tu przychodzić.

Rozłucki powstrzymał gestem dłoni sekretarkę, która już zbierała się do wyjaśnień. Twarz Muszyńskiego była spięta, lecz nie wyglądał w najmniejszym stopniu na wstrząśniętego. To utwierdziło tylko Rozłuckiego w przekonaniu, że to jednak nie on. W chwili tak niespodziewanej konfrontacji nie udałooby mu się zapewne ukryć emocji.

– Już wychodzę – powiedział. – Proszę się nie denerwować.

Zwrócił się z powrotem do sekretarki.

– Muszę porozmawiać pilnie z Agnieszką Wilczyńską – powiedział. – Nie wie pani, czy jest dziś w teatrze?

– Nie ma jej – odpowiedziała kobieta. – Jest chora. Pan Staszek przyniósł dziś rano zwolnienie...

– Po co pani odpowiada mu w ogóle na jakiegokolwiek pytania?! – wybuchnął Muszyński. – Proszę już więcej nie rozmawiać z tym człowiekiem!

– Ten pan jest z policji... – wyjaśniła przestraszona kobieta.

Przez twarz Muszyńskiego przemknął wyraz zaskoczenia.

– Tak – potwierdził chłodnym tonem Rozłucki. – I prosiłbym oboje państwa, by nie mówili nikomu zarówno o mojej bytności tutaj, jak o wszystkim, o co pytałem. Pod groźbą odpowiedzialności karnej.

Wyszedł.

Nie mógł nie przyznać, że potraktowanie w ten sposób szanownego pana reżysera sprawiło mu sporą przyjemność.

Wrócił na ławeczkę. Usiadł i wbił wzrok w plik kartek otrzymanych w sekretariacie, nie potrafił się jednak skupić. Widział litery i cyfry, lecz nie umiał odczytać ich sensu. Po chwili bezowocnych wysiłków wstał i podszedł do śmietnika. Na jego dnie leżało niedopalone cygaro. Wyjął je, otrzepał z brudu i resztek popiołu, potem podpalił ponownie. Wciągnął do ust dym. Smakowało tak samo jak przedtem.

Dopiero teraz usiadł i zabrał się z powrotem do lektury. Nikotyna, przenikając przez błony śluzowe jamy ustnej bezpośrednio do krwi, rozjaśniała powoli jego umysł. Cygaro faktycznie było mocne. Teraz, pod sam koniec, wręcz bardzo mocne. Poczował przyjemny, nikotynowy kop. Zaczęło mu się nawet odrobinę kręcić w głowie.

Zabrał się z energią do wertowania trzymany w ręku kartek. Szukał nazwisk, które się powtarzają. Czarno-białe ksero z zeszytu pisanego ręcznie nie zawsze było łatwe do odczytania. Tabelki wypełnione były różnymi charakterami pisma. Nie wszystkie kasjerki pisały równie wyraźnie.

Wyjął z kieszeni kurtki długopis i zaczął podkreślać oraz numerować powtarzające się nazwiska. Jedno z nich – Gawliński – pojawiało się szczególnie często, nawet kilkanaście razy w miesiącu. Co ciekawe, podpisująca się nim osoba brała bilety po kilka razy na to samo przedstawienie. I to nie tylko na jedno. Były trzy tytuły wyjątkowo przez niego ulubione. Jednym z nich było *Wiele hałasu o nic*. Grała tam Wilczyńska, wiedział to. Wyjął komórkę i szybko sprawdził w internecie dwa pozostałe. Wilczyńska grała we wszystkich. Co więcej, były to jedyne przedstawienia, w których

występowała.

Przytknął cygaro do ust. Została już sama końcówka, musiał więc ostrożnie trzymać ją dwoma palcami, aby się nie poparzyć. Wciągnął gorący, szczypiący w język dym. Wyjątkowo mu teraz smakował.

Znaczyło to, że ktoś – jakiś pracownik teatru o nazwisku Gawliński – chodził na wszystkie sztuki, w których grała Wilczyńska. Chodził wręcz na wszystkie jej przedstawienia. Za każdym razem, gdy ona była na scenie, on siedział na widowni. Za każdym razem. Wciągnął ponownie dym, parząc się tym razem w wargę. Splunął i wyrzucił niedopałek do kosza.

Kto to był? Pan Staszek? Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie wiedział nawet, jak ma on na nazwisko. Zawsze wszyscy mówili o nim właśnie tak: „pan Staszek”. On sam też zawsze tak o nim myślał. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by spytać go, jak się nazywa. Pan Staszek to pan Staszek.

A może był jeszcze ktoś? Ktoś inny; ktoś, kogo do tej pory nikt nawet nie brał pod uwagę. Kto do tej pory przewijał się wyłącznie w tle, niezauważony ani przez niego, ani przez policję. Mający taką samą obsesję na punkcie Wilczyńskiej jak... jak on sam, Rozłucki.

– Cześć, znowu tu się spotykamy. – Usłyszał nagle nad sobą głos.

Podniósł wzrok zaskoczony. Zajęty wertowaniem kartek, nie zauważył nawet, że ktoś do niego podszedł.

Stała nad nim aktorka, tam sama, która wtedy z Wilczyńską siedziała razem z nim na tej ławce. Zaraz, jak ona miała na imię? Krycha. W ręku trzymała paczkę papierosów.

– Cześć – odpowiedział.

– Mogę się dosiąść? – spytała i nie czekając na zgodę, usiadła obok niego. – Podpalisz mi? – spytała, wyjmując paczkę papierosów.

– Jasne – odparł.

Włożyła jednego do ust. Wyciągnął w jej stronę zapalniczkę i nacisnął przycisk. Nachyliła się. Jasny płomień dotknął tytoniu.

– Ciągłe prowadzisz te swoje badania? – spytała.

Uznał, że nie ma już sensu ciągnąć dalej tego cyrku. Nie w tym momencie.

– Nie prowadzę żadnych badań – powiedział. – Współpracuję z policją.

– Wiem – odpowiedziała i wypuściła dym. – Agnieszka mi powiedziała. To znaczy, że jesteś gliniarzem?

– Nie. Jestem psychologiem, tak jak powiedziałem. Ale jestem na etacie w policji. Pomagam w śledztwie.

– Hm. – Spojrzała na niego spod przymkniętych powiek. – I jak ci idzie?

– Kiepsko – odparł. – Słuchaj, nie wiesz, gdzie ona jest? Zaczynam podejrzewać, że może jej grozić poważne niebezpieczeństwo.

Zaciągnęła się ponownie papierosem.

– Nie wiem, czy ona chciałaby, żebym ci odpowiedziała na to pytanie. Nie wyrażała się o tobie zbyt miło.

– Wiem – odparł. – Ale tu nie chodzi o mnie ani o jej do mnie stosunek. Wiesz przecież, co tu się ostatnio działo. A ona wydaje się być w samym środku tego wszystkiego. Naprawdę uważam, że coś jej grozi.

Przez chwilę milczała, przypatrując mu się uważnie.

– Nie wiem, gdzie jest – odparła w końcu. – Od paru dni nie pojawiała się w teatrze. Dziś podobno przysłała zwolnienie. Dzwoniłam do niej, żeby się dowiedzieć, co się dzieje, ale nie odebrała. Byłam też u niej w domu, nie otworzyła.

Wszystko to zaczynało wyglądać niezbyt ciekawie. To, że nie odbierała telefonów od niego, można było jeszcze zrozumieć – w końcu traktowała go ostatnio jak wroga – lecz to, że nie odbierała ich od swojej najlepszej przyjaciółki – to było już bardzo niepokojące.

– Słuchaj – powiedział. – Muszę cię o coś spytać. I proszę, żebyś powiedziała mi całą prawdę, bez względu na to, jak trudna ona może dla ciebie być. Nie jestem policjantem, nie wykorzystam tego, nie będziesz musiała powtarzać tego potem w sądzie. Po prostu muszę wiedzieć. Jestem psychologiem, kiedyś byłem psychoterapeutą, a psychoterapeutów obowiązuje tajemnica. Możemy uznać, że taki jest właśnie teraz rodzaj relacji między nami. Że nie rozmawiasz z pracownikiem policji, a z psychologiem, OK?

– Robi się ciekawie – odparła. – Pytaj.

– Co wiesz o nocnych próbach u dyrektora Kaletnika? Brałaś udział w którejś z nich?

Wbił wzrok w jej twarz, starając się uchwycić sposób, w jaki na to zareaguje. O dziwo, zareagowała bardzo spokojnie.

– Brałam w czymś takim udział ze dwa albo trzy razy – odpowiedziała. – A o co konkretnie ci chodzi?

– Jak one wyglądały? Opisz mi je.

Wzruszyła ramionami.



– Nie było to zbyt przyjemne, to trzeba od razu powiedzieć. Łysy naczytał się jakichś teorii rodem z teatrów alternatywnych i próbował je wprowadzać w życie. Gdy uznał, że ktoś nie grał wystarczająco dobrze, zapraszał go po spektaklu do siebie i próbował otworzyć.

– Otworzyć?

– Odblokować. Tak mówił.

– W jaki sposób?

– Za pomocą różnych ćwiczeń fizycznych i oddechowych. To na początek. Potem kazał nam odgrywać różne scenki o dużym napięciu emocjonalnym. Samemu lub w parze. Chodziło o to, żeby, jak sam mówił, „puścić się poręczy”. Nie bać się i nie wstydzić nawet najgorszych wychodzących z nas wtedy rzeczy.

– Czy... czy dochodziło wtedy do jakichś form molestowania seksualnego?

– Molestowania seksualnego? – Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Czy nie kazał wam się rozbierać, udawać orgazmu, symulować masturbacji?

– Nieee. – Zaśmiała się krótko i jakby ze zdziwieniem. – Jeśli się o to pytasz, to znaczy, że wcale go nie znałeś. Jego podniecały zupełnie inne rzeczy.

– Jakie?

– Sztuka, teatr – tylko to go kręciło. No i władza nad ludźmi, manipulowanie nimi. To nie był miły facet, potrafił być okrutny i bezduszny; gdy wiedział o czymś, o jakiejś szczególnie trudnej dla nas sytuacji w życiu osobistym, potrafił to bezwzględnie wykorzystać; grzebał kijem w najbardziej nawet bolących ranach; właśnie na tych próbach lubił tak się zabawiać; ale żeby kazać się rozbierać aktorkom? Nie, do czegoś takiego nigdy by się nie zniżył.

– Nigdy?

– Nigdy. Uważał się za boga, a bogowie nie robią takich rzeczy, są ponad to. Wiem o co najmniej jednej mojej, hmm, koleżance, która próbowała wskoczyć mu do łóżka i z tego, co wiem, udało jej się to,

ale on sam nigdy by nie próbował nikogo do czegoś takiego zmuszać.

– Jesteś tego pewna?

– Na sto procent. To był gość o ogromnym ego; prawdopodobnie uważał, że gdyby tylko chciał, każda byłaby jego. Ale może dlatego właśnie wolał tego nie sprawdzać. Żeby nie musieć się konfrontować z faktem, że może być inaczej.

– Skąd się w takim razie wzięły plotki o orgiach u dyrektora?

Zaśmiała się.

– A skąd się biorą plotki? Z niezrozumienia. Ktoś coś gdzieś kiedyś usłyszał, coś gdzieś zobaczył i dopisał do tego opowieść zgodną nie tyle z rzeczywistością, co z jego własnym widzeniem świata: że skoro spotykają się wieczorem, to muszą się ruchać. I tyle.

– Wilczyńska brała w tych próbach udział?

– Nie chciała. Ale raz ją zmusił.

– Podobno bardzo to wtedy przeżyła?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Ten skurwysyn potraktował ją wtedy wyjątkowo podle. Chyba właśnie dlatego, że do tej pory mu się stawiała. Miała wtedy bardzo trudną sytuację w domu. Nie chcę mówić, co to było, bo to nie twoja sprawa. A on, nie dość, że nie pozwolił jej tam pojechać, nie zwolnił z prób, to jeszcze kazał jej odgrywać scenkę prawie dokładnie odpowiadającą tamtej sytuacji. Nic dziwnego, że prawie się po tym nie załamała.

– Ktoś jeszcze uczestniczył w tych próbach oprócz dyrektora?

– Czasami Lamek, ale nie zawsze.

– A ktoś spoza teatru? Zapraszał na nie jakichś swoich znajomych?

– Zazwyczaj nie.

– Zazwyczaj?

– Raz to się chyba zdarzyło, z tego, co wiem, przynajmniej; właśnie wtedy, gdy była Wilczyńska.

– Kto to był?

– Nie wiem, ona też nie wiedziała. Jakiś gość w garniturze, spoza teatru. Widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Co robił?

– Nic. Siedział i patrzył.

– To był jedyny raz?

– Z tego, co wiem, tak.

– Dlaczego właśnie wtedy?

– Myślę, że chodziło o to, żeby ją jeszcze bardziej upokorzyć. Dyrektor chciał ją wreszcie złamać, była jedyną osobą w całym zespole, która mu się nie poddała, która odmawiała udziału w tej jego chorej psychodramie. Wymyślił więc pewnie sobie, że dołoży jej jeszcze to, żeby już na pewno nie dała rady tego udźwignąć.

– No to mu się udało.

Uśmiechnęła się.

– Niekoniecznie. Agnieszka wróciła następnego dnia do teatru i zachowywała się, jakby nic się nie stało. A jej stosunek do dyrektora nie zmienił się nawet odrobinę. Tacy ludzie jak ona, zaprawieni w znoszeniu przeciwności, wydający się być ciągle na granicy depresji, potrafią być zadziwiająco silni. Może dlatego, że nie spodziewają się od świata niczego więcej niż ciosów.

Pokiwał głową. Pomyślał o sobie. Czy i on taki był?

– Czy ktoś jeszcze wiedział, co się wtedy wydarzyło? – spytał. – Na tej próbie z Wilczyńską? Opowiadała o tym komuś jeszcze, oprócz ciebie?

Zastanowiła się.

– Nie wydaje mi się... Jestem tu jej jedyną przyjaciółką. Może panu Staszкови...

– Panu Staszкови?

– Bywał u niej często, bo pomagał jej w różnych rzeczach. Raz byłam u niej, kiedy naprawiał jej ekspres do kawy. Opowiadała mi o jakichś intymnych sprawach, jakby go w ogóle nie było. Aż się zdziwiłam, że rozmawia bez skrępowania na takie tematy przy zupełnie obcym w sumie mężczyźnie. Jakby go nie zauważała albo nie traktowała poważnie. Myślę, że na podobnej zasadzie wygadywała się przed nim, gdy byli sami.

– Jak on się w zasadzie nazywa? – spytał. – Wszyscy mówią o nim

tylko „pan Staszek”.

– Pan Staszek? Jak się nazywa pan Staszek... – Dla niej to najwyraźniej też nie było oczywiste. – Gawliński. Jakoś tak.

Pozostało już tylko jedno pytanie. Przyszło mu ono do głowy dosłownie przed chwilą. Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i odszukał w nim pewne zdjęcie.

– Znasz tego człowieka? – spytał, podsuwając jej ku twarzy ekran, na którym widniał dowód osobisty sfotografowany przez myśliwego na leśnej strzelnicy.

Uśmiechnęła się.

– Pewnie, że znam – odpowiedziała. – Widuję tę twarz od półtora roku co najmniej cztery razy w miesiącu.

– Kto to taki?

– To? Nikt. Ten dowód to rekwizyt teatralny. Używany jest w pewnej angielskiej farsie. Gram w niej, to wiem.

– Kto go wykonał?

– Nie mam pojęcia. Pewnie pan Staszek. On zajmuje się takimi rzeczami.

Stanął u szczytu schodów prowadzących w dół na ulicę. Koleżanka Wilczyńskiej już sobie poszła, musiała wracać do teatru. Odetchnął głęboko. A więc tak to wyglądało. Wszystkie klocki wskoczyły wreszcie na swoje miejsce. Nie było ciągle rozstrzygającego dowodu, lecz wszystko, co wiedział na temat tej sprawy, ułożyło się w końcu w spójną, prawdopodobną opowieść; o wiele bardziej prawdopodobną niż inne możliwe opowieści. Zaraz, jak to się nazywało? „Zamknięty krąg poszlak”. Sytuacja, w której istnieje tylko jedno, prawdopodobne wyjaśnienie szeregu powiązanych ze sobą wydarzeń. Ten profiler, Krzysiek, użył kiedyś takiego sformułowania. Chyba właśnie zbliżył się do czegoś takiego.

Doktor Goczał miał rację: nie było żadnej osobowości wielorakiej. To nie Wilczyńska była „mścicielem”. Był nim pan Staszek, Stanisław Gawliński; człowiek, którego nikt nigdy o nic nie podejrzewał, bo jak można podejrzewać o dokonanie trzech tak spektakularnych morderstw „pana Staszka”? To protekcyjne, z lekka infantylne miano, za pomocą którego wszyscy się do niego zwracali, skutecznie uniemożliwiło im wzięcie go pod uwagę, mimo iż wiele tropów, i to od dawna, wskazywało na niego. Pan Staszek to przecież tylko pan Staszek. Czy może być groźny ktoś, do kogo mówi się „panie Staszku”?

On sam również dał się złapać w tę pułapkę. Nie traktował go poważnie, tak samo jak Wilczyńska; myślał o nim z pobłażaniem, jako o swoim trochę natrętnym, a trochę przydatnym pomocniku. Był zadowolony, że ma takie wspaniałe źródło informacji, dające mu

wgląd w wewnętrzne stosunki panujące w teatrze. Tymczasem nie dostrzegł, że sporo wiadomości, na których opierał swój ogląd tej sprawy i na podstawie których wysnuwał swoje teorie, pochodziło tylko i wyłącznie od pana Staszka, od nikogo innego. To on przecież i tylko on opowiedział mu o nocnych próbach u dyrektora, na których miało dochodzić do różnych seksualnych ekscesów. Zabezpieczył się przy tym sprytnie przed odkryciem prawdy, twierdząc, że żadna z aktorek nie potwierdzi jego rewelacji ze strachu przed konsekwencjami. A on, głupi, łykał to wszystko, ciesząc się, że odkrył właśnie skrzętnie skrywaną, wyjaśniającą wszystko tajemnicę. Nie widząc, że pan Staszek, ten traktowany z przymrużeniem oka pan Staszek, ciągnie go za sobą jak szczeniaka na smyczy.

Dlaczego to wszystko robił? W tym momencie odpowiedź wydawała się oczywista: miał obsesję na punkcie Wilczyńskiej, tylko trochę dalej posuniętą niż jego, Rozłuckiego, własna. Pewnie dlatego on sam tego wcześniej nie dostrzegł: bo cierpiał na tę samą, zaciemniającą rzeczywistość chorobę. To mogła być zresztą tylko kwestia skali. Tym tylko on, Rozłucki, różnił się od mordercy – jedną cyferką na potencjometrze. On pozostał w sferze fantazji, pan Staszek, Stanisław Gawliński, przeszedł do działań.

Wyjął telefon i zadzwonił do Weroniki. Odebrała po czterech sygnałach.

– No i co tam? – spytała. – Dostałeś ten spis?

– Dostałem – powiedział. – Musicie natychmiast aresztować pana Staszka. Ma na nazwisko Gawliński, choć to pewnie wiecie.

Nawet przez telefon dało się wyczuć, jak bardzo jest tym zaskoczona.

– Twojego pomocnika? – spytała w końcu. – „Zastępcę szeryfa”? Coś ty znowu wymyślił?

– To on – powiedział. – Jestem tego pewien. – Zaczął schodzić w dół schodów.

– To samo mówiłeś o dyrektorze – zauważyła.

– I częściowo miałem rację – odparł. – To dyrektor, jak się wydaje, to wszystko sprowokował. Rozkręcił emocje, które wymknęły się spod kontroli. Obudził demona, który go pożarł.

– Możesz mi to wyjaśnić jakoś przystępniej? – W głosie Weroniki brzmiał daleko posunięty sceptycyzm.

– Z tego spisu wynika, że Gawliński chodził po kilkanaście razy na przedstawienia, w których grała Wilczyńska. Miał na jej punkcie obsesję. Wymyślił sobie, że będzie jej pomagał i ją chronił. Ubzdurał sobie, że na jednej z nocnych prób u dyrektora zaszło coś, za co powinien się w jej imieniu zemścić. I zrobił to. Zabił wszystkich, którzy w niej wtedy uczestniczyli. Dyrektora, tego gościa z magistratu i Lamka. Mnie próbował zabić, bo doszedł do wniosku, że zdradziłem Wilczyńską.

– Ale jednak cię nie zabił. Dlaczego?

Bo dostrzegł w Rozłuckim siebie. Brata w obsesji. Dlatego.

– Nie wiem – skłamał. – Ale to on. Wszystko wskazuje na niego. Miał dostęp do pomieszczeń teatru i to o każdej porze. Mógł wynieść z niego broję i ukraść maskę.

– Maską nie zginęła.

– On je robił, więc pewnie po prostu zrobił jedną więcej.

Miał też dostęp do samochodu i mieszkania Wilczyńskiej, bo przecież dawała mu do nich klucze.

– Musicie go aresztować i przeszukać jego mieszkanie. Jestem pewien, że znajdziecie tam obciążające go dowody. Mogę się też założyć, że był w przeszłości karany, albo chociaż notowany za podobne przestępstwa: stalking, nagabywanie i tym podobne.

Zamilkła na chwilę.

– To trochę potrwa – odezwała się w końcu. – Aresztować mogę go od razu, ale do przeszukania muszę zdobyć nakaz.

– Pośpiesz się, proszę cię. Wilczyńska zniknęła. Od paru dni nie ma z nią kontaktu. Stanisław Gawliński, nie wiem, gdzie mieszka. Szukajcie też samochodu Wilczyńskiej. Srebrny nissan almera. Możliwe, że nim się porusza, a ona jest w bagażniku, tak jak kiedyś

ja.

Gdy to mówił, zrobiło mu się ciemno przed oczami.

– Dobra – odpowiedziała. – Zaraz nadam to przez radio. Numer rejestracyjny mam gdzieś zapisany. Jego adres też.

– Rzuć do tego wszystkie swoje siły. To może być kwestia życia i śmierci.

– W porządku. Zrobię tak. A ty, gdzie teraz jesteś?

– Będę ich szukał na własną rękę. Jak czegoś się dowiesz, dzwoń.

– Poczekaj, Zyga. – W jej głosie zabrzmiał niepokój. – Nie wpakuj się znowu w coś groźnego. Drugi raz możesz nie mieć takiego szczęścia jak ostatnio. Może lepiej przyjdź tu do nas. Razem się tym zajmujemy.

– Nie ma na to czasu – uciał. – Na razie.

Rozłączył się. Szedł teraz, a w zasadzie biegł w kierunku mieszkania Wilczyńskiej. Ciągle miał w kieszeni klucze do niego.

Włożył klucz do otworu i przekręcił w prawo. Jego dłoń zrobiła najwyżej ćwierć obrotu, po czym znieruchomiła zatrzymana przez mechanizm zamka. Nacisnął klamkę – drzwi były otwarte. Uchylił je ostrożnie.

Przeszedł przez próg, starając się robić jak najmniej hałasu. Przystanął, nasłuchując. Czy skoro drzwi były niezamknięte, znaczyło to, że ktoś był w środku? Czego powinien się teraz spodziewać, ataku? A może wszystko to po raz kolejny sobie wymyślił i spotka za chwilę zdumioną Wilczyńską wycierającą włosy po kąpieli, wściekłą, że wszedł do niej bez pukania?

Chciałby, żeby tak było. Chciałby, choć oznaczałoby to, że to on, nie Gawliński, jest stalkerem, i że to on ma ze sobą problem. Poszedłby wtedy do doktora Goczała i poprosił, by to tym razem jego przyjął na oddział. Albo pojechałby znów do Zakopanego. Czy był tam jeszcze śnieg? Pewnie nie.

Wstrzymał oddech, by lepiej słyszeć. Nic. Żadnego dźwięku prócz



cichego mruczenia lodówki. Wszedł głębiej i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Stąd widać było już pokój. Przełknął ślinę. Mniej więcej takiego widoku się właśnie spodziewał. Co nie oznaczało, że nie był nim wstrząśnięty.

Wszędzie na podłodze, kanapie i stoliku leżały ubrania. Drzwi szafy były otwarte. Wyglądało to tak, jakby ktoś w pośpiechu się pakował. Z tym, że walizka – otwarta i tylko częściowo zapełniona – leżała na fotelu.

Wszedł dalej. Zajrzał do kuchni i łazienki. Wszędzie to samo. Otwarta kosmetyczka na pralce, rozbity słoik z kremem na podłodze. Zniknął tylko flakonik z jej perfumami. To zauważył od razu.

W mieszkaniu nie było nikogo. Podeszedł do kanapy, odsunął na bok leżące na niej ubrania i usiadł. Co się tu stało? Chyba wiedział. Niemal zobaczył tę scenę. Gawliński przychodzi do jej mieszkania i wyjawia jej wszystko. To, że ją kocha, i to, że ją pomścił. Oraz to, że to on stoi za tym wszystkim. Mówi to z dumą, w końcu tyle dla niej zrobił. Zamiast jednak spodziewanej wdzięczności, zamiast rzucenia mu się na szyję, widzi w jej oczach przerażenie. W pierwszej chwili nie rozumie tego. Iluzja, którą wyhodował w swojej głowie, jest zbyt rozbudowana i zbyt dobrze zakorzeniona, by dało się ją rozbić tym jednym niepasującym do niej elementem. Mówi: „Chodź, wyjedźmy razem, ucieknijmy stąd!”. Ciągłe czeka, aż ona padnie mu w ramiona. Zamiast tego jednak słyszy: „Zostaw mnie, wyjdź stąd!”. Wciąż nie rozumie, nie chce zrozumieć. Myśli, że ona się boi, ale nie jego, boi się zmiany, boi się zostawić wszystko i ruszyć w nieznaną. Mówi: „Nie bój się, ja cię obronię. Zobaczysz, będziemy szczęśliwi”. Zaczyna ją pakować. Wie, gdzie jest walizka; gdy zostawiała go w mieszkaniu podczas kolejnych napraw, przeszukał je zapewne dokładnie. Wyciąga z szaf jej ubrania, wkłada do walizki; ona jednak wyrывa mu je, krzyczy. Powoli dociera do niego, że ona wcale nie chce z nim nigdzie jechać, że jego poświęcenie, jego dar i ofiara, nie zostały docenione. Jest zagubiony, zraniony, oszołomiony. Nie wie, co zrobić w tej sytuacji, nie potrafi się w niej odnaleźć. Jej

zachowanie coraz bardziej działa mu na nerwy. Czuje się odtrącony, oszukany. Iluzja, którą żył, którą karmił się przez ostatnie miesiące, rozpada się na jego oczach w pył. Miejsce zagubienia zajmuje irytacja, niechęć, potem wściekłość. Być może uderza ją. Raz, potem drugi. Żeby ją uciszyć, ale też ukarać. Potem związuje ją albo pozbawia przytomności. I wynosi do samochodu. Od razu albo po jakimś czasie. Być może w nocy, żeby nikt nie widział. Potem jeździ po mieście, nie wiedząc, co ma dalej zrobić. Nie miał planów na tę okoliczność. Wszystko miało przecież wyglądać inaczej. Zapewne jedzie gdzieś za miasto, być może do lasu, żeby się przespać w samochodzie. Nie może przecież zaparkować pod swoim domem, bo ryzykowałby, że ktoś usłyszy ją z wnętrza bagażnika. Budzi się rano i opracowuje nowy plan. Ukarze ją, tak jak wcześniej tamtych, i tak jak potem Rozłuckiego. Ukarze za to, że jest głupia, nieczuła i nie potrafi docenić prawdziwej miłości. Należy jej się to, nie ma dwóch zdań. Poświęcił się dla niej, ryzykował, a ona tego nie doceniła. Pomylił się w stosunku do niej. Myślał, że jest inna, a ona okazała się taka sama jak wszystkie.

Raczej jednak nie zabija jej od razu. Na pewno nie. To byłoby do niego niepodobne. Musi wszystko opracować w najdrobniejszych szczegółach, wymyślić sposób równie spektakularny i równie symboliczny, jak te poprzednie. By zyskać na czasie, zanosí jej zwolnienie do teatru. Być może wykorzystuje ten pretekst, by coś z niego zabrać – jakiś rekwizyt lub kostium, który potrzebuje do swojego spektaklu.

Spojrzał za okno; zaczynało zmierzchać. To musi być teraz, teraz to się stanie. Był co do tego dziwnie przekonany. Nie jutro, nie pojutrze, ale właśnie dziś. Zmrok ukryje przygotowania, sprawi, że nikt w nich nie przeszkodzi. Poza tym wszystkie dotychczasowe morderstwa miały miejsce o zmierzchu lub po zmroku. I towarzyszył im ogień – fajerwerki na wiadukcie, płonąca łódź na jeziorze i ogień z lufy karabinu maszynowego w teatrze. A ogień najlepiej widać w ciemności.

Opadł do tyłu i zamknął oczy. Gdzie teraz są? Jaką scenę wybrał na swoje ostatnie przedstawienie? Nawracające ataki paniki przeszkadzały mu myśleć. Spali ją, przemknęło mu przez głowę. Spali ją jak czarownicę, bo opętała go i oszukała. Zrobiło mu się niedobrze, a na czoło wystąpił zimny pot. Tylko gdzie? Gdzieś, gdzie będzie to dobrze widać, i to z daleka. Było tylko jedno takie miejsce w Olsztynie. To znaczy chyba jedno; w końcu nie znał aż tak dobrze miasta. Ale to miejsce miało jedną zaletę, która przemawiała za nim i przechylała szalę na jego korzyść: czyn tam dokonany byłby kłamrą, symbolicznym zamknięciem historii przez nawiązanie do jej początku. Wiadukt nad Łyną.

Otworzył oczy i zerwał się z kanapy. Wybiegł z mieszkania, nie zamykając za sobą drzwi. Zbiegł po schodach, wybiegł z budynku i popędził w kierunku Starego Miasta. Na skrzyżowaniu było czerwone. Chciał przez nie przebiec, lecz akurat ruszyły samochody. To może dobrze, uspokoił dzięki temu trochę oddech.

Gdy tylko ostatni samochód przejechał przez przejście, przebiegł przez pasy, nie czekając na zmianę świateł. Pod ratuszem było pełno ludzi. Niektórzy trzymali w rękach biało-czerwone polskie flagi. Takie same flagi wisały na ratuszu i na okolicznych budynkach. „Co to za okazja?”, pomyślał, przepychając się przez tłum. Trzeci maja? Czy to możliwe, że był już maj?

Potrącając i rozpychając ludzi, przedarł się przez tłum. Dalej, w kierunku Wysokiej Bramy, było tylko trochę lepiej. Był piątek, to akurat wiedział. Ludzie ciągnęli na Stare Miasto, by połączyć narodowe święto z tradycyjną piątkową balangą. Zszedł z chodnika i zaczął biec po jezdni. Jakiś samochód z tyłu zaczął na niego trąbić. Po chwili dołączył się do niego dzwonek tramwaju.

Dobiegł do końca ulicy i przed Wysoką Bramą skręcił w lewo. Tu było zdecydowanie luźniej. Usłyszał odgłosy muzyki dobiegające od strony Starego Miasta. Wyglądało, jakby trwał tam właśnie jakiś koncert. Rozpoznał jedną z pieśni patriotycznych. „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...” No, pięknie...

Dopiero teraz przypomniał sobie o czymś, co powinien w zasadzie zrobić od razu. Weronika. Musi do niej zadzwonić. Niech tu przyśle kogoś, sam może nie dać sobie rady. Nie przestając biec, wyciągnął

z kieszeni komórkę. Pot zalewał mu oczy, obite kolana bolały jak diabli i ledwo łapał oddech. Ciągłe biegnąc, odnalazł jej numer. Nagle potknął się i poleciał do przodu. Patrząc w ekran, nie zauważył krawężnika. Przewrócił się i przekoziółkował po ziemi. Telefon wypadł mu z ręki i szerokim łukiem poszybował na chodnik.

Widział to; widział, jak leci i jak upada na beton. Widział, jak rozpada się na kawałki, które następnie rozsypują się po chodniku. Obudowa odskakuje w jedną stronę, bateria w drugą, pokrywa w trzecią. Nie wstając, na czworakach rzucił się w tym kierunku. Niepotrzebnie. Ekran był stłuczony. Spróbował jeszcze włożyć baterię i włączyć telefon z powrotem, lecz nie zobaczył na wyświetlaczu nic więcej prócz czerni.

– Kurwa mać! – wrzasnął na całe gardło, lecz nie miał przecież czasu na zamartwianie się i obwinianie o swoją głupotę. Wstał na równe nogi i popędził, kuśtykając dalej w kierunku wiaduktu. Mijając jakąś parę, zatrzymał się tylko i wysapał:

– Zadzwońcie na policję... Tam na górze, na wiadukcie, jest morderca...

I nie czekając na reakcję, pobiegł dalej.

Po chwili był już przy wiadukcie. Zmrok zapadał coraz szybciej. Na ulicy przy nasypie stał zaparkowany samochód. Srebrna almera. Samochód Wilczyńskiej.

Przebiegł, utykając, pod łukiem pierwszego wiaduktu i wbiegł na schodki prowadzące na górę. Ból w kolanach stawał się coraz silniejszy; z trudem łapał oddech. Przystanął, by choć trochę odsapnąć. Kilka głębokich oddechów i ruszył znowu w górę. Tym razem jednak wolniej, starając się nie robić przy tym zbyt dużo hałasu.

Na Starym Mieście ciągle trwał koncert. Muzyka wydawała się tu nawet głośniejsza, niż kiedy był na dole. „Oto dziś dzień krwi i chwały...”, usłyszał słowa kolejnej patriotycznej pieśni. „Czy one wszystkie muszą być o krwi i śmierci?”, pomyślał. Nie chciał o tym słuchać, a już na pewno nie teraz.

Doszedł na szczyt schodów. Ostrożnie wyjrzał zza krawędzi wiaduktu. To, co zobaczył, sprawiło, że jego serce przestało na chwilę bić. Tym razem się nie pomylił. Wszystko było tak, jak przypuszczał. Niestety.

Po drugiej stronie wiaduktu, za torami zobaczył dwie postaci. Jedna z nich siedziała oparta o barierkę, druga krzątała się naokoło. Tą pierwszą była Wilczyńska. Dostrzegł to, a w zasadzie bardziej nawet wyczuł, niż dostrzegł. Wydawała się półprzytomna. Gdy na nią patrzył, poruszyła lekko głową, jakby chciała z niej coś strząsnąć. Ręce miała schowane za plecami. Prawdopodobnie była związana.

Druga postać przyklęknęła jakieś dwa metry od niej. Po sposobie poruszania się i po sylwetce od razu rozpoznał w niej Gawlińskiego. Na jego twarzy widniała biała, zdająca się niemal świecić teatralna maska. Wykrzywiona była w grymasie wściekłości.

Maska nachylała się nad kwadratowym pudełkiem stojącym na betonowej podstawie barierki. Obok stało jeszcze kilka takich samych pudełek rozstawionych w równych odstępach. Gawliński podniósł na chwilę pudełko, przy którym klęczał, i wtedy Rozłucki zobaczył, że połączone są one kablem. „Sztuczne ognie”, pomyślał. Takie same jak przy pierwszym morderstwie.

Gawliński wstał i podszedł do Wilczyńskiej. Podniósł plastikową, półtoralitrową butelkę stojącą przy jej nogach. Odkręcił ją i zaczął polewać z niej coś, co leżało niżej, przy torach.

Rozłucki patrzył na to jak otępiały. Jakby to, co widzi, nie działo się naprawdę i nie mogło mieć żadnych konsekwencji. Zobaczył, jak Gawliński podnosi coś z ziemi i opiera to o barierkę przy Wilczyńskiej. Duży, biały, płaski przedmiot. Pusty w środku i rozgałęziający się na boki. Skrzydła. Białe, anielskie, doczepiane do pleców skrzydła; mokre teraz i ociekające jakąś cieczą. Jej zapach doszedł aż do niego. Benzyna.

Dopiero pod wpływem tego Rozłucki się obudził. Zrozumiał, co się za chwilę stanie, i świadomość tego napełniła go bezbrzeżnym,

paraliżującym przerażeniem. Nie było już jednak czasu na panikę. Kuśtykając, wyszedł na nasyp i ruszył w stronę tych dwojga. Szedł najszybciej, jak mógł, pokonując coraz silniejszy ból w kolanach, starając się jednocześnie jak najdłużej pozostać niezauważonym. Odgłosy koncertu całe szczęście skutecznie zagłuszały chrzęst jego kroków na białych kamieniach.

Gawliński chwycił Wilczyńską pod ramiona i uniósł ją do góry. Stała teraz, opierając się o barierkę. Dopiero w tym momencie Rozłucki dostrzegł, że ich sylwetki są w sumie do siebie podobne. Tak samo szczupłe, podobnego wzrostu; Gawliński był tylko trochę wyższy. Pasowali do siebie; byliby dobraną parą. Nawet ich rysy twarzy – uświadomił to sobie właśnie – były w pewien sposób podobne. Pewnie dlatego zresztą Gawliński tak bardzo stracił dla niej głowę. Dobór partnerów często odbywa się na zasadzie podobieństwa; Rozłucki doskonale znał tę zasadę.

Gawliński odwrócił ją i nożem przeciął taśmę krępującą jej rękę. Potem podniósł skrzydła i założył jej na plecy, przeciągając najpierw rękę przez skórzaną uprząż. Gdy już wszystko pozapinał, odwrócił ją z powrotem twarzą do siebie i przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu.

Przeгляд ten wypadł najwyraźniej pomyślnie, nachylił się bowiem ponownie ku ziemi. Podniósł z niej drugie takie same skrzydła, równie ociekające benzyną jak pierwsze, i te z kolei założył sobie.

Rozłucki był już przy torach. Dopiero teraz zrozumiał scenariusz tego przedstawienia. Pojął go w krótkim, bolesnym przebłysku. Na początku sztuczne ognie, aby zwrócić uwagę wszystkich na to, co się dzieje na wiadukcie. Aby wszystkie głowy i wszystkie oczy ludzi świętujących na dole zwróciły się ku górze. Potem podpalenie skrzydeł i wspólny, samobójczy lot z wiaduktu w dół ku rzece. W ten sposób chce się z nią połączyć. Tak mają wyglądać ich zaślubiny.

Postać w białej masce ponownie schyliła się i podniosła coś. Małe pudełko połączone kablem z tymi, które stały przy barierce.

Rozległ się syk i fajerwerki wystrzeliły w górę. Z głośnym gwizdem

kolejne pudełka wypluwały w górę swoją zawartość. Wiadukt pojaśniał od wybuchających nad ich głowami sztucznych ogni. W upiornym, rzucającym długie cienie świetle wszystko nagle stało się doskonale widoczne. Postać w masce dostrzegła go. Dokładnie wtedy, kiedy przekraczał pierwszą linię lśniących szyn. Zamarła na chwilę, jakby zaskoczona tym widokiem. Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu. Niebieskie, żółte i czerwone iskry opadały w dół, lecz całe szczęście gasły, zanim docierały do nasączonych benzyną skrzydeł.

Wydawało się, że trwa to niewyobrażalnie długo, choć zapewne nie minęło więcej niż kilka sekund. Postać w masce w końcu ocknęła się i sięgnęła do kieszeni. Wyciągnęła z niej coś i trzymała to teraz przed sobą. Rozłucki bardziej domyślił się, niż zobaczył, że była to zapalniczka. Serce stanęło mu po raz drugi, tym razem z przerażenia. Był zbyt daleko, by zdołać dobiec do nich i wytrącić mu ją z rąk. Dlaczego wcześniej tyle zwlekał? Czemu przez tyle bezcennych sekund przyglądał się beczynnemu tym wszystkim przygotowaniom, zamiast od razu rzucić się na niego???

Nad dłonią postaci w masce zabłysnął płomień. Rozłucki krzyknął przeraźliwie i rzucił się do przodu, wiedząc, że i tak nie zdąży na czas. Świat zwolnił, prawie się zatrzymał. Zobaczył Karolinę leżącą w zakrwawionej pościeli. Znowu będzie tak samo. Znowu nie zdoła niczemu zapobiec.

Postać w masce chwyciła Wilczyńską drugą ręką i popchnęła ją w stronę barierki. Nagle Wilczyńska otworzyła zamknięte do tej pory powieki. Płomień zapalniczki odbił się w jej oczach. Postać w masce zbliżyła płomień do jej skrzydeł, chcąc je podpalić, lecz wtedy ona chwyciła ją za rękę obiema uwolnionymi teraz dłońmi. Zaczęli się szarpać. Płomień zgasł. Rozłucki przeskoczył przez drugą linię szyn, starając się nie przewrócić o podkłady. Był już blisko, naprawdę blisko. Płomień znowu zaświecił. Zobaczył, jak skrzydła zapalają się. Nie, to tylko kolejny wybuch sztucznych ogni rozjaśnił je na złoto.

Dobiegł do nich, wskoczył na betonowy podest i pędem, nie



zatrzymując się, uderzył w postać w masce. Bariierka nie była wysoka; postać w masce zachwiała się i oparła o nią dołem pleców. Chwycił ją, wpił się w nią i odepchnął po raz ostatni z całej siły nogami. Jego ciężar przeważał go. Polecieli do tyłu, w mrok.

Spadali powoli, wydawało się, że w absolutnej ciszy, choć przecież muzyka ciągle grała i wciąż wybuchały nad nimi fajerwerki. Ich twarze były teraz przy sobie; widział przez otwory w masce jego oczy.

Potem w coś uderzyli; puścił go wtedy. Zobaczył dookoła konary drzewa. Spadali dalej, łamiąc kolejne gałęzie. Usłyszał plusk, a potem poczuł wodę zalewającą mu twarz.

Musiał stracić przytomność, ale tylko na chwilę. Obudził go ból i woda wlewająca mu się go gardła. Uniósł się na łokciach; Łyna całe szczęście nie była tu zbyt głęboka. Wypluł wodę z ust i spojrzał w dół na swe ciało. Z łydki wystawała mu ostro zakończona kość. Woda barwiła się na czerwono i odpływała dalej, w kierunku morza.

Rozejrzał się dookoła, nie wiedząc w pierwszym momencie, gdzie się znajduje ani co tu robi. Po chwili wszystko sobie przypomniał. Postać w masce, gdzie ona jest? Nigdzie nie mógł jej dostrzec. A Wilczyńska? Została na wiadukcie czy spadła razem z nimi?

Ostatni fajerwerk wystrzelił i rozbłysnął wysoko, gdzieś nad jego głową. Spojrzał w górę. I wtedy go zobaczył. Pan Staszek, Stanisław Gawliński, wisiał na drzewie parę metrów nad nim. Jego skrzydła musiały zaczepić się o którąś z gałęzi, a uprząż nie pozwoliła mu spaść niżej. Patrzył w dół na Rozłuckiego; nie miał już maski. Jego lewa ręka zwisała bezwładnie, lecz pięść prawej ciągle była zaciśnięta.

Ta właśnie ręka uniosła się powoli w górę. Kropla krwi oderwała się z jego ust i zaczęła spadać w dół. Widział ją wyraźnie w świetle pobliskiej latarni. Wszystko odbywało się niczym na zwolnionym

filmie. Mały czerwony pocisk, który trafił dokładnie w jego czoło, a potem spłynął w dół w kierunku ust. Poczował jego smak.

Wtedy właśnie kciuk wyciągniętej w jego stronę ręki poruszył się. Nad zaciśniętą pięścią pojawił się płomień. Wiedział, co się teraz stanie; patrzył na to pełen grozy i fascynacji. Ręka podniosła się w stronę głowy. Płomień dotknął nasączonych benzyną skrzydeł. Po chwili wszystko stanęło w ogniu.

Nie potrafił przestać patrzeć na to straszne, lecz w pewien sposób piękne widowisko. Od skrzydeł zajęły się gałęzie i konary; liście zwijały się od gorąca. Po kilku sekundach cała korona drzewa płonęła już jak pochodnia.

Poczuł gorąco na swojej twarzy. Nie było już widać rysów tamtego. Z ogniska rozpalonego na niebie przebijała tylko coraz bardziej szerniała sylwetka otoczona rozgrzany do czerwoności, rozczapierzonymi niczym potworne palce drutami stelażu tego czegoś, co kiedyś było anielskimi skrzydłami.

Małe, białe drobinki popiołu wirowały wokół tego i opadały w dół jak śnieg. Świat poczerwieniał od blasku. Przymknął oczy, by nie wypalił ich ten żar. Poczuł, jak popiół osiada mu na twarzy i włosach. Za chwilę zasypie go całkiem białą, gorącą pierzyną.

Usłyszał zbliżający się, lecz ciągle daleki dźwięk policyjnej syreny. Był on tak nierzeczywisty, że w pierwszej chwili pomyślał, że mu się to tylko wydaje. Czerwone światło przebijało przez skórę powiek. Ból, o którym prawie zapomniał, lecz który ciągle był, przyprawiał go niemal o utratę przytomności. Zrozumiał, że za chwilę zemdleje.

Otworzył oczy i odpychając się rękami, wlokąc za sobą bezwładną nogę, z której ciągle wypływała krew, spróbował podciągnąć się bliżej brzegu. Po długiej, nieskończonej długiej chwili udało mu się to. Oparł głowę o coś i opadł wyczerpany na dno. Teraz przynajmniej woda nie zalewała mu ust.

Przymknął powieki. Pozwolił sobie odpłynąć. Był teraz znowu w górach, schodził w dół zbocza Kasprowego Wierchu. Gorący, białe

puch pokrywał go coraz bardziej. Nie mógł już iść, nogi więły mu w oblepiających łydki i kolana zaspach. Runął do tyłu w matczyną, ciepłą miękkość. „Pochłoń mnie, śniegu”, pomyślał.

Otworzył oczy. Wszędzie biel. Zamrugął powiekami oślepiiony jej blaskiem. Jarzące światło spływało z góry i odbijało się od śniegu. Był nim pokryty aż po piersi. Wszystko było rozmazane, jakby oczy zalała mu woda.

Zamrugął ponownie. Wzrok w końcu wyostrzył się. Spojrzał w dół, na śnieg.

Leżał w pościeli w szpitalnym łóżku. Ostre światło jarzeniówek rozjaśniało salę kłującą w oczy bielą i odbijało się od równie białej kołdry. Dopiero po chwili przyzwyczał się do tego.

Jego zagipsowana noga zwisała z wyciągu. Prawa ręka podłączona była do kroplówki. Poruszał pozostałymi członkami. Wszystko wydawało się w porządku. Parę otarć na twarzy i rękach obwiązanych było bandażami. No i bolało go przy oddychaniu. Musiał mieć złamane, albo chociaż pęknięte żebro.

Zamknął oczy, przypominając sobie, co się stało. Obrazy – piękne, przerażające, pełne grozy – spływały na niego po kolei. Ostatni akt tego budzącego trwogę spektaklu nie potoczył się do końca tak, jak chciał tego jego reżyser, ale i tak był imponujący. Płonący anioł na niebie. Kropla krwi spadająca wprost do ust wroga. Wspólny lot w otchłań. Wspaniałe. Nie potrafił nie odczuwać pewnego rodzaju podziwu dla człowieka, który to wszystko spowodował.

Zasnął.

Obudziło go skrzypnięcie drzwi. Odwrócił głowę w ich stronę. Stała w nich Weronika. Uśmiechała się.

– Masz naprawdę twardy łeb – powiedziała. – Który to już raz odwiedzam cię w szpitalu?

Odwzajemnił ten uśmiech. Naprawdę ucieszył się na jej widok.

– A izba wytrzeźwień też się liczy? – spytał.

– No to dołożmy do tego jeszcze tamten burdel. Pamiętasz?

– Wolałbym nie – odparł.

Weszła do środka i usiadła na krześle przy łóżku.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Może być – odpowiedział. – Kąpiel w zimnej rzece dobrze mi zrobiła. Człowiek od razu czuje się zdrowszy. A co z Wilczyńską? – spytał po chwili.

– Jest tu – wskazała głową w stronę drzwi. – Ale niedługo ją wypuszczają. Nic jej nie jest. Zostawili ją tylko na obserwację.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

– Miałeś rację – powiedziała. – Tym razem miałeś rację we wszystkim.

– W czym wszystkim? – spytał.

– Przeszukaliśmy jego mieszkanie – odpowiedziała. – Były tam materiały identyczne z tymi, które zostały wykorzystane przy poprzednich morderstwach. Ślady opon znalezione w lesie pasują do samochodu Wilczyńskiej, z tym że tego dnia używał go Gawliński, bo miał w nim dokonać jakiejś naprawy. W jego bagażniku są twoje odciski palców, a włókna spod twoich paznokci pochodzą z jego tapicerki.

– Co za niespodzianka... – powiedział.

– Okazało się też, że dziesięć lat temu był oskarżony o nagabywanie i nękanie kobiety, którą uważał za swoją narzeczoną. Mieszkał wtedy w innym województwie. Sprawa nie zakończyła się wyrokiem, a on wyprowadził się i przeniósł do Olsztyna.

– No proszę...

– Ale to nie wszystko, w czym miałeś rację.

– Nie wszystko? – zdziwił się.

– W jego komputerze znaleźliśmy napisaną przez niego sztukę. Jej tematem jest miłość aktorki i pracownika technicznego teatru. Analiza jego poczty mailowej wskazuje, że wysłał ją do teatru, ale nie uzyskał odpowiedzi.

Pokiwał głową.

– Pani Kaja od razu kasuje takie rzeczy – powiedział.

– Czyli wszystko było tak, jak mówiłeś – obsesja, niespełnione i odrzucone artystyczne aspiracje – dokładnie tak to wyglądało.

– Szkoda tylko, że poskładałem te klocki tak późno. Wilczyńska o mało nie zginęła. Nie mówiąc już o mnie.

– Ale nie zginęła. I tylko to się liczy. Między „o mało nie zginęła” a „zginęła” jest ogromna, zasadnicza różnica. I ta różnica jest dzięki tobie.

– Tak. Chyba tak.

– Cholernie tak. No, dobra. Będę już lecieć. Wpadnę jutro. Potrzeba ci czegoś? Może ci coś przynieść?

Popatrzył na nią spod oka.

– Ugotuj mi rosół – powiedział.

– Co? – Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– Ugotuj mi rosół – powtórzył. – Tak się robi. Gotuje się rosół i przynosi chorym do szpitala, żeby szybciej wyzdrowieli.

Popatrzyła na niego, jak na wariata.

– Chyba żartujesz! Nawet nie wiem, czy potrafię.

– To znajdź przepis w internecie. Taki na kurczaku i wołowinie. Tylko żeby była poprzerastana, bo wtedy jest smaczniejszy.

Zamrugła powiekami.

– Ty chyba naprawdę upadłeś na głowę!

– Mówię poważnie. Ugotuj mi rosół. Jestem w ciężkim stanie. O mało nie zginąłem. I bardzo dawno nie jadłem porządnego, domowego rosółu.

Czekał z ciekawością na jej reakcję.

– No, dobrze... – Była naprawdę skołowana. – Zobaczą, co da się zrobić... Ale nic nie obiecuję.

Odczekał chwilę, a potem dodał:

– Tylko wiesz, że trzeba go odszumować?

Dopiero teraz zrozumiała, że ją wkręca.

– Spadaj – prychnęła.

Wyszła.

Za jakiś czas drzwi skrzypnęły znowu. Odwrócił głowę. Stała w nich Wilczyńska.

– Cześć – powiedziała. – Mogę na chwilę?

Znowu to samo. To samo, co zawsze. Ściśnięte serce i świat skupiony nagle w jednym punkcie. Dokładnie tam, gdzie ona stoi.

– Proszę – powiedział.

Weszła, lecz nie usiadła na krześle.

– Jak się czujesz? – spytała. Miała podkrążone oczy, lecz poza tym wyglądała dobrze.

– W porządku – odparł. – Biorąc pod uwagę to wszystko... – Wykonał nieokreślony ruch ręką w kierunku wyciągu. – A ty?

– Też dobrze – odpowiedziała. – To znaczy, na pewno o wiele lepiej od ciebie.

– To dobrze. Podobno wychodzisz?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Dostałam już wypis. I kolejny tydzień zwolnienia. Odpocznę za wszystkie czasy.

– To dobrze – powtórzył po raz kolejny. Naprawdę nie wiedział, co ma powiedzieć. – Może usiądziesz?

– Nie, dziękuję – odpowiedziała. – Ja tylko na chwilę. Lekarz powiedział, żeby cię nie męczyć.

– Czy ja wyglądam na zmęczonego? Jestem w znakomitej formie.

Uśmiechnęła się.

– Słuchaj... – Wyglądało na to, że ona też nie wie, co powiedzieć. – Dziękuję.

– Proszę – odpowiedział, bo tylko to przyszło mu do głowy.

Zamilkła. Patrzyła na niego. A on na nią.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała w końcu. – Czemu rzuciłeś się tam wtedy razem z nim w dół... żeby mnie ratować... na pewną śmierć?

Przez głowę przemknęły mu wszystkie możliwe odpowiedzi. Wybrał tę, która była najprawdziwsza.

– Bo cię kocham – powiedział.

Czekał, co się stanie. Leżał teraz przed nią jak szczeniak na plecach. Nie odpowiedziała.

– On też cię kochał – powiedział w końcu.

Spuściła wzrok. Odchrząknęła.

– Miał na moim punkcie obsesję. Tak powiedziała ta policjantka.

Popatrzył w okno. Gałęzie drzewa rosnącego na zewnątrz chwiały się pod wpływem leciutkiego wiatru.

– Między miłością a obsesją jest tylko niewielka granica – odparł. – W zasadzie różnica jest tylko w tym, jak podchodzi do tego osoba, której to dotyczy.

Usłyszał, jak przełyka ślinę.

– Nie jest mi z tym dobrze – powiedziała cicho. – To wszystko przeze mnie.

– Nic nie jest przez ciebie – odpowiedział. – To tylko i wyłącznie jego wina. A on nie żyje.

– Niemniej jednak...

– Nie – przerwał jej stanowczo. – Nie ma w tym wszystkim żadnej twojej winy.

Kiwnęła lekko głową. Spojrzała na niego.

– W każdym razie jeszcze raz dziękuję.

Na korytarzu dało się słyszeć kroki. Drzwi otworzyły się i zajrzała przez nie pielęgniarka.

– Wszystko w porządku? – spytała. – Niczego pan nie potrzebuje?

– Nie, dziękuję – odpowiedział.

Wyszła.

– Gdybyś jeszcze kiedyś potrzebowała pomocy... – zaczął.

– Tak, wiem. Mogę na ciebie liczyć. Trzymaj się. I wracaj szybko do zdrowia.

Odwróciła się, jakby chciała odejść.

– Słuchaj... – zatrzymał ją. – Może byśmy mogli... spróbować... Mógłbym ci pomagać także w mniej dramatycznych kwestiach. Teraz, gdy nie masz już swojego giermka...



Uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Dziękuję – powiedziała. – Ale mimo wszystko nie.

KONIEC

## PODZIĘKOWANIA

Pragnę wyrazić moją głęboką wdzięczność tym wszystkim, bez których bezinteresownej pomocy i fachowej wiedzy ta książka zawierałaby znacznie więcej merytorycznych błędów, niż zawiera. W szczególności dziękuję Karolinie Rabendzie, Annie Orszulak, Janowi Borkowskiemu, Jackowi Hipiszowi oraz Grażynie Nowak. Chciałbym też podziękować tym, których podsłuchane przeze mnie, teatralne opowieści wykorzystałem. Dziękuję również pracownikom, aktorom i dyrektorom Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, jednocześnie zapewniając, że wszelkie osoby, wydarzenia i sytuacje opisane w tej powieści zostały całkowicie przeze mnie wymyślone i nie mają z nimi absolutnie nic wspólnego.

## SPIS TREŚCI

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)  
[ROZDZIAŁ 24](#)  
[ROZDZIAŁ 25](#)  
[ROZDZIAŁ 26](#)  
[ROZDZIAŁ 27](#)  
[ROZDZIAŁ 28](#)  
[ROZDZIAŁ 29](#)  
[ROZDZIAŁ 30](#)  
[ROZDZIAŁ 31](#)  
[ROZDZIAŁ 32](#)  
[ROZDZIAŁ 33](#)  
[ROZDZIAŁ 34](#)  
[ROZDZIAŁ 35](#)  
[ROZDZIAŁ 36](#)  
[ROZDZIAŁ 37](#)  
[ROZDZIAŁ 38](#)  
[ROZDZIAŁ 39](#)  
[ROZDZIAŁ 40](#)  
[ROZDZIAŁ 41](#)  
[ROZDZIAŁ 42](#)  
[ROZDZIAŁ 43](#)  
[ROZDZIAŁ 44](#)  
[ROZDZIAŁ 45](#)  
[ROZDZIAŁ 46](#)  
[ROZDZIAŁ 47](#)  
[ROZDZIAŁ 48](#)  
[ROZDZIAŁ 49](#)  
[ROZDZIAŁ 50](#)  
[ROZDZIAŁ 51](#)

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67

ROZDZIAŁ 68

ROZDZIAŁ 69

PODZIĘKOWANIA